

„John Lutz wie,
jak wywołać dreszcze”
HARLAN COBEN

CRIME SCENE - DO NOT CROSS



John **LUTZ**
SZAŁ

*W mrokach przeszłości kryje się tajemnica.
Zabójcze piękno.
Mordercza obsesja.*

Prószyński i S-ka

John LUTZ
SZAŁ

Przełożyła
Magda Witkowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
FRENZY

Copyright © 2014 by John Lutz
All rights reserved

Projekt okładki
Anna Damasiewicz

Zdjęcie na okładce
Paul Gooney/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Adrian Markowski

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8069-733-1

Warszawa 2015

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla Wendy
Z nieustającą miłością*

Część pierwsza

Gwiazdy otwierają się pośród lili.
Czy widzisz coś pośród rozbłyśniętych bezgłośnych syren?
Tak brzmi milczenie zdumionych dusz

– Sylvia Plath, *Crossing the water*

Rozdział 1

Dwa lata wcześniej, Creighton w stanie Maine

Quinn chwycił łapczywie powietrze i usiłował wydłużyć krok, ale nie dawał rady. Przełknął ślinę, pogodził się z bólem. Biegł dalej.

Zabójca miał nad nim na tyle dużą przewagę, że nie widział go między drzewami, od czasu do czasu słyszał jednak, jak w tym swoim pędzie ku wolności przedziera się przez krzaki. Poza tym rozpaczliwy oddech uciekiniera stawał się jakby coraz głośniejszy.

Quinn go doganiał. Nie miał wątpliwości, że inni też stopniowo skracają dystans. Dał z siebie wszystko na samym początku, zaangażował do pracy każde włókno i każdy mięsień swojego ciała. Teraz płacił za to wysoką cenę, ale przy najmniej był najbliżej.

Quinn był najbliżej, coraz bliżej.

*

Przypominało to trochę polowanie na lisa, w którym to jemu przypadła rola lisa. Zabójca, który podpisywał swoje ponure dzieła literami D.O.A., wzbudzał wokół siebie szelest i trzask zeszłorocznych zeschłych liści. Wsłuchiwał się w szczekanie psów i rozlegające się od czasu do czasu ludzkie okrzyki. Grupa pościgowa coraz bardziej skracala dystans. Miał wrażenie, że zaczęli sobie z nim pogrywać. Oni z nim!

Brakowało mu tchu i prawie zupełnie brakowało mu innych możliwości. Owo „prawie” jednak zdaje się czynić wielką różnicę.

Ziemia zaczęła mu uciekać spod nóg. Zbiegał zбочem, co wyraźnie czuł w mięśniach ud. Kąt nachylenia pagórka podpowiadał mu, że zbliża się do wody. *Niewiele brakuje!*

Ujadanie psów przybierało na sile i wściekłości. Zastanawiał się, jakie to psy. Szczekały jak ogarnięte szaleń, jak gdyby chciały go zagryźć. Może na tym właśnie polegała ta gra.

Rzucił okiem w kierunku niebieskozielonej toni, która wylaniała się przed nim spośród liści. Nagle poczuł nowy przypływ nadziei. *Jezioro!* Tylko w którym miejscu na jego linii brzegowej wyłoni się z lasu? Czy wyskakując spomiędzy drzew tak nagle, nie ściągnie przy padkiem na siebie uwagi i gradu pocisków? *To się jeszcze może udać! To się może udać!*

Zdobył się na ostatni wysiłek, który w jego mniemaniu pozwolił mu znacznie przyspieszyć, w rzeczywistości jednak tylko wzmógł chaos jego ruchów. Przypominał wyczerpanego długodystansowca wykonującego rzut na taśmę.

Prawie się udało!

Prawie!

Rozdział 2

Sarasota w stanie Floryda, 1992

– Dwayne!

Dom, w którym do tego doszło, znajdował się tuż nad wodą. Zielony trawnik za nim łagodnie opadał w stronę basenu o rozmiarach olimpijskich, który zdawał się zlewać w jedno z zatoką. Ciekawe złudzenie optyczne.

– Dwayne! Kochanie!

Maude Evans wołała do niego z plecionego leżaka stojącego na brzegu basenu. Wyglądała trochę dziwnie, jakby unosiła się nad niewidocznym horyzontem. Mniej więcej co pół minuty przeciągała giętkie i opalone ciało, żeby sięgnąć po whiskey sour, wziąć łyki i odstawić szklaneczkę na mały biały stolik. Leżała na starannie rozłożonych ręcznikach, które miały ją uchronić przed tymczasowymi, ale brzydkimi odciskami plecionki na gładkiej skórze.

– Dwayne, przynieś mi jeszcze jednego drinka! – zawołała.

Dwayne drgnął, wybudzony z lekkiej drzemki w słońcu, które wczesnym rankiem zalewało Florydę. Spojrzał na Maude znad ciemnych ramek okularów przeciwsłonecznych. Ona również rzuciła mu spojrzenie, unosząc przy tym szklanekę i kręcąc tym, co jeszcze zostało na dnie. To był czytelny sygnał i jasne polecenie zarazem.

Posłusznie poszedł do kuchni i przyrządził whiskey sour dokładnie tak, jak go nauczono. Osobiście nie lubił tego drinka. Jego niezbyt duże doświadczenie w tym zakresie w ogóle skłaniało go do przekonania, że nie przepada za napojami alkoholowymi. Mimo to po przyrządzeniu mikstury wziął łyk, żeby się upewnić, że napój spełni oczekiwania Maude. Może zresztą należało mówić o jej żądaniach.

Wyszedł przed dom i podał jej szklanekę, a ona prawie nie zwróciła na niego uwagi. Pomyślał,

że pięknie pachnie. Wyczuł od niej woń olejku połączonej z potem połyskującym na gładkiej skórze. Oddalił się od basenu i stanął na tarasie domu, skąd mógł obserwować swoją przyszłą macochę. Właśnie skończył czternaście lat i nic nie mógł poradzić na to, że Maude go fascynowała. Jej to zresztą nie przeszkadzało. Potajemnie nawet go zachęcała, uśmiechając się do niego i mrugając, gdy jego ojciec nie widział. Choć w sumie to nawet bardzo się z tym nie kryła. Oboje z ojcem z pewnym rozbawieniem obserwowali dyskomfort Dwayne'a, gdy nie potrafił ukryć wzrodu, który często występował u niego w obecności Maude. Dwayne'a tak bardzo to krępowało, że cały pąsował, a wtedy oni się z niego śmiali.

Czasami, żeby powstrzymać podniecenie, Dwayne starał się myśleć o swojej zmarłej matce. O tym, jak bardzo jej nienawidził. Ona i ojciec wykorzystywali go na różne sposoby, zupełnie dla niego niewyobrażalne. Nie znosił tego, a przez to nie znosił zarówno ich, jak i siebie. Gdy dziewięć miesięcy temu matka Dwayne'a zmarła, nie bardzo wiedział, co powinien w związku z tym czuć. Rozumiał, że nocne wizyty się skończą, że nie będzie już czuć tego oddechu zabarwionego dżinem ani słuchać tego chichotania. Nie będzie doświadczać bólu, który jego rodzicom sprawiał taką radość. Ojciec z początku się nie zgadzał, żeby robili mu krzywdę, ale potem matka go przekonała, że to nie ma znaczenia – że w rzeczy wistoci to sprawia Dwayne'owi przyjemność. Wynajdywała różne sposoby, aby to udowodnić. Gdy umarła z powodu niewydolności serca (w jakiś sposób związanej z tym białym proszkiem, który wraz z mężem zażywali), Dwayne udawał żalobę na tyle przekonująco, że bez trudu zwiódł rzekomych przyjaciół i współpracowników matki przybyłych, by ją pożegnać. Całkiem nieźle sobie z tym radził. Bo czymże jest życie, jeśli nie zbiorem ról do odegrania?

Nigdy nie mówiło się o tym, skąd wzięła się w świecie jego ojca Maude Evans. Po prostu pojawiła się kilka tygodni po śmierci matki. Jego matki. Ujmując rzecz najprościej, wypełniła tę lukę w jego życiu własną wersją.

Dwayne z kolei wypracował nową rutynę. Zamiast chodzić do szkoły, uczył się w domu, gdzie pięć razy w tygodniu o dziewiątej rano pojawiała się surowa nauczycielka, pani Jacoby, i zostawała do pierwszej. Była to sporych rozmiarów kobieta w średnim wieku, która nieustannie marszczyła brwi. Nie musiał znać jej imienia. Wystarczyło, że przyswoi sobie liczby pierwsze i łacińskie tematy. Absolutnie nie pozwoliłaby mu się omotać. Pani Jacoby i Maude sprawiały wrażenie, jak gdyby w ogóle się nie zauważały. Chociaż niewykłuczone, że zachowywały się tak tylko w obecności Dwayne'a. Punktualnie o dziewiątej, gdy w drzwiach stała pani Jacoby, ojciec Dwayne'a wychodził do pracy. Jego firma zajmowała się pozyskiwaniem nieruchomości oraz ich zarządzaniem i posiadała atrakcyjne nadmorskie nieruchomości na terenie całej Florydy, a także w obu Karolinach. Pieniądże nie stanowiły więc żadnego problemu. Z powodzeniem wystarczało ich na finansowanie licznych kąpielii słonecznych.

Z podsłuchanej rozmowy Maude z Billem Phoenixem, który co drugi dzień przychodził zadbać o basen, Dwayne dowiedział się, że jego przyszła macocha zainteresowała się ojcem wyłącznie dla pieniędzy. Phoenix był wysokim i smukłym mężczyzną o przyjaznych brązowych oczach i mocno zarysowanych mięśniach. Zarówno jego głowę, jak i klatkę piersiową porastały czarne kręcone włosy. Zdaniem Dwayne'a dobrze by się nadawał do roli Jamesa Bonda. Ale jego z kolei interesowały i Maude, i pieniądze. Dwayne wiedział, że tych dwoje snuje pewien plan.

Rozdział 3

Dwa lata wcześniej, Creighton

Quinn biegł wzdłuż brzegu cały czas mniej więcej w tym samym tempie. Czujnym okiem starał się objąć jak największy obszar. Wiedział, że psy nieco go wyprzedzają, że znajdują się po jego lewej stronie. Po prawej miał jezioro. Bezpośrednio przed nim uciekał natomiast zabójca. Przypominało to trochę bieg po ramionach trójkąta równoramiennego w kierunku wierzchołka, gdzie zabójca i grupa pościgowa mieli się wkrótce spotkać. Jeśli zabójca utrzyma azymut, wówczas zostanie oskrzydłony z dwóch stron, jeśli rzuci się w lewo, będzie próbował ominąć policjantów z psami. Ale mógł też wybrać drogę w prawo, a wówczas musiałby płynąć. Quinn spodziewał się, że zabójca będzie zmierzać niezmiennym kursem, a kres tej ucieczki stanie się również kresem jego wolności lub... życia. *Może tak to właśnie zaplanował. Nie da się tego przewidzieć. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać.*

Prawie dopadli drania w domku myśliwskim, gdzie zabił właśnie swoją ostatnią ofiarę, którą najpierw torturował, przypalając papierosem, zadając dziesiątki ran nożem i stopniowo ją patrosząc. Anonimowy telefon z informacją, że w tym miejscu właśnie dochodzi do morderstwa, otrzymali zbyt późno, by kobietę dało się uratować. Zabójca widział, jak się zbliżają. Uciekł z miejsca zdarzenia tuż po tym, jak zatelefonował. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że tak szybko zareagują, że Quinn aż tak depcze mu po piętach. Teraz występował w roli zwierzyny łownej i uciekał przed Quinnem oraz ludźmi miejscowego szeryfa.

Quinn dobrze wiedział, że szeryf – szczupły i siwy mężczyzna nazwiskiem Carl Chalmers – odniósł poważne obrażenia. Gdy go ostatnio widział, Chalmers siedział na ziemi w kałuży krwi i rozmawiał, jak sądził Quinn, przez telefon komórkowy. Wolnym ramieniem machnął na niego, nakazując mu kontynuowanie pościgu. Chalmers nie uczestniczył w śledztwie od początku, dołączył do Quinna już po tym, jak martwe ciała doprowadziły detektywa z Nowego Jorku do

Maine. Quinn prowadził więc ten pościg, korzystając z dość nieoczekiwanej pomocy. Wiedział bowiem, że to szeryf wezwał nie tylko policję stanową, ale również psy. Przypuszczał też, że anonimowy telefon pochodził od samego mordercy, który chciał go przyciągnąć na miejsce zbrodni i zmusić do bezwzględnej pogoni. Dupek był z tych, co to lubią sobie tak pogrywać.

Zważywszy jednak na okoliczności, pościg wcale nie musiał się okazać bezowocny, chyba że zabójca miał gdzieś w krzakach schowaną łódkę. Zasadniczą rolę mogą w tym wszystkim odegrać psy, które znacznie przyspieszyły pogoń. Niewykluczone, że akurat ich zabójca się nie spodziewał.

Nagle po prawej ręce Quinna między drzewami pojawiła się tafla jeziora. Dokładnie tam spodziewał się ją zobaczyć. Zwolnił i zwrócił się w jej kierunku, przekroczył próg lasu i znalazł się w pobliżu zniszczonego drewnianego pomostu, który niczym wyprostowany palec wskazywał przeciwległy brzeg. Quinn się zatrzymał i pochylił, żeby złapać oddech. Karabin oparł o pobliskie drzewo. Wiedział już, jak zabójca planował uciec. Wiedział, że przewyższał go pod względem przemysłności i pomysłowości. Nie miał jednak nad nim przewagi szczęcia.

Quinn go dopadł!

*

Zabójca zobaczył płaską niebieskozieloną powierzchnię. Wiedział, że prawie dotarł już do błotnistego brzegu. Zwolnił i rozejrzał się na prawo i lewo, żeby zorientować się w sytuacji. Widział przerzedzające się drzewa. Wyczuwał subtelny, ale jednoznaczny zapach butwiejącego drewna, wodorostów oraz stojącej wody. Nie biegł na oślep. Mniej więcej orientował się, gdzie się znajduje. Wiedział, że pomost jest w pobliżu.

Rzucił okiem pomiędzy drzewa i natychmiast się zatrzymał. Stał, usiłując uspokoić oddech. Przed nim, tyłem do wody, stał Quinn! W umyśle zabójcy pojawiły się jednocześnie żal i gniew. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, poza może pojawieniem się tego cholernego szeryfa. Gdyby nie przybył tu wraz z Quinem, gdyby nie przeżył na tyle długo, żeby wezwać psy gończe, cała sprawa potoczyłaby się po jego myśli.

Potem stwierdził, że nie ma aż tak dużego pecha. Quinn zginał się wół i opierał dłonie na kolanach, próbując złapać oddech. Broń stała oparta o drzewo, poza jego bezpośrednim zasięgiem. Zabójca przyglądał się, jak Quinn prostuje się i rozciąga, jak unosi wysoko ramiona i wygina ciało. W tym momencie zwrócił się twarzą do jeziora. Chyba nie mógł się oprzeć i musiał raz jeszcze spojrzeć na rozłękotany pomost, przy którym stało coś, czego się zupełnie nie spodziewał. Potem odwrócił się w kierunku brzegu, najpewniej w poszukiwaniu kryjówki, w której mógłby się zacciać na swoją ofiarę. Musiał zakładać, że dotarł do jeziora pierwszy.

Świetnie! Nawet gdyby pierwszy strzał okazał się chybiony, zabójca zdołałby jeszcze wystrzelić w stronę Quinna kolejny pocisk, zanim zaskoczony policjant sięgnie po broń.

Zabójca ruszył w kierunku dużego drzewa, zza którego nie będzie go widać nawet po oddaniu strzału. Nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu. Pomyślał: *Szach-mat*.

Rozdział 4

Sarasota, 1992

Domek o niebiesko-białych ścianach stał na uboczu od strony wschodniej, żeby nie zasłaniać widoku na zatokę. Przy zachowaniu ostrożności Dwayne mógłby dotrzeć przez przycięte krzaki na jego tyły. Z uwagi na kształt zatoki ktoś mógłby go zobaczyć tylko z wody, nie stanowiło to więc większego problemu. A siedząc tam, mógł niepostrzeżenie przysłuchiwać się pobliskiej rozmowie, a także wszystkim dźwiękom przenikającym przez cienkie ściany domku.

Zbliżał się zachód. Dwayne czekał, aż się ściemni, i dopiero wtedy przedostał się na swoje upatrzone miejsce. Teraz nikt go nie mógł dostrzec nawet z łodzi płynącej po zatoce, chociażby używał lunety albo lornetki. Ojciec wyjechał w interesach do Augusty, Dwayne miał w tym czasie odrabiać zadania domowe. Maude i jej kochanek Bill Phoenix nie spodziewali się, że mógłby opuścić swój pokój i ulokować się za ścianą domku. Dwayne wiedział z doświadczenia, że będą rozmawiać w srodzku z obawy, że na zewnątrz dźwięk mógłby nieść się nad wodą. Poza tym Bill Phoenix nie chciał, aby zobaczył ich czy podsłuchał któryś z sąsiadów. Chociaż Dwayne podejrzewał, że tak naprawdę nie sąsiadami się martwił, a w każdym razie nie nimi samymi. Martwiło go raczej, że mogliby plotkować, a przecież on zadawał się z przyszlą żoną jednego z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi na Florydzie. Taki człowiek może zatrudnić detektywów. Albo jeszcze kogoś gorszego.

Maude była nie tylko bogata, ale też niesamowicie atrakcyjna. Phoenix tymczasem zaliczał się do tych mężczyzn, którzy dbają o czystość w basenach bogatych ludzi. Łatwo dodać dwa do dwóch. Ale Dwayne znał swojego ojca i wiedział, że nie podejrzewał Maude o spotkanie się z innym mężczyzną, a już na pewno nie na terenie ich domu. Mało kto zdecydowałby się na takie ryzyko. Maude jednak była wyjątkowa.

Dwayne umościł sobie miejsce tuż przy ścianie domku i przycisnął do niej ucho.

– Przekonałam go do wyznaczenia daty – mówiła Maude. Ściany były cienkie, więc Dwayne dobrze ją rozumiał. – Po powrocie do miasta poinformujemy wszystkich o ślubie. Może nawet urządzimy wielkie przyjęcie.

– Chryste! – powiedział Phoenix. – W przyszyły m ty godniu.

– To musi tak być. Mamy akurat dobrą okazję, więc z niej skorzystamy. Stary jest we mnie wpatrzony jak w obrazek, a to przecież nie potrwa wiecznie. Jego żona nie żyje, więc sporządzi nowy testament i wtedy dziedziczką fortuny zostanie druga żona, czyli ja.

– A co z dzieciakiem?

– Dziedziczką całej fortuny.

– Nie rozumiem, przecież on na pewno będzie chciał coś chłopakowi zostawić.

– Po śmierci nie będzie miał nic do powiedzenia na ten temat. Zaufa mi, że przekażę Dwayne'owi sprawiedliwą część. On naprawdę myśli, że ja kocham tego małego gówniarza. Że jestem dla niego jak matka. W każdym razie zdołałam go przekonać, że dzieciak ma kłopoty intelektualne. Że tak twierdzi jego nauczyciel. On się po prostu nie umie uczyć. Być może nigdy się nie nauczy, jak należy postępować z prawdziwymi pieniędzmi. Już podjęliśmy rozmowy z prywatną szkołą w Kentucky, do której trafi. Chłopak się zdziwi.

– A co z nauczycielką? Nic nie powie?

– Dostanie swoje.

– Tylko żeby potem nie próbowała nam zaszkodzić.

– Nie będzie... Zorientuje się, co zrobiliśmy i że ona się do tego przyczyniła. Weźmie swoją rozsądną działkę i zniknie.

– A dzieciak?

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Przez niego mogą być kłopoty, Maude.

– Nic się nie martw. Zajmę się tym. Przecież z żoną sobie poradziłam, nie? Za sprawą heroiny ćpunka na koniec odbyła najbardziej niesamowitą podróż swojego życia.

Dwayne doskonale wiedział, co ma przez to rozumieć. Jego matka została zamordowana. Co do tego nie miał wątpliwości. Zaczął trząść się tak mocno, że aż nasza go obawa, że mogą go przypadkiem usłyszeć. Nagle ogarnął go spokój, zupełnie jak gdyby owiała go chłodna bryza znad morza. Znalazł się w dość kłopotliwym położeniu. Na szczęście sama pani Jacoby nauczyła go, jak w takich sytuacjach się zachować i jak nie dać się przytłoczyć nadmiarem informacji. Wiedział, że musi zachować zimną krew i trzeźwo myśleć. *Myśleć.*

W sumie nie żałował, że jego matka nie żyje. Nie zamierzał udawać, że jest inaczej – nie po tym wszystkim, co mu zrobiła – nawet przed sobą, a może w szczególności przed sobą. Nie miało też dla niego większego znaczenia, że nie umarła przypadkiem. Maude postanowiła, że wyjdzie za jego ojca, a następnie go zabije, żeby odziedziczyć jego majątek. Maude i Bill Phoenix mieli się dzięki temu wzbogacić, by żyć potem długo i szczęśliwie... W tym w sumie też nie widział nic strasznego. To wcale nie musiało być takie złe. Wystarczyło tylko odpowiednio na to spojrzeć, jak go uczyła pani Jacoby. Dwayne był jej wdzięczny, chociaż za pieniądze od Maude i Billa Phoenixa zamierzała słać i tym samym wysłać go do przypominającej więzienie odległej prywatnej szkoły. Miała głowę na karku. Nie ma co...

Dwayne biegiem wracał spod chatki do domu, przez cały czas trzymając się w cieniu zarośli.

Większą część nocy spędził w łóżku na rozmyśleniach. Cały czas analizował to, co usłyszał.

W przyszłym tygodniu. Jak słusznie zauważył Bill Phoenix, nie zostało dużo czasu. Dwayne nie miał wątpliwości, że jeśli Maude postanowiła sobie, że ojciec zabierze ją do Las Vegas i tam poślubi, to tak się właśnie stanie. A co potem? Dwayne nie zamierzał dłużej brać udziału w grach dorosłych. Znał Maude, znał swojego ojca. Nie chciał się przenieść do prywatnej szkoły, gdzie czekało go nędzne życie. Wiedział, że gdy ojciec ożeni się z Maude, ona przeniesie się do łóżka, w którym sypiała jego matka, i w końcu wszystko znowu będzie tak samo jak dawniej. Potem, gdy upłynie już dostatecznie dużo czasu, by nikt nie snuł żadnych podejrzeń, ojciec Dwayne'a pożegna się ze światem.

Tak to chyba miało być. Rodzina znowu będzie razem, przy najmniej przez jakiś czas.

Rozdział 5

Nowy Jork, czasy obecne

Otwierając drzwi swojego apartamentu w hotelu Fairchild w Nowym Jorku, Andria Bell spodziewała się zobaczyć pokojówkę albo boja. Tymczasem stanęła oko w oko z czymś, czego nawet nie była sobie w stanie wyobrazić.

Widziała już dzisiaj tego mężczyznę. Rozmawiał z Grace w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Patrzył na nią jakoś tak specyficznie, jak drapieżnik na ofiarę. Uśmiechał się przy tym lekko i nachylał w jej kierunku. Teraz ciągle jeszcze stał w korytarzu i zdawał się spoglądać gdzieś za jej plecy. Dostrzegła szybki ruch głową i baczne wypatrywanie. Mężczyzna upewniał się, że są sami.

Te oczy. Znowu oczy drapieżnika.

Potem pokazał jej broń, którą wyciągnął spod lekkiej kurtki, ciągle jeszcze lekko wilgotnej od siąpiącego na dworze deszczu. Broń była dość masywna, z dużym magazynkiem nazywanym często bananem. Do oddania strzału należało użyć dwóch rąk. Chyba automatyczna. Andria niespecjalnie znała się na broni, ale przypuszczała, że ta akurat mogłaby urządzić niezłą rzeź. *Pach, pach, pach...*

Nigdy wcześniej nikt do niej nie wycelował. Uczyła o sztuce, ale nie o sztuce wojny. Na widok czarnego otworu u wylotu lufy nogi się pod nią ugięły. Stała jak zahipnotyzowana, a broń wpatrywała się w nią niczym złowrogie oko.

Mężczyzna ruszył do przodu, a ona cofnęła się jak w transie. Zamknął za nią drzwi. Uniósł palec wskazujący do ust w geście przestrogi, nakazując jej zachowanie ciszy. Potem zaczął broń o pasek tak, że lufa cały czas wystawała do przodu. Przekrzywił głowę i uśmiechnął się, po czym wruszył ramionami i rozłożył ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: „Widzi pani? Nie ma żadnego problemu. Nie ma się czego bać”. Ni stąd, ni zowąd nagle chwycił ją za kark.

Od razu zorientowała się, że znalazła się w rękach fachowca, i ta myśl raczej jej nie pocieszała. Dokładnie wiedział, gdzie nacisnąć i jak mocno. Nagle pociemniało jej przed oczami. Andria zdawała sobie sprawę, że wymachuje bezwładnie rękami, usiłując uchwycić jego palce trzymające ją w żelaznym uścisku, ale zaczynała słabnąć, zaczynała tracić przytomność. Wiedziała, że to mogą być jej ostatnie chwile na tym świecie. To koniec. Koniec jej życia.

Nagle lewą dłonią poczuła broń. Zaczęła lekko macać palcami nieruchomy spust. Bez większego rezultatu. Nie miała już władzy w rękach. Być może miała jeszcze szansę na ratunek, ale nawet gdyby taka szansa przed nią stanęła, pewnie nie potrafiłaby jej już rozpoznać i wykorzystać. Świat wokół niej pogrążał się w coraz większym mroku, a napastnik cały czas się do niej uśmiechał – jak gdyby przyjaźnili się i prowadzili właśnie przyjemną rozmowę. Nachylił się jeszcze bardziej w jej stronę. Poczuła cuchnący zapach, ponieważ otworzył usta i wyszeptał:

– Do zobaczenia za chwilę...

Niemal wyśpiewał te słowa, a w jej głowie pojawiła się pozbawiona większego sensu myśl, że ta melodia to moty w przewodni z jakiegoś starego programu telewizyjnego.

Boleśnie zacisnął chwyt na jej szyi, a jej robiło się coraz bardziej słabo. *Czyli tak to jest...* Zyskała jakby świadomość chwili. Tracąc przytomność, zobaczyła Grace. Grace wyszła z sypialni, w której dziewczęta – uczennice Andrii – oglądały telewizję, przygotowując się do spania. Miały się ułożyć na dwóch podwójnych i jednym rozkładanym łóżku. Grace miała na sobie dżinsy i koszulkę, która nie zasłaniała pępka. *Grace... Grace... Grace...*

A Grace stała jak wryta, w zupełnie dziwnej pozie. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w całą scenę z przerażeniem. Pięści miała uniesione do ust i przygryzała kłykcie. Andria nigdy nie widziała tak przerażonego człowieka. Zanurzając się w ciemności, pomyślała jeszcze, że na zawsze zapamięta ten widok i będzie go kojarzyć z Grace.

*

Zabójca odpiął karabin AK-47 od paska i wycelował go w szczupłą blondynkę z muzeum. Dzięki umiejętnie prowadzonej rozmowie dowiedział się od niej wcześniej wszystkiego, co chciał wiedzieć: kto wchodzi w skład grupy, po co przyjechały do miasta i gdzie nocują. Nauczycielka wydawała się interesująca, ale nie aż tak bardzo jak ta blondynka, Grace, która teraz stała w drzwiach i patrzyła na niego jak na tarantulę.

– Spokojnie, Grace – powiedział. – Pamiętasz mnie? Rozmawialiśmy w muzeum.

– Pamiętam – odrzekła ledwo słyszalnym głosem. W takich chwilach gardło samo się człowiekowi ścisła.

Mógłby go rozpoznać, więc teraz nie miał już wyboru – musiał ją na zawsze uciszyć. Ale to mu nie przeszkadzało.

– Chodźmy z powrotem do sypialni – powiedział.

Dotknął czubkiem broni jej pępka. Zachłyśnęła się powietrzem i zgięła wpool.

– Zrobimy sobie takie małe przyjęcie.

Z pomocą groźnego kałasznikowa bez problemu zapanował nad dziewczętami. Dwie zupełnie straciły panowanie nad sobą, o czym świadczyły mokre plamy na spodniach w okolicy krocza. Te dwie stanowiły najmniejszy problem. Na szczęście wszystkie miały sportowe buty – takie obuwie zaleca się w przypadku dłuższych spacerów po betonowej pustyni miasta – z solidnymi podeszwami. Postępując zgodnie z jego wytycznymi, Grace mocno związała swoim przyjaciółkom ręce i nogi za pomocą sznurowadek: lewego używała do nadgarstków, prawego do kostek. Potem on związał Grace. Następnie użył ich majtek – które wyciągnął im ze spodni i porzucił – jako knebli. Wepchnął im je mocno do ust. Po kilku godzinach zapewne zdołalyby je wypchnąć językiem, ale przecież nie miały kilku godzin. Zresztą kto wie. Zabójca postanowił jak najlepiej wykorzystać ten rzadki prezent, który sprawił mu los.

Upewnił się, że wszystkie dziewczęta są mocno związane, po czym zaczął się rozbierać.

Andria dostrzegła zegarek przy łóżku, ale obraz jej się rozmywał. Rozmywał się nie tylko cyferblat, ale w ogóle cały zegar. *Jak, u licha...* Potem nagle niczym lawina spadła na nią świadomość, gdzie się znajduje, jak się tu znalazła i co się stało. Czuła się trochę tak, jak gdyby obudziła się następnego dnia po otrzymaniu wiadomości, że zmarł ktoś jej znany i bliski. W pierwszej chwili wspomnienie minionych wydarzeń wydawało jej się nierealne – potem zaś stało się aż za bardzo rzeczywiście.

Moje dziewczyny! O Boże, co się stało z moimi dziewczynami?

Andria leżała na plecach i ciągle jeszcze nie mogła się ruszyć. Czuła palący ból w gardle, jak gdyby napiła się kwasu. Oddychała chrapliwie i głośno. Utkwiła wzrok w zegarze i telefonie, który stał obok. Musiała się do niego dostać.

Diody na zegarku zaczęły się układać w kształt cyfr. Odkąd zabójca wszedł do apartamentu, minęło czterdzieści osiem minut. *Pewnie go już nie ma. Pewnie uznał, że nie żyję, i sobie poszedł. Proszę, niech go tu nie będzie!*

Andria odwróciła się na bok, ze zdumieniem stwierdzając, że boli ją absolutnie całe ciało. Po blisko dziesięciu minutach wysiłku udało jej się w końcu przyjąć pozycję na czworakach. *Dokąd mam teraz iść? Do drzwi? Do sypialni? Do telefonu?*

– O, tu jesteś – powiedział uprzejmie. Brzmiało to trochę tak, jak gdyby mu się gdzieś zgubiła.

Na dźwięk jego głosu znowu przewróciła się na bok i zwinęła się jak embrion. Mocno zacisnęła powieki.

– Bardzo chciałbym sobie z tobą porozmawiać.

Usłyszała miękkie kroki na dywanie. Otworzyła oczy. Stał nad nią. Był nagi, miał na sobie

tylko gumowe rękawiczki. Uśmiechał się. W prawej dłoni trzymał duży nóż. Po nożu spływała krew. On też był brudny od krwi.

– Tak właśnie sądziłem, że już mogę cię ocucić – stwierdził – ale widzę, że zasadniczo poradziłaś sobie sama. To wyraz prawdziwej determinacji. Powinnaś być z siebie dumna.

Gdy podszedł bliżej, zauważyła, że trzyma coś w lewej dłoni. Wyglądało to jak zwitek sznurowadeł.

– Chodź tutaj – powiedział, po czym nachylił się i podniósł ją, jak gdyby zupełnie nic nie ważyła, starając się nie ugodzić jej nożem.

Próbowała krzyczeć, ale z jej ust wydobyło się tylko rżęzenie.

– Ostrożnie – powiedział. – Przecież nie chcesz zupełnie stracić głosu.

Położył ją na plecach na twardym stoliku do kawy z drewna orzechowego, po czym za pomocą sznurowadeł przywiązał jej ręce i nogi do jego czterech nóg. Głowa znajdowała się poza blatem i opadała do tyłu. Andria nic nie mogła na to poradzić, mięśnie szyi jej zwiótzczały. Podobnie zresztą jak cała reszta ciała.

Usiadł na sofie przy stoliku, nachylił się do przodu i pokazał jej duży zakrwawiony nóż. Zauważyła, że ma żółtawą rękojęść z kości.

– Musimy porozmawiać – oznajmił. Z zaskakującym spokojem odcinał nożem kolejne guziki jej bluzki. – Jeśli chcesz wyjść z tego cało, musisz ze mną porozmawiać.

Dalej przyszła pora na spodnie, a potem na majtki. Ostrze noża zbliżało się do ciała.

– Musisz mi powiedzieć prawdę. To wcale nie będzie takie trudne, jak ci się wydaje. Mówią, że prawda nas wyzwoli... i to prawda. W każdym razie w tym przypadku.

Andria wiedziała, że on kłamie, ale bardzo chciała mu wierzyć, kurczowo trzymała się jego słów. Tak to działało – i on o tym doskonale wiedział. *Ten drań o tym wie! Wie też, że nie posiadał żadnej życiowej prawdy.*

Część informacji uzyskał już od Grace, jeszcze w muzeum. Grace powiedziała mu tylko tyle, ile sama wiedziała – ile dowiedziała się od Andrii. Powiedziała mu także, że jeśli chce poznać resztę tej historii, może zapytać Andrię. Andria i zabójca doskonale zdawali sobie sprawę, że świadomość niekorzystnego mechanizmu działania strachu i nadziei nie ma w tym momencie żadnego znaczenia. On był pewny, że ona coś wie. Oboje zaś wiedzieli też, że zdradzi mu to choćby za cień nadziei na przetrwanie. I że on nie dotrzy ma słowa.

Rozdział 6

– Pokojówka przysłała dziś rano i je znalazła – powiedział komisarz nowojorskiej policji Harley Renz. – Uznałem, że to coś dla ciebie.

Były kapitan wydziału zabójstw Frank Quinn, który teraz prowadził własną agencję detektywistyczną Quinn and Associates Investigations (Q&A), po prostu skinął głową. Komisarz, jego stary przyjaciel i wróg zarazem, czasami zgłaszał się do agencji w imieniu policji. Quinn świetnie się sprawdzał w sprawach szczególnie trudnych czy niebezpiecznych. W sprawach, które mogły zaszkodzić ambitnemu i pozbawionemu skrupułów komisarzowi.

Quinn dostrzegął u Harleya Renza skrywany i nieco pokrętny rodzaj uczciwości. Facet piął się po drabinie kariery dzięki lizusostwu i szantażom, czerpiąc z tego dumę. Wręcz chwalił się swoimi odrażającymi poczynaniami, lubując się w swoim zepsuciu. Z uwagi też na ogólną zachłanność Renz dorobił się ponad dwudziestu kilogramów nadwagi. Tego ranka miał na sobie szykowny komisarzski mundur, gdyż spodziewał się spotkać wielu fotografów, a być może nawet wystąpić przed kamerą. Różowa szyja wylewała się ze sztywnego białego kołnierzyka, tworząc o kilka podbródków za dużo.

Quinn był mniej więcej w tym samym wieku co Renz, zdołał jednak zachować szczupłą sylwetkę i przyzwoitą rzeźbę mięśni. Całości dopełniała twarz tak swojska, że aż przystojna, a także nieco niesforne proste brązowe włosy z przedziałkiem z boku, za których sprawą nawet zaraz po wyjściu od fryzjera Quinn wyglądał tak, jak gdyby długo uciekał od noży czek. Z racji wzrostu, szerokich ramion, dużych i szorstkich dłoni, jak również nosa nienastawionego po jednym z wielu złamań, na pierwszy rzut oka robił wrażenie bandziora. Dopiero spojrzenie w spokojne zielone oczy pozwalało dostrzec drzemiącą w nim inteligencję. Inteligencję i coś jeszcze, czemu większość ludzi wolała się z bliska nie przyglądać.

– Wszystkie zostały zabite w ten sam sposób – rozległ się nieprzyjemny nosowy głos należący do patologa, doktora Juliusa Nifta.

Był to niski i szczupły mężczyzna, przywiązujący wagę do swojego wyglądu, który najkrócej

należałoby określić jako napoleoński. Za pomocą jakiegoś stalowego narzędzia ukłuł dziewczynę leżącą na skraju łóżka, smukłą szesnastolatkę o rudych włosach. Większość ubrań została z dziewczynin zdjęta za pomocą noża, a fragmenty materiałów wykorzystano do przyślonięcia cięć na gardłach w celu ograniczenia rozprysku krwi z tętnic w ostatnich chwilach ich życia.

– Jeden nóż, którym prawdopodobnie zadawano ofiarom tortury przed śmiercią.

– Ten sam nóż, którym wyryte zostały inicjały na czołach? – zapytał Quinn.

Na czołach bowiem wszystkich ofiar starannie wycięte zostały litery D.O.A.

– Nie mogę tego powiedzieć na pewno, ale tak przy puszczam.

– Twój stary znajomy – powiedział Renz do Quinna, który w jednej chwili przeniósł się znów nad tamto jezioro w stanie Maine i słyszał w głowie, wręcz czuł odgłos wystrzału z karabinu.

Blizna po kuli, która przeszła mu prawy bok, zaczęła go nagle palić, jak to zresztą często bywało, gdy wspominał ten moment. Niezależnie od sprawy. Woda na młyn dla ludzi takich jak Quinn. Często wracał myślami do Creighton. Pamięć stanowiła dla niego potężne źródło motywacji. Wiedział, że nigdy o tym nie zapomni, a ulżyć sobie w bólu może tylko w jeden sposób.

– Mój drogi przyjaciel, miejmy nadzieję – powiedział. – Bo to może być też jego naśladowca, jakiś skryty wielbiciel.

Nift spojrzął na rząd ciał praktycznie nagich kobiet.

– Tak na marginesie, najważniejszych części nie ruszał.

Quinn poczuł przypływ gniewu, ale zdołał nad nim zapanować. Nift tak już miał, że próbował irytować ludzi.

– A ta ofiara w pokoju obok? – zapytał Quinn. – Dlaczego została przywiązana do stolika?

– Może zabójcy skończyło się już miejsce na łóżku... – stwierdził Renz.

– Nie – odparł Quinn. – Ona zasłużyła sobie na specjalne traktowanie.

Nift posłał mu lubieżny uśmiech.

– Słuszne spostrzeżenie.

Nift zdążył już sobie wypracować nie lada reputację: słynął ze swojego stosunku do zmarłych, zwłaszcza do atrakcyjnych kobiet, i Quinn przypuszczał, że przy najmniej niektóre z krążących o nim plotek nie mijają się z prawdą.

– Była też od nich starsza – powiedział Nift.

– Trzydzieści siedem lat – doprecyzował Renz. – Tak wynika z prawa jazdy wydanego przez stan Ohio.

– Macie wszystkie dokumenty tożsamości? – zapytał Quinn.

– Tak. Ta wyjątkowo potraktowana na stoliku to Andria Bell. Była opiekunką i przewodniczką pozostałych. Dziewczęta to uczennice klasy artystycznej jakiejś szkoły z Cleveland.

– Andria była artystką?

– Na pewno uczyła sztuki. – Renz położył pięści na biodrach i potrząsnął głową z dezaprobatą. – Szlag by to! Takie młode dziewczyny... Nie miały nawet okazji poznać życia. Aż strach pomyśleć, co media będą mówić o całym tym bałaganie: zdjęcia z rocznika, na których te piękne dziewczyny się uśmiechają, wywiady z rodzinami, dziwne pytania... Te dupki wykorzystają pełen wachlarz możliwości.

– Niby dlatego mieliby tego nie robić? – odezwał się Quinn.

– Pewnie, że zrobią. Sam też bym to robił na ich miejscu. Tylko że ja jestem jeden, a oni

będą jak sfora dzikich psów, która w pogoni za chwytliwą historią nie oszczędzi nikogo i niczego. Komisarz policji, który nie potrafi złapać zabójcy, nie potrafi ująć miejscowego Richarda Specka, który co prawda zrobił sobie wakacje, ale teraz powraca. To dopiero coś! Wystarczy tylko znaleźć jakiegoś biednego kozła ofiarnego, nad którym można by się zęcać w wiadomościach telewizyjnych i gazetach.

– Mamy tu pięć martwych kobiet, Harley. Do tego dwie zabite w Maine i co najmniej cztery w Nowym Jorku jeszcze wcześniej... A ty się uzalasz nad własnym losem?!

– Czyż nie o to właśnie chodzi? Ja nadal żyję!

I nadal pewnego dnia chciałbym zostać burmistrzem. Ale Quinn odepchnął od siebie tę myśl. Wiedział, że Renz ma rację. Żarłoczne nowojorskie media tak czy siak będą maglować tę sensacyjną historię, ile tylko się da. Ofiary czeka trochę więcej niż pięć minut sławy, ale potem i tak świat o nich zapomni i pozostaną jedynie w pamięci swoich bliskich.

Obserwował ten krajobraz po rzezi.

– Znaleźliście jakieś komputery?

– Jeśli coś było, to zabójca je zabrał. Ale wątpię...

– Dlaczego?

– Bo tu każdy ma iPhone'a albo coś w tym stylu. Te paskudztwa z powodzeniem zastępują teraz komputery.

Renz spojrział na Quinna ze spokojem w oczach osadzonych pośród mięsistych powiek. „Mam przed sobą pracowity dzień”, mówił wzrok komisarza. Pora oficjalnie ogłosić sprawę.

– Zajmiesz się tym, Quinn? Na takich zasadach jak zwykle?

– Tak i tak – odparł Quinn, w ogóle się nie wahając.

– W takim razie sprawa jest twoja. Informuj mnie na bieżąco, a ja zajmę się mediami. Chyba że uzgodnimy coś innego.

– Jasne – powiedział Quinn.

Gdy tylko zobaczył litery wyryte na czołach ofiar, od razu wiedział, że weźmie tę sprawę. Bolesne wspomnienia i mroczne konszachty nie mogły temu przeszkodzić. Został wybrany, nie tylko zresztą przez Renza.

Komisarz ruszył w kierunku drzwi.

– Przyślę ci papiery do podpisania i wyznaczę kogoś w charakterze łącznika.

Quinn skinął głową. *Łącznik*. To inne określenie na informatora. Świetnie, tego mu właśnie trzeba.

W drzwiach pojawił się człowiek w białym kombinezonie, a to znak, że przyjechali technicy kryminalistyczni. Zwykle pojawiali się na miejscu zdarzenia w tym samym czasie co patolog. Quinn zastanawiał się, czy Renz celowo nie opóźnił ich przybycia, żeby dać mu szansę lepiej się przyjrzeć ofiarom – żeby naprawdę **zapragnął** zająć się tą sprawą. Doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, że tak właśnie kombinuje Renz. Wszystko zawsze robi z więcej niż jednego powodu.

– Gdzie Pearl? – zapytał Nift.

Najwyraźniej odezwała się w nim ta szczególna mieszanina ich wzajemnej miłości i nienawiści, pozbawiona wszakże elementu pierwszego.

– Przyjdzie – powiedział Quinn. – Pewnie dobrze by było, gdybyś ty się zdążył do tego czasu ulotnić.

Nift uśmiechnął się szeroko. Wrodzona niewrażliwość czyniła go obojętnym na takie groźby.

– Mam się bać?

– Tak. Zdziwiłbyś się, na co potrafi się zdobyć Pearl, jak się wkurzy.

Quinn miał trochę racji i Nift o tym wiedział. Zaczął pakować przyrządy do specjalnej przegródki w swojej czarnej walizce. Chodziło o to, żeby nie miały styczności ze sterylnymi narzędziami.

– Pozdrów ją ode mnie. Ja i tak już skończyłem. Czeła mnie niesamowita randka z tymi pięknymi paniami w kostnicy. – Wzruszył ramionami. – W sumie pewnie nie będzie aż taka niesamowita.

Quinn nie silił się na odpowiedź.

– Chodźmy na śniadanie – zaproponował Renz. – Niech technicy robią swoje w spokoju.

– Ja już jadłem – odparł Nift.

– Świetnie – ucieszyli się jednocześnie Quinn i Renz.

Nift zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Jedna sprawa – odezwał się Quinn. – Chciałbym, żeby wszystkie iPhone'y, zwykłe komórki i wszelkie technologiczne gadżety trafiły do Jerry'ego Lido.

Lido miał co prawda problem z alkoholem, ale Q&A często korzystało z umiejętności tego geniusza technicznego.

– Nie ma sprawy – zgodził się Renz. – Chodźmy już na te gofry.

– Zaczęłam na Pearl – odparł Quinn.

– Jak tylko dostanę sygnał od techników i fotografów, każę przewieźć ciała do kostnicy – powiedział Nift. – Chyba że masz inne plany?

– Nie, czytasz mi w myślach – odrzekł Quinn. Napatrzył się już dość na te martwe kobiety.

– A może powinienem zacząć, aż dołączysz do ciebie Pearl? – dociekał Nift.

Quinn rzucił mu wymowne spojrzenie.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – odparł.

Wyszedł z Renzem i przyglądał się, jak korpulentny, a mimo to gibki komisarz wsiada do osobistej limuzyny, a potem długi czarny samochód rusza w kierunku zamkniętego skrzyżowania. Funkcjonariusz w mundurze przesunął niebieską drewnianą barierę, żeby przepuścić auto.

Quinn stał w słońcu, opierając się o mur hotelu Fairchild. Czeła na Pearl i rozmyślał o inicjałach D.O.A. wyciętych na czołach ofiar. Tymi samymi krwawymi literami podpisywał się niesławny zabójca, który dwa lata wcześniej zamordował pięć młodych kobiet na Manhattanie, a potem zdołał uciec Quinnowi. Postrzelił go i zostawił na łaskę losu na brzegu jeziora w Maine, potem zaś sam zginął w katastrofie samolotu. Tak w każdym razie zakładano. Teraz jednak najwyraźniej – pod warunkiem że to nie był jego naśladowca – morderca powrócił. Właśnie dlatego Renz nie miał wątpliwości, że Quinn weźmie tę sprawę. Że wręcz się na nią rzuci. Dla Renza miała ona przede wszystkim wymiar polityczny. Dla Quinna – osobisty.

Dostrzegł wśród tłumu pieszych znajomą sylwetkę, która pokonywała właśnie przejście na rogu. Odepchnął się od nagrzanego muru. W tym momencie jego dzień stał się lepszy.

Pojawiła się Pearl.

Pearl od razu go wypatrzyła przed hotelem Fairchild, a w miarę zbliżania się do niego jego wyraz twarzy stawał się dla niej coraz czytelniejszy. Wiedziała, co go tam ściągnęło i co to dokładnie oznacza... Niewiele rzeczy robiło na Quinnie takie wrażenie. Przypominała górę Rushmore, tyle że w wersji wkurzonej.

– Gdy ostatnim razem zetknąłeś się z tym zabójcą, prawie zostałeś jego ofiarą – przypominała.

– Prawie – odparł Quinn.

– Nie chciałaby m, żeby faktycznie do tego doszło – stwierdziła.

Quinn się uśmiechnął.

– Ja też nie.

– Ale pewnie nie ma sensu cię namawiać, żebyś się więcej w to nie angażował?

– Mówiąc zupełnie szczerze, to nie – odparł, a po chwili dodał jeszcze: – Przykro mi.

Wiedziała, że faktycznie mu przykro. Tym bardziej miała ochotę jednocześnie przeklinać go, przytulać się do niego i go całować.

– Wiesz, że masz obsesję? – zapytała.

– Jestem wytrwały.

– Masz obsesję.

– Rozmawiałś z Renzem.

– Pewnie, że tak. Jego nie obchodzi, czy wyjdiesz z tego cało.

– Nic a nic.

Pearl poczuła, że jej frustracja za chwilę przerodzi się we wściekłość. „Faceci – pomyślała. – Ci faceci!”

– Idę na górę obejrzeć miejsce zbrodni – powiedziała.

Przez chwilę wydawało jej się, że Quinn będzie ją próbował od tego odwieść dla jej własnego dobra, że wręcz jej tego zabroni. Znał ją jednak i wiedział, że to nie ma sensu.

– Nift jeszcze tam jest – rzucił tylko.

– Czerwy też.

– Pearl!

– Co mi tam Nift!

Pearl przeszła przez obrotowe drzwi z barwionego szkła, jakimś cudem w ogóle się przy tym nie zatrzymując, jak gdyby tańczyła w tym samym rytmie co poruszające się obrazy, i znalazła się w holu. Zaskoczyła ją panujący tu chłód. Trochę jak w kostnicy.

Rozdział 7

Dunkierka, 1940

Trudno wyobrazić sobie bardziej ponury dzień. Henry Tucker, kapral Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, miał mundur brudny od krwi. Pospieszenie obmacał własne ciało i z ulgą stwierdził, że musi ona należeć do kogoś innego. Rozglądał się po plaży. Widział ludzi, którzy biegli i padali na ziemię w poszukiwaniu schronienia.

Niemieckie sztukasy ciągle jeszcze krążyły po niebie, widoczne jako małe ciemne kropki nad kanałem. Bombowce zwierały szyk, żeby po raz kolejny przypuścić atak na plażę. Tucker widział, że sztukasy się zbliżają. Wyglądały dziwnie i niebezpiecznie, nawet jeśli akurat nie leciały z nich bomby. Rozległy się „trąby jerychońskie”, które wzbudziły strach wśród ludzi na plaży, i o to zresztą chodziło. Tucker też strasznie się bał. Wiedział, że w każdej chwili działka maszyny nowe zamontowane w samolotach zaczną szpikować piasek pociskami i że każdy może zostać trafiony. Właściwie kapral Tucker nie wyobrażał sobie, żeby można się było bać bardziej – choć oczywiście nigdy by się do tego nie przyznał.

Od wschodu nadchodziły niemieckie oddziały i czołgi, które wkrótce miały zepchnąć Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, z kapralem Henrym Tuckerem włącznie, do kanału, gdzie czekała ich śmierć od kul albo w wyniku utonięcia. W zniszczonych dołach i wszędzie wokół stały łodzie różnych rodzajów i rozmiarów. Nie były to okręty wojenne, ale prywatne statki. W miarę możliwości przewoziły Brytyjczyków, a także Francuzów na drugą stronę kanału, do Anglii. Wszystko zależało od szczęścia. Bo tylko szczęściarzom udawało się uniknąć śmierci na plaży, a potem bezpiecznie pokonać kanał w jednej z ostrzeliwanych i bombardowanych jednostek, które w każdej chwili mogły pójść na dno.

Tucker modlił się, by znaleźć się wśród tych, którzy ujdą z Francji z życiem. Obserwował piasek rozbryzgujący się po uderzeniach kul. Patrzył, jak porzucona ciężarówka rozpada się po

ostrzeleniu z broni dużego kalibru. Kątem oka dostrzegł też kobietę, która do niego machała, starając się go przywołać. Stała na plaży przy zniszczonej chatce, której dwie pozostałe otynkowane betonowe ściany w kształcie wykrzywionej litery L mogły zapewnić jako takie schronienie.

Pierwsze dwa sztukasy, płynące po niebie niemal skrzydło w skrzydło, już przeleciały. Zbliżały się kolejne. Tym razem leciały jeszcze niżej. Tucker przeskakiwał w kierunku chatki przy straszliwych dźwiękach nadlatujących bombowców. Wysoka kobieta o długich brązowych włosach gestem wskazała mu miejsce za ścianą wyrastającą z piaszczystej ziemi. Tucker właściwie nie miał wyboru. Resztki domu stanowiły jedyną kryjówkę w okolicy.

Sztukasy wrzeszczały coraz głośniejsze, ale Tucker w rogu zburzonego domu czuł się względnie bezpiecznie. Nad plażą, na której znajdował się zaledwie kilka sekund wcześniej, unosiły się teraz tumany piachu wzbijanego w powietrze przez kule z dział maszynowych. Kobieta klęczała i krzyczała coś do niego, ale on jej nie słyszał. To zresztą nie miało większego znaczenia, bo mówiła po francusku. Nagle samoloty zniknęły, a ich jednostajne brzęczenie cichło z sekundy na sekundę. Potem zapanowała cisza. W każdym razie na chwilę.

Tucker, który dla bezpieczeństwa siedział skulony, teraz się wyprostował. Wtedy zobaczył, że oprócz kobiety w kryjówce znajduje się również jasnowłosa dziewczynka o umorusanej twarzy. Miała niewiele ponad dziesięć lat i sprawiała wrażenie raczej oszołomionej niż przestraszonej. Poza tym dostrzegł też rosnącego mężczyznę z wielkim brzuchem, o ciemnych włosach i nawet ciemniejszych wąsach, który miał na sobie workowate szare spodnie, przepasane czymś w rodzaju niebieskiej szarfy.

– Wróć – powiedziała kobieta po angielsku, ale z francuskim akcentem. W jej głosie pobrzmiewał strach.

Tucker skinął głową.

– Niestety wiem, kochana.

Kobieta utkwiała w nim wzrok.

– Ona tylko mówi po angielsku, nic nie rozumie – oświadczył okrągły mężczyzna.

Tucker uznał, że to trochę dziwne. Dziewczynka przyglądała mu się w ciszy ogromnymi oczami.

– Ja za to mówię po angielsku – powiedział mężczyzna.

– Aha – padło z ust Tuckera.

Mężczyzna uśmiechnął się i spod ciemnych wąsów wyłoniły się naprawdę białe zęby.

– Chcemy cię prosić o przysługę.

– Mnie już jedną wyświadczyliście – stwierdził Tucker, spoglądając na kobietę. Dopiero teraz zauważył, że gdyby się doprowadziła do porządku i uczesała rozwichrzone ciemne włosy, byłaby dość atrakcyjna. – Uratowaliście mi życie.

Mężczyzna wy dobył zza pleców brązowy plecak, położył go przed sobą, po czym przesunął o kilka centymetrów w stronę Tuckera. Sprawiał wrażenie przestraszonego i poważnego, mimo to szeroko się uśmiechnął.

– To – powiedział – jest ta przysługa. Zabierz to z sobą do Anglii. W środku znajduje się list z londyńskim adresem. I nazwisko. Jak to dostarczysz, dostaniesz pieniądze. – Nachylił się i pchnął plecak jeszcze trochę w stronę Tuckera. – Jeanette uratowała ci życie, prawda? Tak możesz się odwdzięczyć.

Tucker chwycił plecak, który okazał się zaskakująco ciężki.

– Czy to, co robię, jest legalne? – zapytał.

Facet z wąsem się roześmiał. Jeannette również się uśmiechnęła.

– Musimy ci zaufać – powiedział mężczyzna.

Znowu rozległy się syreny. Trąby jerychońskie. Szukasy wróciły i ponownie nurkowały nad plażą. Tucker wiedział, że wkrótce wyrównają lot i wy celują działa. Tymczasem jednak pojawiły się inne samoloty. Ciągle jeszcze nie zrzuciły bomb. Jeden z nich zaatakował już ostrzelany samochód transportowy, który zapewne z góry sprawiał wrażenie całego. Wrzask syren znowu ogłuszył Tuckera. Rozległ się potężny wybuch. W ściany chatki uderzył jakiś odłamek albo coś innego. Coś przeleciało Tuckerowi nad głową. Pomyślał, że to mogła być kobieta, która sprowadziła go do kryjówki. Henry Tucker zasłonił uszy rękoma i mocno zacisnął powieki.

*

Gdy je ponownie otworzył, był sam. Gotów był uznać, że to wszystko, co się przed chwilą wydarzyło, to tylko mara, urojenie spowodowane przeżyciami ostatnich trzech tygodni we Francji i całym tym szaleństwem, które rozgrywało się na plaży za każdym razem, gdy do brzegu dobijała łódź dająca szansę na ucieczkę do Anglii. Rozejrzał się wokół siebie. Co się stało z kobietą, dzieckiem i mężczyzną? Czyżby ich rozszarpało na strzępy? A może po prostu uciekli przed bombowcami i teraz chowają się gdzie indziej? Najwyraźniej go tu zostawili. Może uznali nawet, że nie żyje.

Wyprostował się nieco, żeby wyrzucić ponad resztkami jedynej pozostałej ściany chatki. W tym momencie uderzył ramieniem o plecak. Odżył słuch, który na chwilę stracił. Na plaży panowało zamieszanie, ludzie krzyczeli. Tucker uniósł się jeszcze trochę i spojrział w kierunku plaży. Niesamowite! W porcie stały dwie małe łodzie. Aż trudno było uwierzyć, że zdołały się przedostać przez szare i nieprzyjazne wody kanału. Większa z nich wyglądała na prywatny jacht. Mocno się przechylała w jedną stronę. Drugą łodzią był kuter rybacki. Na burcie widniał czarny napis „Sondra”.

Tucker nie dostrzegł chwilowo na niebie żadnych samolotów. Z trudem wstał na trzęsące się nogi i ruszył biegiem w kierunku najbliższej łodzi. Po chwili jednak zatrzymał się i wrócił po plecak, po czym jeszcze raz ruszył w stronę kutra. Znajdował się na tyle blisko, że nie musiał do niego płynąć. Po drodze wyrzucił wszystko oprócz karabinu i plecaka.

Jakimś cudem łódź była jeszcze w połowie pusta, gdy dotarł do portu. Zanurzył się w wodzie do pasa, po czym został wciągnięty na pokład przez tych, którzy siedzieli już w środku. Po drodze zgubił karabin, ale plecak zdołał utrzymać. Znalazł miejsce jak najbliżej sterówki. Na pokładzie pachniało rybami i otwartym morzem. Tucker powitał ten zapach z radością.

Głosy wokół popędzały wszystko i wszystkich. Ruszać się szybciej, szybciej, żeby łódź zdołała się wydostać z portu, bo to w tym rejonie Niemcy prowadzili najsilniejsze bombardowania i ostrzały. Tucker nie potrafił uwierzyć, że „Sondra” zdoła się przedostać przez kanał, zanim oni

wszyscy zostaną wystrzelani. Silniki jednak ruszyły wstecz i po chwili dziób skierował się w stronę otwartego akwenu. Pokład pękał w szwach, mimo to łódź ciągnęła jeszcze ludzi uwieszonych u burt. Niektórzy z nich zdołali dostać się do środka, inni spadli do wody. Tucker pomyślał, że wyczerpani żołnierze nie będą mieli już sił, żeby dotrzeć do brzegu. *Biedacy...*

Docisnął głowę do nagrzanej przez słońce sterówki. Zamknął oczy i pomyślał o Anglii. Nikt się nie odzywał, dźwięki wydawały tylko silniki i fale rozbijające się o burtę. Tucker znalazł w końcu w sobie odwagę, żeby stwierdzić, że jednak ma szansę, nawet całkiem spore, by bezpiecznie wrócić do domu.

Właśnie minęli środek kanału, gdy na horyzoncie pojawiły się niemieckie samoloty.

Rozdział 8

Nowy Jork, czasy obecne

Media szalały, ale trudno im się dziwić. Sześć martwych kobiet, w tym pięć nastolatek. Wiadomość mroząca krew w żyłach. Newsa podchwyciły szybko programy ogólnokrajowe. Fox News przygotował nawet specjalny materiał na ten temat. Dziennikarze wzajemnie zarzucali sobie nadmierne i niedostateczne zainteresowanie tematem. Codziennie zgłaszało się po kilkunastu obłąkańców i pomyleńców, którzy przyznawali się do tej straszliwej zbrodni. Jakiś facet z Oregonu przyśłał Quinnowi pisemne przyznanie się do winy, dołączył nawet zdjęcia. Akurat ten przyzadek policja traktowała poważnie, dopóki laboratorium nie ustaliło, że makabryczne fotografie zostały w istocie zrobione przez techników. W sumie żadne to zaskoczenie, że ktoś z wydziału ujawniał poufne informacje. Ten problem musiał rozwiązać Renz. Pozostałe spoczywały natomiast na barkach Quinna, który wiedział, że jeśli D.O.A. nie zabije znowu, gazety i telewizje w końcu przestaną publikować zdjęcia i wycinki z jego jedynej konferencji prasowej. Choćby byli i tacy, którzy nigdy nie mieli dać za wygraną.

Quinn nie potrafił udzielić dziennikarzom zadowolających odpowiedzi na ich setki pytań i doskonale wiedział, że będą go cały czas ścigać. Do tych najbardziej dociekliwych zaliczała się Minnie Miner, prowadząca w lokalnej telewizji codzienny talk-show *Minnie Miner ASAP*. W programie tym odbierano na żywo telefony od widzów, co podsycało wśród nowojorczyków nie tylko ciekawość, ale również strach. Minnie potrafiła skutecznie zamieszać w rzeczywistości miasta. Quinn był winien Minnie przysługę, choć to samo można by powiedzieć niemal o każdym, kto się w Nowym Jorku liczył. Ona zaś skrupulatnie o to zabiegała, bo przysługi odgrywały w jej pracy bardzo istotną rolę. W pracy Quinna również.

Renz organizował swoje konferencje prasowe, na których wielokrotnie tłumaczył się z decyzji o ponownym wystawieniu Quinna do pojedynku z tym mordercą. Poprzednim razem

nie skończył się on najlepiej, co tylko dodawało dramatyzmu sytuacji. Ale konferencje z udziałem Renza nie budziły aż tak dużego zainteresowania i nie ściągały takich tłumów jak wystąpienie Quinna. Z racji swojej aparycji kościstego bandziora z wiecznie rozwichrzonymi włosami Quinn po prostu lepiej prezentował się w telewizji i tyle. Renz musiał się z tym pogodzić. Przez pewien czas faktycznie nie miał z tym problemu. Potem jednak zabronił Quinnowi marnować cenne godziny na kontakty z mediami i nakazał skupić się na prowadzeniu śledztwa. Rolę łącznika między śledczymi a dziennikarzami przypisał sobie. Jeśli miałoby to wymagać od niego większej charyzmy, zamierzał ją z siebie wykrzesać.

– Najwyższa pora! – powiedziała Pearl na wieść o zakazie Renza.

Quinn się z nią zgadzał.

– Wiesz, jaki on jest – podsumował tylko.

– Pewnie. Począł chwilę, żebyś ściągnął na siebie najcięższy ogień, i wybałał grunt. Teraz może wskoczyć do tej wody, żeby zagarnąć całą chwałę, jaka tylko będzie do zagarnięcia.

– Tak już z nim bywa – stwierdził Quinn, wyobrażając sobie, jak Renz skacze na bombę do małego basenu.

Quinn i Pearl siedzieli w biurze Q&A, które mieściło się przy Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej i zostało urządzone niemal dokładnie na wzór pokoju operacyjnego z posterunku. Biurka stały na otwartej przestrzeni, niektóre przodem do siebie. W pomieszczeniu znajdowały się również ruchome panele z płyty, które w miarę potrzeb można było przesuwac w celu zapewnienia komuś większej prywatności. Teraz akurat stały w pobliżu toalety. Zarówno Quinn, jak i Pearl dobrze wiedzieli, co sobie wszyscy myślą. Jeśli Q&A tym razem nie zdoła namierzyć tego zabójcy i doprowadzić do jego ujęcia, reputacja firmy i liczba jej zleceń mogą na tym poważnie ucierpieć. Właściwie firma może po prostu przestać istnieć. Musieli też pamiętać, że ten konkretny zabójca to zwierzyna łowna, która od czasu do czasu przeistacza się w drapieżnika. Stawka w tej grze była więc wysoka.

– Jak z nim bywa? – pytał Larry Fedderman, który usłyszał tylko końcówkę rozmowy Quinna i Pearl, gdyż stał właśnie przy ekspresie Mr. Coffee i wlewał sobie parującą ciecz do kubka. Biały mankiet jego koszuli, który zwykle rozpinął się z powodu specyficznego uchwytu długopisu czy ołówka, na razie trzymał się dzielnie. Znaczyło to, że dzień Feddermana dopiero się zaczął i nie zdążył on jeszcze niczego zanotować.

– Chyba wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie – odparła Pearl.

Quinn też poszedł sobie nalać kawy. Dołał do kubka trochę śmietanki, po czym mieszał całość dłużej, niż było to konieczne. Czekał na Sala Vitalego i Harolda Mishkina, doświadczonych detektywów nowojorskiej policji, a obecnie pracowników Q&A. Dochodziła dziewiąta, zbliżał się więc czas porannego spotkania, podczas którego wszyscy wymieniali się informacjami. Quinnowi zależało na tym, żeby każdy z nich miał taki sam ogład wydarzeń. To pozwalało zaoszczędzić sporo czasu i wysiłku.

Quinn przełykał właśnie boleśnie gorącą kawę, gdy w biurze pojawili się Sal i Harold. Głos Sala, niskiego i przy sadzistego mężczyzny o gęstych ciemnych włosach, które właśnie zaczynały siwieć, i zdecydowanych ruchach, brzmiał jak pobrząkiwanie żwiru w wiadrze. Jego partner, Harold, szczupły i lekko zgarbiony, nadrabiał absolutny brak włosów na głowie krzaczącością siwych wąsów. Wyglądał bardziej na odwórcę filmowej postaci Mr. Chipa niż gliniarza. Bywał przy tym zagadkowy, zwłaszcza dla Sala. Obaj trzymali w dłoniach płaskie białe pudła z tustymi i

plamami, które jakimś cudem nie zdołały się przenieść na ich ubrania.

– Mamy pączki – odezwał się chrapliwy głos Sala.

– My mamy kawę – odpowiedział Fedderman znad ekspresu.

– I cholesterol – dodał Harold.

Sal rzucił mu wymowne spojrzenie.

– Nie psuj atmosfery, Harold.

– A kupiliście z budy niem? – zapytała Pearl.

– Tak – powiedział Sal. – I z polewą czekoladową. Harold już go zjadł.

– Jak to? – zapytał Fedderman jakby zdziwionym, a jednocześnie rozgniewanym tonem. –

Przecież to właśnie on się tu tak bardzo przejmuje cholesterolom.

– Zrekompensuję sobie podczas lunchu – zapewnił go Harold.

– Powinieneś mu go wytrącić z ręki – zwróciła się Pearl do Sala.

Quinn przysłuchiwał się temu w milczeniu. Wiedział doskonale, że z jakiegoś powodu te ciągle swary między detektywami pozytywnie wpływają na ogólny przebieg ich wspólnego procesu myślowego. Przy pominali trochę ostrogi, które produkują perły tylko wtedy, jeśli pojawi się w nich jakiś element drażniący. Wszyscy doskonale to rozumieli i choć nikt nie przyznałby się do tego głośno, kontynuowali to produktywne przeciąganie liny.

Quinn podszedł do biurka i oparł się o nie pośladkami. Skrzyżował ręce na piersi. Pearl wiedziała, jakiego pączka wybierze. Z jednego z poplamionych pudeł wyjęła dla niego pączka z polewą czekoladową. Quinn posmakował. Świetny! Nie wiedział, skąd Sal i Harold wzięli te pączki i czy za nie zapłacili, ale uznał, że lepiej o to nie pytać. Spojrzał na zegarek, od dziewiątej minęło już sześć minut. Do kompletu brakowało jeszcze Jerry'ego Lido, technika pracującego dla Q&A. Prawdopodobnie kąc utrudniał mu zwłeczenie się z kózka.

Nikt się nie odzywał, więc Quinn powiedział:

– Przynajmniej udało się powiadomić rodziców wszystkich dziewcząt, zanim dowiedzieli się o śmierci swoich córek z mediów.

– To musiało być piekło – pokręcił głową Harold, który jak na policjanta wykazywał się nadmierną empatią. Zdarzało mu się nawet od czasu do czasu zwymiotować na miejscu zbrodni.

Otworzyły się drzwi prowadzące na ulicę. Do biura wraz z ciepłym powietrzem wdarły się spaliny. Na zewnątrz ktoś trzykrotnie, ale krótko zatęczał, jak gdyby kierowca coś gdzieś zauważył albo zamierzał oznajmić jakiś fakt fanfarami. To na pewno zbieg okoliczności. Ale do środka weszła Nancy Weaver, łączniczka, zgodnie z zapowiedzią Renza oddelegowana do Q&A z ramienia nowojorskiej policji.

Rozdział 9

Weaver miała już okazję współpracować z Q&A. Dobrze się dogadywała z detektywami, chyba że akurat darły z Pearl koty. Była atrakcyjną brunetką o zwięzłej budowie, trochę po czterdziestce, i charakteryzowały ją błyskotliwa inteligencja oraz wysokie libido. Podczas ostatniej przygody z Q&A mocno dostała w kość, mimo to z twarzy nie schodził jej lekko zadziorny uśmiech, w oczach zaś nadal dało się dostrzec ten sam błysk gotowości. Weaver pracowała w obyczajówce, ale jej romans z przełożonym przystopował nieco jej karierę. Pearl uważała, że to przez Weaver słowo „policja” ma taką samą końcówkę jak „kopulacja”, ale Quinnowi te plotki wydawały się przesadzone i raczej niesprawiedliwe. Chociaż co on tak naprawdę o tym wiedział? Obcasy jej butów wyglądały na piętnaście centymetrów, do tego miała na sobie krótką obcisłą czerwoną spódniczkę i dopasowaną koszulkę na kręgle z napisem „Pchaj mocno”. Quinn miał nadzieję, że ubrała się tak ze względu na obowiązki zawodowe realizowane w obyczajówce.

Weaver uśmiechnęła się szeroko i skinęła im wszystkim głową na powitanie. Miała w rękach harmonijkową teczkę z dokumentami przewiazaną brązowym sznurkiem, który wyglądał na sznurowadło.

– W takim stroju naprawdę da się grać w kręgle? – zapytała Pearl.

– Jak gram w takim stroju – odpowiedziała Weaver – nikt nie patrzy, jak potoczyła się kula.

Quinn zabrał głos, zanim Pearl znalazła ripostę. Oznajmił Weaver, że miło ją widzieć. Podziwiał jej wytrwałość. Podziwiała ją też Pearl, chociaż ona akurat nie dołączyła do serdecznych powitań wygłaszanych przez pozostałych członków zespołu. Quinn jednak wiedział, że obie panie jakiś czas temu doszły do porozumienia, które przypominało nieco to dotyczące pokoju na Bliskim Wschodzie.

– Przyniosłam pisemne zeznania policjantów, którzy pojawili się na miejscu zbrodni pierwsi – powiedziała Weaver – a także ich notatki ze wstępnych przesłuchań gości zajmujących sąsiednie pokoje oraz potencjalnych świadków.

Quinn wykonał ręką gest, którym zapraszał ją do przedstawienia zgromadzonych materiałów.

– Proszę nas oświecić – dodał.

*

Weaver stanęła pośrodku pomieszczenia.

– Grace Geyer, Christy Mathewson, Sheryl Stewart, Dawn Kramer i Lucy Mitchell oraz ich nauczycielka i przewodnicząca Andria Bell. – Uniosła wzrok znak kartki, na której miała zapisane ich nazwiska. – Ofiary – oznajmiła. – Nic ich specjalnie nie łączy poza tym, że uczą się, a właściwie uczyły, w tej samej szkole w Cleveland i że zostały zakwalifikowane do udziału w tej wycieczce z uwagi na zainteresowania bądź talent artystyczny. Mitchell i Stewart były najlepszymi przyjaciółkami i wymieniały się tajemnicami. Grace Geyer miała w sobie coś z awanturniczki i ściągała na siebie kłopoty. Była na warunkach, ale takim szkolnym, to nie miało związku z konfliktem z prawem. Na wycieczkę pojechała głównie z uwagi na duży talent artystyczny.

– Można się tego domyślić – stwierdził Harold, choć nikt go nie poprosił o komentarz.

– Przyszłe ofiary normalnie zameldowały się w hotelu. Andria Bell poprosiła recepcjonistę z holu o wskazówki dotyczące dojazdu do Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Poza tym nic nadzwyczajnego się nie działo. Dziewczeta nie robiły hałasu, nikomu nie przeszkadzały, nie słuchały głośno muzyki. Zapamiętała je tylko kobieta z tego samego piętra, pisarka Lettie Soho. Mieszkała kilka pokoi dalej. Akurat jechała z nimi windą z holu. Twierdzi jednak, że wszystko wyglądało normalnie. Dziewczeta trochę chichotały, a jedna poślaskowała drugą pod żebrami. Nauczycielka skarciła je wzrokiem. Potem wyszły. Soho trochę się męczyła, żeby otworzyć drzwi kartą magnetyczną, i w tym czasie widziała, jak wchodzi do siebie. To było w dzień morderstwa, mniej więcej na godzinę przed ich śmiercią. Idąc do hotelowej restauracji na kolację, Soho widziała, jak starsza kobieta, Andria Bell, wpuszcza do środka mężczyznę.

Detektywi Q&A w milczeniu lekko nachylił się w jej stronę.

– To był pewnie zabójca – powiedziała Weaver. – Soho nie zdążyła mu się przyjrzeć, bo szybko wszedł do apartamentu i drzwi się za nim zamknęły.

– Mimo wszystko mundurowym udało się wyciągnąć coś od tej Soho. Jakis opis?

– Tak – odparła Weaver. – Średniego wzrostu, średnio zbudowany, a może trochę wyższy albo trochę niższy. Włosy brązowe lub czarne, krótkie lub średniej długości. Oczy raczej ciemne, ale może też niebieskie. Miał na sobie szare spodnie albo może dżinsy, a do tego białą albo niebieską koszulę. Mógł mieć krawat, zielony albo brązowy. Jeśli chodzi o wiek, to dochodził trzydziestki, choć mógł być też trochę albo mocno po czterdziestce.

– Dobra, już łapiemy – powiedział Quinn.

– Żadnych znaków szczególnych – dodała Weaver.

– Dostępnym już – odezwała się Pearl.

Weaver się uśmiechnęła.

– Chociaż mógł lekko kuleć.

Quinn poczuł lekkie uczucie. *Katastrofa samolotu w Maine!*

– Na którą nogę?

– Na ten temat nie mam żadnych informacji – odparła Waver.

– Mundurowi sprawdzili, czy ta kobieta naprawdę nazywa się Lettie Soho? – zapytał Harold. – Bo brzmi to trochę jak pseudonim artystyczny.

– Co racja, to racja – powiedziała Weaver. – Naprawdę nazywa się Marjory Schacht. Pisze pod pseudonimem, jest autorką babskiej literatury.

– A cóż to takiego? – zapytał Quinn.

– Trudno to wyjaśnić – odparła Pearl. – To taka lekka proza dla kobiet.

– U żadnej z ofiar nie stwierdzono śladów po narkotykach czy alkoholu – mówiła dalej Waver.

– To akurat dziwne – odezwał się Fedderman.

– Możliwe, że nie miały czasu niczym się uraczyć, zanim ten drań je dopadł.

– Niewielkie ilości marihuany znaleziono w torebkach Kramer i Geyer – dodała Waver.

– Znowu ta Geyer – powiedział Quinn. – Pytanie, czy zabójca nie wykorzystał jej, żeby się dostać do apartamentu. Czy Marjory Schacht widziała, kto go wpuścił?

– Nie jest pewna, ale wydaje jej się, że Andria Bell.

– Tak czy owak – ciągnął Quinn – o ich pobycie w ogóle mógł się dowiedzieć od Geyer. Mógł zauważyć, że to najodważniejsza z dziewcząt, i właśnie z nią próbować rozmawiać.

– Może w muzeum... – zastanawiała się Pearl. – Ona miała talent artystyczny, może on też się podawał za artystę. Mógł ją wciągnąć w rozmowę o sztuce.

Weaver złożyła papiery i wsunęła je z powrotem do brązowej teczki. Zakończyła prezentację, więc cofnęła się ze środka i stanęła w pobliżu biurka Pearl.

– Musimy jeszcze raz pojechać do hotelu – zarządził Quinn – i porozmawiać z gośćmi, którzy przebywali w pobliżu ofiar. Jeszcze raz trzeba porozmawiać z Marjory Schacht, czyli z Lettie Soho.

– Christy Mathewson – wymienił Harold nazwisko jednej z ofiar.

Wszyscy na niego spojrzeli, czekając, co powie. Harold już się przyzwyczaił do tych spojrzeń.

– To był świetny zawodnik. Taki miotacz ze starej szkoły. Dawno to było, jeszcze gdy się używało małych rękawic.

– Imię ofiary pisze się przez „ie” czy przez „y”? – Pearl zwróciła się z tym pytaniem do Weaver.

Ta ponownie otworzyła brązową teczkę, odnalazła właściwą kartkę i sprawdziła.

– Mundurowi zapisali przez „y”. Po męsku.

– Czyli jak baseballista – stwierdził Harold.

Znowu na niego spojrzeli.

– A wiesz, jak się pisał baseballista? – zapytał Sal.

– Nie – przyznał Harold.

– Czyli sądzisz, że ofiara to mężczyzna podający się za kobietę? – zapytał Fedderman.

– Nie – powiedział Sal. – Mundurowy pewnie po prostu tak to zapisał.

– Gdyby Christy była tak naprawdę mężczyzną – wtrącił Quinn – Nift by zauważył.

– Na sto procent – dodała Pearl.

Telefon Quinna zadzwonił i zawibrował. Detektyw wydobył go z kieszeni i zobaczył, że dzwoni Renz. Przed odebraniem połączenia podszedł do ekspresu do kawy, żeby zapewnić sobie odrobinę prywatności. Renz przekazał mu informacje, którymi dysponował nowojorski wydział policji, czyli mniej więcej to samo, czego się dowiedzieli właśnie od Weaver. Potem dodał jeszcze:

– Nift powiedziała, że wszystkie ofiary torturowano nożem, jedno mniej, inne bardziej. Najbardziej Andrię Bell. Ona też umarła ostatnia.

– Czegoś od niej chciał – stwierdził Quinn.

– Na to wygląda. Jakby próbował wydobyć od niej jakieś informacje. Ciekawe, czy mu się udało.

– Patrząc na ciało – stwierdził Renz – zakładalibyśmy, że powiedziała mu wszystko, co chciał usłyszeć... A on się potem upewnił, że to była prawda.

– Dziewczeta...

– Dupek uznał je za bonus. Mógł nie wiedzieć, że wszystkie mieszkają w tym samym apartamencie. To się mogło okazać dopiero, kiedy znalazł się w środku i gdy one wszystkie go zobaczyły.

– Owszem – przyznał Quinn. – Musimy dopuszczać taką możliwość.

– Mamy też strażnika z Muzeum Sztuki Nowoczesnej, który widział, jak Grace Geyer odłącza się od grupy i rozmawia z jakimś facetem. W galerii impresjonistów.

– Ale strażnik nie pamięta, jak ten facet wyglądał – zgadywał Quinn.

– Właśnie. Próbowaliśmy go znaleźć na nagraniach z monitoringu, ale nic z tego nie wyszło. Poza tym strażnik twierdzi, że nie rozpoznałby gościa na okazaniu.

– Jeśli znajdziemy podejrzanego – powiedział Quinn – to na pewno będzie musiał spróbować.

– Jutro występuję w programie Minnie Miner – oznajmił Renz. – Nie będę wspominać o tym strażniku, bo facet pewnie ulotniłby się z miasta.

– Jeśli ma tylko trochę oleju w głowie – odparł Quinn. Nie przypuszczał, żeby strażnik z muzeum miał odegrać wielką rolę jako świadek, ale zabójca nie mógł być tego pewny. – Jeśli będzie potrzebny, skontaktujemy się z nim i go ściągniemy. Dobrze się zastanów, co można powiedzieć Minnie Miner, a co nie...

– Ona by bardzo chciała porozmawiać z tobą – dodał Renz, jak gdyby czuł się trochę urażony.

– To by zaszkodziło śledztwu – odparł Quinn, doskonale wiedząc, że nie miało to wiele wspólnego z prawdą, ale to właśnie pragnął usłyszeć Renz. – Niewykluczone, że pewnego dnia – dodał – Minnie może nam się przydać.

– Weaver już do was dotarła? – zapytał Renz.

– Tak Przekazała nam informacje zgromadzone przez policjantów, którzy pierwsi dotarli na miejsce zdarzenia.

– Powiedz jej, co wiecie – polecił Renz – żeby m ja się też dowiedział.

– Jasne – stwierdził Quinn, po czym się rozłączył.

Detektywi już bacznie mu się przyglądali, zastanawiając się, czy ma dla nich jakieś nowe informacje.

– Dzwonił Renz? – zapytał Fedderman zupełnie zbędnie.

– Tak. Strażnik z Muzeum Sztuki Nowoczesnej widział, jak Grace Geyer rozmawia z jakimś

facetem. Stali z dala od reszty grupy.

– Może ją podrywał... – zasugerował Fedderman.

– A może po prostu rozmawiali o pociągnięciach pędzla – dodał Sal.

– Pytałeś Renza o Christy Mathewson? – zapytał Harold.

– Jak będziecie z Salem potwierdzać zeznania poszczególnych potencjalnych świadków z hotelu – powiedział Quinn – możecie przy okazji zadzwonić do Nifta i rozstrzygnąć całą tę sprawę z Mathewson.

– Dobry pomysł – ucieszył się Harold. – Trzeba dobrze przemyśleć taktykę.

Quinn dziwnie na niego spojrział – albo nie wiedział, o co mu chodzi, albo był zły.

Sal stwierdził:

– Harold, jedziemy na miejsce.

Gdy wychodzili, Sal pomyślał sobie, że z tym Haroldem to naprawdę nigdy nic nie wiadomo.

Rozdział 10

Anglia, 1940

Tucker widział bomby podwieszane pod kadłubami sztukasów ustawionych jeden za drugim wzdłuż linii łączącej dziób „Sondry” z jej rufą. Liczył na to, że niemieccy piloci postanowią nie marnować ładunku na mały kuter rybacki. Jego życzenie się spełniło, to jednak nie oznaczało, że z dział maszynowych, zamontowanych pod skrzydłami, nie posypie się za chwilę grad kul. Mała łódka zaczęła się kołysać na boki, bo kapitan usiłował płynąć zygzakiem. Trochę to pomogło, ale niewiele. Mężczyzna we francuskim mundurze stanął przy dziobie i wycelował karabin w nadlatującego sztukasa. Pociski z broni maszynowej niemal przecięły go na pół. Dwóch członków załogi zaczęło spuszczać na wodę małą łódkę ratunkową, którą kuter mógł ciągnąć za sobą. Kule wepchnęły ich do wody, jeszcze zanim łódka zdążyła do końca opaść. Stary szpakowaty kapitan wychylił się odrobinę ze sterówki, żeby wydać jakieś polecenie, i od razu przewrócił się w kałuży krwi.

Natychniały po zakończeniu pierwszego nalotu sztukasy wykonały zwrot w lewo, po czym – ani na chwilę nie tracąc szyku – przypuściły kolejny atak. Tym razem, gdy tylko pierwszy samochód pojawił się na horyzoncie, a lufy dział rozbłysły od wystrzałów, ludzie zaczęli wyskakiwać za burtę i nurkować. Kapral Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego Henry Tucker, skulony do tej pory w pobliżu rufy, też doszedł do wniosku, że pora opuścić pokład. Chwytał plecak i wyskoczył do kilwateru.

Zapomniał, że pakunek jest taki ciężki, i bagaż zaczął go wciągać pod wirującą wodę. Tucker próbował go porzucić, ale jeden z paszków zaplątał mu się wokół nadgarstka. Znajdował się już pod wodą, gdy jakaś ręka chwyciła pasek od plecaka i wyciągnęła go z wody razem z żołnierzem. Tucker opadł ciężko na dno łodzi ratunkowej i leżał teraz na plecaku.

– Spokojnie, stary – usłyszał mrukiwy głos.

Podniósł głowę i rozejrzał się wokół siebie. W łodzi było jeszcze dwóch ludzi, obaj ciężko ranni: jeden w klatkę piersiową, a drugi – młody blondyn gigantycznych rozmiarów, który go uratował – w głowę. Żle to wyglądało. Tucker uświadomił sobie, że sam również krwawi. Jego krew nadawała wodzie przelewającej się po dnie pontonu coraz głębszy odcień czerwieni. Podniósł rękę i dotknął głowy, żeby ocenić sytuację. Przeraziło go to, co poczuł.

Usłyszał uparte brzęczenie samolotów i wiedział, że sztukasy wracają. Czyżby miały zatopić kuter rybacki? A może będą ostrzeliwać taką małą i nic nieznaczącą łódź ratunkową? Czy nie uznają, że szkoda amunicji? *Oczywiście, że szkoda! Oczywiście! To przecież tylko krwawiąca łódź wiosłowa!*

Szum silników przeszedł w warkot, ponieważ samoloty obniżyły pułap i wyrównały kurs. Tucker ostrożnie uniósł głowę i zobaczył, że jedna maszyna zbliża się, lecąc niebezpiecznie nisko. Kierowała się prosto na ich łódkę. Przełknął gorzko ślinę i przygotował się na śmierć. Te samoloty jednak wydały mu się jakieś dziwne. Ich skrzydła nie przypominały mewich, a poza tym inaczej niż sztukasy miały schowane podwozie do lądowania. Pilot zamachał skrzydłami i wtedy Tucker dostrzegł oznaczenia: emblematy RAF-u. Gdy samolot przelatował mu nad głową, Tucker rozpoznał sylwetkę brytyjskiego myśliwca Hurricane. Gdzieś w oddali czarne kropki zatoczyły krąg, zwiększyły wysokość i zniknęły w odmętach nieba. Myśliwce przegoniły sztukasy. Niemieckie bombowce nie były przystosowane do bezpośredniej walki. Tucker poczuł pewną satysfakcję na myśl, że nie uda im się uciec przed hurricane'ami. W każdym razie nie wszystkim.

Jeden z pasażerów łódki, jasnowłosy gigant, zaczął krzyczeć, a potem wstał, żeby powitać samolot. Za lewym uchem miał pękniętą czaszkę i Tucker mógł zobaczyć jej zawartość. Drugi żołnierz pozostał w bezruchu i się nie odezwał. W ciągu kilku minut z nieba zniknęły wszystkie samoloty oprócz jednego myśliwca, który krążył nad łodzią ratunkową, żeby ją chronić.

*

Woda wokół się uspokoiła. Na jej powierzchni nie pozostał nawet jeden fragment po zatopionej „Sondrze”. Milczący mężczyzna leżący u dziobu sprawiał wrażenie martwego. Jasnowłosy gigant, który ciągle jeszcze wznosił radosne okrzyki, spojrział na Tuckera nienaturalnie jasnymi, niebieskimi oczami i oznajmił:

– Będziemy wiosłować, stary. Będziemy wiosłować i nam się uda.

– Oszalałeś – powiedział Tucker. – Nie mamy szans dotrzeć w ten sposób do Anglii. Jeśli będziemy płynąć z prądem, jakaś inna łódź nas zabierze. Ten hurricane informuje innych o naszej pozycji.

– Zacznie mu brakować paliwa i będzie nas musiał zostawić – stwierdził mężczyzna.

O tym Tucker nie pomyślał. Jego kompan dwukrotnie przewyższał go rozmiarami. W razie nieposłuszeństwa mógł go po prostu wyrzucić za burtę. Tucker usiadł więc za plecami wielkoluda, twarzą do francuskiego wybrzeża i wiosłował w tym kierunku, w którym odleciał myśliwiec, w stronę Anglii. Przez cały czas wgapiał się przy tym w tył głowy mężczyzny i nie mógł wyjść

z podziwu, że ten nie traci przytomności. Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że odniósł tak poważną ranę. Tucker modlił się, żeby jego głowa nie wyglądała aż tak źle jak ta, na którą patrzył.

Daleko na północy zbierały się chmury, jak gdyby zanosilo się na burzę.

Rozdział 11

Nowy Jork, czasy obecne

Quinn znowu śnił o Maine, o czarnym i złowrogim cieniu, który przysłaniał słońce przebijające się między deskami rozklekotanego pomostu. Znajdował się pod nim i czuł przesycony wilgocią zapach drewna butwiejącego przy brzegach, zapach rozkładu tak charakterystyczny dla jeziorowego cyklu życia i śmierci. Słyszał niemal beztrzęsłe kroki niebezpiecznej istoty, która kroczyła gdzieś nad nim, snując wizję jego śmierci. Zadrżał przez sen. Śmierć była na wyciągnięcie ręki. Długolufowy karabin w ręce zabójcy równie dobrze mógłby być kosą.

Na jeziorze pojawiła się lekka fala. Pomost zaczął skrzypieć. Woda z pluskiem uderzała o drewnianą konstrukcję. Deski jedna po drugiej unosiły się i odpływały jak pudełka, których skrzydła otwierają się na boki, ujawniając zawartość. Gdy otwarło się to, w którym znajdował się Quinn, morderca spojrzał na niego z góry i się uśmiechnął. Śmierć miała...

Quinn się obudził. Niczym za sprawą magicznej sztuczki wrócił do rzeczywistości. Już nie miał ochoty krzyzczeć z bólu, który tłumił w sobie za wszelką cenę. Już się nie chował, nie bał się.

Pearl spała obok przykryta lekką kołdrą. Kształt jej ciała pod cienkim materiałem i rytm jej oddechu utwierdziły Quinna w przekonaniu, że nie ukrywa się już w jeziorze w Maine. Znajduje się na West Side w Nowym Jorku, tu nikt go nie tropi z karabinem w dłoni. Spojrzał na świecącą tarczę budzika, który stał przy łóżku. Dopiero trzecia nad ranem. Zza wysokich okien do sypialni przedostały się ledwo rozpoznawalne dźwięki. Niektóre naprawdę bardzo ciche. To miasto nigdy nie spało, nigdy nie odpoczywało. To były odgłosy ludzkiej aktywności. Śmierć wydawała się tak daleka.

Quinn się uspokoił, przewrócił na drugi bok i znów zapadł w sen. Wrócił do Maine.

Quinn był w biurze sam, gdy przyszła Helen Iman, profilerka współpracująca z nowojorską policją.

– Co jeden dzień, to lepszy – powiedziała, najwyraźniej widząc, że się tej nocy nie wyspał. – Nie licząc może tego patroszenia od czasu do czasu.

Quinn spodziewał się wizyty tej kobiety o ponad metrze osiemdziesięciu centymetrach wzrostu. Dodatkowo Helen miała krótko przycięte rude włosy i minimalny makijaż, więc przy całej tej swojej patykowatości przywołała na myśl trenerkę damskiej drużyny koszykówki. Na jej piegawatej skórze Quinn dostrzegł nawet jakby drobinki potu, zupełnie jak gdyby profilerka odbyła przed chwilą wytężony trening. W rzeczy wistości Helen Iman miała większy talent i upodobanie do wysiłku intelektualnego niż fizycznego. Mogła się też pochwalić czymś, czego tak wielu profilerom brakowało – a mianowicie sukcesami. To od niej Quinn otrzymywał psychologiczne wskazówki, dzięki którym mógł zapracować na swoją reputację. Ze wszystkich profilerów wierzył tylko Helen. Renz przysłał ją tutaj bynajmniej nie na przespiegi, ale dlatego że – podobnie jak Quinn – doceniał jej umiejętności i znał jej dotychczasowe osiągnięcia.

– Słyszałam, że zajmujesz się tą naszą dużą sprawą – stwierdziła Helen. Stała przy biurku Pearl i skrzyżowała ręce na piersi. – Sześć ofiar.

– Na razie.

Oboje musieli zakładać, że sprawca będzie próbował nadal zabijać. Inaczej Helen by tu nie przychodziła.

– Nie wydaje mi się, żeby masowość tego morderstwa była zamierzona – stwierdziła. – Wchodząc do hotelu, nie planował tyłu ofiar.

Quinn nachylił się nad swoim biurkiem i się do niej uśmiechnął.

– Mów dalej – powiedział. – Przekonamy się, czy wyciągamy podobne wnioski.

Helen weszła głębiej w przestrzeń biura i oparła się pośladkami o kant biurka Pearl. Miała na sobie niebiesko-białe sportowe buty i dżinsy, które trochę na niej wisiały, a ich nogawki były chyba o kilka centymetrów za krótkie, bo wystawało spod nich trochę za dużo białej skarpetki.

– Przypuszczam, że nie zdawał sobie sprawy, że uczennice i Andria Bell zajmują przylegające pokoje – powiedziała. – Któż nie chciałby mieć chwili spokoju po całym dniu spędzonym z grupą młodych dziewcząt? Gdy zapukał do drzwi i otworzyła mu Andria, pewnie założył, że są sami. W jego myślowym scenariuszu występowało dwoje dorosłych.

Quinn wiedział, co profilerka rozumie przez „myślowy scenariusz”. Zabójca snuł w głowie dwa plany na wypadek dwóch ewentualności: ofiary współpracującej i ofiary stawiającej opór. Musiały one ulec weryfikacji, gdy okazało się, że w grę wchodzi więcej niż jedna ofiara.

– Ja też to tak widzę – zgodził się Quinn. Bezwiednie sięgnął do szuflady biurka, w której trzymał kubańskie cygara, po chwili jednak cofnął rękę. Helen wygadałaby się przed Pearl. – Oczywiście możemy się mylić. Jeszcze przed wejściem do hotelu mógł przecież planować, że zabije wszystkie sześć kobiet.

– Wątpię.

– Ja też.

– Prawdopodobnie miał broń – ciągnęła Helen. – Zapanowanie nad tymi wszystkimi dziewczętami wyłącznie za pomocą noża byłoby trudne, chociaż nie niemożliwe. Na pewno więc był uzbrojony. Wtedy łatwo przekonać ludzi, że się im nie zrobi krzywdy, jeśli tylko podporządkują się twojej woli. Nie chodzi tu o nic osobistego, po prostu łatwiej im się współpracuje. Nóż zapewniłby mu przewagę. Broń palna uczyniłaby go panem sytuacji.

– Sądziś, że najpierw związał i zakneblował Andrię? – zapytał Quinn.

Helen potarła wydłużony podbródek.

– Może. Zakładam, że miał broń, a w związku z tym także pełną kontrolę nad sytuacją, więc mógł zrobić wszystko, co chciał. Prawdopodobnie trzymał je wszystkie na muszce, po czym kazał jednej z nich, być może Andrii, związać i zakneblować pozostałe. Użyto do tego sznurowadeł i majtek, więc to nie mogło trwać długo. – Przerwała na chwilę i spojrzała na zegar wiszący na ścianie. Zupełnie jak gdyby ktoś jej liczył czas. – Zastosowanie majtek miało dziewczęta nie tylko uciszyć, ale również je upokorzyć. To taka męska rzecz.

– Zgadzam się – powiedział Quinn.

– Przypuszczam więc, że skorzystał z pomocy jednej z zakładniczek przy wiązaniu, a potem bawił się nożem z dziewczętami, które – uieruchomione i zakneblowane – leżały jedna przy drugiej na łóżku.

– Musiały wszystkie przejść piekło – stwierdził Quinn. – W szczególności te ostatnie, które patrzyły na cierpienie i śmierć koleżanek.

– Żadna z nich nie umarła szybko – dodała Helen. – Zabójca miał mnóstwo czasu i korzystał z niego.

– A co z Andrią Bell? – zapytał Quinn. – Dlaczego ją najbardziej torturował i zabił ostatnią?

– Ponieważ to właśnie ze względu na nią tam przyszedł.

– A jaki to niby był wzgląd?

Helen uśmiechnęła się i wzruszyła kościstymi ramionami.

– Wszyscy chcielibyśmy to wiedzieć.

Rozłożyła ręce i podniosła się z biurka. Sprawiała wrażenie, jak gdyby za chwilę miała oddać rzut osobisty.

– Byłam w kostnicy – powiedziała. – Rozmawiałam z Niftem i oglądałam zdjęcia. Czy to wygląda tak, jak gdyby zabójca wy dobył od Andrii to, co chciał?

– Chcesz wiedzieć, czy ona zdradziła mu wszystkie swoje tajemnice?

– Tak, w każdym razie te największe.

– I czy potem przestał ją torturować?

– Właśnie. Osiągnąłby swój cel. Nie kręciłby się w nieskończoność wśród tych wszystkich obciążających go dowodów.

Quinn zastanowił się nad pytaniem Helen.

– Tego nie będziemy wiedzieć do końca – powiedział. – Strzelałbym, że Andria umarła w trakcie tortur, pewnie raczej w wyniku szoku niż na skutek utraty krwi. To jednak nie oznacza, że zabójca nie wy dobył od niego tego, czego chciał. Mógł postanowić się upewnić albo po prostu czerpał przyjemność z przedłużania męczarni ofiary.

– A co podpowiada ci intuicja?

Oboje wiedzieli, że dla policjanta to bardzo trudne pytanie. Zwłaszcza na tym etapie śledztwa. Ale Quinn odparł:

– Myślę, że mu powiedziała to, co chciał usłyszeć.

Helen ponownie oparła się o krawędź biurka i skrzyżowała ramiona. Quinn zastanawiał się, czy brzeg blatu pozostawi wglębenie na jej pośladkach.

– Myślisz, że D.O.A. nadal żyje i że to on popełnił tę zbrodnię? – zapytała.

– Eksperci twierdzili, że z takiej katastrofy nikt nie mógł ocaleć – przyznał Quinn.

– Ale w okolicach wraku nie znaleziono ludzkich szczątków – stwierdziła Helen.

– Na podstawie śladów można sądzić, że ciało zabrały drapieżniki – odparł Quinn. Pamiętał jednak o zeznaniu Lettie Soho, świadka Weaver, która twierdziła, że mężczyzna z hotelu Fairchild lekko kulał. Lekko i być może.

– A gdyby miał spadochron? – docięła Helen.

– Samolot był za nisko. Czasza spadochronu zostałaby dostrzeżona. Patolog i sąd orzekli, że D.O.A. zginął w tym wypadku.

– No tak

– To był staranny zabójca – powiedział Quinn. – Przygotowywał się. Snuł plany awaryjne. – Quinn obserwował, jak Helen przy gry za policzki od wewnątrz. – Może ma naśladowcę – dodał. – Czy to chciałaś usłyszeć?

– Hm...

– Helen, co znaczy „hm”?

– Wszyscy byśmy chcieli, żeby to był naśladowca – stwierdziła. – Tak byłoby dla wszystkich prościej.

– Z wyjątkiem ofiar – odparł Quinn. – Bo jeśli to uczeń, znaczy że dobrze przestudiował wcześniejsze morderstwa. D.O.A. był dokładnie tak samo wredny i sadysty czny.

Spojrzeni po sobie, czekając na słowa, które musiały paść.

– Oczywiście masz rację – stwierdził Quinn. – Wszyscy byśmy chcieli, żeby to był naśladowca. Niewykluczone też, że tak jest. Bo im większą sensację wzbudza morderca, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo, że znajdzie się jakieś pokręcone bydle, które postanowi się na nim wzorować. Tak to już jest z tymi potworami.

– Czasami jednak zapominamy, że każdy ma własną osobowość – powiedziała Helen. – Nie wszyscy przez cały czas w każdej kwestii myślą tak samo.

– Po katastrofie samolotu zabójstwa się skończyły – zauważył Quinn.

– Albo tylko nastąpiła przerwa – stwierdziła Helen.

– Albo tylko nastąpiła przerwa – zgodził się Quinn.

Wiedziała, że się z nią zgodzi.

Rozdział 12

W hotelowym barze Harold miał okazję podsłuchać swobodną rozmowę, dzięki której zidentyfikował kolejnego potencjalnego świadka momentu wejścia zabójcy do apartamentu Andrii Bell. Mężczyzna ciągle jeszcze mieszkał w Fairchild. Poskarżył się na coś, co widział czy słyszał, więc zgodnie z jego prośbą kierownictwo przeniosło go piętro wyżej.

Sal dzwonił do niego z holu, toteż świadek – brunet w średnim wieku – stanął w otwartych drzwiach pokoju, żeby Sal i Harold mogli go dostrzec zaraz po wyjściu z windy. Miał niespełna metr osiemdziesiąt i był raczej okrągły. Rzadkie włosy nosił zaczesane do przodu. Do tego różowy krawat, białą koszulę i szary sweter. Nazwisko Duke Craig, jeśli Harold dobrze usłyszał, nie najlepiej do niego pasowało.

Mężczyzna przedstawił się jako Craig Duke.

– Ładny pokój – stwierdził Harold, chociaż tak naprawdę nie dostrzegł w nim nic szczególnego. – Przestronny i czysty – chciał zacząć rozmowę w pozytywnym tonie.

– Jest zupełnie w porządku – przyznał Duke. – Już się tu wcześniej zatrzymałem.

W pokoju znajdowała się mała szara sofa i fotel o tym samym obiciu. Przy biurku stało drewniane krzesło. Duke gestem wskazał detektywom kanapę i fotel. Sal jednak wybrał niewygodne krzesło przy biurku, na którym usiadł, zanim Duke zdążył je zająć. Świadek minął fotel i usiadł na brzegu łóżka. *Ludzie!* Sal pomyślał, że obserwowanie ich zachowań nigdy mu się nie nudzi. Stawali się dla niego coraz bardziej przewidywalni, mimo to od czasu do czasu dostrzegał coś... albo kogoś...

Harold wyjął z kieszeni wysłużony czarny notatnik oraz krótki żółty ołówek. Podczas przesłuchania zawsze intensywnie coś skrobał, ale Sal doskonale wiedział, że tak naprawdę rysował tylko małe rybki różnych rozmiarów, za to wszystkie płynące w jednym kierunku. Kiedyś go o nie zapytał, na co Harold przedstawił mu jakieś skomplikowane wyjaśnienia z łososiem w roli głównej, z których Sal nic nie zrozumiał.

– Mówi pan, że już się wcześniej zatrzymał w hotelu Fairchild – Sal zwrócił się do Duke'a

tym swoim rżącym głosem, po czym czekał...

– Podczas dorocznych konwencji – potwierdził Duke. – Glow View Paint. Może pan o nas słyszał?

– Nie – odparł Sal.

– Ja słyszałem – powiedział Harold. – Prowadzicie działalność w skali ogólnokrajowej.

– Zgadza się. – Duke sprawiał wrażenie zadowolonego, że Harold ma taką wiedzę. – Co raz pomalowane, zostaje pomalowane. Jestem sprzedawcą. Sprzedawcy i inni pracownicy Glow View zjeżdżają się tu z całego...

– A pan skąd jest? – przerwał mu Sal.

– Z Saint Louis.

– Na wschodzie?

– Na zachodzie. Z Missouri.

– Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór – zaczął Sam – jak to się stało, że wyjrzał pan przez drzwi i zobaczył mężczyznę, najprawdopodobniej mordercę, wchodzącego do pokoju Andrii Bell?

– Czytałem o tym w gazetach – powiedział Duke. Sprawiał wrażenie autentycznie poruszonego. Sprzedawca farb z Missouri zamieszany w morderstwo w Nowym Jorku.

– To nie jest precyzyjna odpowiedź na pytanie – stwierdził Harold.

– No więc usłyszałem pukanie i wydawało mi się, że to do mnie.

Duke spojrział na prawo, jak to podobno robią ludzie, którzy kłamią. Harold nie wierzył w tę koncepcję. *Zresztą może to chodziło o spojrzenie w lewą stronę?*

– I...? – dociekał Sal, spoglądając prosto przed siebie.

– To znaczy, wydawało mi się...

– Może pan mówić swobodnie, panie Craig – stwierdził Harold.

– Dlaczego miałbym nie móc? – zapytał Duke. – Poza tym powinien pan powiedzieć „panie Duke”, a nie „panie Craig”.

– Panie Duke – wtrącił Sal. – Nie jest pan w tej sprawie podejrzanym.

Ale wypowiadając te słowa, Sal zaczął się zastanawiać. Duke był mężczyzną i zaliczał się do tego samego przedziału wiekowego co D.O.A., a przy tym, podobnie zresztą jak wielu innych mężczyzn, odpowiadał pobieżnemu rysopisowi sprawcy. Zaraz jednak sam sobie powiedział, że przesadza, choć oczywiście powinien brać pod uwagę wszystkie możliwości. Tak samo zresztą jak wtedy, gdy się pracuje z Haroldem.

– Oczywiście, że nie jestem podejrzanym – powiedział Duke. – Nie o to mi chodziło.

Harold uraczył go przyjaznym uśmiechem. Udawał, że sprawdza coś w notatkach. Rybki.

– Jakie to było pukanie: mocne i głośne? W bliskich odstępach? W jakimś rytmie? Jak gdyby ktoś miał panu coś ważnego do przekazania?

– Nic z tych rzeczy. Zwykłe pukanie. Właśnie dlatego podszedłem do drzwi i wyjrzałem na korytarz. Tyle że przed moimi drzwiami i nikogo nie było.

– Sprawia pan wrażenie rozczerwanego, panie Craig.

– Nazywam się Duke! Trochę byłem rozczerwany. Spodziewałem się wizyty jednego z ludzi odpowiedzialnych za gamę kolorystyczną Glow View. Gdyby nikt nie przyszedł, zamierzałem zejść do baru i poszukać kogoś, z kim mógłbym porozmawiać. Tu w sumie nie ma nic innego do roboty. Chciałem obejrzyć konkurs schnięcia farby. Chodzi o to, jak różne marki schną w różnych temperaturach i przy różnej wilgotności.

– To chyba faktycznie interesujące – stwierdził Sal, powstrzymując ziewanie.

– Tak samo jak gapienie się w schnącą ścianę – dodał Harold zupełnie bez wyrazu.

– Po drugiej stronie korytarza zobaczył pan mężczyznę i kobietę w drzwiach, tak? – zapytał w końcu Sal, licząc na to, że w ten sposób wprowadzi Duke'a na właściwy tor.

– Tak. Dość dobrze się przyjrzałem tej kobiecie, która wpuszczała go do środka. – Przełknął ślinę. – Potem się dowiedziałem, że to była jedna z ofiar. Andria Bell. Była przewodniczką czy wychowawczynią tej grupy dziewcząt... – Duke'owi chyba zrobiło się odrobinę niedobrze, bo bezwiednie złapał się za brzuch. Przełknął ślinę tak głośno, że Sal i Harold usłyszeli odrywającą się flegmę. – Rany, jaka szkoda!

– Jak wyglądał ten mężczyzna? – zapytał Sal.

– Cóż, stał do mnie jakby tyłem. Wyglądał raczej przeciętnie. Chyba miał brązowe włosy, ale pewny nie jestem. Był ubrany w ciemne spodnie i szarą albo jasnoniebieską sportową marynarkę. Tak mi się wydaje.

– Jakby pan ocenił jego wzrost?

– Proszę go sobie wyobrazić we framudze drzwi – odpowiedział Harold, który rysował właśnie rybkę.

Duke przeniósł na niego wzrok.

– Drzwi mają standardowe rozmiary – wyjaśnił Harold – więc można je traktować jako punkt odniesienia przy ocenie wzrostu.

– Tak, pewnie można – potwierdził Duke. – Powiedziałbym, że miał około metra osiemdziesięciu, może trochę więcej albo trochę mniej.

Świetna robota, Harold.

– A kolor oczu? – zapytał Sal.

– Niestety tak dobrze to mu się nie przyjrzałem. Ona, to znaczy Andria Bell, od razu się cofnęła i wpuściła go do środka.

– Widział pan broń?

– Nie, ale mógł ją przede mną zasłaniać ciałem, bo tak akurat stał.

– Proszę zamknąć oczy i jeszcze raz sobie wyobrazić, jak wchodzi do pokoju – powiedział Harold, który również zamknął oczy. – Proszę to zobaczyć oczyma wyobraźni. Proszę to poczuć. Hotele mają specyficzny zapach. Proszę go poczuć. Proszę się faktycznie przenieść do tamtej chwili. Może dostrzeże pan coś jeszcze, na co nie zwrócił wcześniej uwagi.

Sal chciał, żeby Harold się już zamknął. Miał do odegrania prostą rolę podczas tego przesłuchania: powinien dbać o to, żeby Duke nie zbacział z tematu, i miał udawać, że robi notatki, albo nawet jakieś zrobić.

– Coś panu przychodzi do głowy? – zapytał Harold.

– Nie – odparł Duke. – Przykro mi.

– Proszę nie otwierać oczu i jeszcze raz to sobie przypomnieć. Słyszy pan pukanie. – Harold uderzył kłykciami w blat mahoniowego stolika. – Podchodzi pan do drzwi.

Sal już miał przerwać ten nonsens, gdy Duke powiedział:

– Blizna.

– Glizda? – zapytał Sal.

Harold spojrział na niego i bezgłośnie powiedział:

– Blizna.

Sal sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Aż dziwne, że o tym zapomniałem – stwierdził Duke. – Stał jakby w ćwierci tyłem do mnie, ale gdy przekraczał próg, mogłem rzucić okiem na jego twarz. Tuż przed tym, jak drzwi się zamknęły. Miał na prawym policzku jakby wyciętą bliznę.

– Jak po nożu? – zapytał Sal.

– Nie, nie. To była lekko czerwonawa gładka skóra. Bardziej jak oparzenie.

– Jak gdyby brał udział w wypadku i się przy tym poparzył? – dociękał Harold.

Duke wzruszył ramionami.

– Tak założyłem, że to ślad po wypadku.

– Na przykład samochodowym... albo samolotowym? – ciągnął Harold.

Duke potaknął.

– Pewnie to by tak mogło wyglądać.

– A czy kulał? – zapytał Harold.

– Czy kulał?

– Tak trochę.

Duke chwilę się zastanowił.

– Na pewno nie powiem, że nie.

– A co pan zrobił potem, kiedy już się pan przekonał, że to nie do pana pukano?

Sal liczył na to, że Duke może słyszał krzyk albo cokolwiek innego, co by mogło zdradzać tragedię, jaka rozegrała się po drugiej stronie korytarza. Straszliwe sceny rozegrały się jednak w ciszy albo niemalże w ciszy.

– Co pan zrobił potem? – powtórzył Sal.

Harold dodał:

– To rutynowe pytania.

– Zrobiłem to, co planowałem zrobić – stwierdził Duke. – Zszedłem do baru. Wypiłem whiskey. Zjadłem tyle precelków i orzechów, że straciłem ochotę na kolację. Nie spotkałem nikogo z Color View, więc przez chwilę rozmawiałem z baristką Bonnie. Tak o niej mówią, bo oprócz drinków przyrządza też kawę.

– To nowe słowo w języku – potwierdził Harold.

– Potem poszedłem do jednej z sal balowych, gdzie odbywał się konkurs malowania. Tam spotkałem paru gości z Color View z Milwaukee i wróciłem z nimi do baru. Rozmawialiśmy przy drinkach mniej więcej do jedenastej, tak mi się wydaje. Potem wróciłem do pokoju i poszedłem spać. Rano się obudziłem i zszedłem na śniadanie, gdzie dowiedziałem się o Andrii. Zrobiło mi się niedobrze. Wróciłem na górę i usłyszałem pukanie do drzwi. Tym razem faktycznie do moich drzwi. To byliście wy. To znaczy nie wy dwaj, ale policja.

Sal uznał, że to dobry moment na zakończenie tej rozmowy. Podziękował Craigowi Duke'owi, po czym razem z Haroldem skierowali się do drzwi. Harold jednak się odwrócił.

– Kto wy grał konkurs malowania?

Duke wydawał się zaskoczony tym pytaniem, ale odpowiedział bez wahania:

– Chłopaki z Minnesoty. Oni zawsze wygrywają. Tam jest chłodno, co sprzyja szybkiemu schnięciu tej farby.

– To dość niesprawiedliwe – stwierdził Harold.

– Tak samo jak żyć cię – dodał Duke.

Wskazał głową drzwi do apartamentu po drugiej stronie korytarza, chcąc przez to powiedzieć, że życie zawsze się kończy. Prędeż czy później, w ten lub inny sposób, ale każdy kiedyś umrze i sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy.

To dopiero pocieszająca myśl.

Gdy jechali windą na dół, Harold powiedział:

– Pora się nie napić.

Sal znał już szy fry Harolda, więc zrozumiał treść tego przekazu. Chodziło o to, że pora wpaść do hotelowego baru i porozmawiać z baristką Bonnie.

Rozdział 13

Z uwagi na wczesną porę w barze hotelu Fairchild siedziało zaledwie kilka osób. Czterech samotnych amatorów drinków zajęło miejsca w jak największej odległości jeden od drugiego. Przy małym okrągłym stoliku siedziały dwie kobiety. Jeszcze jedna, bardzo atrakcyjna, wybrała stółek na skraju baru. Sal i Harold usiedli naprzeciwko niej i patrzyli, jak powoli popija drinka, który wyglądał na Krwawą Mary. Tak, na serwetce obok szklanki leżał kawałek selera naciowego. Kobieta poniosła seler, zanurzyła go w napoju, po czym zaczęła chrupać tak głośno, że pozostali goście baru musieli ją słyszeć. Harold nigdy nie przypuszczał, że jedzenie selera może wyglądać seksownie, ale teraz zmienił zdanie.

Podeszła do nich wysoka kobieta w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat. Miała na sobie białą koszulę i czerwoną kamizelkę. Sal zamówił wodę gazowaną, a Harold espresso. Sal wyciągnął odznakę, którą otrzymał od nowojorskiej policji na czas realizacji zlecenia. Barmanka spojrzała na nią pobieżnie, po czym poszła po zamówione napoje. Ustawiła je na podstawkach przed dwoma detektywami. Z małej plastikowej plakietki, którą miała przypiętą do piersi, wywnioskowali, że to Bonnie. Na jej okrągłej twarzy cały czas widniała mina przypominająca uśmiech, w związku z tym trudno ją było odczytać.

– Chodzi panom o to, co się wydarzyło na górze? – zapytała, nie tracąc neutralnego wyrazu twarzy.

– No tak, coś o tym słyshałem – stwierdził Harold.

Teraz Bonnie sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Chodzi mi o to...

– Wiemy, o co pani chodzi – powiedział Sal. – Kolega się wygłupia.

Bonnie szeroko się uśmiechnęła. Poczuli się, jak gdyby właśnie zza chmur wyszło słońce.

– Podobnie jak połowa ludzi, którzy tu przychodzą – oznajmiła.

Sal nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zapytał:

– Czy wiesz coś, co my powinniśmy wiedzieć?

– Wiem, że żadna z tych zamordowanych kobiet nie pojawiła się w barze w trakcie mojej

zmiany. Dziewczęta były za młode, a ich opiekunka nie piła, żeby dać dobry przykład. One były z tych, co się nie ruszają ze swojego pokoju. To tragiczne, co się stało.

– Żadna z nich nie zeszła nawet na latte? – dopytywał Harold.

– Nie. Proszę pamiętać, że one tu spędziły tylko jedną noc. – Bonnie wzruszyła ramionami, uśmiechając się jakby z połowicznym natężeniem. – Przykro mi, że nie wiem nic więcej.

– Pojawił się tu za to na pewno dżentelmen, który nas interesuje. Tak przynajmniej twierdzi. Jeden z uczestników konwencji farbiarskiej.

– Tych było tu wielu – stwierdziła Bonnie.

– Chodzi nam o faceta nazwiskiem Craig Duke. W średnim wieku, rzadniejące brązowe włosy. Mógł mieć na sobie szary sweter, białą koszulę i różowy krawat.

W oczach Bonnie coś się zmieniło. Uśmiechnęła się.

– Owszem, znam pana Duke’a. Jest ze Środkowego Zachodu. Jakiś sprzedawca farb czy coś.

Od tych z Głow View.

– Był tu wczoraj wieczorem?

– Tak, mniej więcej od szóstej.

– Od szóstej... – powtórzył Harold. Nie zaskoczyło go, że Bonnie wspomina poprzedni wieczór inaczej niż Craig Duke. – Czy to znaczy, że siedział do zamknięcia?

– Ależ nie. Chcę tylko powiedzieć, że spędził tu trochę czasu.

Bonnie sprawiała wrażenie podenerwowanej. Przeniosła wzrok na kobietę po drugiej stronie baru. Co się tam działo? Doskonale wiedziała, że w rozmowie z tymi dwoma nie ma co kręcić. Zresztą przecież nie miała nic do ukrycia.

– Wyszedł jakoś o wpół do siódmej – powiedziała. – Później jeszcze wrócił.

– Sam?

Bonnie westchnęła i odparła:

– Pewnie powinniście porozmawiać z Wandą Woman. – Subtelnie wskazała wzrokiem kobietę siedzącą naprzeciwko detektywów.

Sal zrozumiał aluzję i spojrzał na Bonnie.

– To jakieś żarty?! Wonder Woman?

– Wandą. Zresztą to pseudonim. Ona pracuje tu w holu na własny rachunek

– Pracuje... – Sal zaczął się zastanawiać. Sprawa jest dość delikatna. Jak do tego najlepiej podejść, żeby dotrzeć do prawdy? – Też obsługuje bar?

– Nie do końca – odparła Bonnie. – Nie należy do personelu hotelowego.

– Ach, tak – powiedział Harold.

– Nie ma alfonsa – zapewniła ich Bonnie. – Twierdzi, że naprawdę nazywa się Wanda Smith.

Sal wziął tyk wody. Czeekał. Zamierzał dać Bonnie czas na przemyślenie całej tej kłopotliwej sytuacji. Zakładał, że nie będzie wprowadzać w błąd stróżów prawa. W końcu chodziło o morderstwo, a właściwie o jedną z najstraszliwszych zbrodni, jakie kiedykolwiek popełniono w tym mieście. Harold robił obojętną minę. *Taa, jasne.*

– Chcą panowie poznać prawdę? – zapytała Bonnie.

– Owszem.

– Nigdzie to dalej nie trafi?

– Postaramy się zadbać o dyskrecję – zapewnił Sal – ale proszę pamiętać, że to dochodzenie w sprawie morderstwa.

– I to głośnego.

Bonnie się zastanawiała, jak gdyby analizowała różne opcje. Wiedziała, że powinna jak najdokładniej podać godziny. W końcu powiedziała:

– Wanda przyszła z panem Dukiem mniej więcej o szóstej. Coś wypili, po czym on wyszedł trochę po wpół do siódmej. Potem, kilka minut później, wysła też Wanda.

– Ale wysła stąd, z baru, czy w ogóle z hotelu? – zapytał Sal.

Bonnie pokręciła głową.

– Nie wiem. Stąd bym nie widziała, nawet gdybym chciała coś zobaczyć... A nie starałam się jakoś szczególnie, bo nie miałam powodu.

– W każdym razie nie wiedziałaś, że mogłabyś mieć – stwierdził Harold.

Bonnie skinęła głową.

– Właśnie.

– Pan Duke wrócił tu sam? – zapytał Sal.

– Tak. To znaczy nie do końca sam. Chodzi mi o to, że bez Wandy. Poszedł do recepcji, słyszałam, jak prosi o przeniesienie do innego pokoju. Coś go wystraszyło.

„Zaraz po tym, jak zobaczył mordercę, który wchodził do pokoju Andrii Bell – pomyślał Sal. – Czyli ta część historii się zgadza”.

– Mniej więcej za piętnaście ósma Duke wraca, ale nie sam, tylko w towarzystwie innych ludzi z tej konwencji. Oni przychodzili i wychodzili, siedzieli chwilę i robili sporo hałasu. Duke trzymał się jakby trochę na uboczu. Tyle mogę powiedzieć – stwierdziła Bonnie. – Chyba w sumie niedużo.

Harold przygryzł wąsa i wziął łyk espresso. Sal siedział i wpatrywał się w swoją wodę. Jego telefon rozdzwonił się i zaczął mu tańczyć po udzie. Detektyw wyciągnął aparat z kieszeni, odwrócił się i spojrzął na wyświetlacz. Zobaczył, że dzwoni Quinn. Odszedł na kilka kroków od baru, żeby nikt go nie słyszał, po czym przekazał Quinnowi informacje, które zebrali. Kilka chwil później rozłączył się i wrócił do Bonnie i Harolda.

– Quinn? – zapytał Harold.

– Quinn – potwierdził Sal. – Jest niedaleko stąd. Powiedział, że mamy pogadać z tą Wandą Woman, zanim ona nawiąże jakąś znajomość albo sobie pójdzie. Dołączy do nas za pięć albo dziesięć minut.

– Możesz przywołać tu do nas tę panią? – zwrócił się Sal do Bonnie, a potem powiedział jeszcze pod nosem: – Może dowiemy się, dlaczego ktoś tu nam wciska kit.

W sumie potrafił sobie wyobrazić te wszystkie powody. Craig Duke nie chciał, żeby ktoś go przyłapał na kontaktach z prostytutką. Ona z kolei nie chciała ujawnić prawdziwej natury swojej aktywności. Poza tym przyjaźniła się lub współpracowała z baristką Bonnie, która starała się zachować tę relację w tajemnicy. Każda z tych osób martwiła się o swoją reputację i swoją pracę, a może też o swoje małżeństwo. Zupełnie jakby nie chodziło w tym wszystkim o sześć martwych kobiet. *Ludzie i te ich tajemnice...*

Sal przyglądał się, jak Harold rysuje rybkę.

Rozdział 14

Wanda chyba się trochę zdenerwowała, gdy Sal i Harold jej się przedstawili, chociaż wiele osób tak reagowało na spotkanie z policjantami. Poza tym nie mogła przecież wiedzieć, czy nie są z obyczajówki, a ona akurat miała powody, żeby się tego obawiać.

Sal zajął miejsce na krześle obok niej. Harold stał po drugiej stronie, starając się nie wzbudzić w niej wrażenia osaczenia. Wystarczyło, że w ogóle z nią rozmawiali.

Wanda Woman nie sprawiała wrażenia onieśmielonej, była raczej rozbawiona. Spojrzała na Sala, a potem przeniosła wzrok na Harolda i popatrzyła na niego jak na robaka. Miała wyraziste rysy, które dodatkowo podkreślały ciemne włosy. Nawet bez piętnastocentymetrowych obcasów byłaby wysoka. Wąska w talii, z dużym biustem i okrągłymi biodrami – miała w sobie niezaprzeczalny urok. Czarna sukienka bez żadnych ozdób na innej kobiecie wyglądałaby zwyczajnie. Ale większość kobiet nie mogła się poszczycić ani takimi nogami, ani takim dekoltem.

– Ja się zajmuję własnymi sprawami – powiedziała gardłowym głosem, który dobrze pasował do sukienki i całej reszty. Harold doszedł do wniosku, że pewnie świetnie brzmiałby też w sekstelefonie.

– Twoje sprawy nas nie interesują – oznajmił Sal. – Nie jesteśmy z obyczajówki.

– O cholera – rzuciła obojętnym tonem. – Już myślałam, że każecie mi się przesunąć tylko po to, żeby zobaczyć, jak się ruszam.

Harold przełknął ślinę. – Pani Robinson, czy pani...

– Daj spokój, Harold – wtrącił się Sal.

– Pije pani czystą wódkę?

– Wodę.

– I dobrze.

Wanda Woman wydawała się lekko zbita z tropu. Najwyraźniej ci kolesie nie wykazywali zainteresowania nią jako kobietą. Najwyraźniej mieli po prostu trochę czasu do zabicia.

– Chcemy tylko porozmawiać – stwierdził Sal.

– Na razie – odparła Wanda, mrugając porozumiewawczo. – A o czym chcecie

porozmawiać?

– O Craigu Duke’u, sprzedawcy farb – wyjaśnił Sal.

Wanda się uśmiechnęła.

– Tym się tak naprawdę zajmuje? Mnie powiedział, że pracuje dla rządu.

– Wszyscy pracujemy w pewnym sensie dla rządu – wtrącił Harold.

– Chodzi o to, co się stało z tymi biednymi dziewczynkami? – zapytała Wanda.

– Oraz z ich opiekunką – przypomniał jej Sal.

– Tak, nieźła mi opiekunka.

– Gdy to się stało, była pani z Craigiem Dukiem w jego pokoju po drugiej stronie korytarza.

– Mogłam być. Prawda jest taka, że nie wiem, co się tam wydarzyło. Już mieliśmy zaczynać, to znaczy tajny agent Duke i ja, gdy kazał mi chwilę zaczekać, bo mu się wydawało, że słyssał pukanie do drzwi.

– Co zaczęła? – zapytał Harold.

– Grę, która się nazywa „znajdź kluczyk”. Używa się do niej kajdanek oraz...

W tym momencie pojawił się Quinn.

– Spojrzałem w tę stronę i tak mi się właśnie wydawało, że to wy – powiedział.

– To my – potwierdził Harold.

– A to Wanda... Jaki się naprawdę nazywasz, kotku?

– Wanda Tennenger. Czasami używam nazwiska Smith. – Uśmiechnęła się do Quinna. – Nie muszę za to pytać, kim jest ten przystojny dżentelmen. Widziałam jego zdjęcie w gazecie.

– Chciałem uczestniczyć w tej rozmowie – wyjaśnił Quinn, mierząc wzrokiem kobietę w obcisłej czarnej sukience. Dostrzegł w jej oczach coś, co sugerowało pragmatyczne podejście do życia.

Quinn nie zrobił chyba na niej większego wrażenia, mimo to streściła mu dotychczasowy przebieg rozmowy z dwoma detektywami. Doszła do momentu, w którym Duke nagle stracił nią zainteresowanie.

– Wydarzyło się jeszcze coś – powiedziała. – Po tym pukaniu po drugiej stronie korytarza, gdy już stwierdziliśmy, o co chodzi, Duke i ja wróciliśmy do naszych zajęć. Tylko że z niego jakby uszło powietrze. Jak wyjrzał przez te drzwi... Zwykle się z czymś takim nie spotykam.

Opowiedziała, jak Duke podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz, o tym, że ktoś pukał w istocie do innych drzwi oraz co usłyszała od niego, kiedy wrócił. Gdy skończyła, wzięła łuk wody, która pachniała zupełnie jak wódka.

– To wszystko? – zapytał Quinn.

Wanda spojrzała na Salę, potem na Harolda, a następnie przeniosła wzrok z powrotem na Quinna. Dobrze wiedziała, że nie ma sensu go okłamywać ani niczego przed nim zatajać.

– Na chwilę jakby uszło z nas powietrze – powiedziała. – Zesłałam tu na drinka. Było coś koło wpół do ósmej. Duke zatrzymał się przy recepcji i poprosił o zmianę pokoju.

Quinn czekał w milczeniu. Wiedział, że Sal i Harold też się nie odezwą.

– Duke nagle po prostu przerwał – stwierdziła Wanda.

– Co przerwał? – zapytał Quinn.

– To, co robił. To, co robiliśmy razem w pokoju. Nagle zamarł, bo, jak powiedział, nie mógł przestać myśleć o tym, co mu się wydawało, że słyszał z tamtego pokoju. Poza tym sprawiał wrażenie przestraszonego.

– Co takiego Duke niby słyszał? – zapytał Quinn.

– **Wydawało mu się**, że słyszał – poprawiła go Wanda. – Próbował mi to wyjaśnić. Powiedział, że to brzmiało jak skamlenie rannego zwierzęcia, tylko jakby bardziej miękko. Zastanawiał się, czy ten facet nie wszedł tam na siłę. Nie powiedział wcześniej o tym, co widział, ponieważ... zajmowały go inne rzeczy.

– A czy ty słyszałaś ten dźwięk? – zapytał Quinn.

– Nie.

– Czy to mógł być krzyk zakneblowanej kobiety? – dociekał Harold.

– Pewnie tak. Patrząc z perspektywy czasu, to on właśnie coś takiego mógł słyszeć. W każdym razie mocno się wystraszył i stracił ochotę na barszkwowanie. – Subtelne wzruszenie jej ramion skojarzyło się Quinnowi z aktami w stylu art déco. – Właściwie to mu się nie dziwię. No chyba że ktoś się lubuje w takich rzeczach.

– Ty nie widziałaś tego mężczyzny, który mógł się siłą dostać do pokoju po drugiej stronie korytarza?

– Nie. Byłam na łóżku i masowałam kostkę.

Pomachała palcem u nogi, napinając przy tym łydkę. Uśmiechnęła się lekko. Wiedziała, że mężczyźni na nią patrzą.

– Mało brakowało, a skręciłabym nogę na tych obcasach, gdy Duke otworzył mi drzwi i wciągnął mnie do swojego pokoju. Trochę nie wiedziałam, o co chodzi.

– Przeprosił cię? – zapytał Harold.

Było to jedno z jego bezsensownych pytań, które czasami okazywały się bardzo przydatne. Niestety tylko czasami.

– Nie – uśmiechnęła się Wanda. – Przy wyłam do rozochocenia.

Harold nie wątpił, że często się z nim stykała.

Baristka Bonnie podeszła do nich, żeby przyjąć zamówienie od Quinna, ten jednak odgonił ją na bezpieczną odległość absolutnie jednoznacznym spojrzeniem: „Nie teraz!”. Bonnie cofnęła się aż na drugi koniec baru i zrobiła obrażoną minę. W godzinach urzędowania baru to ona tu rządziła, a nie jakiś tam gliniarz.

– Co zrobiliście, ty i Duke, po tym, jak on usłyszał ten pierwszy hałas? – zapytał Wandę Quinn.

– Atmosfera się zmieniła.

Quinn potrafił to zrozumieć.

– On się ubrał, a ja zdjęłam mundur – wyjaśniła Wanda.

– Jaki mundur? – zapytał Harold.

Quinn spojrzał teraz na niego tak jak wcześniej na Bonnie. Harold cofnął się o kilka centymetrów i zamilkł.

– Potem wrzucił swoje ubrania i kosmetyczkę do walizki – ciągnęła Wanda – po czym zeszedł do holu. On poszedł do recepcji i poprosił o przeniesienie do innego pokoju. Właściwie to tego zażądał. Nie podał żadnych przyczyn, ale też nikt go nie zapytał. Recepcjonista wręczył mu po prostu inną kartę i podał inny numer, a następnie przywołał boja, żeby ten zaniósł walizkę

na górę.

– A co potem? – zapytał Quinn niemal od niechcienia, żeby skłonić Wandę do kontynuowania relacji.

– Potem ja przyszłam tutaj na drinka.

– Która była godzina?

– Nie wiem dokładnie. Coś koło siódmej trzydzieści. Chwilę tu posiedziałam, a potem Duke ponownie pojawił się na dole. Zdążył się już rozpakować w nowym pokoju. Teraz towarzyszyli mu koledzy z konwencji.

Czyli około siódmej Duke usłyszał odgłosy tortur i trwającego właśnie wielokrotnego morderstwa.

Zapadło milczenie. Wszyscy zajęli się swoimi drinkami, być może przy okazji rozmyślając o trzech pokojach hotelowych: pustym, stanowiącym miejsce morderstwa i tym, w którym przebywali prostytutka i jej klient zamordowany tym, co powiedzieliby ludzie, gdyby to ich spotkanie wyszło na jaw. W tej sytuacji było coś, co strasznie działało Quinnowi na nerwy.

– Masz wizytówkę? – zapytał Harold.

Wanda spojrzała na niego, jak gdyby właśnie wyrosła mu druga głowa. Potem wyjęła z torebki pognieciony skrawek papieru i zapisała na nim swój adres oraz numer telefonu. Wręczyła karteczkę nie Haroldowi czy Salowi, lecz Quinnowi. Kobieta alfa prowadziła dialog z samcem alfa. Quinn rzucił okiem na kartkę, po czym schował ją do kieszeni koszuli.

– Będziesz się kręcić gdzieś w mieście? – zapytał Wandę.

– Nawet w tym hotelu, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Nie mieli.

– Żaden z nas tego nie słyszał – powiedział tylko Quinn. *Niech się ten twój seksualny biznes dalej kręci. Bo i tak by się kręcił.*

Wanda się uśmiechnęła.

– Jeszcze tylko jedno – dodała – żeby wam się nic nie pomyliło, gdy będziecie rozmawiać z ludźmi. Wczoraj miałam rude, a nie brązowe włosy. Zdarza mi się czasem obsługiwać tych samych klientów, mijać ich w holu czy na korytarzach. Zmiana wyglądu pozwala uniknąć sytuacji, w której dziwnie na mnie patrzą.

– Na pewno dziwnie patrzą – stwierdził Harold. – Z jednej strony wyglądasz jakoś znajomo, z drugiej muszą się upewnić, że to faktycznie ty, a po trzecie dostrzegają w tobie nagle coś nowego.

– W sumie to prawda.

Quinn miał ochotę pokręcić głową. Tylko Harold mógł coś takiego wymyślić. Wanda Woman uśmiechnęła się do Sala i Harolda, a Quinna na odchodnym delikatnie dotknęła w policzek Quinn nie był w stanie ukryć, że zrobiło to na nim wrażenie. Gdy wychodzili z hotelu, Harold powiedział:

– Schowaj ten klucz. Chyba nie zamierzasz...

Sal uciął krótko:

– Daj spokój, Harold!

Część druga

Nasłuchując, jak syreny śpiewem zwołują się gdzieś

– T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*¹

¹ W przekładzie Michała Sprusińskiego. Przypisy zamieszczone w książce pochodzą od tłumaczki.

Rozdział 15

Anglia, 1940

Żołnierze ewakuowani z Dunkierki przybijali do brzegów mniejszymi i większymi statkami. Czasami kuśtykali o własnych siłach, a kiedy indziej znoszono ich ze statków zacumowanych w portach, choć zdarzało się i tak, że łodzie lądowały poza portem. Niektórym żołnierzom fizycznie nic nie dolegało, ale twarze mieli jakby skamieniałe, a spojrzenia nieobecne. Wspomnienia minionych dni miały ich prześladować już na zawsze. Cieszyli się bardzo z powrotu do domu, ale byli przybici. Czuli się pokonani. Zdarzali się wśród nich Francuzi, większość jednak stanowili żołnierze Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, który – jak posłyszała z rozmów innych pielęgniarek Betsy Douglass – praktycznie przestał istnieć na kontynencie. Ten opanowali Niemcy.

Wielu przybywało z fizycznymi obrażeniami, również takimi, które miały okazać się śmiertelne dopiero po upływie wielu tygodni. Betsy Douglass przykładła właśnie kompres do głowy rannego mężczyzny w brytyjskim mundurze. Gdyby nie to, że nieustannie zalewały go fale kanału, pewnie przesiąkłby krwią do suchej nitki. Spojrzał na nią, uśmiechnął się i powiedział coś, do czego niektóre pielęgniarki zdążyły się już przyzwyczać:

– Czy znalazłem się w niebie?

– Obawiam się, że nie – odparła, odwzajemniając uśmiech.

– Tucker – powiedział.

– Słucham?

– Nazywam się Henry Tucker, a pani jest moim aniołem stróżem.

– Trochę się panu wszystko pomieszało, panie Henry Tuckerze.

– Wszystko wróci do normy – zapewnił.

Wolną dłonią chwyciła go za rękę i przyglądała się strużce krwi płynącej z jego głowy.

– Tak trzymać!

Roześmiał się, o mało się przy tym nie dławiąc. W końcu odzyskał panowanie nad sobą.

– Tak trzymać? Kochana, tak to by można powiedzieć, gdyby Churchill i Hitler toczyli pojedynek na ringu bokserskim, gdzie nikt by poza tym nie ginął.

– Owszem, tak to powinno być.

Spowaźniał i też ją ścisnął za rękę.

– Jeszcze pokażemy tym draniom!

– Owszem, panie Henry Tuckerze.

Wpatrywał się w nią.

– Z twojego identyfikatory wnioskuje, że masz na imię Betsy?

– Jestem Betsy Douglass – odparła. – Nie chcę, żeby wszyscy znali moje nazwisko, więc je zamazałam.

– Mnie powiedziałaś, jak się nazywasz.

Skinęła głową z zamyśleniem.

– Jest pan inny, panie Henry Tuckerze. – *Niech się poczuje wyjątkowy. Zaskrzył sobie na to...*

– Masz męża, Betsy?

– Nie. A pan jest żonaty?

Wiedziała, że się głupio zachowuje i odpowiada dokładnie po jego myśli. Coś go jednak wyróżniało. Może chodziło o to, że za kilka dni mógł już nie żyć?

– Moja żona zginęła trzy miesiące temu.

– Przykro mi, naprawdę. W bombardowaniu?

– Jechała rowerem i została potrącona przez ciężarówkę. Jak człowiek umrze, to nie żyje, bez względu na to, czy zginął od bomby, czy pod ciężarówką. Czasami jeszcze słyszę, jak mnie woła. Odwracam się, ale jej tam nie ma.

– Pewnie słyszał pan mnie, jak zapewniałam, że nie trafił pan do nieba.

Odwrócił się, a ona musiała poprawić mu opatrunek. Skrzywił się z bólu.

– Można odnieść wrażenie, że cały świat skierował się przeciwko nam, co?

– Tak to teraz wygląda, panie Henry Tuckerze.

– Douglass! Siostrze Douglass!

Lodowaty głos siostry przełożonej, nazwiskiem Nora Dreadwater, przedarł się przez odgłosy rozmów i inne hałasy strefy przygotowania do transportu. Betsy się wyprostowała, ale cały czas z taką samą siłą przyciskała opatrunek

– Proszę zawieźć wózek do karetki! – nakazała siostra Dreadwater.

– Tak proszę pani. Czy mam jechać z pacjentem?

– Cóż za absurdalny pomysł! – odparła siostra Dreadwater.

Przywykła już do tego, że jej młode pielęgniarki co chwila się w kimsz zakochiwały. W każdym razie te nowe. Potem wokół ich serc tworzył się gruby ochronny kokon.

Betsy Douglass pojawiła się w dyżurce pielęgniarek i usłyszała, że u Henry'ego Tuckera stwierdzono zakażenie gronkowcem. Nie zaskoczyło jej to, ale i tak mocno to przeżyła. Dwa dni temu wpadła w stan bliski katatonii, więc wysłano ją na przymusowy odpoczynek. Teraz więc miała wyrzuty, że opuściła miejsce pracy. Powinna być w tym czasie w szpitalu, gdzie inni tak bardzo jej potrzebowali.

Większą część pierwszego dnia urlopu i tak spędziła przy Henrym Tuckerze, skąd wygoniła ją dopiero siostra Dreadwater, stanowczo nakazując relaks. Przełożona dała jej nawet tabletki nasenne, ale Betsy ich nie zażyła. Inne pielęgniarki zdążyły się zorientować, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni Betsy i Tucker się w sobie zakochali. To właśnie ta miłość miała go ocalić. Skoro miłość jest w stanie wszystko przezwyciężyć, to na pewno poradzi sobie z obrażeniami głowy, nawet tak poważnymi jak te, które wymagały wszczepienia metalowej blaszki między kości czaszki. Betsy często zaglądała do Henry'ego Tuckera, któremu zapewniła niejaką prywatność, ustawiając przy łóżku parawan.

Od razu wiedziała, że Tucker umiera.

– Nie było mnie dwa dni – powiedziała Betsy. – Nie powinnam brać tyle wolnego.

– Większość pierwszego dnia i tak spędziłaś tutaj – przypomniała jej Dreadwater. – Żeby odzyskać siły, potrzebowałabyś co najmniej trzech dni. Prawie straciłaś przytomność, gadałaś bzdury i stanowiłaś zagrożenie dla pacjentów.

– Inne pielęgniarki też tak mają.

– Owszem – przyznała Dreadwater. Przez chwilę wyglądała tak, jak gdyby się miała zaraz rozplakać. Potem jednak odzyskała swój zwykły kamienny wyraz twarzy.

Henry Tucker jęknął i coś powiedział. Siostra Dreadwater nachyliła się nad nim, a on powtórzył wcześniejsze słowa. Spojrzała na Betsy.

– Co powiedział? – zapytała.

– Powiedział, że mam dłużej nie marnować jego czasu.

– Co to znaczy?

– Że mam was zostawić samych – wyjaśniła Dreadwater. Zaczęła mówić coś jeszcze, ale potem zniknęła za jedną z zasłon.

Henry przywołał Betsy do siebie skinieniem palca. Przysunęła się do niego i nachyliła, lekko go obejmując. Jego ciało zdawało się zupełnie nic nie ważyć. Z wysiłkiem zmienił pozycję, tak żeby mówić jej prosto do ucha. Potem jakby zaczął majaczyć. Przyciągał ją do siebie coraz mocniej, ściskając z całej siły. Zaczął coś bełkotać. Betsy nie rozumiała, co mówi. Coś o rzeczach. Chodziło mu chyba o plecak.

– Wszystko dostaniesz z powrotem, jak będziesz stąd wychodzić – zapewniła.

Uśmiechnął się, żeby sprawić jej przyjemność. *Skąd on bierze na to siłę?*

Przyciągnął ją do siebie i zaczął coś szeptać o zawartości plecaka i o tym, co powinna z nim zrobić. Potem zamilkł, a ona położyła mu głowę na piersi. Zrobiło się aż za cicho. Zegar przy łóżku tykał i tykał. Poza nim nic nie słyszała.

Betsy bała się ruszyć. Bała się stawić czoło rzeczy wistości. Tucker umarł w jej ramionach.

Betsy zaczęła płakać, co ją dodatkowo zdeprymowało. Próbowwała nabrać dystansu i zachowywać się profesjonalnie, tymczasem szlochała z żalu po człowieku, którego prawie nie знаła. Tylko że przecież poznaliby się lepiej. Znacznie lepiej. Gdyby tylko Henry Tucker przeżył.

– Rana głowy chyba zaczynała się goić – powiedziała. – Miał szanse.

– Tak nam się wydawało.

Betsy pochyliła głowę, a Dreadwater wzięła ją w objęcia. Zasłona zniknęła, więc ludzie przechodzący obok spoglądali na nie, po czym szybko wracali do swoich spraw.

– Musisz się pozbierać, kochanie – powiedziała Dreadwater. – To trudne czasy, a my cię potrzebujemy. Bardzo cię potrzebujemy.

Betsy odsunęła się i wyprostowała. Otarła łzy wierzchem dłoni, zaczerpnęła głęboko powietrza i skinęła głową.

– Oczywiście ma pani rację. Najpierw będzie gorzej, zanim zrobi się lepiej.

– Musimy sobie po prostu jakoś z tym radzić – przyznała Dreadwater.

Betsy ruszyła w stronę przydzielonych jej pacjentów, ale Dreadwater zdążyła ją mocno chwycić za łokieć i zatrzymać.

– Henry, to znaczy kapral Tucker, na kilka godzin odzyskał świadomość i jasność umysłu, zanim infekcja i leki pozbawiły go zdolności trzeźwego myślenia – powiedziała Dreadwater. – Nikt mu o tym nie mówił, ale jestem przekonana, że pod koniec już wiedział, że umiera. Zostawił ci to. – Podała Betsy zapieczętowaną kopertę.

Betsy spojrzała na nią, a potem schowała list głęboko w kieszeni pielęgniarskiego uniformu. Obok nich przewieziono dwóch pacjentów na wózkach.

– Przeczytam to później – powiedziała. – Teraz wracam do pracy.

– Oczywiście – odparła Dreadwater, uśmiechając się lekko. – Zajmij się pracą.

Gumowe podeszwy jej butów zabawnie zakłaskały na świeżo umytej podłodze. Betsy do końca życia słyszała ten dźwięk w swoich snach.

Betsy pracowała z diabolicznym wręcz zapalem do późnego wieczora. Zajmowała się artylerzystą, który stracił prawe ramię na skutek interwencji snajpera, i francuskim oficerem, któremu kula z broni maszynowej utkwiała w biodrze. Pod jej opieką znaleźli się również kapitan statku, któremu bomba zabrała połowę twarzy, oraz pilot RAF-u z raną głowy całkiem podobną do tej odniesionej przez Henry'ego Tuckera. Pilot pytał, czy ma szanse wrócić do zdrowia. Zapewniła go, że tak.

– Muszę znowu latać – oznajmił z uśmiechem.

Zalewały ją smutek, żal i inne emocje, ale jakoś udawało się jej skutecznie je od siebie odpychać. Zdawała sobie sprawę, że wiele pielęgniarek, a z pewnością także lekarzy, którzy wydawali jej się szczególnie pozbawieni serca, zdążyło już opanować trudną sztukę zachowywania emocjonalnego dystansu. Na tym polegała różnica między nimi. Przemoc, krew i bezsens tego wszystkiego stale wypełniały ich wewnętrznym przerażeniem, ale nie dawali tego po sobie poznać. Nikt z nich – żadna pielęgniarka, żaden pacjent i żaden lekarz – nie miał wyjść z tego bez szwanku. Jeśli nawet zdołają przetrwać fizycznie, i tak pozostaną im po tym wszystkim bliźni. Betsy nie potrafiła sobie wyobrazić, że te wspomnienia mogłyby kiedykolwiek przestać boleć, że mogłyby kiedykolwiek przestać wywoływać łzy w jej oczach.

Tamtego wieczoru, jeszcze przed zapadnięciem nocy i zaciemnieniem, usiadła samotnie na ławce w parku. W przygasającym świetle czytała to, co Henry Tucker napisał do niej słabowitą ręką. Spodziewała się trochę czegoś innego. List zawierał wprawdzie podziękowanie i wyznanie, ale także zbiór instrukcji.

Rozdział 16

Nowy Jork, czasy obecne

Jeanine Carson konsekwentnie pedałowala i pokonała już prawie piętnaście kilometrów, nigdzie się nie ruszając. Jak to miała w zwyczaju, siedziała na rowerku treningowym w pobliskim klubie Sweat it Out. Miała kartę członkowską i spędzała tu co drugi wieczór. Ciężki stacjonarny rowerek treningowy stał pod kątem przy oknie, które wychodziło na ulicę. Od czasu do czasu jakiś przechodzień spojrzął na Jeanine. Mężczyźni się czasem uśmiechali.

Raczej nie ubierała się wyzywająco. Nosila bowiem workowate czerwone spodnie do kolan i za duzą czarną koszulkę. Na głowę założyła czerwoną elastyczną opaskę, która miała powstrzymać jasne kręcone włosy przed opadaniem na spoconą twarz. To rozwiązanie zwykle działało, chociaż od czasu do czasu kilka pukli spadało niczym kurty na na jedną stronę jej twarzy. Nawet w takim strachu i nawet z tak rozczochranyimi – przynajmniej w jej mniemaniu – włosami Jeanine prezentowała się atrakcyjnie jak na czterdziestolatkę. *Czterdzieści lat! Matko! Kiedy to się stało?* Cóż, stało się. Jeanine postanowiła być wdzięczna losowi za to, że przy właściwym oświetleniu nadal wyglądała na trzydzieści lat. Tak przynajmniej jej mówiono.

Zacząła pedałowac mocniej, jak gdyby próbowała uciec od swoich trosk. Po drugiej stronie szyby przeszedł mężczyzna w szarym biznesowym garniturze z neseserem w dłoni. Spojrzał na nią i szeroko się uśmiechnął. Jeanine nie potrafiła się powstrzymać i odpowiedziała mu tym samym. Głównie po to, by wyrazić swoje uznanie. Mężczyzna był mniej więcej w jej wieku i nadal wyglądał dobrze. Być może był do wzięcia, a być może miał żonę i sześcioro dzieci gdzieś w Teaneck w stanie New Jersey. Jak by to było mieć takiego męża i wracać do domu do niego i do szóstki dzieci? Jeanine puściła wodze fantazji, przez cały czas mocno naciskając na pedały. Wysiłek fizyczny pozytywnie wpływał na jej umysł i talię. Jak by to było wracać do mieszkania na Upper West Side, które dzieli się z mężczyzną, ale już niekoniecznie z dziećmi? Taka wizja

wydała jej się bardziej realna.

Zaczynały ją boleć uda, zacisnęła więc dłonie na kierownicy i skupiła się na ćwiczeniach. Tym samym odsunęła od siebie myśli o ucieleśnieniu swoich marzeń. Wróciła do trudów regularnego treningu, a także do rzeczywistości i zarzutów pod własnym adresem. Jeśli miała nadwagę, to tylko dlatego, że za dużo jadła. Sama była sobie winna. To ona sprawowała kontrolę nad własnym widelcem. To kwestia osobistej odpowiedzialności. Kwestia wysiłku i korzyści.

Teraz to właśnie takie myśli krążyły Jeanine po głowie. Jej ciało po raz kolejny przypuszczało atak na siebie. *To moja wina. Na nikogo nie da się tego zrzucić. Jesteś za gruba, za gruba, za gruba...* Ważyła co prawda tylko niespełna pięćdziesiąt pięć kilogramów przy wzroście metr sześćdziesiąt siedem, ale to właśnie przez nie czuła się gruba.

Klekot rowerka stacjonarnego doskonale się sprawdzał w roli akompaniamentu: *Za gruba, za gruba, za gruba...*

Takim to właśnie rozważaniom oddawała się bezrobotna konsultantka finansowa, której problemy przynajmniej w części dałoby się łatwo rozwiązać, gdyby tylko nie była... taką grubą w niektórych miejscach.

Pedałowała dalej, donikąd tak naprawdę nie jadąc. Pot spływał jej po twarzy i po szyi, trochę ją laskocząc... Nagle usłyszała krótkie uderzenie monetą o szybę. Ten dźwięk skłonił ją do uniesienia głowy i wyjrzenia na zewnątrz.

Stał tam, na chodniku, uśmiechając się i spoglądając na nią przez okno. Pan Dyrektor w swoim szarym garniturze i z neseserem. Wrócił. *Wrócił dla mnie.*

Wykonał gest sugerujący korzystanie z noża i widelca. Najwyraźniej zapraszał ją na obiad. Celowo odwróciła wzrok, zanim się lekko uśmiechnęła. Był tak urokliwy, że nie potrafiła się powstrzymać.

Jeanine znała zasady tej gry. Zachęta i zniechęcenie mają zaskakująco wiele wspólnego. Czasami trudno rozstrzygnąć, na które należy postawić. Niektórzy mężczyźni nie potrafią oprzeć się wyzwaniu.

*

Tego samego wieczoru, tyle że nieco później, Fedderman i Sal siedzieli przy swoich biurkach w Q&A i popijali kiepską kawę. Po drugiej stronie pomieszczenia Jerry Lido pracował przy laptopie, zupełnie nieświadomy istnienia innego świata poza elektronicznym. Profilerka Helen rozsiadła się wygodnie w obracanych krzesle w pobliżu biurka Pearl. Długie odsłonięte ramiona skrzyżowała na piersi, dumnie prezentując w ten sposób jędrne bicepsy i mięśnie przedramion. Fedderman zastanawiał się czasami nad orientacją seksualną Helen, w końcu jednak doszedł do wniosku, że to nie jego sprawa. I tak się już gubił w tych wszy stkich nowoczesnych rozważaniach o rolach przedstawicieli poszczególnych płci. Cóż dziś należy rozumieć pod pojęciem „panna młoda”? Albo „pan młody”? Kto jest kim, kiedy i w jakich okolicznościach? To wszy stko stanowiło dla Feddermana pewną zagadkę... Kiedyś powiedział Penny, że w obliczu tak częstych zmian

przepisów prawa on już sam nie wie, czy nadal faktycznie są małżeństwem.

– Kto komu powinien wysłać czekoladki? – zastanawiał się Fedderman bezwiednie.

– Co takiego? – zapytała Helen.

Fedderman uświadomił sobie, że wypowiedział tę myśl na głos i że został usłyszany. Pora zmienić temat.

– Penny i ja się pokłóciliśmy – powiedział. – Jak się pogodziliśmy, zapytałem, które z nas powinno teraz wysłać drugiemu czekoladki, tak w świetle nowych przepisów o małżeństwie.

– Na pewno ją to rozbawiło – stwierdziła Helen.

– Na pewno dobrze to przyjęła – rozległ się chrzęszczący głos Sala. – Założę się, że wiem, jak zareagowała.

– Niech zgodnę – wtrąciła Helen. – Wkurzyła się.

– No cóż...

Z drugiego końca pomieszczenia dobiegł ich głos Jerry'ego Lido:

– Craig Duke.

Natychniały zapadła cisza.

– Co z nim? – zapytał Fedderman.

Lido odsunął się od komputera.

– Przeszukałem sieć i dowiedziałem się o nim więcej, niż on sam o sobie wie. Jest dokładnie tym, za kogo się podaje. To sprzedawca farby, który przyjechał tu na brązową konwencję. Cała jego historia się zgadza. Jako uczestnik takich spotkań przedstawia się dość przeciętnie. Bierze udział w fascynujących dyskusjach panelowych o farbie i za dużo pije. Lubi się przechwalać. Czasem korzysta z hotelowych pań do towarzystwa, a potem wsiada w samolot, wraca do domu i tam udaje przywiązanie do rodzinnych wartości u boku żony i dzieci.

– Chyba ma fajne życie – stwierdził Fedderman.

– Taa – zamruczał Sal. – Dom, kobieta, samochód. Czegoż jeszcze mężczyźni potrzebują?

Helen się uśmiechnęła.

– Ale gadacie bzdury!

– Nieważne – uciął Lido. – W każdym razie myślę, że Craiga Duke'a możemy skreślić z listy podejrzanych.

– Zgadzam się – powiedział Sal. – Mnie on nigdy na nią nie pasował.

– Mnie też nie – potwierdził Fedderman.

Helen wzruszyła ramionami.

– A ty co myślisz? – zapytał ją Sal.

– O czym?

– O sprzedawcy farby – doprecyzował Fedderman.

– Nie zapomnijcie, że on odpada – przypomniał im Lido.

– O czym mamy nie zapomnieć? – wygłupiała się Helen.

– O kogo w ogóle chodzi? – dociekał Sal.

– Nie wiem – stwierdził Fedderman. – Zapomniałem.

Jeanine się nie zdziwiła, kiedy trzy kwadransy później wyszła z siłowni, a mężczyzna w szarym garniturze na nią czekał. Był wyższy, niż się wydawało przez okno. Ogólnie też wyglądał lepiej. Może nie był przystojny, ale z pewnością do niczego nie można było się przycepić. Nawet gdyby szukać, żadna wada by się nie znalazła. Stawał się przez to może jakby anonimowy, ale też kuszący. Uśmiechał się, zupełnie ładnie. Zęby miał białe i równe jak gwiazda filmowa. Inspekcję przeszedłby bez zarzutu.

– Widziałem cię przez okno – powiedział.

Zwolniła. Teraz oboje szli, ale niemal w miejscu.

– Widziałam, że mnie widziałeś.

– Pewnie się zastanawiałaś, co sobie myślę.

– Myślę, że wiem, co sobie myślałaś.

– Nie, nie – powiedział. – To nie tak, a w każdym razie nie do końca tak. Ja po prostu... – Przez chwilę szukał słów, ale potem wzruszył ramionami. – Po prostu chciałem cię poznać.

– No proszę, to właśnie się poznajemy.

– Ja się nazywasz? Czym się zajmujesz? W ogóle pracujesz? Czy masz... Mój Boże, mam nadzieję, że nie masz męża... Masz?

Musiła się roześmiać.

– Nie mam – wyznała.

– A masz kogoś?

– Chwilowo nie.

Ocierając czoło, udał wielką ulgę.

– Tak sądziłem, ale i tak mi ulżyło. Mój wewnętrzny głos mnie nie zawiódł.

Jeanine się zatrzymała.

– Twój wewnętrzny głos?

Dostrzegł zmartwienie na jej twarzy, więc się roześmiał:

– Nie, nie taki głos. Jestem zupełnie zdrowy na umyśle. Chodzi o głos, który przemawia do prawie wszy stkich mężczyzn. Ten, który mówi: „Musisz nawiązać znajomość z tą kobietą”.

Jego szeroki uśmiech zdawał się krzy czeć: „Jestem normalny!”. Wszystko w tym facecie było normalne. Zupełnie bez zarzutu. Chyba się cieszył, że się zatrzymali.

– Nazywam się Thomas Gunn. Mam trzydzieści dziewięć lat, jestem po jednym rozwodzie, ale to było dawno temu. Nie mam dzieci. Zajmuję się nieruchomościami, a za trzy tygodnie przeprowadzam się do Nevady. Jestem członkiem spółki, która będzie tam budować mieszkania.

– Czy to nie kiepski moment na takie przedsięwzięcie? – zapytała. – Przy dzisiejszej koniunkturze.

Uraczył ją szerokim uśmiechem.

– Nie, jeśli się buduje z myślą o kasy nach. Tacy nabywcy lubią ryzyko.

Jeanine potrafiła dostrzec w tym jakiś sens.

– Jestem Jeanine Carson – powiedziała. – Bezrobotna konserwator ka sztuki, a czasami także doradca finansowy.

– Stawiałem na modelkę – odparł. – Albo na aktorkę.

– Ja chciałam strzelać, że jesteś aktorem albo zawodowym sportowcem.

Jednocześnie się roześmiali i pokiwali głowami, przyznając w ten sposób bez słowa, że przyłapali to drugie na wciskaniu kitu. Nie na kłamstwie, lecz na wciskaniu kitu właśnie. Jeanine

wyraźnie rozróżniała te dwie kategorie. Wciskanie kitu to forma zabawy. Kłamstwa to... zupełnie coś innego. Kłamstwa szkodzą ludziom. Kłamstwa poniżają. Kit w pewnym sensie działa odwrotnie. Jeśli wszyscy zainteresowani znają zasady gry, to nikomu nie dzieje się krzywda.

– A co ci teraz mówi ten twój wewnętrzny głos? – zapytała Jeanine.

Odpowiedział bez wahania:

– Że powinienem zaprosić tę piękną kobietę dzisiaj na kolację.

– To wszystko?

Pochylił głowę na bok, jak gdyby nasłuchiwał.

– Właśnie tego się spodziewałem – stwierdził. – Powiedział, że poza kolacją cała inicjatywa należy już do pani.

Jeanine odgarnęła zbłąkany kosmyk włosów znad oczu. Wiedziała, że to robi na mężczyznach wrażenie. Cierpliwość. Ostrożność. Lekki opór. Na pewno większy niż to, co dotychczas zaprezentowała. Znała zasady. Odwieczne reguły. Tylko ten facet miał w sobie – jak to mówią – to coś. Powiedziała więc:

– Lubię ten twój wewnętrzny głos.

Rozdział 17

Sarasota, 1992

Dwayne zatrzymał się w ciemnym korytarzu przed drzwiami sypialni, w której spali jego ojciec i Maude. Serce waliło mu jak wielki ptak, który łopocze skrzydłami, by za wszelką cenę uwolnić się z jego ciała. Wiedział, że się zmęczyli i teraz będą spać głęboko. Uprawiali seks, a potem wysłali Dwayne'a na dół po drinki. Maude zamówiła whiskey sour, a ojciec Jacka Daniela z lodem. Potem kazali mu wracać do swojego pokoju.

Leżał tam ponad godzinę, przez większość czasu nasłuchując chrapania ojca. Maude nie chrapała, ale Dwayne wiedział, że też śpi. Znał dobrze ich nocne zyczaże.

Znał również ich plany.

Rano ojciec i przyszła macocha mieli wsiąść na pokład samolotu lecącego do Las Vegas. Tam zamierzali wziąć ślub i spędzić weekend na popijaniu drinków przy grach hazardowych. Dwayne słyszał wcześniej, jak o tym rozmawiali, gdy leżał obok nich wyczerpany. Mówili cicho, chociaż najwyraźniej myśleli, że śpi i ich nie słyszy. To tylko potwierdzało jego wcześniejsze informacje. Nauczył się prowadzić nasłuch za pośrednictwem systemu klimatyzacji zamontowanego w wielkim domu. Maude powiedziała o planach małżeńskich Billowi Phoenixowi po południu jeszcze tego samego dnia, kiedy Dwayne po raz pierwszy o nich usłyszał. Bill Phoenix i Maude snuli własne plany. Miesiąc po zaślubinach ojciec Dwayne'a miał zginąć w wypadku żeglarskim. Maude odziedziczyłaby majątek, a po kilku miesiącach wyszłaby za Billa Phoenixa. W ten sposób on również stałby się bogaty. Przeznaczyliby pewną kwotę na to, aby Dwayne nie wchodził im w drogę. Miał się uczyć w dobrej szkole z internatem tyle, ile trzeba, a potem znaleźć pracę. Wtedy mogliby o nim zupełnie zapomnieć. Maude sugerowała, że Dwayne również mógłby wziąć udział w wypadku żeglarskim, ale Bill Phoenix nie chciał mieć na sumieniu dziecka. Maude na to powiedziała: „Jak chcesz. Możemy trochę poczełać”. Dwayne

wiedział, że on czekać nie może.

Gdy więc zszedł po schodach po drinki, włożył spodnie i przykleił wewnątrz nogawki długi kuchenny nóż. Do drinków zaś dorzucił dodatkowy składnik, a mianowicie tabletki nasenne Ambien, które wcześniej rozgniół między dwiema łyżeczkami. Teraz siedział po turecku w mroku korytarza, plecami oparty o ścianę, i nasłuchiwał. Dżinsy już zdjął i siedział nago. Nie przejmował się odciskami palców. Przecież tu mieszkał.

Odetchnął, unióśł nóż w prawej dłoni i spojrział na niego. Ten nóż miał rozwiązać wszystkie jego problemy. Był o tym przekonany. Lekko przy ciskając go do dywanu, w ciszy wczuł się do sypialni, choć głośniejsze chrapanie ojca zagłuszyłoby właściwie każdy dźwięk, może poza krzykiem. Pomiędzy kolejnymi odślonami sennego charkotu ojca Dwayne słyszał również łagodny, spokojny oddech Maude. Alkohol i tabletki zrobiły swoje.

Dwayne wstał i podszedł do łóżka. Ojciec leżał na plecach z jedną ręką pod głową. Spał nago, z odsłoniętą klatką piersiową. Maude odwróciła się na bok, plecami do niego. Włożyła z powrotem niebieską koszulę nocną, ale majtek już nie. Kołdra zsunęła się jej do kolan, więc Dwayne stał przez moment zauroczony krzywizną jej pośladków i bioder. Pomyślał, że do złudzenia przypomina postacie ze średniowiecznych obrazów, które oglądał w muzeum.

Uważając, żeby nie zbudzić Maude, Dwayne nachylił się nad ojcem i wprawnym ruchem wepchnął mu długie ostrze pod mostek prosto w serce. Oparł się na nożu, obrócił go i popchnął. Poczł ciepłą krew na dłoniach i nadgarstkach.

Ojciec trochę pomachał nogami, przestał chrapać i kilka razy ochryple zajęczał. Potem znieruchomiał. Nie otworzył nawet oczu. Dwayne z zaskoczeniem stwierdził, że z jego śmiercią poszło mu jakoś tak zbyt łatwo.

Z Maude miało być inaczej.

Poszedł do szafy i wyjął kilka jedwabnych krawatów ojca. Na środku jednego z nich zawiązał duży supeł. Pozostałe położył na łóżku obok Maude.

Maude uchyliła powieki i spojrziała na niego. Gdy zorientowała się w sytuacji, otworzyła oczy bardzo szeroko. I usta, żeby krzyknąć. Ale wtedy Dwayne wepchnął w nie zawiązany w supeł krawat. Zamocował go z tyłu na szyi. Sięgnęła za głowę rozczapierzoną dłonią, ale on lekko ją trącił i sprowadził na dół. Przewrócił Maude na brzuch i związał jej nadgarstki drugim krawatem. Wybrał do tego celu taki w paseki, który mu się nigdy nie podobał.

Kobieta zaczęła wierzgać, ale Dwayne tego się właśnie spodziewał i odpowiednio się przygotował. Przytrzymał jej nogi razem i czekał, aż się zmęczy. Potem usiadł na nich i związał kostki, a następnie kolana. Zaczęła się rzucać i raz po raz wydawać z siebie niskie, szalone jęki. Dwayne zrozumiał, że zobaczyła właśnie martwe ciało obok siebie.

Obrócił ją tak, żeby znowu znalazła się na plecach. Cały czas jęczała. Widok martwego ojca Dwayne'a ją przerażał, więc utkwiała szeroko otwarte oczy w suficie. Zaczęła machać obiema nogami, więc owinął je ściśle kołdrą, żeby ograniczyć jej ruchy. Stał nad nią, wiedząc, że nic nie może zrobić. Nóż ciągle jeszcze sterczał z klatki piersiowej ojca. Dwayne go wyjął. Ostrze wychodziło łatwiej, niż wchodziło. Uniósł je, żeby Maude musiała na nie spojrzeć. Krzyknęła przez węzeł, ale Dwayne nie miał wątpliwości, że nie słyhać jej nawet za drzwiami pokoju, a co dopiero poza murami domu. Uśmiechając się do niej, przyłożył delikatnie nóż prosto do jej odsłoniętego gardła. Utkwiła w nim przerażone oczy. Nie mogła odwrócić wzroku. Jej wystraszone spojrzenie błagało go o litość.

Dwayne nie potrafił przestać myśleć o tym, jak łatwo mu poszło z ojcem. Po prostu umarł i przeszedł na drugą stronę. Albo poszedł do piekła. Maude miała cierpieć za nich oboje. Za to, co zrobili. Za to, kim byli. Za to, kim i czym on się stał. W ostatnich chwilach swojego życia miała się przekonać, że teraz należała do Dwayne'a. I będzie tak aż do końca jej czasu. Będzie niczym dzieło sztuki, niczym piękny przedmiot na zawsze zatopiony w burszynie. Niezależnie od tego, co właściwie stanie się z jej ciałem.

Z nożem cały czas leżącym na jej gardle Maude powiodła za nim wzrokiem, gdy podszedł do biurka i chwycił paczkę papierosów, które leżały obok portfela i kluczy ojca. Znajdowała się tam również cenna złota zapalniczka.

Dwayne wrócił do łóżka. Właściwie nie palił. Oboje wiedzieli, że on nie pali. Obserwował, jak ona wpatruje się w papierosa zbliżającego się do jej ciała.

Rozdział 18

Quinn wiedział, że Helen kręci się po biurze i czeka, aż pozostali sobie pójdą. Gdy wszyscy wyszli, żeby zająć się przeróżnymi sprawami, przysunęła drewniane krzesło do jego biurka i usiadła na wprost niego.

– Renz postanowił wyčerpujaco informować media – powiedziała.

Quinn bezwiednie sięgnął do szuflady po cygaro. Wyciągnął jedno z kubańskich robusto zapakowanych w metalowe etui. Helen się uśmiechnęła i stwierdziła:

– Jeśli to cygaro cię nie zabije, to zrobi to Pearl.

– A niby skąd się o nim dowie? – zapytał Quinn.

Helen cały czas się uśmiechała. Odłożył cygaro.

– Domyślam się, że Renz kazał ci poinformować mnie o tym swoim zamiarze.

– Tak. Chce wiedzieć, co o tym myślisz.

– Właściwie to się z nim zgadzam. To wszystko i tak wycieknie. Przy najmniej w ten sposób wszystkie karty zostaną wyłożone na stół.

– Zgodnie z instrukcją Renza zgłosiłam się do Minnie Miner. Mam wystąpić w jej programie w jego zastępstwie.

– Minnie się ucieszyła?

– Jak kot podczas obcinania pazurów...

Quinn zamknął szufladę.

– Lepiej, że to ty, niż gdybym to miał być ja.

– Minnie wolałaby rozmawiać z tobą. Albo choćby z Renzem...

– To nie najlepszy pomysł – uznał Quinn. – Nie chciałbym jej okłamywać, a mogłoby to być konieczne. Renz za to chętnie by jej pomataczył.

– Czy li jednak nie wszystkie karty zostaną wyłożone.

– Niewykluczone, że kilka sobie zostawię w rękawie.

Helen skrzyżowała ramiona. Nogi już miała skrzyżowane. Najwyraźniej zamierzała coś jeszcze powiedzieć.

– Chcesz wiedzieć, co myślę?

– Zastanawiasz się, czy nie poprosić mnie o cygaro? – zasugerował Quinn.

– W żadnym razie.

– To dobrze. No więc o czym myślisz?

– O wielu rzeczach, przy czym wszystkie są istotne.

Quinn rozsiadł się wygodnie, przy bierając wyczekującą pozycję.

– W tej kwestii zawsze można na ciebie liczyć, Helen.

– Nasz zabójca, bez względu na to, czy to ciągle ten sam D.O.A., czy nie, wkrótce ponownie zabije.

Quinn doszedł już do tego wniosku, ale wolał usłyszeć, co Helen o tym myśli. Może to samo, co on.

– To masowe zabójstwo to była pomyłka. Chociaż sam zabójca mógł to uznać za szczęśliwy traf. Wchodząc do pokoju Andrii Bell, nie miał pojęcia, że drzwi do sąsiedniego będą otwarte. Prawdopodobnie w ogóle nie podejrzewał, że ten pokój to apartament. Nagle jednak znalazł się w środku, z nożem i w towarzystwie sześciu kobiet.

– Mogło tak być – stwierdził Quinn.

– No dobrze. Jak już unieszkodliwił Andrię, to zgromadził dziewczęta w przyległym pokoju i groźbami zmusił jedną z nich, żeby mu pomogła związać i zakneblować pozostałe. Sam związał i zakneblował tę jedną, tę swoją przerażoną pomagierkę, a potem przystąpił do tej swojej dziwacznej zabawy.

– Długo to jednak nie trwało – ocenił Quinn, przypominając sobie charakter obrażeń odniesionych przez ofiary. Najdłużej była torturowana Andria Bell.

– To Andria go tak naprawdę interesowała – stwierdziła Helen. – To ona posiadała informacje, które chciał zdobyć. Cała ta zabawa z pięcioma pozostałymi, tak bardzo w stylu Richarda Specka, po części odbyła się z konieczności i dla rozrywki, ale po części również po to, żeby wzbudzić sensację w mediach. On chciał od razu zasłynąć.

– I mu się udało – stwierdził Quinn. – Choć pewnie liczył na więcej.

– Nigdy nie dostanie tyle, ile by chciał. Chodzi o to, że bez względu na to, czy zabiłby w tym pokoju hotelowym pięć, dziesięć, czy piętnaście kobiet, z punktu widzenia jego motywacji przyniosłoby to dokładnie taki sam efekt, jak gdyby zabił tylko jedną.

– Tak sądzisz? – zapytał Quinn.

Helen skinęła głową.

– Obsesje kształtują pewien harmonogram działań, a nie liczbę ofiar.

Quinn oparł łokieć na biurku i splótł palce.

– Twierdzisz, że on nie ma innego wyboru, jak tylko karmić tę swoją obsesję...

Helen odpowiedziała:

– Podsycił w sobie apetyt, który jest teraz pewnie niemały.

– Wspomnisz o tym podczas rozmowy z Minnie Miner? – zapytał Quinn.

– Tak Zobaczmy, co mi na to powie.

– Czy to nie ona tam zadaje pytania?

– Jej się na pewno tak wydaje.

Quinn rozplótł palce i znów rozparł się na krześle.

– Helen, czy masz mi do powiedzenia cokolwiek choćby odrobinę pozytywnego?

Helen się uśmiechnęła.

– Jak tylko sobie pójdę, będziesz mógł zapalić to cygaro.

Quinn jednak nie sięgnął po nie. Za kilka godzin miał się spotkać z Pearl na kolacji. Wiedział, że wyczułaby dym na jego ubraniu. Ale gdyby nawet Pearl była akurat przeziębiona, to dym wyczułaby z pewnością jej córka Jody – i to ona by go zdemaskowała. Jody bowiem została donosicielem Pearl, ale Quinnowi też przekazywała pewne informacje. Stukając palcami w biurko, Quinn snuł rozważania. *Cała cholerna rodzina – wszyscy tacy sami.* Ta myśl na chwilę go rozdrażniła. *Być może Renz ma słuszny pogląd na świat.*

Rozdział 19

Thomas Gunn, z którym Jeanine Carson się umówiła, pojawił się co prawda po drugiej stronie ulicy, ale jej nie zauważył. Gdy światło na skrzyżowaniu się zmieniło, przekroczył przejście i ruszył w kierunku jej budynku. Miał na sobie lekkie beżowe spodnie i granatowy albo czarny blezer. Lekką kurtkę niósł przewieszoną przez ramię. Jeanine nie słyszała, żeby zapowiadali deszcz, nie bardzo więc rozumiała po co.

Gdy uśmiechnął się na jej widok, od razu opuściły ją wszelkie wątpliwości. Lekko kulejąc, podszedł do niej. Stała na chodniku tuż przed swoim budynkiem.

– Nie sądziłem, że wyjdiesz mi na spotkanie – powiedział.

Długa blada blizna z boku jego twarzy zmarszczyła się pod wpływem uśmiechu. Było to nawet seksowne. Thomas Gunn sprawiał wrażenie zadowolonego z inicjatywy, którą się wykazała. Jak gdyby mu to schlebiała.

– To dla ciebie. – Spod złożonej kurtki wy dobył butelkę czerwonego wina. – Australijskie, naprawdę dobre. Przyjacieli mi je polecił.

– Pasuje do wietnamskiej kuchni?

– Pewnie. Pasuje do wszystkiego. Jeśli myślisz o tej wietnamskiej restauracji dwie przecznice stąd, to znaczy, że nadajemy na tych samych falach.

– Dokładnie o tej – powiedziała. Może rzeczywiście to był znak, że myśleli podobnie. Nabierając coraz lepszych odczuć co do Thomasa Gunna, dodała jeszcze: – Możemy wypić wino do posiłku albo skonstruować je potem.

– Potem?

– W sensie po kolacji. – *Tak, akurat.* Oboje wiedzieli, jakie możliwości przed nimi stoją.

Uśmiechnął się i skinął głową. Wiedział, że w takim momencie nie powinien naciskać. Połowa sukcesu to lekko je upić. Uspokoić je. *Ta butelka to połowa sukcesu.*

Obiad minął im szybko. Jakieś jedzenie, jakaś muzyka. Kobieta śpiewała, zapewne po wietnamsku, do akompaniamentu instrumentu strunowego, choć jego zdaniem brzmiało to tak, jak gdyby flet ugrzązł jej w gardle. Nie potrafił wymówić połowy nazw potraw, mimo to mu smakowały. Jeanine zaś skubała jak wróbelek. Po kolacji wypili zieloną herbatę, zupełnie bez zarzutu. Butelka wina ciągle jeszcze pozostawała nietknięta. Z tym też zabójca nie miał problemu. Niech sobie dojrzewa. Nawet jeśli nie będzie jej smakować potem, już u niej w domu, to też się nic nie stanie. Jeśli oczywiście choć lampkę wypije do dna. Dziwny posmak wino zawdzięczało ketaminie, jednej z tabletek gwałtu, które stosował. Założył, że przy odmierzonej przez niego dawce Jeanine powinna mu bardzo szybko ulec. Zachowa trzeźwość umysłu, ale jej mięśnie nie będą reagować na sygnały płynące z mózgu. Jej ciało będzie należało do niego. Potem zaś zawiadnie jej umysłem. A potem pojawi się prawda.

Restauracja dopuszczała możliwość wnoszenia własnego alkoholu, nikt więc nawet nie mrugnął okiem, kiedy zrezygnowali z dodatkowej porcji herbaty i postanowili przed wyjściem wypić trochę wina.

– Jak to możliwe – zapytała Jeanine, jeszcze zanim zaczęła odczuwać skutki działania ketaminy – że nie ma cię na Facebooku?

– Wolę Twittera – odparł.

– Tam też patrzyłam. – Zaczynała niewyraźnie mówić.

– Musiałś mnie przeoczyć. Jeśli masz komputer, to ci pokażę, jak wrócimy do ciebie.

– Dobrze – odparła.

Spojrzał na zegarek, jak gdyby mieli dotrzeć dokąds na określonej godzinie i jak gdyby powoli brakowało im czasu. Jeanine jakoś dziwnie się poczuła. Miała wrażenie, jak gdyby restauracja nagle stała się bardziej przestronna, a ona sama...

– Chyba się kurczę – powiedziała tonem charakterystycznym dla obiektywnej obserwacji.

Uśmiechnął się.

– To niemożliwe.

Co on chciał przez to powiedzieć? Co, u licha...

Zobaczyła, jak prosi o rachunek Jakby w zwolnionym tempie obserwowała, jak płaci gotówką i – sądząc po wylewnych podziękowaniach kelnera – zostawia duży napiwek. Ni stąd, ni zowąd znaleźli się na ulicy. On ciągle trzymał w dłoni złożoną kurtkę przeciwdeszczową, zabrał też z sobą butelkę z winem. Chodnik jakby lekko uciekał jej spod nóg, więc się na nim wsparła. Poklepał ją po dłoni, którą – jak właśnie zauważyła – kurczowo się go trzymała.

Dalej szli pod ramię. Wszystko wyglądało dość normalnie, tylko ona czuła się ciągle jakaś taka malutka. Próbowwała coś na ten temat powiedzieć do Thomasa, ale nie potrafiła wyartykułować słów. Jej głos, który zdawał się pobrzmiwać jakieś pół metra czy metr z boku od niej, wypowiedział coś zupełnie niezrozumiałego. Niedaleko nich stał lekko zgarbiony mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym, chociaż nie padało. Głowę miał jakby nieco przesuniętą względem ramion.

– Pani się dobrze czuje? – zapytał z troską w głosie.

– Dobrze – powiedział Thomas, wywracając oczami. – Znowu trochę za dużo wypiła.
Przecież to nieprawda...

Zobaczyła budynek, w którym mieszkała. Weszli do przedsionka, a potem do środka. Nagle znaleźli się w windzie. Co się, do licha, stało z czasem? *Na szczęście Thomas jej towarzyszy.* Pomógł jej pokonać korytarz prowadzący do drzwi jej mieszkania. Bez niego na pewno by tam nie dotarła. *Dzięki Bogu!*

– Mam klucz – zdołała powiedzieć.

Roześmiał się cicho.

– Na to liczyłem, kotku.

Kotku... Jak miło!

*

Obudził ją ból pleców. Odzyskując świadomość, przypomniała sobie, że towarzyszył jej Thomas Gunn.

– Thomas... – chciała powiedzieć, ale coś, co swoją jedwabną strukturą przypominało jej majtki, uniemożliwiło jej wypowiedź. Z jej ust wydobył się tylko stłumiony dźwięk.

On trzymał w rękach nóż o długim ostrzu. Sprawnie poruszane narzędzie co chwila odbijało światło.

Zaczął od pach, zupełnie nic sobie nie robiąc z jej stłumionych krzyków. Ból był niesamowity, całe jej związane ciało aż drżało i podskakiwało na stole. Poczula, że pęcherz jej się opróżnia. Ale był na to przygotowany, bo wytarł stół wokół niej zwiniętą ściereką do naczyni.

– Niezły bałagan – stwierdził.

Rzucił ścierekę na podłogę, po czym chwycił nóż tak samo jak przed chwilą. Tym razem zobaczyła na nim krew. Swoją krew. Zaczęła kwilić.

Cierpliwie czekał. Gdy umilkła, powiedział:

– Usunę teraz knebel, a ty będziesz cicho, chyba że coś do ciebie powiem. Zrozumiano?

Szyja ją zabolala, gdy kiwała głową. Uśmiechnął się do niej, jak gdyby właśnie oddawali się miłosnym igraszkom, po czym powoli wyjął jej z ust zwinięte w kłębek majtki. Oczywiście miała szeroko otwarte, nawet nie mrugnęła. Nie wydała z siebie ani jednego dźwięku.

– No proszę – powiedział, gdy już usunął knebel.

Unosił nóż tak, żeby go widziała, po czym zaczął nim obracać, żeby odbić w nim światło. Przyłożył jej końcówkę ostrza tuż poniżej krtani i nacisnął lekko. Chociaż nie przeciął skóry, mocno ją to zakłuło. Jak to kłuło! Wystarczyłoby, gdyby nacisnął trochę mocniej i...

Całe jej ciało zaczęło drżeć. Rozsunął palce wolnej dłoni i położył ją na miękkich, poruszających się mięśniach brzucha. Widział, czuł i doskonale wiedział, jak bardzo się bała. Strach całkowicie pozbawił ją wszelkiego oporu, na który mogłaby próbować się zdobyć. Nie spodziewał się zatem żadnych nieporozumień. Przesunął nóż wyżej i jego końcówka znalazła się na jej czole – tam, gdzie miał wkrótce wyciąć swoje inicjały. Poczul pod palcami jeszcze

silniejsze drżenie. To tylko wzmogło w nim doznanie wy czekiwania, tylko przyspieszy ło mu tętno. To była kobieta, która czyta ła gazety, śledzi ła wiadomości. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wiedzi ła, z kím ma do czynienia.

Ona za ś nie radzi ła sobie z własn ym strachem. Zrobi ła by wszystko, co tylko by jej nakaza ła. Mog ła liczy ć jedynie na niewielkie przy słu gi.

– Dobrze – powiedzi ał. – To teraz sobie poroznawiamy.

Nie wspomni ał, że potem przyjdzie im przeży ć wspólnie, cho ć z róznych perspektyw, niesamowite doświadczenie przeistoczenia. Oboje, cho ć z bardzo róznych powodów, czekali na nadchodz ące chwile z utęsknieniem.

Rozdział 20

Anglia, 1940

Betsy wreszcie skończyła zmianę. Bardzo się z tego powodu cieszyła, bo zbliżała się do granic własnej wytrzymałości. Nie chciała zażywać leków, którymi posiłkowały się inne pielęgniarki, żeby sztucznie dodać sobie energii. Przekonała się, do czego to ostatecznie prowadzi – niewyraźna mowa i wychudła twarz, które dodają młodym kobietom lat. Niekiedy leki prowadziły też do załamania nerwowego. Betsy piła tylko herbatę, jedną filiżankę za drugą, przegryzała też czekoladki, które zawierały dość cukru i kofeiny, żeby dodać jej siły. Ludzkie ciało jednak ma swoje granice i Betsy zdawała sobie sprawę, że za chwilę znacznie się trząść i straci zdolność koncentracji. Zasadniczo pielęgniarka musi pracować pomimo skrajnego zmęczenia, kiedy indziej zaś powinna zrozumieć, że dalszy wysiłek przynieść może więcej szkody niż pożytku.

Narzuciła więc na swój fartuch lekką kurtkę i udała się do przepastnych piwnic pod szpitalem. Naziemna część budynku została zbombardowana, a po ataku pozostało sporo gruzów. Wałący się strop wzmocniono drewnianymi podporami, a szczeliny zabezpieczono brezentem przed deszczem. Mimo wszystko trzeba było uważać na kałuże i ostrożnie poruszać się w wilgotnej ciemności. Każdy kawałek podłogi zajmowały jako tako ułożone osobiste przedmioty należące do pacjentów – oznaczone etykietą wskazującą zawartość pakunku oraz nazwisko właściciela.

Zapach piwnicy przyprowadził Betsy o mdłości, wiedziała jednak, że musi odebrać plecak Henry'ego Tuckera przed końcem tygodnia, wtedy bowiem usuwano rzeczy należące do zmarłych, żeby zrobić miejsce na kolejne bagaże.

Zbiór przedmiotów należących do Tuckera niespecjalnie różnił się od pozostałych, tyle że zawierał plecak, który nie stanowił elementu munduru ani wyposażenia Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Inni ewakuowani z zalanej krwią plaży Dunkierki też przywozili z sobą różne nieoficjalne bagaże, niekiedy nawet małe walizki, nikogo więc to nie dziwiło. W Dunkierce

panował chaos, a ludzie leżący na szpitalnych łóżkach wyraźnie wspominali o tym, że obowiązywała tam tylko jedna zasada: liczyło się przetrwanie.

Betsy spojrzała na resztę rzeczy należących do Tuckera. Złożony w pośpiechu zakrwawiony mundur, bez hełmu, który zabrali albo Niemcy, albo morze. Skarpetki i bieliznę najwyraźniej ktoś wyrzucił. Na ubraniu leżała jeszcze para znoszonych i ubłoconych ciężkich butów. W jednym z obcasów znajdowała się świeża dziura, jak gdyby ślad po kuli, która niemal dosięgła nogi Tuckera. Za pomocą ołówka Betsy skreśliła z etykiety plecak, po czym przygniotła ją jednym ze złachanych butów. Uśmiechnęła się przy tym, bo w pewnym sensie sama czuła się tak samo złachana jak one.

Podejrzewając, że to najprawdopodobniej zmęczenie trochę miesza jej w głowie, po prostu podniosła plecak – który okazał się cięższy, niż przypuszczała – po czym chwyciła go za jeden pasek i skierowała się do wyjścia. Już w drzwiach została jeszcze wezwana do dyżurki przez siostrę Norę. Przełożona pielęgniarek też była zmęczona. Jej krępką twarz, pokrytą kropelkami potu, okalały cienkie włosy w nieładzie. Gestem wezwała Betsy do krawca długiego biurka, przy którym mogły porozmawiać bez obaw, że ktoś je usłyszy.

– Zgłosiła się tu wcześniej jakaś kobieta w sprawie Henry’ego Tuckera – powiedziała Nora, intensywnie wpatrując się w twarz Betsy.

Betsy była zaskoczona.

– Nie wiedziała, że on nie żyje?

– Wiedziała, wiedziała. Zgłosiła się po ciało oraz po jego rzeczy.

– Ale żona Henry’ego nie żyje – powiedziała Betsy.

Siostra Nora skinęła głową.

– Wiem. Zginęła potrącona na rowerze przez ciężarówkę. Taka informacja znalazła się w dokumentach dotyczących przyjęcia pacjenta.

– Co pani zrobiła?

– Odesłałam ją. Pokazałam jej to i już więcej się nie odezwała. – Starsza kobieta podała Betsy kopertę, na której widniało jej nazwisko. – Pozwoliłam sobie to otworzyć i przeczytać, a to z uwagi na zakaz nawiązywania osobistych relacji między pacjentami a pielęgniarkami.

– Przecież...

– Przeczytaj to – powiedziała Nora. – W tym liście Henry Tuckler pozostawia wszystkie swoje dobra doczesne tobie.

– To testament...

– Można tak powiedzieć – powiedziała Nora Dreadwater.

Betsy szybko przeczytała list. Był to prosty komunikat z dopiskiem „Twój”.

– Przypuszczam – stwierdziła siostra przełożona – że list odnosi się do plecaka i jego zawartości.

– Ja też tak przypuszczam – odparła Betsy.

Nora się uśmiechnęła.

– Zaglądałaś do środka?

– Nie.

– To poczekaj z tym, aż wrócisz do domu, żebyś nie musiała kłamać, jeśli ta kobieta wróci tu z jakimś przedstawicielem władz.

– Tak zrobię. – Betsy uniosła plecak z podłogi. – Dziękuję.

- Nie widziałyśmy się, a ta rozmowa się nie odbyła.
- Nie, proszę pani.

*

W połowie drogi do domu zatrzymał się przy niej taksówkarz. Widząc ciężki plecak, zaproponował, że podwiezie ją tam, dokąd idzie, za darmo. Betsy wiedziała, że to z powodu pielęgniarskiego stroju, który wystawał spod lekkiej kurtki, ale tak czy owak była kierowcy wdzięczna. To niesamowite, jak wojna wyzwalała w Brytyjczykach to, co najlepsze. Betsy pomyślała, że gdyby Hitler zdawał sobie z tego sprawę, musiałyby zrozumieć, że Niemcy nie mają szans.

Wsiadając na tylną kanapę taksówki, zauważyła, że za kierownicą siedzi mężczyzna po sześćdziesiątce z czarną opaską na jednym oku.

– Gdyby nie takie kobiety jak pani podczas ostatniej wojny, na drugie oko też bym nie widział – powiedział z krzywym uśmiechem.

– Takich jak ja jest bardzo wiele – zapewniła go Betsy, zamykając drzwi taksówki.

Kierowca włączył bieg i samochód potoczył się do przodu.

– Nie może pani tego wiedzieć – powiedział – ale właśnie do pani mrużam.

*

Po powrocie do domu z ulgą odłożyła ciężki plecak. Najpierw chciała od razu go otworzyć, ale coś ją powstrzymało. Spodziewała się znaleźć w środku należące do Tuckera ubranie na zmianę, może jakieś sztuce wydane przez armię, drugą parę butów czy inne przedmioty osobiste. Na razie jednak wsunęła pakunek pod łóżko, a sama położyła się na nim, myśląc przy tym, że jeszcze chyba nigdy nie była tak zmęczona.

Znała też prawdziwy powód, dla którego starała się zapomnieć o plecaku. Wiedziała, że będzie go otwierać z bolącym sercem, ponieważ znajdzie w nim przeróżne przedmioty przywołujące wspomnienia o Henrym Tuckerze. Chociaż znali się krótko, jego śmierć pozbawiła ją kogoś bliskiego. Teraz Betsy nie chciała sobie o tym przypominać. Sen miał jej pomóc przed tym uciec.

*

Betsy zdolała zapomnieć o tym plecaku tylko na jakiś czas. W końcu żal ustąpił miejsca ciekawości i wyciągnęła bagaż spod łóżka. Ciężar plecaka po raz kolejny ją zaskoczył. Położyła go na łóżku i usiadła z boku, żeby rozpiąć wszystkie sprzączki i guziki.

Gdy otworzyła kłapę, poczuła zapach szpitala – zwęglonego mięsa, środków antyseptycznych i starego ludzkiego potu. Usłyszała nocne krzyki. Spora część tych dźwięków pochodziła jednak zapewne z jej głowy, nie z plecaka.

W środku nie znalazła właściwie niczego, co mogłoby stanowić osobistą własność kaprala Henry'ego Tuckera. Niczego, co by przywołało bolesne wspomnienia o nim. Zawartość albo zdążyła już całkowicie wyschnąć, albo pozostała leciutko wilgotna, ale nadal pachniała wodami kanału, które próbowały pochłonąć Tuckera. Wpatrywała się w adres zapisany na poplamionej wodą, złożonej kartce papieru, która została przypięta do przedmiotu owiniętego niczym mumia we francuską gazetę i przewiązanego metrami taśmy. Poza tym w plecaku znajdowały się dwie zamknięte koperty, każda opatrzona nazwiskiem – jedna mężczyzny, druga kobiety. Żadnego Betsy nie знаła. Tusz co prawda trochę nawilgł i się rozmazał, ale litery pozostały czytelne.

Trzecia koperta została przypięta zszywaczem do gazetowego pakunku i Betsy jej w pierwszej chwili nie zauważyła. Ona również pozostała zamknięta. Wprawna dłoń zaadresowała ją do pana Gundelheimera.

Betsy nie wiedziała nic o tych listach, wiedziała natomiast, że Henry zamierzał dostarczyć ciężki przedmiot pod adres zamocowany do opakowania, do pana Gundelheimera, kimkolwiek on był. Paczka została zawinięta w taki sposób, że odbiorca z pewnością zorientowałby się, gdyby ktoś próbował uszkodzić fragment opakowania i podejrzeć zawartość. Betsy rozumiała, że nie powinna w ogóle zaglądać do środka.

Zbliżał się zmierzch. Po ewakuacji Dunkierki naloty ustały, ale teraz bombowce znowu się pojawiały, głównie w nocy. Betsy wiedziała, że jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze dostarczyć paczkę pod wskazany adres i tym samym wyświadczy Henry'emu Tuckerowi ostatnią przysługę. Dała słowo i musiała go dotrzymać. Na myśl o Henrym Betsy westchnęła. Niewątpliwie coś między nimi było, coś więcej niż tylko relacja między pacjentem a pielęgniarką. Gdyby tylko Tucker przeżył...

Spojrzała na swój pielęgniarski zegarek. Ciągle jeszcze miała czas. Miała do wypełnienia obowiązków, tym razem nie o charakterze zawodowym.

Włożyła wszystko z powrotem do plecaka i go uniosła. Był naprawdę ciężki. Dała jednak radę. Postanowiła nieść go zgodnie z jego przeznaczeniem, postawiła go więc prosto na skraju stołu, oparła się o blat, po czym wsunęła ramiona w paski i wstała.

Paski wpiły się jej w ramiona, co trochę bolało, ogólnie jednak z racji swojej szerokości zupełnie nieźle rozkładały ciężar. Dopasowała ich długość, żeby nieść ciężar wygodniej, po czym zgodnie ze wskazówkami zawartymi na kartce ruszyła w kierunku Treasure Island Collectibles, sklepu przy Dalenby w okolicach Clerkenwell Road. Całkiem dobrze znała te okolice. Być może pod wskazanym adresem zastanie właśnie pana Gundelheimera.

Zamknęła za sobą drzwi do swojego skromnego, wynajmowanego pokoju, po czym ostrożnie zeszała po skrzypiących drewnianych stopniach. Mogłaby wziąć taksówkę, ale nie miała za dużo

pieniędzy. Gdy ruszyła odpowiednio szybkim krokiem, plecak przestał jej tak bardzo ciążyć.

Czekał ją zaledwie dwudziestominutowy spacer. Szła ulicami, mijając zarówno przecznice całkowicie zburzone, jak i zupełnie nietknięte. Niemieckie bomby spadały, gdzie chciały. W pewnym momencie Betsy stwierdziła, że cały czas przyspiesza kroku, podobnie zresztą jak inni. Ludzie nie chcieli przebywać na zewnątrz dłużej, niż to było konieczne. Bombardowania odbywały się wprawdzie zwykle dopiero w późniejszych godzinach, gdy zapadał całkowity mrok, ale wróg czasami zmieniał taktykę, żeby zaskoczyć ofiary.

W końcu Betsy dotarła na Clerkenwell. Widok zniszczonej ulicy trochę ją załamał. Wąska i kręta uliczka Dalenby też nie została oszczędzona. Betsy kręciła się pośród ruin i zgłiszcz. Sterty popiołu nie zdążyły jeszcze wyschnąć po interwencji straży pożarnej, czyli budynki zostały zniszczone w niedawnych bombardowaniach. W powietrzu unosił się okropny zapach zwęglonego drewna i... czegoś jeszcze. Czy Londyn się kiedykolwiek do tego przyzwyczai? Czy to przeżyje? Jedno nie ulegało wątpliwości: punkt, do którego zmierzała Betsy – Treasure Island Collectibles – przestał istnieć.

Syrena przeciwlotnicza odezwała się na chwilę, po czym szybko zamilkła, jak gdyby robiła próbę przed właściwym występowaniem lub po prostu wydawała dosadne ostrzeżenie. Noc zbliżała się wielkimi krokami. To oznaczało zaciemnienie i niemal pewny deszcz bomb.

Betsy pospieszenie ruszyła do domu tą samą drogą, którą przyszła. W przerwach między budynkami widziała masywne balony zaporowe, które unosiły się pośród niskich ołowianych chmur. Miasto właśnie zaczynało ciemnieć, gdy dotarła do swojego pokoju, odłożyła plecak na stół i opadła na tapicerowany fotel.

Miała ochotę odpłynąć w krainę snu, ale zwlokła się z fotela i zaciągnęła zaciemniające zasłony. Miała trochę warzyw i fasolę z puszką, przyszło jej więc do głowy, że mogłaby coś zjeść. Bardziej jednak dokuczało jej zmęczenie niż głód. Poza tym należało się liczyć z tym, że Niemcy przewrzą jej posiłek.

Usiadła w fotelu i zasnęła, usiłując wymyślić, co by tu zrobić z plecakiem Henry'ego Tuckera.

*

Obudziła się i dostrzegła lekką lunę wokół zastoi. Świt. Przetarła oczy i spojrzała na zegarek stojący nad kominkiem. Dochodziła ósma.

Nie przypominała sobie, by ubiegłej nocy rozległy się syreny ostrzegające przed nalotem. Jeśli takowy w ogóle się odbył, Niemcy musieli się skupić na celach wojskowych położonych dalej na północ. Możliwe też, że bombowce nie odnalazły Londynu. Betsy wiedziała, że takie rzeczy się zdarzały – w beksiężycowe noce, przy skutecznym zaciemnieniu. Czasami też samoloty RAF-u przeganiały bombowce jeszcze nad kanał.

Betsy przeciągnęła się i ziewnęła. Czyż to nie miłe pomyśleć przez chwilę, że wojna się już skończyła?

W trakcie tej nocy udało jej się podjąć decyzję, co zrobi z zawartością plecaka Henry'ego Tuckera. Na razie jednak nie miała na to czasu. Zajmie się tym dopiero jutro po powrocie ze szpitala, gdy będzie miała kilka godzin wolnego. Może wtedy nie będzie zbyt zmęczona, by wcielić swój plan w życie. Gdyby nie to, że ta sprawa już ją dręczyła, w ogóle nie byłoby pośpiechu.

Rozdział 21

Nowy Jork, czasy obecne

Minnie Miner była drobną czarnoskórą kobietą dysponującą zasobami energii porównywalnymi z elektrownią atomową. Siedząc na krześle ustawionym przodem do swojego gościa, wydawała się uosobieniem sprytu i zjadliwości, a przy tym uśmiechała się w niezwykle urokliwy sposób. Poruszała się szybko i w zupełnie zaskakujących kierunkach. Tak samo też prowadziła rozmowę. Wydawała się uzależniona od najnowszych informacji i żyła w samym środku wydarzeń. Tamtego popołudnia gościła w programie profilerkę nowojorskiej policji Helen Iman. Powitała ją wylewnie, po czym przybrała poważny wyraz twarzy, tak samo nieszczerzy jak uśmiech, który go po chwili zastąpił.

– W pewnym sensie, Helen, zna już pani zabójcę określanego jako D.O.A.

Helen pochyliła się do przodu w fotelu, który stanowił standardowe wyposażenie studia. Wyczuwała, że jedna z kamer właśnie wykonuje zbliżenie, ale starała się nie zwracać na nią uwagi.

– To prawda – powiedziała. – Pamiętajmy jednak, że nie mamy pewności, czy to ten sam zabójca i że postanowił znowu uprawiać swoje chore hobby na starym podwórku.

Minnie się poruszyła i przesunęła o kilka centymetrów do przodu.

– Chore hobby? Czy jako zawodowy profiler uważa pani, że ten zabójca to chory człowiek?

– On by się ze mną nie zgodził – odparła Helen. – Ale tak, jest chory.

– Wierzy pani w zło, Helen?

– Tak, ale...

– Wierzy pani w opętanie przez diabła?

– Cóż. Nie. Uważam...

– Czy zabójca może być chory i nie być zły?

– Tak samo jak świnie mogą latać. – Helen się poirytowała, zdołała się jednak uspokoić. Wiedziała, że tak właśnie Minnie Miner postępuje ze swoimi gośćmi, aby nakłonić ich do powiedzenia, przypadkiem czy też nie do końca przypadkiem, czegoś ważnego, a przynajmniej interesującego dla opinii publicznej,

Minnie również stwierdziła, że musi się pilnować. Helen nieraz gościła u niej w programie, więc Minnie postanowiła wystrzegać się niepozornych prób manipulacji.

– Trudno nie myśleć o nim jako o złym człowieku – powiedziała Helen.

– A co, jeśli na naprawdę wierzy, że pomaga tym kobietom opuścić zły świat, w którym nie ma przebaczenia? Że im pomaga, ponieważ one za bardzo się boją lub niedostatecznie orientują się w sytuacji, by zrobić to samodzielnie? Może to i świadczy o szaleństwie, ale w takiej sytuacji on sam nie czuje się zły.

– On chce być zły – powiedziała Helen. – Jeśli to faktycznie D.O.A., który powrócił, by znowu się strach w tym samym miejscu, co kilka lat temu, to przecież wybrał Nowy Jork nie bez powodu.

– Może wie, że robi coś złego, ale jednocześnie uważa, że ma czyste intencje, ponieważ zapewnia swoim ofiarom ucieczkę z tego, we własnym mniemaniu, bezdzusnego i niebezpiecznego świata.

Tak właśnie na te tory Helen chciała skierować rozmowę.

– Problem polega na tym – powiedziała – że on je torturuje i zadaje im straszliwy ból. Niektóre z jego ofiar umierają na skutek szoku, bo ich ciało nie jest w stanie znieść tego, czemu zostaje poddane. Ofiary czują palącą potrzebę wyznania zabójcy prawdy, bo tylko w ten sposób mogą na kilka minut uwolnić się od bólu.

Minnie szeroko otworzyła oczy, a jej czerwone usta ułożyły się w duże O.

– Boże, to brzmi okropnie.

– Można by nawet powiedzieć, że to przejaw zła.

– Tak, tak. Już rozumiem, co ma pani na myśli.

– Zabójca koniecznie pragnie wpoić swoim ofiarom przekonanie, że jeśli go okłamią, to nie wiadomo, co je czeka. W związku z tym one mówią wszystko jak na spowiedzi, cofając się nawet do czasów szkolnych. Obawiają się o czyśś nie wspomnieć.

– Wiemy to na pewno?

– Tak przypuszczamy. Wystarczy spojrzeć na zdjęcia z kostnicy.

– Przedstawia to pani jako coś zupełnie logicznego, przynajmniej z punktu widzenia mordercy. – Minnie przeniosła ciężar ciała. Nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Cały czas wpatrywała się intensywnie w Helen. – Tylko dlaczego on wrócił tutaj, do Nowego Jorku, i tutaj znowu zabija? Czy to nie stwarza dla niego szczególnego zagrożenia?

– Niewątpliwie, ale jemu zależy na tym niebezpieczeństwie. On cierpi na przerost ego. Ani przez chwilę nie wątpi, że w tej makabrycznej rozgrywce szachów cały czas pozostaje górą.

– Przerost ego – powtórzyła Minnie. – Makabryczna rozgrywka szachów. To nam się może kojarzyć z kapitanem Frankiem Quinnem.

– Owszem – potwierdziła Helen – może. Zabójca upatruje w Quinnie swoje alter ego, drugą stronę tej samej monety, swojego wroga.

Minnie spojrzała na świat przez okno kamery, przybierając przy tym zdumiony wyraz twarzy.

– Skoro Quinn to jego wróg, to czy nie byłoby mu łatwiej zabijać w innym mieście?

– W innym mieście nie byłoby Franka Quinna – odparła Helen. – Wyobraźmy sobie, że mamy mistrza szachowego. Ktoś taki niewątpliwie chciałby się zemścić za ten jeden jedyny raz, gdy został przechytrzony, upokorzony, ośmieszony na oczach całego świata. – Helen pokręciła głową z niesmakiem. – Zupełnie jak gdyby świat się interesował tym żalonym stworzeniem.

– Czy on sam sobie przypisuje przegraną pozycję?

– Ależ nie – odparła Helen. – Uważa, że miał tylko ogromnego pecha. Ten szaleniec ani przez chwilę nie dopuszcza do siebie myśli, że stróż prawa mogli go przechytrzyć, zwłaszcza zaś że mogło się to udać Frankowi Quinnowi.

– Wierzy, że jest lepszym człowiekiem. Lepszym szachistą.

– W jego przekonaniu te dwie kwestie to w istocie jedno i to samo.

– Czyli wrócił do Nowego Jorku, żeby znowu zabijać – powiedziała Minnie, usiłując wyciągnąć od Helen kolejne sensacje. – Jeden z największych przegranych świata znowu przybył, żeby dopisać do swojego konta kolejne ofiary.

– Nie do końca – odpowiedziała Helen. – On tu przybył na rozgrywkę szachów. Cały ten sadyzm i to wszystko, co robi tym kobietom, te jego chore tortury, to tylko pewnego rodzaju bonus.

– Wow! – powiedziała Minnie, potrząsając głową, jakby miała wodę w uszach. – Raz przy najmniej się cieszę, że przy padła mi w udziale akurat moja pleć.

Helen tylko na nią patrzyła.

– Nie zawsze dobrze jest być królem – dodała Minnie. – Zwłaszcza w szachach.

Rozdział 22

Nieznośny Nift nachylał się nad ciałem tak nisko, że Quinn widział tylko czubek jego głowy. Wyglądał, jak gdyby miał zaraz zniknąć we wnętrzu martwej kobiety leżącej na łóżku. Quinn, któremu towarzyszyła Pearl, przeniósł wzrok nieco dalej. Spojrzał na Harleya Renza, który stał z pięściami na szerokich biodrach i przyglądał się całej scenie. Sprawiał wrażenie wkurzonego, zupełnie jak gdyby to on był ofiarą tej zbrodni. Tak naprawdę jednak irytował się na mordercę D.O.A., który dopadł kolejną kobietę w jego mieście. Renz traktował to bardzo poważnie, jak resztą wszystko, co stanowiło jakiegokolwiek zagrożenie dla jego politycznej egzystencji.

Quinn podszedł do łóżka i zobaczył znajome inicjały wycięte precyzyjnie na czole ofiary. Nift zdążył już usunąć z ust kobiety zwitek materiału, który służył za knebel, jej usta pozostały więc otwarte. Nawet groteskowy wyraz twarzy ofiary nie zdołał przyćmić tego, że kobieta bez wątpienia była za życia atrakcyjna.

– Witaj, Pearl – powiedział Nift, jak gdyby Quinna w ogóle nie zauważył.

Pearl go zignorowała.

– Bądźcie grzeczni – ostrzegł ich Renz.

Tę uwagę z kolei zignorowali wszyscy. Quinn spojrzał na cięcia, nakłucia i przypalenia na nagim ciele. Słyszał w głowie ten straszliwy bezgłośny krzyk wydobywający się z zakneblowanych ust.

– Takie same obrażenia jak u ofiar z hotelu Fairchild – stwierdził Nift. – Bez wątpienia mamy do czynienia z zabójcą znanym jako D.O.A.

– Jesteś pewien, że to nie jest robota jakiegoś naśladowcy? – zapytał Renz.

Drobny patolog chyba się nadął.

– Znam się na swoim fachu, komisarzu.

Renz wyglądał trochę tak, jak gdyby miał się zaraz rzucić na Nifta. Patolog nie powinien się w ten sposób odzywać do komisarza policji, zwłaszcza takiego, który choćby w odległych planach ma objęcie fotela burmistrza. Spojrzenia Renza i Quinna na chwilę się spotkały, a wtedy ten drugi lekko pokłwał głową. Nie ma sensu złościć się na Nifta. Ten mały drań czerpie satysfakcję z tego,

że udało mu się komuś dopiec.

– O co chodzi z tymi katalogami? – zapytał Quinn, spoglądając na kolorowe katalogi z dziełami sztuki rozłożone po całej podłodze. Niektóre były brudne od krwi.

– Ofiara zajmowała się renowacją sztuki – powiedział Renz. – Pracowała dla różnych muzeów i galerii. Realizowała projekt w Kadner Gallery w SoHo. Poza tym chyba można ją nazwać koneserem.

– Nasz zabójca też zasługuje na to miano. Najwyraźniej lubi muzea i kobiety, które tam bywają.

Quinn nachylił się do ziemi i spojrzął na naklejkę adresową na jednym z czasopism.

– Jeanine Carson?

– To ona – potwierdził Renz.

– To była ona – poprawiła go Pearl.

– Niewykluczone, że oboje zasługują na to miano – odezwał się Quinn.

– Jakże? – dociekał Renz.

– Koneserów sztuki – odparł Quinn.

Renz dodał:

– W łazience na lustrze jest jeszcze znak zapytania zapisany krwią.

– Nic w tym dziwnego – stwierdził Quinn. – Szydzi sobie z nas. Wzywa nas do ostrzejszej rywalizacji. Udaje, że się znudził.

Kątem oka dostrzegł, jak Nift delikatnie przesuwając dłoń po jednej z piersi ofiary. Zatrzymał się przy sutku. Nagle Quinn przy pomniął sobie te wszystkie plotki o nekrofilii patologa, które dotąd uważał za policyjne mity.

– Szkoda, że zabija kobiety z taką klatką – stwierdził Nift, spoglądając na Pearl.

– Szkoda, że nie zabija dupków, co myślisz tak jakty – odparła.

Quinn westchnął. Z ulgą jednak stwierdził, że Renza raczej o bawi, niż irytuje.

– Porozmawiajmy na korytarzu – powiedział. – Niech patolog sobie spokojnie pracuje.

– Nie wiem, czy możemy zostawić z nim ofiarę sam na sam – rzuciła Pearl.

– Dość już tego gadania – stwierdził Renz. – To obleśne.

– A jeśli to prawda?

– To jest to nawet bardziej obleśne.

Wyszedł z sypialni pierwszy i skierował się do salonu, w którym tłoczyli się technicy kryminalistyczni, stamtąd zaś wyszedł na korytarz. Odsunął się na jakieś piętnaście metrów od mundurowego, który stał przy drzwiach do mieszkania, żeby ten nie podsłuchiwał ich rozmowy.

– Kto znalazł ciało? – zapytał Quinn.

– Dozorca, Fred Charleston. Wszedł do mieszkania w związku z problemem hydraulicznym. Pukał, a gdy nikt mu nie odpowiedział, po prostu założył, że lokatorka poszła do pracy. Otworzył drzwi własnym kluczem, a gdy zobaczył to, co wy przed chwilą, podobno od razu wyszedł i zadzwonił po policję. Mundurowi spisali jego zeznanie, możecie je przeczytać. Możecie też z nim porozmawiać.

– Przeczytam, a nim zajmę się później.

– On tu raczej nie odegrał żadnej roli – powiedział Renz. – Klócił się z żoną do późnej nocy, jeszcze długo po tym, jak ofiara umarła. Wstał wcześniej rano i poszedł do pobliskiej jadłodajni na

śniadanie. Siedział tam jeszcze długo po jej śmierci.

– To się czasem ludziom zdarza – stwierdził Quinn.

Renz nie zrozumiał dowcipu, ale Quinnowi to nie przeszkadzało. Przeszkadzało mu raczej, gdy komisarz silił się na poczucie humoru.

– Jeśli chcesz, pójdę porozmawiać z tym Fredem – zaproponowała Pearl.

Quinn skinął głową.

– Dobry pomysł.

– Rzucaj okiem na to, co Nift robi z Jeanine – dodała jeszcze.

Renz odparł:

– Chryste, Pearl! Ten facet pracuje dla miasta taksamo jak ja. Daj mu spokój.

– Wkrótce i tak będzie miał ją tylko dla siebie – stwierdził Quinn. – Jej to już nie obchodzi, co z nią zrobi w kostnicy.

Pearl chyba się trochę uspokoiła, ale gniew nadal się w niej tlił.

Rozdział 23

London, 1940

Zamierzała wysłać go drogą morską do miejsca, które Henry Tucker uznałby za odpowiednie.

Betsy Douglass przez większość poranka poszukiwała odpowiednio solidnej drewnianej skrzynki, do której mogłaby spakować plecak Tuckera. W końcu znalazła taką w piwnicy, przechowywano w niej kuce. Opróżniła pojemnik i starannie ułożyła w nim plecak. Miała przemożne wrażenie, że pakunek zawierał coś bardzo konkretnego i cennego. Po co kokolwiek miałyby sobie nim zaprzętać głowę i narażać się na niebezpieczeństwo, gdy było inaczej? Cokolwiek to jednak było, powinna się o to zatroszczyć. Była to winna Henry'emu, za którym tęskniła każdego dnia coraz bardziej.

Zawsze jej się wydawało, że gdy odchodzi ktoś ukochany – a uświadomiła sobie, że Henry'ego faktycznie kochała – ból związany z rozstaniem z czasem słabnie. Tymczasem jej ból z godziny na godzinę się nasilał i czasem niemal rozrywał jej serce.

Do skrzyni zawierającej plecak włożyła także zaadresowany list z instrukcją, który pozostawił jej Henry. Nie dało się go dostarczyć, a jego adresat, pan Guldenheimer, prawdopodobnie nie żył. Większość mieszkańców tego poważnie uszkodzonego przez bomby kwartału uznano za zmarłych albo za zaginionych, ponieważ zostali pogrzebani pod gruzami. Wraz z listem z plecaka w skrzyni znalazł się jeszcze jeden list, tym razem napisany przez Betsy do siostry, Willi Kingdom, oraz jej męża Marka. Mark stracił ramię w katastrofie statku handlowego, który zatonął na skutek ostrzału przez niemiecką łódź podwodną na Atlantyku. Zaliczał się do grona nielicznych szczęśliwców, którzy w ogóle przeżyli ten atak. Teraz wraz ze swoją żoną Willą opuszczał Anglię. Postanowił osiedlić się w Ohio, w Stanach Zjednoczonych. Betsy zamierzała wysłać skrzynię do Ameryki, żeby czekała na nich pod ich docelowym nowym adresem.

Znalazła w piwnicy młotek i gwoździe, za pomocą których staranie zamknęła skrzynię, żeby ta nie otworzyła się podczas podróży przez Atlantyk. Chociaż oczywiście istniało ryzyko, że i ten okręt padnie ofiarą U-Bootów. Betsy westchnęła, posyłając lekki prąd powietrza w głuche i mroczne przestrzenie piwnicy. Ostatnimi czasy niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku.

To wszystko nie wydawałoby się tak ryzykowne, gdyby Henry żył. Gdyby tylko mogli razem... Postanowiła nie snuć takich myśli, nie torturować się. Przecież nie tylko ona cierpiała z powodu wojny.

Znalazła metalowy wózek na dwóch kółkach, którym zwykle woziła artykuły spożywcze. Wziosła go na górę, a potem wróciła po skrzynię. Z powodu ogromnego wysiłku zaczęła ciężko oddychać, a nogi jej się trzęsły. Przy końcu ulicy dostrzegła balony zaporowe, jak gdyby lekko opadające i rozdmuchane. Z dużej odległości wydawało się, że ciągną za sobą cieniutkie liny. Od strony szpitala dobiegło ją żalosne zawodzenie syren. Wkrótce miała tam wrócić, by opiekować się rannymi i pocieszać umierających.

Zdołała włożyć prostokątną drewnianą skrzynię bokiem na wózek. Omijając dziury i szczeliny w chodniku, ciągnęła go za sobą z zaskakującą łatwością. Przynajmniej to jedno okazało się prostsze, niż przypuszczała. W powietrzu unosiła się delikatna poranna mgiełka, w której dało się wyczuć lekką woń zwęglonego drewna i czegoś jeszcze, nad czym Betsy wolała się nie zastanawiać.

Otworzyła lekko usta i wciągała głęboko do płuc cały tlen, który się w tym powietrzu znajdował. Od czasu do czasu ktoś – zwykle mężczyźni – się zatrzymywał, żeby się jej przyjrzeć. Ludzie zastanawiali się, czy nie trzeba jej pomóc. Kręciła głową, więc wracali do swoich spraw. Kilka osób odpowiedziało jej na to aprobującym uśmiechem. Szła dalej przed siebie, aby nadać drewnianą skrzynię. Wiedziała, że Henry Tucker – gdyby żył – doceniłby tę jej wiarę i wytrwałność.

I miłość.

*

Zaledwie kilka godzin później Betsy zgłosiła się w szpitalu. Nadanie przesyłki stanowiło z jednej strony symboliczne zerwanie wszelkich więzi z Henrym Tuckerem, z drugiej zaś wyzwolenie się od części żalu. Skoro on mógł teraz spoczywać w spokoju, to gdy przyjdzie jej czas, ona też podzieli jego los.

Jakże często zdarzało jej się myśleć o śmierci podczas tej wojny. Co się z nią stało na skutek tego, że dzień po dniu tak blisko z nią obcowiała?

*

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy wyczerpana Betsy dotarła wreszcie do swojego mieszkania i zaczęła się rozbierać. Zdjęła pielęgniarski fartuch i włożyła go do miski z zimną wodą i mydłem. Chciała go wyjąć i rozwiesić następnego dnia rano przed wyjściem do szpitala. Zdjęła halkę, potem pas do pończoch, a następnie białe materiałowe pończochy, które wraz z majtkami zwinęła w kulkę i rzuciła w stronę umywalni. Miała zamiar podnieść je następnego ranka i odmoczyć w czasie, gdy w drugim fartuchu będzie wykonywać swoje obowiązki w szpitalu.

W samej tylko koszuli nocnej i miękkich papciach podeszła do kranu. Nalała w dłoń odrobinę wody i popiła nią jedną z kilku białych tabletek, które przyniosła ze szpitala. Nie potrzebowała ich, żeby zasnąć, ale czasami dzięki nim udawało jej się uniknąć złych snów. Bez nich przeżywała na nowo koszmary minionego dnia, a w rezultacie budziła się drżąca i spocona. I przerażona... Tak bardzo przerażona.

Wyraźnie odczuwała fizyczny wysiłek, na który się dzisiaj zdobyła. Wstała przecież bardzo wcześnie rano. Potem zajmowała się żołnierzami, w różnym tempie zbliżającymi się do śmierci. Starła się zachowywać swobodnie i wywołać uśmiech na ich twarzach. Czasami jej się udawało. Przez cały czas jednak zdawała sobie sprawę, że odejdą tak samo jak Henry Tucker, na zawsze zmieniając świat bliskich, którzy pozostaną przy życiu. Betsy też długo zmagala się z samotnością i smutnym istnieniem bez Henry'ego. Brakowało jej zrozumienia. Brakowało jej miłości. Anglia toczyła właśnie walkę o przetrwanie, więc romans wydawał się odrobinę nie na miejscu. Ale to właśnie w takich momentach rozgrywają się niekiedy najbardziej niesamowite przygody miłosne.

Betsy na wszelki wypadek połknęła jeszcze jedną tabletkę. Sprawdziła, czy na pewno dokładnie zasłoniła okno, po czym rzuciła się plecami na łóżko, jak gdyby bezwiednie rzucała się w ciemną otchłań.

Chętnie zanurzała się w objęcia snu.

Zaledwie kilka minut później usłyszała dźwięk syreny przeciwlotniczej. Naloty zdarzały się tak często, że dla wielu osób stały się codziennością. No chyba że ktoś akurat znalazł się w strefie zrutu bomb. Wtedy często wszelka codzienność się kończyła.

Los, tylko o to tu chodziło. Miało się szczęście albo pecha.

Betsy wiedziała, że powinna wstać. Powinna zejść na niższe piętro albo do stacji metra, znajdującej się jedną przecnicę dalej. Nie miała jednak ochoty znaleźć się w zatłoczonym tunelu ani siedzieć samotnie w stęchłej piwnicy, a już na pewno nie chciała przeżywać tych strasznych chwil w towarzystwie starego pułkownika Tattersilla, który mieszkał na górze i który w czasie ostrzałów liczył na to, że bomby spadną gdzieś w okolicy i będzie mógł ją mocno przytulić. Nie miała ochoty wstawać. Była tak bardzo zmęczona... Wyczerpanie skutecznie leczy człowieka ze strachu. Podobnie jak otepiająca regularność i częstotliwość ataków powietrznych. Niemieckie bombowce napływały stałymi falami, niekiedy w eskorcie myśliwców, bo coraz częściej musiały stawiać czoło samolotom RAF-u, które swoimi krętymi śladami kreśliły na niebie tajemniczą wiadomość.

Betsy leżała nieruchomo w ciemności, czekając na zakończenie dzisiejszego kryzysu. Może Luftwaffe nie dotrze dziś do Anglii. Nawet Niemcy muszą przecież czasem odpoczywać.

Po chwili syreny zaczęły cichnąć. Sen znów wyciągnął do niej ramiona, a ona chętnie się w nich zanurzyła.

Być może przyśnił jej się przesywający dreszczem pomruk nadciągającego niemieckiego samolotu, ale sny i rzeczywistość często się jej ze sobą mieszały. Sądząc po odgłosach, należało się spodziewać dużej grupy maszyn, nadal jednak znajdowały się daleko na południe, być może jeszcze nad kanałem. A to oznaczało, że nie warto się było nimi na razie przejmować. Wielka Brytania wygrywała wojnę powietrzną, tak powiedział Churchill nie dalej jak wczoraj. Częstotliwość nalotów malała, prawdopodobieństwo upadku bomby akurat na jej dom wydawało się niewielkie.

Betsy zamknęła więc oczy. Nie obudziła się nawet wtedy, gdy silniki wyły bezpośrednio nad jej głową. Już się nigdy nie obudziła.

Rozdział 24

Nowy Jork, czasy obecne

Dozorca budynku Fred Charleston oraz jego żona Serri siedzieli obok siebie na sofie. Próbowali nie robić wrażenia przestraszonych, co nie było łatwe z uwagi na obecność roslęgo policjanta i piersiastej piękności o świdrujących ciemnych oczach w fotelach naprzeciwko. Wszyscy znajdowali się w ciasnym mieszkaniu dozorczy położonym na parterze. Rosły policjant, czyli Frank Quinn, rozsiadł się w fotelu, który zwykle zajmowała Serri. To tam siadała, żeby poczytać gazetę, pooglądać telewizję albo ponarzącać sobie na niewłaściwy obrót spraw na tym świecie. W szczególności martwił ją Bliski Wschód.

Charleston był krępy, niespokojnym czterdziolatkiem. Miał zmierzwiłone włosy i twarz zdominowaną przez tak duży nos, że nie pozostawiał zbyt wiele miejsca na górną wargę. Mężczyzna miał na sobie szary strój, który pełnił funkcję roboczego uniformu dozorczy. Jego żona też miała czterdziestkę na karku. Jej włosy były odrobinę jaśniejsze niż brwi. Mogłaby uchodzić za kobietę atrakcyjną, gdyby nie dziwny sposób bycia. Zachowywała się trochę tak, jak gdyby co chwila wyczuwała jakiś nowy podejrzany zapach.

– Czyli pan i żona zaczęliście się tak poważnie kłócić około wpół do ósmej? – Quinn zwrócił się do Freda Charlestona. Utkwił w nim przy tym swoje neutralne, ale odrobinę niepokojące spojrzenie.

– To na pewno było około wpół do ósmej – powiedział dozorca. – Serri się denerwowała z powodu zastosowania trującego gazu na Bliskim Wschodzie. Zrobił się taki problem, że nie zdołałem skończyć kolacji, do której zawsze zasiadamy dokładnie o siódmej.

– Dlaczego tak? – zapytała Pearl.

– Żeby lokatorzy o tym wiedzieli – odparła Serri. – Żeby nie zwracali głowy mnie i Fredowi podczas kolacji. Nie uwierzcie libyście, co oni potrafią wyprawiać.

– Tylko że ubiegłej nocy to pani zwracała mu głowę. Tak przy najmniej twierdzi.

– Wiem, że by wam uciążliwa. I głośna. Tylko że czasami trzeba bronić swoich racji.

– To na pewno – odparła Pearl, spoglądając po kolei na Quinna i na Freda. Tym samym stała się jakby przyjaciółką i sojuszniczką Serri w nieustającej wojnie płci.

– Niech ci się nie wyduje, że jesteś jakimś ekspertem do spraw Bliskiego Wschodu – zwrócił się Fred Charleston do żony. Spojrzał w kierunku kuchni. – No chyba że chodzi o trujący gaz.

– Widzicie, co ja muszę znosić?

– Tak – odpowiedziała Pearl.

Fred spojrział na nią zaskoczony. Rosły policjant nie zamierzał się w to mieszać. Zachowywał neutralne spojrzenie godne sędziego Sądu Najwyższego. Fred poczuł się atakowany.

– Postaramy się pomóc, jak tylko będziemy mogli – powiedział.

– Nie trzeba być ekspertem, żeby wiedzieć, na czym tam polega problem – stwierdziła Serri, spoglądając na Quinna, a potem przenosząc wzrok na Pearl. – Moim zdaniem to, co Fred i ja mamy sobie do powiedzenia, to nasza prywatna sprawa. Sąsiedzi nie powinni się w to mieszać.

– To prawda – zgodził się Quinn. – Chociaż akurat w tym przypadku mieliście szczęście, że ci wszyscy sąsiedzi was podsłuchiwali, a wy dwoje akurat robiliście scenę w czasie, gdy Jeanine Carson umierała. Oczywiście dokładnej godziny nie udało się precyzyjnie ustalić. Wersje się zmieniają, śledztwo cały czas trwa.

– Zmieniają się? Chce pan przez to powiedzieć, że to ja mogłem zamordować tę biedną kobietę? Tylko dlatego że znalazłem jej ciało? – dociekał Charleston. Sprawiał wrażenie zdumionego. Serri nie.

– Czy mógł pan? To z pewnością – powiedział Quinn. – Na początku śledztwa podejrzewamy wszystkich, począwszy od ostatniej osoby, która widziała ofiarę żywą, oraz pierwszej, która widziała ją martwą.

– Jak w telewizji.

– Cieszymy się też, gdy to się kończy jak w telewizji – dodał Quinn. – Gdy wszystko składa się w jedną całość i można puścić reklamy.

– Powiedziałbym, że pierwszą osobą, która widziała ją martwą, był zabójca – stwierdził Fred.

Na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiešek Quinn zaczynał darzyć go wyraźną antypatią. Nie on jeden. Pearl też wyglądała na poirytowaną.

– Proszę się tak nie wyrażać – powiedziała. – Różne alibi zdarzało nam się podważać.

– Cóż to wszystko ma znaczyć? – zapytała Serri.

Pearl pomyślała, że rozmowa przybiera zły obrót. W sprawach domowych partnerzy często zwierają szyki i nastawiają się przeciwko śledczym.

– Tak po prostu czasem mówimy.

– Prawda jest taka – wtrącił się Quinn – że większość sąsiadów nie przypomina sobie awantury między wami.

Postanowił nie wspominać, że akurat lokatorzy bezpośrednio sąsiadujący z dozorcą zapamiętali kłótnię. Grał trochę na ślepo.

Fred uniósł się z kanapy niczym naiwna ryba podpływająca do przynęty. Twarz mu poczerwieniała. Facet ewidentnie miał charakterek.

– Te stare mury mają co najmniej pół metra grubości. To jeden z powodów, dla których ludzie wynajmują tu mieszkania. W tym budynku sąsiedzi nie mogą podsłuchiwać się nawzajem

przez ściany.

– Dźwięk nie się oczywiście przewodami wentylacyjnymi – powiedziała Serri, chcąc dopiec mężowi. Nachyliła się lekko, roztaczając przez to wokół siebie aurę nieustępliwości.

Quinn zaczynał opowiadać się po stronie Freda, chociaż facet mu się nie podobał. Ale żona chyba nie podobała mu się jeszcze bardziej. Pearl śmiała się z niego w duszy.

– Na wentylacji się nie znam – zakończył spór Fred, odyskując panowanie nad sobą, choć nad żoną już niekoniecznie. – Zajmuję się głównie hydrauliką.

– Właśnie w związku z tym odkrył pan ciało... – przy pomniała Pearl.

– Roy Culver, który zajmuje mieszkanie nad Jeanine Carson, zgłosił mi nieszczelność toalety na złączu muszli z rurami. Miałem do tego zajrzeć. Umówiłem się z nim na dzisiejszy poranek, możecie go zapytać.

– Pytaliśmy – zapewniła Pearl.

– Wyglądało na to, że ta woda z muszli płynie prosto do łazienki Jeanine, która znajduje się tuż pod spodem. Należało natychmiast coś z tym zrobić, inaczej mogłyby powstać duże szkody.

– Culver poinformował pana o tym wczoraj wieczorem, a pan się postanowił tym zająć dopiero rano?

– Nie miałem świadomości, że to taka poważna sprawa. Dopiero jak rzuciłem na to okiem, stwierdziłem, że problem dotyczy również rury. W tym momencie wiedziałem już, że muszę jak najszybciej porozmawiać z Jeanine. Potrzebowałem jej zgody na przeprowadzenie odpowiednich prac u niej w mieszkaniu. Normalnie nie wchodziłbym do nikogo do domu bez jego wiedzy, ale nie wiem, czy zdają sobie państwo sprawę, jak poważne szkody może wyrządzić woda.

– Owszem – powiedział Quinn. – Powiem panu też, że sąsiedzi jednak słyszeli, jak się państwo kłócili bez przerwy mniej więcej do północy.

– Wtedy żona się zmęczyła – stwierdził Fred.

Pearl spojrzała na tryskającą energią żonę dozorczy. Trudno jej było uwierzyć, że ta kobieta może opaść z sił.

– Czy to możliwe – ciągnął Quinn – że sąsiedzi słyszeli kłótnię zabójcy z ofiarą, a założyli, że to pan i pańska żona?

Dozorca na dłuższą chwilę zamilkł.

– Pewnie możliwe – powiedział w końcu – ale prawdę powiedziawszy, zupełnie nieprawdopodobne.

– Hm... – odparł Quinn, kiwając głową z przekonaniem.

Nagle się okazało, że nikt nie ma nic do powiedzenia.

– Muszę się zgodzić, że Bliski Wschód to poważny problem – przerwała ciszę Pearl, spoglądając na Serri. Wydawało jej się dziwne, ale ta blondynka o niebieskich oczach miała w sobie coś bliskowschodniego. Chociaż może to raczej dziedzictwo Majów...? A może jedno i drugie. – Jak się pani nazywa z domu? – zapytała Pearl.

– O'Reilly – odparła Serri.

– Może i ma w żyłach połowę irlandzkiej krwi, ale interesuje się Bliskim Wschodem – powiedział Fred. – Telewizja, gazety, te sprawy. Serri uważa, że stosowanie tych wszystkich materiałów wybuchowych przeciwko niewinnym ludziom to zbrodnia.

– Chyba ma rację – odparł Quinn.

– To forma działań wojennych – oznajmiła Serri. – Tam się używa typowo wojskowego sprzętu.

– Na broni się akurat nie znasz – stwierdził jej mąż.

– Ale wiem, kiedy gdzieś toczy się wojna.

Quinn miał powoli dość wysłuchiwanie małżeńskich problemów państwa Charlestonów. W te sprzeczki nie należało się mieszać. Ani on, ani Pearl nie mieli ochoty angażować się w dyskusję na tematy polityczne.

– Wojna to wojna, tak sądzę – powiedziała Pearl. Nie ma jak ogólne stwierdzenie filozoficzne pozbawione konkretnej treści. To powinno zakończyć temat.

– Interesuje nas to, co się wydarzyło ubiegłej nocy w mieszkaniu Jeanine Carson – przypomniał Quinn.

– Sąsiedzi na pewno rozpoznali nasze głosy – powiedział Fred po dłuższym zastanowieniu. – Są dość charakterystyczne.

To akurat prawda. Serri Charleston zaś dodała:

– No to mamy alibi.

– Hm – odparł Quinn. – Ogląda pani za dużo telewizji.

– Owszem, oglądam. Kanał wojskowy też – Serri nie odpuszczała.

– Niewykluczone, że to właśnie telewizję słyszeli ubiegłej nocy sąsiedzi przez ścianę.

– Słyszeli to, co naprawdę słyszeli – odparła Serri. – Nie wygląda na to, żebyśmy z Fredem wczoraj do siebie strzelali. Nie widzę też śladów po czołgach na dywanie.

– Ale pewnie specjalnie ich pani nie szukała – odparł Quinn.

– Tak naprawdę – Pearl zwróciła się jednocześnie do Freda i do Serri – bardziej niż alibi interesuje nas to, co państwo mogli zobaczyć albo usłyszeć.

– Powiedziałbym już mundurowym, gdzie byliśmy i co robiliśmy. Powiedziałem też, w jakich okolicznościach znalazłem ciało Jeanine Carson – odparł Fred i przełknął głośno ślinę, jak gdyby miał zaraz wymiotować. Potem jednak zapanował nad tym odruchem. – Tę całą krew i to wszystko... Tego widoku tak czy tak nie zapomnę.

– Doskonale pana rozumiemy – zapewnił go Quinn łagodnie.

– Ja zaś nie rozumiem, jak wy to wytrzymujecie – dodał Fred – w tej waszej pracy.

Quinn puścił tę uwagę mimo uszu.

– W mieszkaniu ofiary wisi sporo obrazów – powiedział. – Czy kiedykolwiek z panem o nich rozmawiała?

– Nie. Ona się interesowała sztuką. Jeśli się nie mylę, pracowała w muzeach przy renowacji dzieł sztuki.

– Taka artystyczna dusza – stwierdziła Serri. – Tak w każdym razie chciała o sobie myśleć. Lubiała malarzy francuskich. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie.

Quinn utkwił w niej wzrok, ale nic nie dostrzegł w jej spojrzeniu. W towarzystwie Serri czuł się trochę tak jak w obecności Harolda. Fred Charleston za to teraz zbladł. Musiał się bardzo starać, żeby zachować równy rytm oddechu. Skupiał się. Próbował usunąć wspomnienie zakrwawionego mieszkania, próbował uwolnić się od widoku martwej kobiety. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co mówiła żona. Za ten swój brak uwagi miał jeszcze później zapłacić. Quinn uznał, że czegoś takiego nie da się symulować. Odruch wymiotny z pewnością zwiększał jego wiarygodność jako świadka. Poza tym Quinn znał się trochę na ludziach. Doszedł do

wniosku, że pantoflarz dozorca nigdy nikogo nie zabił, nawet jeśli Fredowi udało się ostatecznie powstrzymać torsje.

Małabryczna wersja wydarzeń przedstawiona przez dozorcę wydawała się prosta i wiarygodna. Quinn podziękował jemu i jego żonie, po czym wstał, by w ten sposób dać im do zrozumienia, że przesłuchanie dobiegło końca. Pearl zostawiła swoją wizytówkę na stoliku, pstrykając nią w blat jak wysoką kartą z talii. Powiedziała:

– Proszę dzwonić bez względu na porę.

Fred nie podniósł się z sofy. Ciągle nie uporał się ze wspomnieniem okaleczonej kobiety, która mieszkała w jego budynku i z którą łączyło go coś na kształt znajomości. Kobiety o trochę artystycznej duszy.

– Dziękujemy wam obojgu za pomoc – powiedział Quinn zupełnie szczerze. Nieraz spotykał ludzi, w których życiu nagle pojawiła się śmierć, i to w wersji jak najbardziej małabrycznej.

Serri wstała, schowała wizytówkę do kieszeni, po czym odprowadziła ich do drzwi.

– Odnalezienie martwego ciała to wielkie przeżycie – powiedziała Pearl. – Zwłaszcza jeśli chodzi o ofiarę morderstwa. Czasami warto porozmawiać o tym ze specjalistą. Śmierć Jeanine Carson najwyraźniej mocno dotknęła pani męża.

– Jak pocisk z granatnika – odparła Serri Charleston, która ciągle krążyła myślami gdzieś po Bliskim Wschodzie.

– Niektóre rzeczy robią hałas i tłumią przez to inne dźwięki – stwierdził na to Quinn.

Serri zastanawiała się potem, co miał na myśli.

Rozdział 25

Quinn żałował, że burmistrz nie pali cygara. Gdyby palił, Quinn nie musiałby się tak zastanawiać, nie musiałby się krępować. Nigdy nie potrafił zapamiętać, kiedy i gdzie wolno palić cygara w Nowym Jorku. Nie wiedział też do końca, co grozi za nielegalne sztachanie się. Pewnie śmierć, jeśli nawet nie przez podanie klasycznej trucizny, to od nikoty i substancji smolistych.

Quinn wysiadł właśnie z metra i szedł do biura przez remontowaną ulicę. Wędrował pośród oparów farb, ostrego zapachu obsypujących się starych tynków, smrodu odpadów czekających przy chodniku na śmieciarkę i samochodowych spalin. Do tego wszystkiego dołączał jeszcze swoje nielegalne cygaro. Przerazone i gniewne spojrzenia licznych przechodniów wznęgały w nim przekonanie, że prawdopodobnie łamie prawo – mimo to palił dalej.

Usłyszał telefon komórkowy. Normalny dzwonek, klasyczny, regularny odgłos, który nieraz już zwiastował ważną rozmowę, odkąd Alexander Graham Bell przekazał swój wynalazek społeczeństwu. Quinn grzebał chwilę w kieszeni spodni, zanim udało mu się wydobyć aparat. Zmrużył oczy i spojrzął na małą świecącą diodę. Dzwonił Renz.

– Co mamy, Harley? – zapytał, skręcając w kierunku niskiego ceglano-murku wzniesionego przed budynkiem z kamienia, w którym chyba nikt nie mieszkał.

– Przełom! – odparł Renz.

Quinn przysiadł na murku i wypuścił dym.

– Czyżbyś palił kubańskie cygaro? – zapytał Renz zupełnie zwyczajnym tonem, jak gdyby liczył na to, że Quinn przy padnięciu przyzna się do winy.

– Co kubańskie? – zapytał Quinn, uśmiechając się do siebie w duchu.

– Nieważne.

– Na czym polega ten przełom?

– Znaleźliśmy telefon Jeanine Carson w sofie. Ta sofa się rozsuwa i zamienia w łóżko, a telefon ukrył się w mechanizmie.

Quinn wyraźnie się zainteresował.

– I jest w nim coś przydatnego?

– Niewykluczone. Było kilka połączeń z numeru należącego do Andrii Bell.

– Jakaś wiadomość?

– Niestety nie. Ostatnio zatelefonowano z lotniska LaGuardia rano w dzień śmierci Andrii. Tego samego dnia z numeru Jeanine Carson wykonane zostało połączenie do odbiorcy o nazwie Winston Castle.

Czyżby jakiś nowy gracz?

– To osoba czy miejsce?

– W pewnym sensie jedno i drugie. Facet nazwiskiem Winston Castle jest właścicielem restauracji o nazwie Far Castle, zlokalizowanej na Upper West Side. Prowadzi lokal wraz ze swoją żoną Marią.

– Nie znam tej restauracji – powiedział Quinn.

– Działa od niedawna. To jeden z tych lokali tematycznych. Podczas remontu urządzono ją na wzór średniowiecznego zamku. Ma wieże, wąskie okienka strzelnicze, wąskie gzymsy, maskarony i urokliwy angielski ogród, w którym goście mogą raczyć się posiłkiem pośród posągów i przystryżonych krzewów. Ogród mógł powstać, bo sąsiedni budynek, w którym mieścił się sklep z artykułami instalacyjnymi oraz salon oświetlenia zarazem, zawalił się i zwolnił działkę. Castle przedłużył umowę dzierżawy na obie te nieruchomości na mocy umowy, która zapewnia właścicielowi część dochodów z restauracji.

– Chcesz powiedzieć, że ten cały Winston Castle to jakiś ekscentryczny biznesmen?

– Weaver poszła do restauracji, żeby mu się przyjrzeć. Twierdzi, że już na pierwszy rzut oka robi wrażenie nieautentycznego.

Quinnowi nie bardzo się podobało, że Weaver robi cokolwiek bez jego nadzoru, wiedział jednak, że lepiej nie poruszać tego tematu. Poza tym ufał jej ocenie.

– W każdym razie dzięki przestrzeni i żywej glebie udało się urządzić przestronny ogród. Znalazł się tam nawet miniaturowy, mimo to dość skomplikowany angielski labirynt z żywoplotu.

Quinn był zaskoczony.

– Wartościowa nieruchomość na Manhattanie została wykorzystana na ogród i labirynt?

– Tak Nowy Jork w nowej odsłonie. Do Castle'a czasem zgłasza się ktoś w sprawie zakupu działki, ale on informuje potencjalnych nabywców, że chce w przyszłości wykopać jeszcze fosę i sprowadzić aligatory.

Quinn spojrzął na drugą stronę ulicy i obserwował, jak ekipa elektryków rozstawia na niej pachołki i barierki. Czterech rosłych facetów w kaskach przybierało podczas tej kłótni dziwne pozy, jak gdyby ktoś ich filmował. Może zresztą tak faktycznie było. Jeden z nich z młotem wyciągał z zakurzonej furgonetki młot pneumatyczny.

– Jeanine Carson rozmawiała z tym facetem przez telefon tego samego dnia, kiedy umarła Andria Bell?

– Z nim albo z jego żoną.

– Może zamawiała jedzenie na wynos... – stwierdził Quinn.

Bezgłośnie zaciągnął się cygarem, po czym odwrócił twarz od telefonu i ostrożnie wypuścił powietrze.

– Przecież nie dzwoniłbym z tym do ciebie, gdybym tego nie sprawdził – powiedział Renz. Sprawiał wrażenie naprawdę urażonego. Przecież obaj byli profesjonalistami. Poza tym on w każdym razie pełnił jeszcze funkcję cholernego komisarza.

– Przepraszam cię, Harley – odparł Quinn, mówiąc nawet na wpół szczerze. – Zajmę się tym.

– Cokolwiek ustalisz, na razie zachowajmy to dla siebie.

– Domyślam się, że przez „my” rozumiesz Q&A Investigations oraz siebie?

– Zgadza się, Quinn.

– Oraz Nancy Weaver?

– Oczywiście. Ona potrafi węszyć jak mała kot. Ma jaja jak Kobieta-Kot.

– Nie mam nic do powiedzenia na temat jej anatomii – stwierdził Quinn.

– Nie?

Quinn rozumiał, skąd wzięło się w głosie Renza to zdziwienie.

– Harley, liczą się jej umiejętności, a nie anatomia.

– Jak tam sobie chcesz – odparł Renz, po czym dodał: – Czy ty aby na pewno nie palisz właśnie kubańskiego cygara?

– Bardziej pewny tego być nie mogę – skłamał Quinn.

– Potrafię rozszyfrować ten ton nawet przez telefon. Niewykluczone, że kłamiesz zarówno w sprawie Weaver, jaki cygar. Jako pałkarz pewnie możesz się pochwalić średnią na poziomie co najmniej pięćset.

– Masz adres do tej restauracji Far Castle? – zapytał Quinn, odchodząc od tematu cygar, Nancy Weaver i wyników baseballowych. Dość już krążyło plotek o tej kobiecie. Jakoś mało kto w ogóle uwzględnił to, że była po prostu świetnym policjantem.

Renz podał mu adres, lokał mieścił się niedaleko Amsterdam Avenue.

– Twoje rewiry – stwierdził Renz. – Fosa i aligatory w sam raz tam pasują.

– Dym z cygar odstrasza gady – odparł Quinn. – Za to na niektóre kobiety działa jak afrodyzjak

– Ty draniu! Wiedziałem, że je palisz. Dobrze wiesz, że to jest zabronione...

Quinn się rozłączył. Zastanawiał się, czy na Kubie żyją aligatory. Doszedł do wniosku, że na pewno.

Rozdział 26

Po rozmowie z Renzem Quinn ponownie ruszył w kierunku biura, jak gdyby nigdy nic dopalając kubańskie cygaro do samego końca. Rzucił niedopałek na chodnik i rozgniół go podeszwą, po czym zwinnym kopnięciem posłał do kratki ściekowej. Złana potem kobieta w niebieskim stroju z lycry, która przechodziła obok, prowadząc rower, spojrzała na niego tak, jak gdyby właśnie zabił szczeniaka.

– To ulega biodegradacji – rzucił Quinn.

Sprawiła wrażenie, jak gdyby go nie usłyszała.

Minął wejście do biura i skierował się do swojego starego lincolna, który stał w cieniu jednego z największych drzew rosnących przy chodniku. Drzewa wzdłuż ulicy wyrastały z półtorametrowych kwadratów ziemi. Wokół niektórych z nich posadzono kwiaty, tworząc w ten sposób miniaturowe ogrody. Na spacer było za ciepło, więc Quinn postanowił pojechać do Far Castle samochodem. Zaparkował niezgodnie z przepisami przy hydrancie przeciwpożarowym, więc włożył za szybę karteczkę z logo NYPD. Przechodząc na emeryturę, postanowił jej nie zwracać. Potem udał się w kierunku rogu ulicy, gdzie mieściła się restauracja. Przyszło mu do głowy, że zachowuje się jak człowiek całkowicie pozbawiony szacunku wobec prawa. Uśmiechnął się na tę myśl.

*

Harley nie żartował z tym zamkiem i ogrodem w stylu angielskim. Restauracja położona wśród wszelkiego rodzaju zieleni faktycznie przypominała mały średniowieczny zamek, a wrażenie to tyłko dodatkowo wzmagały maskarony, wieżyczki i krenelażowy mur. Pod markizą wykończoną frędzelkami dałoby się ustawić kilkanaście stolików z widokiem na ogród. Sam ogród

sprawił wrażenie celowo lekko zapuszczonego, jak na angielski styl przystało. Tu rosło geranium, tam hibiskusy, obok przeróżne inne kwiaty i wysokie trawy, których Quinn nie potrafił rozpoznać. Duża betonowa fontanna dla ptaków niemal całkowicie nikięła pośród winorośli. W kilku miejscach rosły bujne krzewy róż, niektóre o bardzo mocno zarysowanych cierniach. Wszystkie pozornie było dziełem przypadku – oprócz labiryntu z żywopłotu. Krzewy wznosiły się na dwa metry. W ukośnych promieniach słońca wejście do środka prezentowało się dość złowrogo. Labirynt zajmował niewielką powierzchnię, ale spacerujący po nim przechodzień często musiał skręcać w prawo. Quinn zauważył, że gdzieś mniej więcej w środku leniwie wznosi się w górę naga kobieca ręka. Usłyszał też śmiech. Osoba przebywająca w sercu labiryntu z całą pewnością nie wzywała pomocy, tylko dobrze się bawiła. Quinn doszedł do wniosku, że odnalezienie wyjścia z niego raczej nie zajmuje dużo czasu.

Z budynku wyszła młoda kelnerka z dużą tacą, na której znajdował się lunch dla kilku stolików. Quinn pomyślał, że na szczęście nie musi nosić zbroi, po czym wszedł do restauracji, ponieważ tam panowała niższa temperatura.

W lokalu był dość duży ruch, mimo że pora lunchu już minęła, a na kolację było jeszcze wczesnie. Wnętrze wypełniało miękkie światło, a ściany pokrywała gruba i ciemna boazeria. Między wąskimi okienkami strzelniczymi na ścianach wisiały duże plakaty kinowe reklamujące europejskie filmy – Quinn rozpoznał kilka szczególnie dobrze znanych, jak choćby *Słodkie życie* i *Mężczyzna, który kochał kobiety* czy włoskie westery Sergia Leone, będące inspiracją dla Clint Eastwooda. W środku działał też mały bar, przy którym goście popijali drinki w oczekiwaniu na miejsce przy stoliku. Kelnerzy w prostych białych koszulach i czarnych kamizelkach krzątali się pomiędzy płachtami obrusów w czerwono-białą kratę, zrećnie balansując tacami z jedzeniem. Wahadłowe drzwi między kuchnią a salą jadalną zdawały się nie zamykać. W powietrzu unosiła się cicha muzyka operowa – Quinn powiedziałby, że to Puccini.

U boku Quinna pojawił się kierownik sali w smokingu i z grzecznym uśmiechem na twarzy. Quinn dyskretnie pokazał mu odznakę nowojorskiej policji, którą jako członek zespołu Q&A dostał od Renna na czas pracy przy zleconych sprawach. Poprosił o możliwość rozmowy z panem Castle'em. Wypowiadając to nazwisko, poczuł się odrobinę głupio, nie do końca bowiem miał pewność, czy taka osoba faktycznie istnieje. Chociaż czemu miałyby nie istnieć? Ludzie nazywają się przecież Ben czy Jerry.

Kierownik sali, cały czas życzliwie się uśmiechając, poprowadził Quinna w kierunku wahadłowych drzwi do kuchni. Roztaczający się w ich pobliżu zapach od razu podsycał apetyt detektywa, a talerz z jakimś makaronem minął Quinna w tak niewielkiej odległości, że gdyby chciał, mógłby zanurzyć w nim zęby. Quinn spodziewał się, że zastanie Winstona Castle'a w jego gabinecie. Tymczasem kierownik gestem poprosił go, by zechciał poczekać przy drzwiach, stąd bowiem nie miał szans zakłócić całego tego kontrolowanego chaosu stanowiącego rzeczywistość kuchni. Sam zaś podszedł do nieco zbyt okrągłego mężczyzny po czterdziestce ubranego w białą koszulę oraz czarno-białą kamizelkę i przepasanego białym fartuchem. Mężczyzna miał szerokie ramiona i równie szeroką twarz. Był raczej tęgi niż gruby. Sprawił przy tym wrażenie nadzwyczajnie silnego i dysponującego niespożytą energią. Oprócz niego w kuchni znajdowało się jeszcze dwóch kucharzy – szczupłych, wręcz kościstych – którzy najwyraźniej mieli kłopot z nadążaniem za wulkanem energii w osobie Castle'a.

Kierownik sali przywołał Quinna gestem, detektyw ruszył więc przed siebie, uważając przy

tym, by nie paść ofiarą żadnego gorącego sosu ani intensywnie pracującego noża, tasaka czy szpatułki. Coś zaskwierczało właśnie w głębokim oleju i poszło w kierunku jego dłoni kroplę gorącego tłuszczu, jak gdyby próbowało przykuć jego uwagę. Przemierzając tak gwarną i gorącą kuchnię, Quinn wpatrywał się w czarne wąsy Winstona Castle'a, które unosiły się ku górze, malując na jego twarzy coś na kształt wiecznego uśmiechu. Ten cały rozgardiasz panujący wokół najwyraźniej sprawiał mu radość. Castle musiał być człowiekiem, który ma zawsze poczucie kontroli nad sytuacją – i też faktycznie cały czas nad nią panuje.

Właściciel restauracji przeprowadził Quinna przez tylne drzwi kuchni, które wiodły do półprywatnej części ogrodu. Nieco dalej przy chodniku stały stoliki dla gości restauracji. Obszernym gestem ramienia Castle zaprosił Quinna do zajęcia miejsca przy prostym, metalowym, nawet nieprzykrytym obrusem. Quinn usiadł na jednym z kuty ch krzeseł i z uznaniem rozejrzał się wokół siebie. Na Manhattanie rzadko się widywało takie ogrody, chyba że na dachach.

*

Kelner przyniósł dwie szklanki wody z lodem. Gdy odszedł, Castle zajął miejsce na krześle obok Quinna. Przy tym stoliku było jakby chłodniej. Quinn miał widok przede wszystkim na krzewy, niektóre pięknie przystrzyżone w kształt ozdobnego ptaka, małego konia czy dużego królika. W tej części ogród charakteryzował się symetrią i był niezwykle zadbany. Odgłosy ruchu ulicznego dobiegające zza żywopłotu wydawały się tu zupełnie nie na miejscu i nie na czasie. Brakowało stukotu podków i pry chania koni, szczęku pistoletów, zgrzytu mieczy i lanc...

Castle miał na sobie czarne buty, które lepiej pasowałyby chyba do filmu o piratach. Z małej kieszonki kamizelki wystawał zegarek na złotym łańcuszku. Jakby za nic mając żar lejący się z nieba i temperaturę panującą w kuchni, restaurator obwiązał sobie szyję sporych rozmiarów niebiesko-białą apaszką. Quinn zastanawiał się, czy jego rozmówca nie teleportował się przy padkiem z dziewiętnastego wieku... albo może nawet osiemnastego... Dziwnie się zatem czuł, mówiąc:

– Z pańskich połączeń telefonicznych można wnioskować, że znał pan niejaką Jeanine Carson.

Castle zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, co wydało się Quinnowi dziwne. Przecież albo znał Jeanine Carson, albo nie.

– Znałem ją, ale się nie przyjaźniliśmy – odparł Castle z lekko brytyjskim akcentem. – Dzwoniła do mnie kilkakrotnie.

– W jakim celu?

– Nie wiem. Byłem zmuszony dość szybko kończyć te rozmowy z uwagi na inne, pilniejsze sprawy. Pewnie pan zauważył, że cierpimy tu na niedobór rąk do pracy.

– Nie zauważyłem – odparł Quinn. – Odniosłem wręcz wrażenie, że z powodu tłoku ludzie wchodzą sobie w drogę. A Andria Bell? Czy ją pan też znał?

Castle uraczył go szerokim, ale chyba lekko wymuszonym uśmiechem.

– Jestem zajęty człowiekiem, lecz śledzę wiadomości. Wiem, że Andria Bell to jedna z ofiar tego strasznego wielokrotnego zabójstwa w hotelu. Domyślam się, że to właśnie z tego powodu pan się tu zjawił. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ukazując rząd niewiarygodnie wręcz równych i bardzo białych zębów, które świetnie by się prezentowały zaciśnięte na ostrzu noża podczas abordażu. – Czy żym się znalazł na liście podejrzanych?

– Wraz z ponad dziesięcioma milionami osób.

– To chyba czeka pana sporo żmudnej pracy...

– Czasami to tak wychodzi.

– Pewnie wtedy przydaje się panu pomoc, tak samo jak mnie tu, w restauracji.

Okrągłe policzki Castle'a cały czas rozsuwały się w jowialnym uśmiechu, Quinn jednak zdążył się zorientować, że bynajmniej nie ma do czynienia z głupim człowiekiem. Castle chętnie dałby się wyzwać na konwersacyjny pojedynek.

– Czy Jeanine wspominała o czymkolwiek, co mogłoby sugerować, że grozi jej niebezpieczeństwo?

– Nic takiego sobie nie przypominam, ale kiedy zobaczyłem jej nazwisko w gazecie, kiedy się o tym wszystkim dowiedziałem, postanowiłem do pana zadzwonić.

– Ale pan tego nie zrobił.

– Ponieważ przyszło mi odebrać inny, nawet ciekawszy telefon. Zacząłem się zastanawiać, czy te dwie sprawy coś łączy.

– Dlaczego by miało?

– Jak wspominałem, nie powiedziałbym, że się przyjaźniłem z Jeanine Carson. Wiem natomiast, że Andria Bell i Jeanine... dość dobrze się znały. Obie się obracały w kręgach artystycznych. Podobnie jak niejaka Ida Tucker, która do mnie zadzwoniła.

Quinn zastanawiał się, do kąd ta rozmowa w ogóle zmierza – i czy faktycznie dokądś zmierza. Próbował nie dać tego po sobie poznać, ale zastanawiał się nad kondycją psychiczną swojego rozmówcy. Winston Castle tak bardzo wczuwał się w swoją rolę, że jego autentyczny budził pewne wątpliwości.

– Czy ta rozmowa odbyła się po śmierci Andrii? – dociekał Quinn.

– Tak. Ta cała Ida Tucker próbowała przez telefon nakłonić mnie do sprzedaży dzieła sztuki, którego nie posiadam. – Wyraz twarzy Castle'a jakby się zmienił, nie tylko pod wpływem szerszego uśmiechu, blasku w oku i nowego rumieńca na twarzy. – Twierdziła, że chodzi jej o zagubioną rzeźbę Michała Anioła znaną jako *Bellezza*. – Nachylił się w stronę Quinna i ściszył głos. – To po włosku znaczy...

– „Piękno”, wiem – Quinn wszedł mu w słowo.

– Właśnie! Ta cała pani Tucker powiedziała, że chodzi o małe kobiece popiersie z białego marmuru, do którego pozowała podobno pewna bardzo wpływowa kurtyzana obsługująca hierarchów Kościoła. Legenda głosi, że zginęła z ręki zamachowca, żeby jej tajemnice nie wyszły na jaw.

Quinn spojrział Castle'owi w oczy, usiłując go rozgryźć. *W co ja się właśnie pakuję?*

Castle sprawiał wrażenie śmiertelnie poważnego.

– Jak wygląda to popiersie? – zapytał Quinn. – Poza tym, że jest białe.

– Nie opisała go szczegółowo, ale powiedziała, że odziedziczyła jakieś listy, w których jej szwagier, niejaki Henry Tucker, opisywał rzeźbę, leżącą na łożu śmierci. Twierdziła, że boi się

przesyłać tego typu informacje pocztą czy nawet rozmawiać o tym przez telefon. Przekazała te listy swojej zaufanej przyjaciółce, która wybierała się właśnie do Nowego Jorku ze swoimi uczennicami. Ona miała mi je pokazać.

– Chodzi o Andrię Bell – stwierdził Quinn.

Castle skinął głową.

– Właśnie. Andria dzwoniła, ale nie odebrałem. Gdy w końcu udało nam się porozmawiać, chyba próbowała mnie wyczuć. Powiedziała, że ma listy, ale nie bardzo chciała mi je pokazać.

– Dlaczego się wahała?

Castle wzruszył masywnymi ramionami.

– Pewnie chciała się upewnić, że rozmawia z właściwym człowiekiem. Przy puszczać, że to popiersie jest sporo warte.

Quinn się uśmiechnął.

– Prawie zawsze chodzi o pieniądze.

– Owszem – stwierdził Castle. – Chociaż tu chyba chodzi też o coś więcej. Z powodu tego czegoś właśnie zachowywała szczególną ostrożność.

– O co mogło chodzić?

Grube czarne wąsy Castle'a rozsunęły się w szerokim uśmiechu.

– Właśnie chciałem pana zatrudnić, żeby pan to ustalił. – Jego błyszczący wzrok przeniósł się gdzieś za plecy Quinna. – O, Maria!

Quinn spojrzął za siebie i zobaczył ciemnowłosą kobietę, atrakcyjną, ale trochę zbyt niską i kręłą jak na współczesne standardy, która właśnie wychodziła do ogrodu.

– To moja żona Maria – oznajmił Castle, wykonując zamaszty ruch prawą ręką, jak gdyby przedstawiał jakąś znaną osobistość. – Właśnie przekonuję detektywa Quinna, żeby pomógł mi znaleźć *Bellezzę*.

Puszysta kobieta o ciemnych włosach żywcem się uśmiechnęła. Wokół jej ciemnych oczu pojawiły się lekkie zmarszczki, które jednak nie dodały jej lat.

– To wspaniale.

– Nie powiedziałem przecież...

– Jeśli misja się powiedzie, zapłacimy mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów – stwierdził Castle.

Liczba najwyraźniej nie zrobiła na Marii większego wrażenia.

– Proszę pana – bronił się Quinn – prowadzę właśnie działania zmierzające do odnalezienia i powstrzymania seryjnego mordercy.

– Tego samego, który zabił Andrię Bell i te pozostałe biedne kobiety.

Maria się chyba zdenerwowała. Quinn spodziewał się, że zaraz wykona znak krzyża, ale nic takiego się nie stało.

– To będzie dla pana swego rodzaju premia, detektywie Quinn – stwierdził Castle.

Quinn nie myślał o pieniądzach, a w każdym razie nie w pierwszej kolejności. Miasto wynagradzało jego agencję odpowiednio szczerze, chociaż Castle dość słusznie stwierdził, że w tym przypadku żaden konflikt interesów by nie występował. Sprawa zaginionego popiersia i wielokrotnego mordercy z hotelu Fairchild znalazły wspólny punkt, a Quinn mógł jednocześnie szukać *Bellezzy* i sprawcy zabójstw. Tak się pewnie zapatrywał również na to Winston Castle. Dlaczego D.O.A., seryjny zabójca, zdecydował się popełnić masową zbrodnię? Prawdopodobnie miało to związek z rozmową, którą odbył w Muzeum Sztuki Nowoczesnej z Grace Geyer.

Zapewne Geyer wpadła mu w oko, a w rezultacie on wpadł na jeszcze ciekawszy trop i po prostu postanowił skorzystać z okazji. Quinn stwierdził, że to rokuje pewne nadzieje. Jeżeli bowiem zabójca trafił na coś, co go zainteresowało i co skłoniło go do popełnienia wielokrotnego morderstwa, to być może tym samym popełnił jeden z nielicznych błędów w swojej przestępczej karierze. Niewykluczone też, że ten błąd doprowadzi do jego śmierci bądź pojmania.

– Przyjmie pan wynagrodzenie za swoje usługi? – zapytał Castle.

– Zobaczmy, jak się potoczy śledztwo – odparł Quinn. – Na razie nie wiemy, czy te wątki się łączą. Dopiero gdy ustalimy te rzeczy, będziemy mogli rozmawiać o zwrocie popiersia.

Castle nagle jakby urósł, brzuch też mu się uwydatnił. Chyba się trochę zdenerwował, a nawet poczuł się urażony. Na jego twarzy pojawił się cały wachlarz emocji.

– Zapewniam, że to popiersie nie zostało skradzione z żadnego muzeum.

– Sprawdzenie tego to rutynowe działanie – odparł Quinn nieco zaskoczony tym nagłym aktem obrony dobrego imienia.

– Powinniśmy podać sobie ręce w tej sprawie – powiedział Castle, wyciągając dłoni.

Jego nastrój znów diametralnie się zmienił. Ruszył w kierunku Quinna i mocno uściśnął mu dłoń, by najmniej zupełnie nie w angielskim stylu śniętej ryby. Ten uścisk miał przypieczętować ich porozumienie.

– Wspaniale! – powiedziała Maria, uśmiechając się do Quinna. – Wiadomość o śmierci obu tych pań bardzo nas poruszyła.

Quinn trochę się zdziwił.

– Ofiar było siedem.

– Tak, oczywiście. Nie chciałam nikogo pominąć. – Teraz już przeżegnała się, zupełnie bezwiednie i tak szybko, że Quinn niemal to przeczytał. – Po prostu z tymi dwiema paniami mieliśmy jakąś styczność, choć oczywiście wszystkie pozostałe też pozostają bliskie naszym...

– Które dwie ma pani na myśli? – zapytał Quinn.

Maria klasnęła w dłonie, a jej twarz renesansowej chłopki nagle przybrała poważny wyraz.

– Andrię Bell i Jeanine Carson.

Quinn poczuł się jak ktoś, kto się zagubił w labiryncie z żywoplotu. Uważał przecież, że D.O.A. zabił Jeanine Carson, żeby nie wypaść z gry, niejako dla rozrywki i na złość jemu. Poza przypuszczalnie przypadkowym zainteresowaniem sztuką tych kobiet nie łączyło nic poza tym, że padły ofiarą tortur i śmierci z rąk tej samej przebiegłej, sadystrycznej bestii. Pełniły rolę pionków w jego grze.

– Siostry – powiedziała Maria Castle. – Na litość boską, one były siostrami.

Rozdział 27

– Zgadza się, były siostrami – powiedział Jerry Lido.

Noc upłynęła mu zasadniczo na internetowych poszukiwaniach więzów rodzinnych. Poinformował przy tym Quinna, że już od poprzedniego dnia nic nie pił, więc szef Q&A powątpiewał w prawdziwość jego ustaleń, bo Lido najlepiej pracował, gdy w jego krwi krążyły duże ilości alkoholu, inaczej mówiąc, zalany w trupa. Siedział teraz rozwalony na niewygodnym drewnianym krześle ustawionym na skos przy biurku Quinna. Koszulę miał na wpeł wyciągniętą ze spodni, a krawat poluzowany i przekrzywiony. Quinn stwierdził, że linia włosów cofnęła mu się ostatnio o kilka centymetrów i tworzy już wyraźne zakola.

– Andria Bell i Jeanine Carson to córki Idy Tucker i Roberta Kingdoma. Jeanine była przez krótki czas żoną Brady’ego Carsons, który zmarł trzy lata temu w wypadku motorówki na jeziorze Erie.

– Jaki to był wypadek?

– Wybuch. Pod maską nagromadziły się spaliny i doszło do eksplozji. – Lido wzruszył kościstymi ramionami. – To się czasami zdarza. Nie ma w tym nic podejrzanego, chyba zresztą nie przeprowadzono w tej sprawie żadnego dochodzenia.

– Był na tej łodzi sam?

– Nie, z instruktorem wędkarstwa, do którego zresztą ta łódka należała. Facet przeżył na tyle długo, żeby mógł opowiedzieć ekipie ratunkowej, co zaszło. Otóż Carson zszedł pod pokład po jakiś sprzęt i zapalił cygare. Tyle pamięta instruktor. Krzyknął wprawdzie do Carsons, żeby ten zachował ostrożność, ale się spóźnił. – Na zmęczonej twarzy Lido pojawił się złośliwy uśmiešek. – Jak się pali zakazane cygara, to mogą człowieka spotkać różne przykrości.

Quinn wziął to sobie do serca.

– Znalazłeś coś istotnego na temat tych siostr? – zapytał.

Lido znów wzruszył ramionami. Nawet na trzeźwo zachowywał się czasem jak pijany.

– Obie nie żyją – odparł.

– Kity zachowaj dla siebie, Jerry. Dość muszę tego wszystkiego znosić z całą tą menażerią,

z którą mam tu do czynienia.

– Każdy się czuje Sherlockiem... – odparł Lido. – W tym konkretnym przypadku chodzi o... Weaver.

Quinn oparł łokcie na biurku i nachylił się w stronę Lido.

– Nancy Weaver?

– We własnej osobie. Podczas poszukiwań natrafiłem na jej ślady elektronicznej aktywności.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że odwiedzała ostatnio kilka tych samych stron, na które ja zaglądałem.

– Prowadziła własne poszukiwania?

– Na to wygląda. Trudno się zresztą dziwić. Przecież ona jest z drużyny Renza. – Lido uniósł brwi. – Sądząc po tym, co widziałem, chyba całkiem dobrze sobie radzi z komputerem.

– Weaver ma wiele talentów.

– Też tak słyszałem, ale kto wie, jak to jest naprawdę...

Na biurku Quinna zadzwonił telefon. Detektyw odesłał Lido skinieniem głowy, po czym podniósł słuchawkę. Na wyświetlaczu pojawiła się informacja, że dzwoni do niego ktoś z Far Castle.

*

Quinn odebrał telefon, podając nazwę agencji i swoje nazwisko. W tym czasie Lido zdążył już zniknąć za drzwiami i poszedł nadrabiać zaległości w picciu i spaniu, tak w każdym razie przy puszczał Quinn.

– Mówi Winston Castle – odezwał się głos w słuchawce przypominający raczej spikera z BBC. – Wydarzyło się coś, co może pana zainteresować.

– Słucham – odparł Quinn.

Jakoś nie mógł się wyzbycić wrażenia, że Castle sobie z niego kpi. Przy pominał jednak sobie, że takie podejrzenia towarzyszą mu w jego pracy całkiem często. Nie każdy, z kim się stykał podczas prowadzenia śledztwa, musiał od razu mieć jakieś ukryte zamiary albo potajemne interesy.

– Ta kobieta znowu do mnie dzwoniła. Wczoraj wieczorem około dziesiątej – powiedział Castle. – Ponownie przedstawiła się jako Ida Tucker. Powiedziała, że jest daleką krewną mojej żony.

– Czy to prawda?

– Maria nie ma co do tego pewności.

Quinn podejrzewał, że Jerry Lido na pewno by ją miał. Teraz żałował, że go odesłał. Niewykluczone jednak, że nawet Lido nie połapie się w całym tym bałaganie.

– Po co dzwoniła ta Ida Tucker?

– Chciała dalej negocjować ze mną w sprawie popiersia Michała Anioła, w sprawie *Bellezzy*.

Quinn doszedł do wniosku, że zaczyna go to coraz bardziej interesować.

– Co konkretnie chciała negocjować?

– Nie tylko sprzedaż zaginionego dzieła, ale również listów, które rzekomo do niego dołączono. Chodzi o listy, które Henry Tucker napisał na łożu śmierci, tuż przed tym, jak zmarł na skutek ran odniesionych w Dunkierce. Chciała, żebyśmy przyjechał do jakiegoś Green Forest w stanie Ohio, by tam obejrzeć listy i je kupić. Poprosiłem, żeby przesała mi po prostu ich kopie, ale oczywiście się nie zgodziła. Uważa, że o wartości listów decyduje nie tylko ich autentyczność, ale także treść.

Quinn potrafił dostrzec w tym rozumowaniu sens. Zwrócił też uwagę na coś innego.

– Dlaczego po prostu jej pan nie podziękujecie i się nie rozłączycie?

– Bo mnie zaciękała. Pan zapewne też jest ciekawy, drogi przyjacielu. Czyż nie?

Quinn się uśmiechnął. Castle miał rację.

– Obaj cierpimy na tę samą straszliwą przypadłość, która zwie się ciekawością – stwierdził Castle – i która stanowi pierwszy stopień do piekła. Poza tym jest coś jeszcze. Tym razem podczas rozmowy Ida Tucker próbowała się ode mnie dowiedzieć, czy policja znalazła jakiegokolwiek listy wśród rzeczy Andrii Bell bądź w pokoju hotelowym, w którym doszło do morderstwa.

– Co jej pan powiedział? – zapytał Quinn. Oczywiście wyobraźni widział mroczny uśmiešek na twarzy swojego rozmówcy.

– Oczywiście nic jej nie powiedziałem. Postanowiłem nie zaspokajać jej palącej ciekawości. Przy puszczałem, że zrozumie pan moje motywy.

– Owszem, rozumiem – odparł Quinn.

*

Quinn dołączył do Jerry'ego Lido, który udał się do Dropp Inn, lokalu położonego o kilka przecznic od biura. Schodziło się do niego w dół po stopniu, na którym potykali się wszyscy goście odwiedzający go po raz pierwszy. Stali klienci dobrze się bawili, w milczeniu obserwując upadki i reakcje nowicjuszy. W środku panowały mrok i chłód, a dodatkowo o tej porze dnia w lokalu nie było niemal żywego ducha. Chociaż Quinn wiedział o pułapce czekającej przy wejściu, i tak musiał drobić kroki, żeby odzyskać równowagę zaraz po przekroczeniu progu.

Oprócz Lido szklaną czegoś mocniejszego raczyła się tu tylko jedna absolutnie niesamowita siwowłosa kobieta po sześćdziesiątce. Na głowie miała skomplikowaną fryzurę, za którą musiała sporo zapłacić. Siedziała w nienagannym stroju, starannie dobranym i perfekcyjnie wyprasowanym, zupełnie jak gdyby wybierała się na spotkanie w sprawie pracy czy interesów. Bił od niej niemal namacalny smutek. Spojrzawszy na nią, Quinn zaczął się zastanawiać, czy na giełdzie nie doszło przy padkiem do jakiegoś krachu.

Lido siedział skulony w drewnianym boksie mniej więcej przy drugiej stronie baru. Przy najmniej nie zabrakło mu zdrowego rozsądku. Spoglądał wprawdzie od czasu do czasu w kierunku tej kobiety, ale jednak trzymał się od niej z daleka.

– Tak właśnie skończy się – powiedział Quinn, wskazując strudzoną życiem bywalczynię baru, i usiadł naprzeciwko Lido.

Lido odwrócił głowę w jej stronę i skupił na niej wzrok.

– A, o niej mówisz... Tak się składa, że ma osiemdziesiąt siedem lat.

– Tak samo jak my wszyscy – zripostował Quinn.

– Najchętniej pije dżin.

– Tobie też się to zdarza.

– A tobie się zdarza próbować za mną nadążyć.

– Nie będę pił jednego za drugim. To by były samobójstwo, tyle że na raty.

– Pewnie kiedyś była piękna – stwierdził Lido, cały czas wpatrując się w kobietę. – Nawet teraz potrafisz dostrzec w niej urok

– Zaczynamy gadać jak Winston Castle.

Zza baru wyłonił się barman i stanął przy boksie. Nikt nie mógł tak tu bezpłatnie przesiadywać i chronić się przed światem, który tam, za drzwiami, pędził prosto przed siebie. Quinn zamówił więc to samo piwo, które popijał Lido – trunek z mikrobrowaru, o którym nigdy nie słyszał. Zamówił też drugą butelkę dla swojego towarzysza, żeby ten mógł pracować na pełnych obrotach.

– Mam do ciebie jeszcze kilka pytań – stwierdził Quinn.

Lido rzucił mu przesłodzony uśmiech.

– Tak właśnie myślałem, że nie przyszedłeś tu za mną, żeby oceniać kobiety i moje perspektywy.

– Na pewno nie po to, żeby oceniać tę kobietę – stwierdził Quinn, wskazując głową postać przy barze. – Chodzi mi o Idę Tucker. Pamiętasz może, jak ona się wpisuje w te wszystkie rodzinne koneksje, które tak wnikliwie analizowałeś?

W nabiegłych krwią oczach Lido pojawił się jakiś błysk. Quinn od razu to dostrzegł. W pewnym sensie alkohol działał na mózg technika jak katalizator, powodując połączenie odpowiednich skójrzeń myślowych w spójną całość.

– To może ci opowiem o Idzie Tucker – odpowiedział mu Lido zupełnie wyraźnym głosem.

– O reszcie rodziny też możesz. O całej tej gmatwaninie koneksji.

Lido się uśmiechnął i łyknął piwa.

– Wszystko się zaczyna od Henry'ego Tuckera, brytyjskiego żołnierza, który zmarł w angielskim szpitalu po ucieczce z atakowanej przez Niemców Dunkierki. – Lido utkwił swój nieostry wzrok w twarzy Quinna. – Chodzi oczywiście o drugą wojnę światową.

– Domyśliłem się – oznajmił Quinn.

– Henry miał brata, Edwarda. Edward zaś miał żonę, Idę. Nadążasz?

– Pewnie.

– Tuż przed śmiercią Henry przeżył burzliwy romans z angielską pielęgniarką, która się nazywała Betsy Douglass. Betsy miała siostrę. Siostra miała na imię Willa, mieszkała w Ohio i była żoną Marka Kingdoma.

– Wszystko jasne – powiedział Quinn. – Mark i Willa Kingdomowie. Może powinienem to sobie zapisać?

– Dam ci potem wydruk – odparł Lido i mówił dalej: – Ze względów zdrowotnych Willa i Mark nie mogli mieć dzieci. On bowiem został ranny podczas pracy we flocie handlowej.

Adoptowali w związku z tym dwoje dzieci wcześniej pozostających pod kuratelą stanu, Roberta i Winstona. W tym momencie dwie rodziny znowu się zetknęły, właśnie w Ohio. Winston umarł jeszcze jako dziecko.

– Chwileczkę – powstrzymał go Quinn. – Winston Kingdom? Czy to Winston Castle?

– Zaraz do tego dojdę – odparł Lido. – Winston Castle to tak naprawdę Robert Kingdom junior. Można powiedzieć, że to anglofil.

– Można tak powiedzieć.

– Mimo to ożenił się z niejaką Mariellą Lopez, imigrantką z Meksyku.

– Maria? Żartujesz chyba! Przy puszczałem, że jest Włoszką.

– Jest Włoszką. Nazywała się Righetti, ale potem wyszła za meksykańskiego matematyka nazwiskiem Lopez, który umarł pięć lat temu.

– Tylko nie mów, że w wyniku wybuchu na łodzi.

– Nie, raził go piorun. Rok później Mariella przeniosła się do Stanów Zjednoczonych i wyszła za Winstona Castle'a, który wtedy nazywał się Kingdom junior.

Quinn wziął duży łyk piwa.

– Czy w tej rodzinie jest cokolwiek nieskomplikowanego?

– Nie, ale dla nich chyba jest to źródło dumy, a przy najmniej satysfakcji. Nie wydaje ci się, że to może być dziedziczne?

– Pewnie tak – odparł Quinn.

Przez lata miał wiele okazji obserwować wariactwo w najróżniejszych postaciach, a przy tym coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ludzie pozostają przynajmniej w pewnym stopniu niewolnikami swoich genów. W tej jednak rodzinie wariactwo zdawało się pozostawać bez związku z więzami i krwi.

Lido ciągnął:

– Willa Douglass i Mark Kingdom zginęli podczas tornada. Później Ida Tucker rozwiodła się z Edwardem i wyszła za Roberta Kingdoma seniora. Nadal używała swojego poprzedniego nazwiska, czyli Tucker. Adoptowali dwie siostry, Andrię i Jeanine Bell. Adoptowali również syna, Roberta Kingdoma juniora, który z sobie tylko znanych względów przedstawia się obecnie jako Winston Castle.

– Ech! Czy może ktoś jeszcze w tej rodzinie występuje pod przybranym nazwiskiem?

Lido wzruszył ramionami.

– Dlaczego oni tak chętnie adoptowali dzieci?

– Za dziećmi, które dotychczas pozostają pod kuratelą stanu, idą pieniądze. To jeden powód. Niewykluczone jednak, że po prostu byli ludźmi wielkiego serca.

– Tacy faktycznie się zdarzają – przyznał Quinn.

– Nie tylko ty i ja się do nich zaliczamy – dodał Lido.

– A może ludzie robią takie rzeczy po prostu w przyływie szaleństwa.

– Tyle że w tym szaleństwie jest metoda – odparł Lido.

– Robert Kingdom senior i Ida Tucker – powtórzył Quinn. – Może i „senior”, ale czy ona nie była od niego wyraźnie starsza?

– Była, sądząc jednak po zdjęciach, które znalazłem w necie, babka prezentowała się całkiem niczego sobie. Niewykluczone, że nadal nieźle wygląda. – Lido wziął mały łyk piwa, oblizał usta i mówił dalej: – Willa musiała odnaleźć Edwarda Tuckera już po wojnie. Losy dwóch rodzin się

z sobą spletały i tak oto powstała ta wesoła gromadka, z którą mamy teraz do czynienia. Składają się na nią w znacznej części dzieci adoptowane, a także ich synowie oraz córki. To sieroty lub dzieci oddane przez rodziców. Są to ludzie bardzo mocno od siebie zależni, chyba bardziej niż członkowie innych rodzin. Im bliżej się temu przyglądałem, tym bardziej się utwierdzałem w tym przekonaniu. To całe zgromadzenie robi wrażenie ludzi przede wszystkim... potrzebujących. I wcale nie chodzi mi wyłącznie o pieniądze. – Lido uniósł ramiona, po czym opuścił je, jak gdyby stanowiły wielki ciężar. – W sumie to nie wiem, Quinn. Takich potrzebujących ludzi nie brakuje. Nie znam się specjalnie na życiu rodzinnym, ale wydaje mi się, że sporo jest rodzin takich jak ta, bo małżeństwo i rodzicielstwo jakby przestały się liczyć.

Spojrzał na Quinna tak, jak gdyby chciał go wciągnąć do dyskusji. Quinn jednak nie czuł potrzeby poruszania tego tematu. Nie dało się zaprzeczyć, że jego była żona mieszkała wraz z córką w Kalifornii, on zaś żył z Pearl i pewną młodą kobietą, którą traktował jak własne dziecko, chociaż więzy krwi łączyły ją tylko z Pearl. Czy w tym wszystkim jest cokolwiek złego? A może to jest w ogóle złe? Może czegoś takiego nie da się uniknąć? Kto to wie? Tuckerowie i Kingdomowie wraz ze wszystkimi ich potomkami stanowili swego rodzaju system wsparcia. Niewykluczone, że w ten sposób udawało im się zaspokoić nawet więcej potrzeb, niż gdyby łączyło ich pokrewieństwo, a zatem relacje zupełnie niezależne od ich woli.

– Ida zamierza zwrócić się o ciała swoich córek?

– Na to wygląda – odparł Lido. Łyknął piwa, po czym otarł kłykciami górną wargę. – Wybiera się do Nowego Jorku?

– Nie wiem.

Quinn dopił piwo i ustawił butelkę na podkładkę. Ta „niczego sobie babka” wzbudziła jego ciekawość.

– Jakoś nie czekam z niecierpliwością na ten moment, kiedy przyjdzie mi z nią rozmawiać o jej nieżyjących córkach.

Aż za często rozmawiał z krewnymi o ich bliskich, którzy zakończyli życie w ponurych okolicznościach.

– Nie martw się – powiedział Lido. – Po to masz mnie.

– Żebyś się za mnie martwił?

– Żebym robił za ciebie takie rzeczy – odparł Lido, po czym rozłożył przed Quinnem kartkę papieru. – Opracowałem coś na kształt drzewa genealogicznego.

Quinn analizował to starannie, choć ręcznie sporządzone zestawienie.

Henry Tucker/Betsy Douglass

Edward Tucker (brat)/Ida Tucker
(rozwód)

Willa Douglass i Mark Kingdom
Adoptowane dzieci: Robert Kingdom (senior)
i Winston Kingdom (zmarł w dzieciństwie)

Ida Tucker/Robert Kingdom (senior)
Adoptowane dzieci: Robert Kingdom
junior (znany jako Winston Castle)
Andria Bell
Jeanine Carson

Winston Castle/Maria Castle

- Co to za ludzie? – zastanawiał się Quinn. – Rodzina wędrownych Cyganów?
- Może coś w tym stylu – odparł Lido. – Tyle że za dużo nie podróżują.
- W sumie nie są też jakoś specjalnie rodziną. W większości nie łączą ich więzy krwi.
- Niewykluczone jednak, że są sobie nawet bliżsi niż krewni – powiedział Lido.
- Jak to możliwe?
- Potrzebują się.

Quinn znów się nad tym zastanowił.

– Może.

– Poza tym sporo też kłamia. Dużo grają. – Lido uśmiechnął się szeroko. – Chcesz, żebyś dowiedział się o tej rodzinie czegoś więcej?

– To by mi znacznie ułatwiło zadanie – odparł Quinn.

Zastanawiał się, dlaczego Winston Castle udawał, że nie zna Idy Tucker – swojej adopcyjnej matki. Zastanawiał się również, na ile może ufać informacjom uzyskanym przez Lido. Wiele rodzin, zresztą z różnych powodów, wykazywało niejako wrodzoną zdolność do snucia intryg. Czasami nikt już nie potrafił wyjaśnić, skąd się ona wzięła, ale wisiała nad rodziną jak kłątwa.

Rozdział 28

Zabójca obserwował z cienia, jak Nancy Weaver wychodzi z metra w pobliżu swojego mieszkania. Rozejrzała się w prawo i w lewo jak grzeczna dziewczynka, po czym przeszła przez ulicę. W tej części Village większość budynków nie miała windy, a mieszkania były tylko nieznacznie większe niż pudełka do butów. Ulicę, przy której mieszkała Weaver, oświetlały stylizowane latarnie, które choć niewątpliwie dodawały okolicy niesamowitego uroku, rzucały też niewiele światła. Zabójca bardzo to odpowiadało.

Przeszedł przez ulicę po przeciwległej stronie przecznicy. Znajdował się teraz bezpośrednio za Weaver. Trzy mały się blisko budynków i często znikał w cieniu, przyglądając się z ukrycia, jak ona przechodzi z jednej kałuży światła do następnej, jak przesłakuje z jednego psychologicznego azylu do kolejnego. Weaver jednak się nie bała. Może najwyżej czuła się trochę nieswojo, ale to przecież nie to samo. Zabójca obserwował jej drogę powrotną do domu z szerokim uśmiechem. Całkowicie nieświadoma, bez lęku... Biło od niej poczucie pewności siebie. Jakże musiała mieć o sobie mniemanie! Dzielną policjantką z pistoletem w torebce!

Village tonęła tego wieczora w ciepłej mgłę, która raczej nie zachęcała do spacerów. Nieliczni przechodnie prawdopodobnie musieli wyteńczyć wzrok, żeby dostrzec twarze innych. Również samochodów było jakby mniej. Od czasu do czasu wąską uliczką przetoczyła się jakaś furgonetka. Zdarzało się też, że taksówka wjechała z impetem w kałużę przy chodniku, nic sobie nie robiąc z losu pieszych. Taksówkarze mieli chyba ręce pełne roboty. Tak to zresztą bywa, gdy w Nowym Jorku pojawia się mgła albo mżawka. Można by odnieść wrażenie, że chętni na przejażdżkę taksówką rosną w niej jak grzyby po deszczu.

Zabójca nie miał wielkiego problemu, żeby niepostrzeżenie śledzić Weaver. Bez trudu rozpoznał jej szczupłą, za to obdarzoną hojnie biustem sylwetkę nawet w niezbyt silnym świetle. Nieliczni mężczyźni podążający akurat w przeciwnym kierunku w większości się za nią oglądali. Zabójca wcale się nie dziwił, że cieszyła się raczej wątpliwą reputacją. Takie kobiety zawsze umieszcza się w kontekście seksualnym. Zastanawiał się, czy ona sama – zdając sobie z tego sprawę – postanowiła wykorzystać swoją urodę dla własnych celów. Niech ludzie kiwają sobie

głowami, miał ją językami... Zabójca jednak potrafiłby zrozumieć taką postawę. Wydawało mu się, że dobrze rozumie kobiety.

W każdym razie tę konkretną kobietę, Weaver, rozumiał na pewno. Sporo się o niej mówiło w nowojorskiej policji, gromadzenie informacji nie nastęczało więc trudności. Widziano ją kiedyś z Quinnem, odwiedzała też biuro Q&A. Z takim materiałem można wiele zdziałać. Cieszył się, że ona w tej grze uczestniczy.

Gdy tak wędrował ze światła do cienia, miękkie podeszwy jego butów wydawały na wilgotnym betonie tylko cichutki chrzęst. Zabójca uznał, że już pora zafundować Quinnowi nowy bodziec. Nie zamierzał atakować Pearl. Nie wziął na celownik jego adoptowanej (jeśli ją adoptował) córki Jody ani też rodzonej – Lauri, która mieszkała w Kalifornii (czyli poza planszą).

Nancy Weaver. Tak, Weaver to najlepszy wybór. Ta kobieta od wielu lat odgrywała pewną rolę w życiu Quinna. Łączyło ich więcej, niż im się wydawało.

Zabójca zdawał sobie doskonale sprawę, że ich relacja nie miała charakteru osobistego ani też seksualnego, łączyła ich jednak wieloletnia przyjaźń – której stratę Quinn boleśnie odczuje. Weaver może i pracuje dla tego idioty komisarza Renza, ale zawsze stara się chronić Quinna, z wzajemnością zresztą.

Co poczuje Quinn, kiedy jego droga przyjaciółka zostanie mu dostarczona w kilku pudłach, nadsyłanych przez kolejne dni? Poczuje dokładnie to, co chciał mu zafundować. Takie dostawy z pewnością da się zorganizować. To będzie świetna zabawa.

Zabójca zdążył się już zaznajomić z budynkiem, w którym mieszkała Weaver. Stał w rzędzie wąskich konstrukcji wykonanych z cegły i wzniesionych – sądząc po cechach architektonicznych – zapewne w dziewiętnastym wieku albo na początku dwudziestego. Za dużymi i masywnymi frontowymi drzwiami znajdował się mały hol. Budynek nie miał windy. Wąska klatka schodowa kryła się za kolejnymi drzwiami, które otwierało się kluczem. Zabójca chciał skrócić dystans dzielący go od Weaver, gdy tylko wejdzie do holu, zanim drzwi na ulicę się za nią zamkną. W ten sposób zdołałby szybko przedostać się do środka, być może jeszcze w czasie gdy Weaver będzie otwierała kluczem drzwi na klatkę schodową. Zamierzał przyłożyć jej broń do szyi tak, żeby się zorientowała dopiero po fakcie. Opuści potem lufę, przesuwając ją kobiecie po plecach aż do poziomu talii. To pozwoli mu zasłonić broń własnym ciałem na wypadek, gdyby po drodze kogoś spotkali. Będzie ją trzymać na muszce podczas wchodzenia po schodach oraz gdy Weaver otworzy drzwi do mieszkania i wpuści ich oboje do środka. Gdy już drzwi się za nimi zamkną, uderzy ją mocno ciężką rękąjeścią pistoletu. Ogłuszy ją, nie pozbawiając jednak przytomności całkowicie. Ćwiczył tę taktykę długo i sumiennie. Wiedział dokładnie, gdzie i z jaką siłą uderzyć. Weaver przewróci się na ziemię i dopiero po dłuższej chwili zorientuje się w sytuacji. Wtedy zacznie się zabawa.

Zabójca miał wszystko dokładnie zaplanowane – każdy ruch, każdą reakcję, każdą odpowiedź. Niczym w prostym tańcu, w którym dominujący partner prowadzi konsekwentnie i zdecydowanie, wszystko miało się potoczyć dokładnie według jego planu. Kobiecie przy padała w nim rola oszołomionej i bezradnej ofiary zabójcy.

Jeśli zdoła zachować jako taką przytomność, będzie się zastanawiać, co się dzieje. Jest policjantką, ale co z tego? Jako policjant będzie najlepiej wiedzieć, jaką krzywdę może jej w razie nieposłuszeństwa wyrządzić dziewięciomilimetrowy pocisk. Weaver będzie miała wybór: albo się podporządkuje, albo krwiste fragmenty jej kości, mięśni i organów wewnętrznych rozpryskają się

na ścianach jej mieszkania.

*

Weaver zwolniła kroku i zaczęła szukać w torebce klucza do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Zaraz jednak zatrzymała się zupełnie tuż przed schodami i wejściem do budynku. W końcu znalazła niesforny przedmiot, wyjęła go z torebki i postawiła prawą stopę na stopniu.

Zabójca poczuł, że serce bije mu szybciej – nie ze strachu, lecz pod wpływem wyczekiwania. W jego głowie zarysował się bardzo precyzyjny scenariusz. Weaver nie miała innego wyboru, jak tylko odegrać rolę, którą dla niej zaplanował. *Boże, jak ja to uwielbiam!*

Stanęła u szczytu schodów przed frontowymi drzwiami plecami do niego. Za chwilę miała wejść do środka. Zabójca przygotowywał się do wykonania ruchu. Nagle zamarł w bezruchu, wychylony do przodu, ale na szczęście cały czas pograżony w cieniu.

Z naprzeciwka wyłoniła się jakaś postać, wysoka i ubrana na ciemno. Zabójca rozpoznał ją po czapce nawet pomimo mgły. To był policjant w mundurze. Wkroczył w kałużę światła, rozlaną na chodniku przez dziewiętnastowieczną, ale elektryczną latarnię. Był to barczysty człowiek trochę po trzydziestce. Na grubym skórzanym pasku wisiały różne atrybuty jego fachu, w tym pistolet w kaburze.

Weaver się odwróciła i ruszyła w dół po schodach w kierunku chodnika. Ona i policjant mocno się uściskali, po czym pocałowali się w usta. Policjant lekko wygiął ją do tyłu, a ona uniosła jedną nogę, jak to robiły gwiazdy w starych filmach – jak gdyby tą łydką niczym dźwignią miała uwolnić nagromadzone ciśnienie napiętości. Rosły policjant prawdopodobnie dostrzegł ten ruch kątem oka i przyjął go z zadowoleniem.

W końcu się rozdzielili i każde z nich zrobiło krok do tyłu. Trzymali się za ręce, wpatrując się sobie w oczy z głupkowatymi uśmiechami na twarzach. Wreszcie i ten kontakt między nimi ustał, po czym oboje weszli do budynku.

Zabójca cofnął się do cienia i obserwował, jak w mieszkaniu niewątpliwie zajmowanym przez Weaver zapaliło się światło. Jakby potwierdzając jego przypuszczenia, policjantka po chwili pojawiła się w oknie. Za jej plecami wyrósł zaraz potem policjant. Gdy ona sięgała po sznur, żeby zaciągnąć zasłony, on ujął w dłonie jej jędrne piersi.

Dwoje kochanków można było nadal obserwować, teraz jednak już tylko jako ruchome cienie za zasłoną, która zmniejszała nieco ich kształty. Zabójca oparł się plecami o solidny mur i przyglądał się ich poczynaniom. Cienie się połączyły, a potem rozdzieliły. Połączyły się. Rozdzieliły.

Światło zgasło.

*

Minęło pół godziny.

W sypialni ponownie rozbrzmiało światło, ale policjant nie opuścił mieszkania. Zabójca z niezadowolaniem przyjął fakt, że los w osobie stróża prawa pokrzyżował mu plany. Nie mógł się uwolnić od myśli, że to może być zły znak. Że to może być przestroga. Los bowiem dotychczas mu sprzyjał, ale może nie należy za bardzo go kusić. Nadal musi starannie planować. Musi zachować nie tylko śmiałość, ale również dbałość o szczegóły.

Bezkształtne cienie wróciły. Kołysały się i tańczyły za zasłonami. Momentami się od siebie oddzielały, kiedy indziej łączyły. Zabójca znał reputację Weaver. Zdawał sobie sprawę, że ma ona dość swobodne podejście do zasad moralnych. Wiedział, że daje upust swoim pierwotnym pragnieniom, a ta bezczelność i brak zahamowań uratowały jej życie. Została nagrodzona za złe zachowanie. To dość niesprawiedliwe.

Światło w pokoju ponownie zgasło. Zabójca jeszcze długo stał we mgle, wpatrując się w ciemne okno, w którym nic się nie działo. Był zły, ale przy tym cierpliwy i zdeterminowany. Do tego wszystkiego czuł się też samotny. Ciemne okno spoglądało na niego niczym obojętne oko. Mógł sobie tylko wyobrazić, co się dzieje w środku. Starał się o tym nie myśleć. On i ten policjant pragnęli tej samej kobiety, tyle że z zupełnie innych powodów. Może zresztą wcale nie z innych? W końcu obaj pragnęli na swój sposób całkowicie ją posiadać, choćby tylko na chwilę. *Do tego sprowadza się różnica. Do tej chwilowości. W śmierci zaś nie ma nic chwilowego.*

Ta mroczna myśl nie zniosła samotności. Nadal czuł ten sam ból, ten sam dolegliwy ucisk gdzieś głęboko w środku.

Dlaczego kobiety mu to robią? Dlaczego robią mu to nawet te, których los jest już przesądzony? Zwłaszcza one...

Zdawał sobie sprawę, że policjant może zostać w mieszkaniu aż do rana. Niewykuczone, że razem z Weaver pójdą gdzieś nawet na śniadanie i będą się do siebie mizdrzyć nad dolewką kawy, i rozmawiać o łączącej ich namiętności. Zabójca zastanawiał się, jakie słowa między nimi padną. Jakie sekrety wymieniają i zachowają na przyszłość, by ich w odpowiedniej chwili użyć?

Irytująca komplikacja. Policjant.

W końcu ruszył przed siebie i po przejściu kilku przecznic zatrzymał się na rogu, żeby pomachać na taksówkę. Kierowca mówił do niego w języku, którego zabójca nie rozumiał.

Część trzecia

Życie jest piękne i idealne – albo wprost przeciwnie – tylko gdy się weźmie pod uwagę relacje społeczne i rodzinne

– Havelock Ellis, *Little Essays of Love and Virtue*

Rozdział 29

Quinn umówił się wcześniej na to spotkanie. Siedział w wygodnym fotelu w gabinecie dyrektora Kadner Gallery przy Fifth Avenue. Była to niewielka galeria, która zajmowała się również pośrednictwem w sprzedaży dzieł sztuki, kierowała sprzedawców do domów aukcyjnych Sotheby's i Christie's, a także do mniejszych specjalistycznych instytucji oraz prywatnych kolekcjonerów. Od czasu do czasu w galerii odbywał się pokaz prac obiecującego artysty, a jej kierownictwu udało się odkryć kilka sław. Może nie jakichś wielkich, ale sław. Z dyrektorem galerii umówił Quinna ktoś, kto współpracował z Jeanine Carson. Quinn miał przed sobą człowieka o dużej głowie i wąskich ramionach, ubranego w dobrze skrojony niebieski garnitur. Nazywał się Burton Doyle. Zdążył już stracić większość siwiejących włosów z czubka głowy, ale rekompensował sobie ten brak, wydłużając fryzurę po bokach. Dziko skręcone loczki zasłaniały mu uszy i spływały aż do ramion.

Gdy Quinn rozsiadł się w fotelu, Doyle zajął miejsce za szerokim biurkiem, które na oko Quinna miało nogi w stylu królowej Anny. Na blacie leżało całe mnóstwo papierów, w tym jaskrawy katalog Christie's. Na złożonej papierowej serwetce, która najwyraźniej pełniła funkcję spodka, stał kubek z parującą kawą lub herbatą. Jeden na drugim, choć nie do końca prosto, leżały trzy druciane korytka na korespondencję, opatrzone etykietami: „PRZYCHODZĄCE”, „WYCHODZĄCE”, „OTCHŁAŃ”. Obok stał ceramiczny kubek pełen długopisów i ołówków. Tak wyglądało biurko zapracowanego człowieka.

– *Bellezza* – powiedział, uśmiechając się do Quinna. – Pewnie chce się pan dowiedzieć, gdzie ona jest.

– Jeśli faktycznie gdzieś jest – odparł Quinn.

Doyle zdawał się mierzyć Quinna wzrokiem, jak gdyby starał się w nim dostrzec jakąś wartość artystyczną. Potem się uśmiechnął.

– Ale ona istnieje! – odparł. – Tak się w każdym razie uważa. Nikt, kto naprawdę ceni sztukę i piękno, nie odważyłby się jej zniszczyć. Nikt też, ko się chociaż odrobinę orientuje co do jej wartości, nie zrobiłby nic, co mogłoby ją zmniejszyć.

– Nawet gdyby została skradziona i gdyby nie dało się jej sprzedać na otwartym rynku?

– Zwłaszcza w takim przypadku.

– Potrafię zrozumieć – stwierdził Quinn – że niektórzy ludzie czerpią tak wielką satysfakcję z samego tylko faktu posiadania dzieła, z przyglądania się mu od czasu do czasu w samotności. Nasz zabójca może na przykład cenić to dzieło dlatego, że przypomina mu o gwałtownej śmierci piękna, która dokonała się za jego sprawą. Nie bez powodu Francuzi nazywają przecież orgazm małą śmiercią.

– Fanatyczni kolekcjonerzy! – skomentował Doyle. – W świecie sztuki takich ludzi nie brakuje. Nigdy ich nie brakowało.

Quinn dopuszczał możliwość, że tropi jednego z nich, tyle że jego zabójca nie zbierał dzieł sztuki, ale cenne wspomnienia o martwych kobietach. A może jednak i sztukę, i takie wspomnienia? Nie można było tego wykluczyć. Seryjni zabójcy często miewają bardzo złe, a przynajmniej pokręcone relacje z matkami, niekiedy z siostrami. Naprawdę piękna kobieta czy choćby marmurowe uosobienie ideału mogą wzbudzać w takim człowieku żądzę posiadania. Albo żądzę zabijania...

Doyle odchylił się w swoim fotelu niebezpiecznie mocno. Jego krzesło zapiszczało mniej więcej tak jak krzesło Quinna stojące za biurkiem w Q&A.

– Skoro naprawdę rozumie pan takich ludzi – powiedział Doyle – i uważa, że *Bellezza* znajduje się w rękach takiego opętanego obsesją konesera, który nie ujawni faktu jej posiadania, to nie do końca wiem, po co pan marnuje czas na jej poszukiwania.

– Nie jestem do końca przekonany, czy rzeźba znajduje się w rękach akurat tego typu kolekcjonera.

Siwie brwi lekko się uniosły.

– Czy żyje? A skąd te wątpliwości?

– Brakuje tu historii – odparł Quinn.

– Historii?

– O losach *Bellezzy*. Ludzie, którzy pragną jakiegoś skradzionego dobra albo je posiadają, zwykle puszczają w obieg jakieś wyjaśnienie dotyczące jego losów. Na przykład że strawił je pożar albo że padło ofiarą wandalii. Albo że zostało skradzione przez innego złodzieja czy gang, który pragnie je odsprzedać. Albo że złodzieje nie zdawali sobie sprawy z jego wartości i je zniszczyli. Albo że leży gdzieś na jakimś strychu, albo że zostało przemalowane i teraz służy za ozdobę ogrodu.

– Rozumiem, do czego pan zmierza. Lepiej, żeby istniało jakieś wyjaśnienie, nawet gdyby miało nie być do końca wiarygodne.

– Przecież wszystkie te wyjaśnienia są wiarygodne, w każdym razie w konkretnych okolicznościach.

Doyle nieświadomie wodził wypielęgnowanym kciukiem po ostrych czubkach ołówków.

– To prawda – przyznał.

– Na potrzeby programu *Targowisko antyków* by wystarczyło. – Quinn skrzyżował nogi i położył splecione dłonie na kolanie. – Ja obstawiam, że to popiersie nie istnieje albo że znajduje się w rękach kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy z jego wartości.

– Czego więc pan ode mnie oczekuje?

– Chciałbym się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

Doyle podniósł wzrok i teraz zdawał się wpatrywać w jakiś punkt nad prawym ramieniem Quinna. Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz... jakby nabożnej czci...

– Mówi się, że popiersie zostało wykonane z marmuru przez samego Michała Anioła na początku XVI wieku – powiedział – na zamówienie Kościoła. Jak pan zapewne wie, tematem rzeźby i modelką była kobieta wątpliwych obyczajów, przynajmniej jak na ówczesne standardy, która mimo to cieszyła się względami wielu wysoko postawionych przedstawicieli stanu duchownego.

– Jak wy soko postawionych?

– Bardzo wysoko, panie detektywie.

– Rozumiem.

– Rzeźba stała w nawie wielkiej katedry, ale została usunięta przez kolejnego papieża bądź to z uwagi na nie najlepsze skojarzenia, bądź ze względów politycznych. Niektórzy twierdzą, że została rozbita w proch i rozsypana po wzgórzach.

– Pan jednak sądzi inaczej.

– Nie wiem. Wydaje się, że około roku tysiąc sześćsetnego pojawiła się u zamożnego kupca z Wenecji. Człowiek ten handlował głównie przyprawami, ale oprócz tego kolekcjonował również sztukę.

– A co z samą *Bellezzą*? Tą z krwi i kości?

– Gratuluję przenikliwości! – powiedział Doyle. – Większość ludzi zapomina o to zapytać. Otóż ona zniknęła w tym samym czasie, kiedy popiersie zostało usunięte z katedry.

– Co o tym wszystkim mówił Michał Anioł?

– O ile nam wiadomo, nic.

– A co było dalej z tym zamożnym włoskim kupcem?

– Po jego śmierci dokładnie przeszukano jego dom, ale *Bellezzy* podobno nie odnaleziono.

– Czy śmierć nastąpiła przedwcześnie?

Doyle wzruszył ramionami.

– Co na to Kościół?

– Zapewnił żałobnikom pocieszenie. Tak samo jak teraz, również wtedy Kościół myślał o zbawieniu duszy, a nie o rozwiązywaniu zagadek kryminalnych. W dziewiętnastym wieku *Bellezza* pojawiła się podobno w zbiorach egipskiego miłośnika sztuki, który zginął potem gwałtowną śmiercią, chociaż nic mi nie wiadomo, żeby ktoś ją wtedy faktycznie widział. Podobno trafiła w ręce brata nieboszczyka, który wywiózł ją do Maroka. Potem jakiś zamożny Marokańczyk kupił ją za nieznaną cenę, ale transakcja została zakwestionowana. Francuski rząd twierdził, że rzeźba stanowi jego własność. Francuzi, jak to oni mieli w zwyczaju, przewieźli rzeźbę do Paryża i przekazali do Luwru.

– Czyli ona istnieje, skoro została uwzględniona w dokumentacji Luwru...

– Tak i nie. W trakcie drugiej wojny, czyli niemieckiej okupacji, i tuż po niej w archiwach Luwru dokonywano więcej niż drobnych modyfikacji. – Na twarzy Doyle'a odmalował się wyraźny niesmak – Wkrótce po zajęciu Paryża naziści skonfiskowali znaczną część wielkich dzieł znajdujących się w mieście. Pośród tych, które... ukradli... znajdowała się *Bellezza*.

– Tak się przynajmniej uważa.

Doyle ponownie wzruszył drobnymi ramionami, które istniały tylko dzięki poduszkom marynarki.

– Ludzie często opowiadają różne kłamstwa o pięknych przedmiotach. Prawda jest taka, że nie wiadomo, co się stało z *Bellezzą*. Plotka głosi, że znalazła się w osobistej kolekcji Hermanna Göringa, ale to chyba nieprawda. Nie ma żadnych dowodów na to, że rzeźba w ogóle dotarła do Berlina. Tak sam los spotkał wiele innych dzieł sztuki. Ale to oczywiście nie znaczy, że to było niemożliwe. Göring mógł ją zdobyć. Jeśli jednak tak się stało, ktoś może wiedzieć, jak dalej potoczyły się jej losy. Göring był szaleńcem... – Doyle wziął łyk tego, co akurat znajdowało się w jego kubku. – Proszę mi wybaczyć niedopatrzenie. Napije się pan herbaty? Może kawy?

– Nie, dziękuję – odparł Quinn.

Doyle dmuchnął na kubek, zupełnie jakby herbata mogła go poparzyć.

– Teraz z kolei pan podejmuje próbę odnalezienia naszej zagubionej piękności. – Ostrożnie wziął łyk napoju. Nie syknął z bólu. – Odnoszę się do tego z pewnym niedowierzaniem, ale nie bez powodu. Nie pan pierwszy jej szuka. Przez krótki czas marzyły o tym setki studentów historii sztuki. Potem sprawa odeszła w zapomnienie. – Wziął kolejny łyk z kubka. – Proszę się ze mną kontaktować, gdyby pan czegoś potrzebował. Służę wszelką pomocą. Nie będę jednak udawać, że wiąże z tymi pana próbami jakiegokolwiek nadzieje. Równie dobrze mógłby pan tu przyjść i zapytać o Świętego Graala. Szanse powodzenia takiej misji byłyby takie same, czyli praktycznie zerowe. Wszyscy zgadzają się co do tego, że *Bellezza* nigdy się nie znajdzie.

– Nie wszyscy – odparł Quinn.

Wstał, rozprostował kości i podziękował Doyle'owi za spotkanie.

Doyle ciągle jeszcze siedział, a na jego twarzy nadal malował się enigmatyczny uśmiech. Nie zniknął nawet wtedy, gdy Doyle w końcu wstał i podał Quinnowi dłoń na pożegnanie.

– Powodzenia, detektywie Quinn.

– Czy uważa pan, że to popiersie kiedykolwiek istniało? – zapytał Quinn. – W ogóle kiedykolwiek? I że przetrwało gdzieś jakimś cudem?

– Wydawało mi się, że podałem ten fakt w wątpliwość – odparł Doyle.

– A co by mi powiedzieli na ten sam temat inni przedstawiciele świata sztuki? – zapytał Quinn.

– Ja właśnie od nich pozyskuję informacje. – Doyle jeszcze mocniej opadł na oparcie piszącego krzesła. – Proszę mi wybaczyć to pytanie, ale dlaczego szuka pan *Bellezzy*?

– Nie szukam jej – odparł Quinn. – Szukam seryjnego zabójcy.

– Tych kobiet z hotelu Fairchild – skonstatował Doyle. – A cóż one mają wspólnego z rzeźbą z szesnastego wieku?

Być może wszystko.

Quinn ruszył w kierunku drzwi.

– Może dowiem się tego od *Bellezzy*.

– Jeśli tak – powiedział Doyle – to chętnie pana przedstawię Monie Lisie.

Rozdział 30

Sarasota, 1982

Dwayne stał bosy w samych tylko szortach. Popatrzył przez chwilę na martwych rodziców, po czym poszedł do garażu. Zmienił ustawienie przełącznika, żeby światło nie włączyło się automatycznie po podniesieniu się bramy. W mroku nocy brama otwierała się z nadzwyczajnym hukiem.

Nie włączając światła w samochodach, Dwayne najpierw wyprowadził dużego mercedesa ojca z podjazdu, a potem wycofał należący do Maude kabriolet marki Chrysler z garażu i z drogi. Z tym drugim autem trochę się namęczył, ponieważ miało manualną skrzynię biegów, a Dwayne dotychczas ćwiczył jazdę tylko na automatach. Mimo wszystko się udało. Potem schował samochód ojca do garażu, a na podjeździe ustawił kabriolet Maude. Trzeci samochód, porsche ojca, pozostał w garażu tak, jak stał. Wszystko miało wyglądać, jak gdyby ojciec jak zwykle pojechał do pracy mercedesem. Bill Phoenix, którego Dwayne spodziewał się w nieco późniejszych godzinach porannych, miał zobaczyć tylko chryslera na podjeździe – i na tej podstawie stwierdzić, że pana domu nie ma, a w związku z tym on może bez przeszkód „wyczyścić basen”. Maude powinna na niego czekać, prawdopodobnie rozciągnięta na leżaku z katalogiem zakupowym w dłoni.

Po przestawieniu przycisku od światła z powrotem w normalną pozycję Dwayne wrócił na górę. Niczym sumienny syn zjrzał jeszcze do ojca i Maude. Żadne z nich się nie poruszyło. W pokoju wszystko wyglądało dokładnie tak jak wcześniej.

Nadal w samych tylko szortach Dwayne wrócił do swojego pokoju i ustawił sobie budzik. Wiedział, że Bill Phoenix przyjedzie o dziesiątej, zobaczy samochód Maude i zaparkuje swoją furgonetkę za nim. Tam właśnie zwykle ją zostawiał – na podjeździe, w cieniu palm i bugenwilli, gdzie nikt go nie widział z ulicy. Potem obejdzie dom, żeby dotrzeć nad basen, ponieważ tam

zwykle czekała na niego Maude. Chwilę później szli razem do chatki, żeby nikt z zewnątrz nie zobaczył ich razem.

Było lato i Dwayne nie musiał iść do szkoły, oboje więc prawdopodobnie by założyli, że chłopak skorzysta z okazji, żeby dłużej sobie pospać. Dwayne niespecjalnie lubił pływać, więc nawet gdyby się obudził, to raczej i tak pozostał w domu. Takby uznali Maude i Phoenix.

Dwayne włączył wiatrak wiszący pod sufitem na niskie obroty i wrócił do łóżka. Położył się na boku, skulił i oparł dłoń na ramieniu. Zasnął niemal natychmiast. Nic mu się nie śniło.

*

Za kwadrans dziesiąta z budzika z radiem rozległa się nagrana wcześniej piosenka Cyndi Lauper o dziewczynach i dobrej zabawie. Dwayne otworzył oczy, ale jeszcze przez chwilę leżał bez ruchu. Zaszło mu w gardle, więc przełknął kilkakrotnie ślinę i ziewnął. W jego głowie pojawiły się fragmentaryczne obrazy z ubiegłej nocy. Uśmiechnął się.

Z racji młodego wieku ludzie go nie doceniali. Nie przeszkadzało mu to. Miał dzięki temu przewagę, którą pomimo młodego wieku potrafił w pełni wykorzystywać. Dobrze panował nad sytuacją.

Skorzystał z toalety w łazience przylegającej do jego pokoju, po czym podciągnął szorty i uruchomił spluczkę. Umył i wytarł dłonie, a następnie wziął z granitowej umywalki kilka chusteczek. Poszedł z nimi do sypialni ojca i Maude, żeby zabrać nóż z łóżka. Miał co do niego konkretne plany.

Rozdział 31

Minutę po dziesiątej pojawił się Bill Phoenix.

Dwayne przykucał za oleandrowym krzewem w pobliżu garażu i stamtąd obserwował, jak biała furgonetka Phoenixa wychyla się na bok podczas skrętu na podjazd, a następnie zmierza w kierunku domu i staje dokładnie w miejscu, które wspólnie wyznaczyli dla niej Phoenix i Maude – żeby nikt jej nie dostrzegł z ulicy.

Phoenix wysiadł z samochodu, obszedł go i wyciągnął z tyłu podbierak basenowy na długim kij. Wiatr rozwiewał jego ciemne, zaczesane do tyłu włosy, gdy wykręcał głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, rozglądając się wokół. Przelotnie spojrział również i tam, gdzie siedział ukryty Dwayne.

Chłopak doskonale wiedział, że podbierak to tylko rekwizyt. Gdyby przypadkiem ktoś się nagle pojawił i zastał Maude w towarzystwie Phoenixa, ten mógłby przerwać to, co właśnie robił, i zająć się zbieraniem liści i innych zanieczyszczeń z powierzchni basenu. W jednej chwili mógłby się przeistoczyć w rzetelnego i sumiennego pracownika najemnego, którego w pełni pochłania powierzone mu zadanie, a nie pracodawczyni. Z podbierakiem na ramieniu ruszył przez trawnik na tył domu, gdzie znajdował się basen i gdzie zgodnie z planem miała na niego czekać Maude. Gdy Phoenix zniknął mu z oczu, Dwayne podszedł do furgonetki i otworzył drzwi po stronie pasażera. Jeszcze raz przetarł chusteczkami nóż, którym wcześniej ugodził Maude i ojca. Starał się usunąć z niego wszystkie odciski palców. Potem wsunął narzędzie zbrodni pod siedzenie obok kierowcy, po cichu zamknął drzwi, żeby Phoenix przypadkiem tego nie usłyszał, a następnie zniknął w pobliskich krzakach pod dużą palmą daktylową.

Niespełna minutę później Phoenix pojawił się ponownie, tym razem jednak trzymał podbierak na wysokości pasa. Oparł go o furgonetkę i udał się w kierunku frontowego ganku. Brwi miał lekko ściągnięte, sprawiał wrażenie poirytowanego i lekko zmieszanego. Dwayne wiedział, co Phoenix sobie myśli: że Maude pewnie jeszcze leży w łóżku. Jej męża już nie ma, a nawet gdyby go zastał, to w razie czego po prostu zabierze się do czyszczenia basenu, czyli do tego, co

faktycznie do niego należy. Jeśli zaś ojca Dwayne'a nie ma, to być może właśnie chłopak otworzy mu drzwi i powie, gdzie ma szukać Maude.

Phoenix zebrał się w sobie i śmiałym ruchem nacisnął na dzwonek. Nikt mu nie otworzył, więc zapukał. Potem zapukał ponownie, tym razem mocniej. Zaczął przypuszczać, że to nie będzie udany poranek.

Złapał się pod boki i ruszył z powrotem w stronę furgonetki. Potem chyba zmienił zdanie, bo kopnął mały kamyk leżący na podjeździe i wrócił na ganek. Zapukał ponownie. Tym razem wobec braku odpowiedzi postanowił chwycić za kłamkę. Obróciła się bez oporu. Zamek był otwarty.

Phoenix otworzył drzwi, wsunął głowę do środka i wykrzyknął słowa powitania, po czym dodał:

– Fachowiec od basenu!

Dwayne nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Phoenix tak się przedstawiał. Brzmiało to trochę tak, jak gdyby miał się za jakiegoś superbohatera, który spieszy na ratunek ludziom, gdy ci uderzą głową o deskę do skoków.

Po trzecim „dzień dobry!” Phoenix w końcu zawołał Maude. Ponieważ nikt mu nie odpowiedział, wykrzyknął imię Dwayne'a. Stał przez chwilę, zastanawiając się nad sytuacją. Potem najwyraźniej nabrał pewności siebie, bo wszedł do środka, zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi.

Mijały kolejne minuty. Poruszające się na wietrze liście palmy tańczyły na ganku raz w jedną, raz w drugą stronę. Dwayne czekał.

Bill Phoenix wyszedł w końcu z domu zupełnie biały. Dwayne był zaskoczony, bo nie sądził, że ktokolwiek – zwłaszcza ktoś tak opalony – może aż tak zblednąć. Zataczając się, Phoenix szedł w kierunku swojej furgonetki. Na bezrękawniku i jednej z nogawek połyskiwało mu coś, co wyglądało na wymiociny.

Dwayne wyszedł na zalany słońcem podjazd i ruszył w jego stronę z szerokim uśmiechem. Uniósł dłoń w geście powitania.

– Cześć, Bill. Widziałeś Maude?

Phoenix przeszedł obok niego chwiejnym krokiem, jak gdyby zupełnie go nie widząc.

– Hej, Bill!

– Nie wchodzi tam! – krzyknął Phoenix, gramoląc się do furgonetki. – Na litość boską, nie wchodzi tam!

Dwayne przyglądał się, jak furgonetka cofa z głośnym warkotem. Skręcała to w jedną, to w drugą stronę, a raz wjechała nawet na trawnik, zostawiając po sobie ślady opon. To dobrze. Furgonetka zniknęła Dwayne'owi z oczu, gdy tylko wjechała na ulicę, ale chłopak słyszał jeszcze długo pisk jej opon. Cieszyłby się, gdyby Phoenix po drodze wjechał jeszcze w jedną z palm, ale w sumie nie wyszło źle.

Ruszył w kierunku domu, żeby zadzwonić na policję. Chciał uprzedzić Phoenixa – jeśli ten w ogóle zamierzał to zrobić...

To oczywiście nie miało żadnego znaczenia. Policja i tak by się z nim skontaktowała.

Rozdział 32

Nowy Jork, czasy obecne

– Policja zgodziła się na wydanie ciał moich córek – powiedziała Ida Tucker.

Siedziała sztywno po drugiej stronie biurka Quinna i się w niego wpatrywała. Wyglądała młodo jak na swój wiek, a musiała być już po osiemdziesiątkę, być może nawet po dziewięćdziesiątkę. Plecy miała proste, podbródek wysunięty, co świadczyło o pewności siebie. Z jej niebieskich oczu bił spokój. Gdzieś z głębi, zza ruin ciała patrzyła na niego piękna kobieta.

– Przyjechałam zabrać je do domu, żeby mogły spocząć z rodziną.

– Nie ma takich słów, droga pani, którymi mógłbym wyrazić, jak bardzo mi przykro. – Quinn mówił zupełnie szczerze, co zresztą dało się słyszeć w jego głosie.

Ida Tucker dotknęła oka kłyciem prawego palca wskazującego. Quinn sięgnął do pudełka, które stało u niego na biurku. Wyciągnął chusteczkę. Wstał i przez biurko podał ją Idzie. Ona złożyła ją na pół, potem na cztery i dopiero wtedy otarła łzę.

– Wiem, że jest ciężko – powiedział Quinn. – Ale czas, nawet jeśli nie leczy, to pomaga.

– Czas jest jednocześnie moim najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem – odparła Ida Tucker.

– To dotyczy nas wszystkich.

– Pewnie tak.

Ida po raz ostatni otarła oczy, po czym chusteczka zniknęła w kieszeni błękitnej bawełnianej tuniki.

– Pozwoli pani, że poczynię pewną obserwację? – zapytał Quinn.

– Na tym między innymi polega pańska praca, detektywie.

– Andria była dość młoda jak na pani córkę.

– Była bardzo mała, gdy mój mąż Robert i ja przyjęliśmy ją na wychowanie. Później ją

adoptowaliśmy.

– Była sierotą?

– Powiedzmy raczej, że była niechcianym dzieckiem.

– Rozumiem.

Quinn zastanawiał się, czy Andria trafiła do kartoteki policyjnej jako nieletnia albo później. Jakoś w to wątpił. Jerry Lido by czegoś takiego nie przegapił. Chociaż dlaczego miałyby w ogóle czegoś takiego szukać? Rodzina ta przypominała zbitek zupełnie odrębnych części, połączonych dziwnym spoiwem, a kobieta, która siedziała przed Quinnem, wydawała się stanowczo zbyt delikatna jak na matronę takiego rodu. Pomyślał jednak, że wiek i doświadczenie potrafią zaprawić duszę w bojach, wprowadzić ją w sztuce kamuflażu.

Ida Tucker z kłaśnięciem położyła dłonie na kolanie.

– Ucieszyłam się, gdy w hotelu przekazano mi wiadomość, że chce się pan ze mną widzieć, detektywie Quinn. Ja też chciałam z panem porozmawiać. Czy udało się panu ustalić coś istotnego w sprawie?

– Cały czas pracujemy nad nowymi wątkami.

Spojrzenie jej błękitnych oczu nie pozostawiało wątpliwości: Ida Tucker wiedziała, kiedy wciskało jej się kit.

– Rozumiem, że niczego nowego nie ustaliliście – podsumowała. – Podobno sprawy morderstw udaje się rozwiązać najczęściej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Jeśli tak faktycznie jest – powiedział Quinn – to dlatego, że w przypadku większości zabójstw od razu wiadomo, kto jest mordercą. To najczęściej małżonek, który stoi nad ciałem z bronią w ręku.

Ida zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Tak, domyślam się, że tak to faktycznie może wyglądać, gdy chodzi o prawdziwe sprawy, a nie o seriale telewizyjne.

– Chociaż dowody zgromadzone w ciągu pierwszych czterdziestu godzin faktycznie okazują się ważne.

– Rozumiem. Czyli ciągle liczy pan, że się uda?

– Oczywiście.

– Moja rodzina nie ma najlepszych doświadczeń, jeśli chodzi o rozwiązywanie spraw kryminalnych w jakimś rozsądnym terminie – dodała Ida Tucker.

– Proszę mi powiedzieć więcej o sprawach, których się nie udało rozwiązać – odparł Quinn.

– W czasie wojny, mam na myśli drugą wojnę światową, pewna Angielka wysłała coś Willi Kingdom w dużej drewnianej skrzyni. – Ida utkwiała wzrok w twarzy Quinna, jak gdyby chciała się upewnić, że dobrze ją zrozumiał. – Z Anglii do Ohio, gdzie Willa właśnie się przeprowadziła ze swoim mężem Markiem. Mark służył jako marynarz we flocie handlowej. Odnosił poważne rany, gdy jego statek został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną.

– Przykra historia – odparł Quinn. Relacja Idy pokrywała się z faktami, do których dotarł Lido.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Wojna. – Poprawiła spódnicę, która odsunęła się na kilka centymetrów od jej pomarszczonych kolan. – Willa otworzyła skrzynię i znalazła w środku cegły, a pod nimi odręczne listy, z których wynikało, co zostało do niej wysłane i dlaczego.

– Czy te listy napisała tamta Angielka?

– Tak. Nazywała się Betsy Douglass. W listach relacjonowała to, co jej opowiedział brytyjski żołnierz nazwiskiem Henry Tucker. Wszystkie miało sens, oprócz tych cegieł, które najwyraźniej zostały włożone do środka w miejsce tego, co Betsy Douglass faktycznie wysłała z Anglii.

Quinn przez chwilę rozważał, czy zapytać Idę, jak ocenia prawdopodobieństwo, że skrzynia zawierała *Bellezzę*, ale potem postanowił nie wspominać o rzeźbie. Nie widział powodu, żeby zdradzać jej cokolwiek, czego nie musiała wiedzieć. Chciał się też przekonać, jak dużo powie mu sama.

– Dlaczego Betsy Douglass w ogóle cokolwiek wysłała Willi?

Ida spojrzała mu prosto w oczy.

– Betsy Douglass i Willa były siostrami.

Quinn zaczynał się zastanawiać, do czego to wszystko zmierza. Poruszał się po morzu kłamstw.

– Gdzie są te listy, które dołączono do skrzyni z cegłami?

Ida wzruszyła kościstymi, choć dostojnymi ramionami.

– Zaginęły.

– Chce pani powiedzieć, że zostały skradzione?

– Być może. Były, a potem zniknęły. – Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech, niemal grymas, który sprawił, że teraz wyglądała na swój wiek – Kolejny element zawartości skrzyni.

– Willa na pewno je przeczytała...

– Nie. Spojrzała tylko na nagłówki i podpis, a potem odłożyła je do skrzyni. Miała zamiar zająć się nimi później. Chciała je przeczytać, ale coś jej przerwało. Przypuszczam, że telefon. Gdy potem po nie wróciła, już ich nie było.

– Czy li nikt nie wie, co było w tej skrzyni?

– Na to wychodzi.

Szczwana lisica! Już ty dobrze wiesz, co było w środku.

– A kto dzwonił?

– Tego nie wiem. Różni ludzie dzwoniли wtedy do Willi. Sporo się udzielała we wspólnocie kościelnej.

Quinn nie był zaskoczony taką odpowiedzią.

Ida zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Nie o tym jednak mieliśmy rozmawiać. Przyszedł po ciała córek

– Andrii i Jeanine?

– Oczywiście.

– Dbam po prostu o faktografię – odparł Quinn. – Tylko że one nie są tak naprawdę siostrami, prawda? To znaczy nie łączą ich więzy krwi.

– Tak się składa, że Andria i Jeanine miały tego samego biologicznego ojca. Tyle że trzymały się z dala od niego.

Hmm.

Na biurku Quinna rozdzwonił się telefon. Detektyw uniosł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym, aby dać Idzie znać, że za chwilę wróci do tej rozmowy. Gdy podnosił słuchawkę, kobieta wyprostowała się na krześle, jakby przygotowywała się na najgorsze wieści. Rozmówca przedstawił się, zanim Quinn zdążył cokolwiek powiedzieć:

- Tu Renz.
- Jestem chwilowo zajęty – odparł Quinn.
- W porządku, ale jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć.
- Ciągłe na coś takiego trafiam.

- Nowe wyniki badań DNA. Ktoś w laboratorium zwrócił na to uwagę podczas standardowej weryfikacji próbek krwi. Dwie spośród ofiar zabójcy miały bardzo podobne...

- Siostry – przerwał mu Quinn. – Może kuzynki.
- Możesz sobie wybrać – odparł Renz.

- Na razie niech będą kuzynki. Tyle że do tej oceny nie ma się co za bardzo przywiązywać.

To skomplikowane.

- Dobre określenie – stwierdził Renz.
- Widziałeś ten labirynt w Far Castle.
- Tak – odpowiedział Renz. – Można się zgubić.
- No właśnie, jak z tym wszystkim.

Quinn spojrzął przez biurko na Idę Tucker. Uśmiechała się.

Rozdział 33

Zabójca chciał się przekonać, czy Weaver wybiera się w jakieś zaskakujące miejsce. Gdzieś, gdzie mogliby liczyć na chwilę prywatności. Nie zdziwił się jednak, że zmierzała prosto do pracy, prosto do biura Q&A. Najwyraźniej miała trochę papierkowej roboty do nadgonienia, jakichś zbiegów do wytropienia, włamywaczy do pochwylenia, zabójców do wyeliminowania. *Jest co robić!*

Weaver zatrzymała się na wysokości cukierni i przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiała. Pora była wczesna. Na tyle wczesna, że mogła sobie pozwolić na pączka na śniadanie. Niewykluczone jednak, że śniadanie już jadła, a teraz zamierzała kupić pączki dla innych policjantów. Częstując się, zaciągnęliby u niej mały dług wdzięczności. Chociaż może to właśnie ona miała taki pączkowy dług wdzięczności do spłacenia. Tak to już jest z policjantami, ktoś zawsze jest komuś coś winien. Pączki to taka ich branżowa waluta. A oni to bardzo poważnie traktują.

Weaver przeszła na drugą stronę ulicy. Zabójca natomiast oparł się o jakąś barierkę i zaczął udawać, że analizuje plan miasta. Tego dnia wyglądał jak turysta, miał nawet płócienną torbę z reklamą jakiegoś przedstawienia na Broadwayu.

Przez zaparowane okno cukierni zobaczył, jak Weaver udaje się w stronę jednego z boksów, w jednej ręce trzymając kubek z kawą, w drugiej – talerz z kilkoma pączkami. Wszystko dla niej. *Egoistyczna suka*. Zresztą może wcale nie. Skoro wygląda, jak wygląda, to przecież musi uważać, co je. Urody nie można jej odmówić, ale w średnim wieku będzie musiała się pilnować, żeby zachować taką figurę. Tylko czy jej będzie dane dożyć średniego wieku?

Zabójca przybrał wygodną pozycję, wiedział bowiem, że trochę to potrwa. Po kilku minutach sam nabrał ochoty na pączka.

Quinn skończył rozmowę z Renzem i odłożył słuchawkę. Nie powiedział szefowi o skrzyni z cegłami, która została dostarczona z Anglii, nie wspomniał też o listach. Przecież i tak najwyraźniej ich nie było...

Ida Tucker siedziała cierpliwie na krześle z dłońmi złożonymi na kolanie.

– Kto pani zdaniem zabrał listy dołączone do przesyłki? – zapytał Quinn.

– Ta sama osoba, która przywłaszczyła sobie zawartość skrzyni. No chyba że ktoś jednak przysłał Willi z Anglii pudło z samymi cegłami i słomą.

Quinn tego nie wykluczał. Być może prawdziwa przesyłka została skradziona jeszcze w Anglii. Postanowił jednak nie wyrażać tej myśli na głos.

– Co się pani zdaniem stało z zawartością skrzyni?

Ida lekko wzruszyła ramionami.

– To dla mnie tajemnica.

– Ja mam jeszcze inną tajemnicę do wyjaśnienia – stwierdził Quinn. – Dlaczego w dniu swojej śmierci Andria Bell kilkakrotnie dzwoniła do Jeanine Carson z lotniska LaGuardia?

– Nie wiedziałam, że dzwoniła. Może Andria chciała poinformować Jeanine o swoim przyjeździe. Były przecież siostrami.

– To prawda. Badania DNA wskazują, że Andrię i Jeanine łączyły więzy krwi.

Ida utkwiała lodowaty wzrok w twarzy Quinna, zupełnie jakby jej kłamstwa miały się zawsze pokrywać z faktami.

– To nie jest specjalnie przyjemny obrazek. To historia ponizenia i gwałtu.

Quinn raz po raz uderzał ostrym czubkiem ołówka w blat biurka, cały czas wpatrując się w Idę Tucker. Najwyraźniej nosiła w pamięci tak okropne wspomnienia, że wzdrygała się na samą myśl o nich. Postanowił więc nie zmuszać jej do ponownego kreślenia tego obrazu. Nie zamierzał przywoływać nawet jego przemalowanej wersji.

Ida głośno przełknęła ślinę.

– Niektóre domy opieki zastępczej to naprawdę okropne miejsca. Postanowiliśmy z Robertem adoptować dziecko i wtedy poznaliśmy Jeanine. Miała zaledwie dziesięć lat. Wiedzieliśmy, że musi do nas trafić. Potem dowiedzieliśmy się, że ma młodszą siostrę. Uznaliśmy, że najlepsze, co możemy zrobić, to adoptować je obie i wychowywać je już odąd jak prawdziwe siostry.

– Jak to wychodziło?

– Dobrze. Przy najmniej dopóty, dopóki nie natknęły się na tego szaleńca w pańskim mieście.

– Przepraszam za moje miasto – powiedział Quinn. Nachylił się i lekko poklepał ją po wierzchu dłoni. – Mówię zupełnie szczerze, droga pani.

– Nie wątpię.

– Czyż jednak nie uważa pani, że to dziwne, że obie siostry natknęły się na tego samego szaleńca?

– Dziwny to jest wielki posąg kobiety trzymającej w ręku pochodnię, postawiony na małej wyspie na oceanie. Dziwne są pociągi jeżdżące pod ziemią. Dziwny jest zdecydowanie zbyt skąpo ubrany kowboj, który gra na gitarze na ruchliwym skrzyżowaniu. Dziwna jest wielka mała, która skacze po drapaczach chmur.

– To ostatnie to tylko scena z filmu – odparł Quinn.

– A pozostałe trzy?

– No cóż... Rozumiem, co ma pani na myśli.

Ida wstała i wygładziła spódnice.

– Jeśli to wszystko, to chyba powinnam się już wybrać po ciała moich dziewcząt.

– Jeszcze jedno – powiedział Quinn. – Nie wspomniała pani ani słowem o tym, że adoptowaliście również syna, Winstona Castle’a.

Ida na chwilę zamilkła.

– Ach, to on się tak teraz nazywa?

– Owszem. Prowadzi restaurację tu, w Nowym Jorku.

Machnęła ręką. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– To świetnie. On czasami... nie do końca wie, co zrobić ze swoim życiem. – Uśmiechnęła się szerzej. – Trochę jak my wszyscy. Czy coś jeszcze?

– Nie – odparł Quinn nieco zdumiony. – Może wpadnie pani w odwiedziny do Winstona?

– Może. Dziękuję, że mi pan o nim przypomniał.

Quinn nie miał nic przeciwko temu, że Ida zakończyła rozmowę. Na razie niczego więcej od niej nie potrzebował. Coś mu jednak podpowiadało, że jeszcze będą mieli okazję zamienić parę zdań.

Ida doszła do drzwi i odwróciła się na chwilę.

– Czy będę musiała dokonać identyfikacji zwłok?

– Prawdopodobnie panią o to poproszą. Nie będzie tak źle, jak sobie pani wyobraża. Oni tam dbają, żeby rodzinom było jak najłatwiej. Czy mam kogoś tam z panią wysłać?

– Nie – odparła po kilku sekundach zastanowienia. – Widziałam już w życiu gorsze rzeczy, chociaż teraz sobie nic konkretnego nie przypominam. Poradzę sobie i z tym.

– Gdyby to pani miała jakieś pytania... – zaczął Quinn – proszę koniecznie zadzwonić.

– Mam pytania – odparła Ida. – Na niektóre chcę poznać odpowiedź, na inne nie.

Quinn patrzył, jak wychodzi na ulice miasta, które po letnim deszczu często zamieniało się w saunę.

Jedno z pytań, na które sam Quinn pragnął poznać odpowiedź, dotyczyło innych numerów zapisanych w telefonie Jeanine. Nie miał wątpliwości co do tego, że większość z nich należała do znajomych, współpracowników, sąsiadów albo firm, z których usług Jeanine korzystała. Sprawdzanie wszystkich po kolei mogło się okazać stratą czasu, tak czy owak należało to jednak zrobić. Ale skoro członków tej rodziny łączyły tak silne więzi, to dlaczego Winston Castle udawał, że Ida Tucker nie jest jego matką? I dlaczego Ida Tucker nie wspomniała o swoim synu? Dlaczego miała tak niewiele do powiedzenia na ten temat, gdy Quinn go poruszył?

Quinn uznał za logiczne, że chciała chronić swoje dziecko. Matki już tak mają.

Rozdział 34

Gdy Weaver wyszła z cukierni, zabójca odliczył do dwudziestu, po czym ruszył w ślad za nią.

Wszystkie pączki. Zjadła wszystko, co miała na talerzu, a potem podeszła do lady i zamówiła kolejne na wynos. Zabójca raz jeszcze zadumał się nad jej apetytem, zestawiając go z jej nienaganną figurą.

Pudła z pączkami tylko utwierdziły go w przekonaniu, że zna cel jej wędrówki. Przeszedł więc przez ulicę na skos i przy spieszył kroku. Nikt nie zauważył, że ją śledzi, jeśli będzie szedł przed nią.

Zanim Weaver zdołała przedostać się na drugą stronę ulicy, gdzie w rewitalizowanym budynku przemysłowym znajdowały się biura Q&A Investigations, zabójca zdążył już znaleźć sobie dogodny punkt obserwacyjny. Postanowił śledzić rozwój sytuacji zza furgonetki, do której robotnicy ładowali meble.

Zaczęło padać. Właściwie tylko mżyło, ale krople wody wpadały mu za kołnierzyk i spływały po plecach. Zanim Weaver zdążyła wejść do środka, w wejściu pojawiła się starsza kobieta. Próbowano przytrzymać drzwi policjantce, ale ostatecznie to Weaver pierwsza sięgnęła do klamki, mimo że ręce zajmowały jej pudła. Starsza pani szła lekko przygarbiona drobnymi, ostrożnymi kroczkami. Głowę miała pochyloną, jak gdyby się nad czymś głęboko zastanawiała.

Nie ulegało wątpliwości, że Weaver trochę zabawi w Q&A. Zabójca namacał w kieszeni papierosy i zapalniczkę. Pomyślał też o nożu, który nosił przyklejony taśmą do nogi.

Weaver mogła poczełakać. W tym momencie bardziej interesowała go ta siwowłosa staruszka. Na pewno gdzieś już ją widział, ale z powodu przesuwających się po chodniku cieni i mżawki nie mógł się jej dobrze przyjrzeć.

Zaraz po wyjściu z biura Q&A kobieta skręciła w lewo, z każdym krokiem oddalając się od zabójcy. Gdzie on ją już widział?

Nagle sobie przypomniał. Tak śmiesznie przechylała głowę na bok, gdy szła. Jak jakiś ptaszek, który stara się bliższym ziemi okiem wytropić robaka. I te ramiona trzymane tak blisko ciała. Czytelny gest obronny.

Miała w sobie coś, co skojarzyło mu się z jedną z ofiar z hotelu Fairchild. Tylko z którą?

Poszedł za nią, dopinając górny guzik prochowca. Przypomni sobie.

Chwileczkę! Jest i Weaver! Wyszła z biura Q&A i skręciła w lewo. W ciągu zaledwie kilku sekund zabójca uzmysłowił sobie, że ona też podąża za starszą kobietą. Miał jednak szczęście. Weaver, którą poprzednio uratowała schadzka z gliniarzem, teraz została mu właściwie podana na tacy. Dwie ofiary to świetny pomysł, zwłaszcza jeśli jedna z nich okaże się krewną którejś z dziewczyn z hotelu. Quinn już zupełnie się pogubi.

Gdyby nie ta mżawka, po której pozostała już tylko mgła, Weaver na pewno by go dostrzegła albo wy czuła. W tych okolicznościach jednak nie miała na to szans.

Zwiększył nieco dystans i snuł plany.

Na Broadwayu starsza kobieta nagle się zatrzymała i stanęła w drzwiach jakiegoś sklepu. Weaver podeszła do niej, po czym obie przez chwilę rozmawiały pod markizą, chroniąc się przed wilgocią. Zabójca stwierdził, że Weaver nie śledzi kobiety, tylko ma za zadanie ją chronić, co z pewnością nakazał jej Quinn.

Weaver jednak wyłoniła się spod markizy i zaczęła energicznie wymachiwać obiema rękami. Próbowana przywołać taksówkę. Zabójca się uśmiechnął. W deszczowy dzień nowojorskie taksówki stawały się pojazdami nie z tego świata. W końcu obie dadzą sobie spokój i postawią na metro, a tam będzie mógł podążać za nimi zupełnie niepostrzeżenie.

W tym momencie jednak nastąpił cud. Oto z ulicznego ruchu wyodrębniła się taksówka – podjechała do krawężnika i zatrzymała się dokładnie przed Weaver. Ta otworzyła drzwi przed starszą kobietą, po czym sama zniknęła w środku. Zabójca przyglądał się, jak samochód odjeżdża. Sam wybiegł na ulicę i zaczął wymachiwać na taksówkę. Jedna na niego zatrąbiła. Mało brakowało, a znalazłby się pod jej kołami. Zabójca odskoczył na chodnik, jedną nogę pozostawiając z tyłu. Woda nalała mu się przez to do buta. To było coś, z czym zabójca nie potrafił się pogodzić. Nie potrafił!

Zawłókł się pod tę samą markizę, pod którą wcześniej stały obie kobiety, ale nie udało mu się uchronić przed wilgocią. Nerwowym ruchem wcisnął pięści do kieszeni. Czuł się zupełnie tak jak w dzieciństwie, kiedy wszystko robił nie tak. Kiedy budził wstręt. Przyszedł na świat jako niechciany nowotwór, który trzeba było usunąć matce z brzucha. Potem jednak coś mu się udało. Odgrywanie roli oszołomionego, pogrążonego w żalobie dziecka przyszło mu bardzo łatwo. Policja zatrzymała Billa Phoenixa i znalazła w jego samochodzie nóż splamiony krwią Maude i ojca Dwayne'a. Dwayne nawet nie musiał specjalnie niczego wymyślać, kiedy opisywał potajemny romans Phoenixa z jego macochą.

Bill Phoenix zdawał sobie sprawę, że nie ma szans i że na Florydzie zabójców karze się śmiercią. Próbował uciekać swoją furgonetką przed policją, ale daleko nie zajechał. Został zatrzymany na parkingu przed jednym z moteli. Dwayne odziedziczył fundusz powierniczy wart wiele milionów dolarów. Z chwilą ukończenia dwudziestego piątego roku życia uzyskał swobodny dostęp do tych pieniędzy. Założył kilka kont pod różnymi nazwiskami i mądrze te środki inwestował, często w dzieła sztuki, które nabywał w tajemniczych okolicznościach przez wątpliwych pośredników. Resztę majątku powierzył różnego rodzaju firmom zarządzającym finansami. Korzystał z niego tylko od czasu. Nie widział powodu, żeby chwalić się komukolwiek swoim prawdziwym stanem posiadania.

Przez wiele lat po śmierci ojca i Maude Dwayne śnił, że oboje smażą się w ogniu piekielnym. Tonęli pośród płomieni, niekiedy obejmując się mocno w wyrazie beznadziei

i rozpaczy. Krzyczeli i tańczyli w straszliwym dzikim szale świadomości. Płacili za wszystkie swoje grzechy. Dwayne natomiast nie uważał tych snów za koszmary.

*

Zupełnie niewykłuczone, że ten majątek niekorzystnie wpłynął na jego charakter. Podobnie zresztą jak wcześniejsze sukcesy i sława, którą zdobył jako D.O.A. Zdążył już przywyknąć, że zawsze dostaje to, czego chce. Teraz zaś chciał Nancy Weaver.

Z powodu mżawki kolejne krople deszczu wpadały mu za podniesiony kołnierz prochowca i spływały po plecach. Nie zwracał na nie uwagi. Z pochyloną głową ruszył w kierunku stacji metra, gdzie co prawda panował tłok, ale można było poszukać schronienia przed wilgocią. Spodziewał się, że gdy tam dotrze, szczęście znowu przechyli się na jego stronę.

Nancy Weaver. Wiedział przecież, gdzie mieszka. I zamierzał czekać na nią tak długo, jak długo to będzie konieczne. Jeśli znowu przyprowadzi do domu policjanta w mundurze albo jakiegoś innego kochanka, nie szkodzi. Mocno zaciśnięte usta rozsunęły się w uśmiechu. Nie dbał o to, że Weaver nie zdaje sobie sprawy z tego jego wyczekiwania. Już wkrótce i tak miała się stać jego własnością. Podobnie jak inna kobieta ideał, która w żaden sposób nie mogła poznać jego zamiarów, a która pewnego dnia miała się stać jego najcenniejszą zdobyczą. Kobiety takie jak Nancy Weaver stanowiły tylko krokna drodze do ostatecznego celu.

Rozdział 35

Nancy Weaver bardzo chciała zdjąć z siebie mokre ubranie. Odwiozła Idę Tucker do kostnicy i zaproponowała, że będzie jej towarzyszyć podczas wizyty. Ostatecznie jednak została w taksówce i podała kierowcy swój adres. Dopóki nie odjechała, przyglądała się, jak Ida Tucker – która na szpilkach poruszała się jak ktoś znacznie młodszy – przedostaje się przez gąszcz przechodniów i parasoli. Potem oparła głowę o szybę i przez na wpół zamknięte powieki obserwowała współzawodnictwo samochodów tłoczący ch się na ulicy.

*

Pokonanie trasy prowadzącej na skrzyżowanie najbliższe miejscu zamieszkania Weaver zajęło taksówkarzowi prawie pół godziny. Weaver bliżej nie musiała podjeżdżać. Ostatni odcinek drogi pokonała w mgnieniu oka. Tak bardzo się cieszyła, że zaraz będzie w domu i w suchym ubraniu, że zupełnie nie zwróciła uwagi na postać wylaniającą się w milczeniu z pobliskiego cienia. Zabójca wybrał sobie idealny moment. Weaver właśnie otworzyła ciężkie drzwi i weszła do korytarza. On podążył za nią krok w krok, z każdą chwilą coraz wyżej unosząc nóż w kierunku jej gardła.

Dopadł ją, zanim zdążyła się zorientować. Poczula ukłucie metalowego ostrza na skórze w pobliżu tętnicy szyjnej. Poczula zapach i ciepło jego oddechu, a wraz z nimi nieprzyjemną wilgoć jego płaszcza. Czarny materiał zdążył wchłonąć masę zapachów ulicy. Ten człowiek przyniósł z sobą noc.

Pewnie trzymając ostrze, poprowadził ją w górę po schodach, a potem wzdłuż korytarza. Nikt się nie wyłonił zza rogu, nikt przypadkiem nie otworzył drzwi. Nikt ich nie widział. Gdy weszli do jej mieszkania, usłyszała tylko, jak zamyka za nimi drzwi kopnięciem.

Światła pozostały zgaszzone tak, jak sobie życzył. Gdyby w pomieszczeniu rozbłyśły lampy, przechodnie przypadkiem spoglądający ku górze i mieszkańcy budynku po drugiej stronie ulicy mogliby podziwiać w niezastłoniętych oknach dość niecodzienne widowisko.

– Idziemy do sypialni – powiedział, dociskając nóż.

Napierała na nią całym ciałem. Musiała się przemieszczać, nie miała innego wyjścia. Wiedziała jednak, że gdy się znajdzie w sypialni i straci pionową pozycję, nie będzie już dla niej ratunku.

Cały czas idąc przed siebie, zdołała otworzyć torebkę. Magnetyczne zapięcie puściło zupełnie bezgłośnie. Jednocześnie udało jej się lekko odwrócić w stronę pufa stojącego przy kanapie. Niski mebel kolorystycznie zlewał się z dywanem i był niemal niewidoczny w tych ciemnościach.

– Mam nadzieję, że wystarczy ci rozumu, żeby nie... – Zabójca przerwał w pół zdania, ponieważ potknął się o siedzisko, które ona tylko lekko musnęła nogą.

Weaver obróciła się, wyzwalając się w ten sposób z uścisku i wymykając dłoni trzymającej nóż. Rzuciła się przed siebie. Upadając, opróżniła torebkę. Musiała działać szybko. Na poszukiwania w jej czeluściach nie miała teraz czasu.

Zabójca ciągle się jeszcze nie otrząsnął po przykrej niespodziance, ale przecież to nie mogło potrwać więcej niż kilka sekund. Z zapalem rzuciła się na przedmioty, które leżały teraz przed nią na dywanie. Jeden z większych poczuła pod żebrami, tuż przy prawej piersi. To musiał być albo portfel, albo smith and wesson kaliber .22.

Obróciła się na bok i sięgnęła po ten przedmiot, z rozczarowaniem stwierdzając, że to jednak portfel. Na szczęście zaraz obok leżał mały nikłowany pistolet półautomatyczny. Wyciągnęła po niego rękę.

Zabójca próbował na nią jej nadepnąć, ale nie trafił. Jego noga z hukiem wylądowała na dywanie.

Oceenił swoje szanse zdecydowanie szybciej niż Weaver. Ten nieudany krok stał się więc dla niego pierwszym na drodze do drzwi.

Gdy ona sięgała po broń, on już je otwierał. Zniknął za nimi, gdy celowała. Weaver zdawała sobie sprawę, że już się zamykają, ale i tak nacisnęła na spust. Wystrzał wybrzmiał jak głośnie uderzenie. Zaraz po nim niczym echo pojawił się dźwięk kuli przebijającej zatrzaśnięte drzwi.

Roztrzęsiona Weaver siedziała na podłodze, obiema rękami trzymając mały pistolet ciągle jeszcze wycelowany w drzwi. Wiedziała, że nie może oddać drugiego strzału. Nie na ślepo, nie przez zamknięte drzwi. Przestrzeń za nimi stała się dla niej niedostępna, gdy tylko zabójca je za sobą zamknął. Teraz mogli ją wypełniać ciekawscy sąsiedzi. Równie dobrze jednak mógł się tam znajdować również napastnik. Mógł leżeć zwinięty na podłodze martwy albo ranny.

Opanowując drżenie mięśni, Weaver wstała i ruszyła w kierunku drzwi, broń cały czas trzymając uniesioną w pogotowiu. Gdy do nich podeszła, zauważyła okrągły otwór o równych brzegach. Znajdował się mniej więcej na wysokości metra dwadzieścia. Trzymając broń w prawej ręce, lewą przekręciła klamkę i powoli otworzyła drzwi. Po drugiej stronie kula pozostawiła po sobie drzazgę. Weaver przesunęła skrzydło o kolejnych piętnaście centymetrów i wyjrzała na korytarz.

Nic tam nie zobaczyła. Nikt nie leżał na podłodze. Nie dostrzegła żadnych śladów krwi. Najwyraźniej pistolet małego kalibru nie zrobił dość hałasu, aby zainteresować kogośkolwiek z sąsiadów. Być może ktoś usłyszał jakieś nietypowe trzaśnięcie drzwi, ale cóż z tego? Może to

jakaś rodzinna kłótnia? Może sprzeczka kochanków? A może nawet coś jeszcze bardziej banalnego? W każdym razie nic godnego ich uwagi.

Weaver przeszła przez korytarz aż do klatki schodowej i z powrotem. Na kafelkach, którymi wyłożona została podłoga, nie znalazła żadnych śladów krwi. Najwyraźniej całkiem chybiła.

Nie miała większych wątpliwości, że zaatakował ją D.O.A. Już od kilku dni zdawała sobie sprawę, że ktoś ją obserwuje, ktoś ją śledzi. Nie przez cały czas, ale przez jakiś czas każdego dnia. Profilerka Helen przestrzegała ich, że D.O.A. może próbować dotrzeć do Quinna właśnie przez nią albo przez Pearl, ewentualnie przez jej córkę Jody. Wszystkie trzy kobiety miały na siebie wyjątkowo uważać. Tylko czy taka wyjątkowa ostrożność mogła faktycznie powstrzymać takiego wyjątkowego zabójcę?

*

Serce nadal waliło jej jak młotem, gdy wracała ciężkim krokiem do mieszkania, żeby zadzwonić do Quinna. Żałowała, że nie zdołała lepiej przyjrzeć się twarzy mordercy. Niestety w słabym świetle widziała tylko cień postaci. Ciemne włosy. Ale jak bardzo ciemne? Średni wzrost, może trochę powyżej średniego. Dużo siły. Pamiętała, że gdy ją trzymał i gdy groził jej śmiercią od noża, ta siła krążyła po jego ciele jak prąd elektryczny. Wilgotny płaszcz skrywał ciało silnego mężczyzny, który z całą pewnością wiedział, co robi.

Podeszła do drzwi swojego mieszkania i raz jeszcze spojrzała na pionowe drzazgi wokół otworu wylotowego po kuli. Rzuciła okiem na przeciwległą ścianę, ale nigdzie nie dostrzegła osadzonej tam kuli. To by sugerowało, że jednak utkwiała w ciele napastnika.

Odwróciła się ponownie w stronę swojego mieszkania. Będzie musiała wstawić nowe drzwi, ale nie musi się tym zajmować od razu. Te po zamknięciu powinny ją skutecznie zabezpieczyć. Nie musi też zmieniać zamków. Zabójca najpewniej nie miał klucza, inaczej nie atakowałby jej przed wejściem do mieszkania, tylko zaczęłoby na nią w środku.

Coś jednak nie dawało Weaver spokoju. Podeszła do jednego z ozdobnych kinkietów rzucających słabe światło na korytarz. Wyciągnęła rękę w stronę mosiężnego elementu, za którym trzymała zapasowy klucz do mieszkania – klucz, którego zamierzała użyć, gdyby zgubiła torebkę, a wraz z nią komplet pozostałych. Albo gdyby z jakiegoś niewyjaśnionego powodu jej standardowy zestaw nie chciał zadziałać. Klucza jednak nie było.

Wspięła się na palce i zaczęła macać przestrzeń na kinkiecie, tym razem bardziej starannie. Znalazła całe mnóstwo kurzu, ale klucza nie. Czyżby zabójca go znalazł, mimo to postanowił czekać na nią przed wejściem i siłą utorować sobie drogę do środka? To ją naprawdę przerażyło. *Może miałam sobie pomyśleć, że on nie ma klucza. Że nie muszę zmieniać zamków. Czyżby to był element jego gry?! Chciał mnie torturować, a nie zabić. Jeszcze ze mną nie skończył!*

Weaver wiedziała, że te myśli to prawdopodobnie efekt działania jej rozszalałej wyobraźni. Zabójca raczej nie snuł aż tak misternych planów, nie przywiązywał aż takiej wagi do alternatywnych scenariuszy.

Zamknęła drzwi na klucz i dodatkowe zabezpieczenie powyżej, chociaż wiele wskazywało na to, że z tym zabójca poradziłby sobie bez problemu. Dla bezpieczeństwa zastawiła jeszcze drzwi ciężką sofą, na której ustawiła trochę naczyń. Huk tłukących się talerzy na pewno by ją obudził, gdyby ktoś próbował złożyć jej wizytę w środku nocy. Ktoś, kto ma klucz.

Weaver zamierzała poczekać do następnego ranka i wezwać ślusarza, gdy wybije godzina otwarcia punktów usługowych. Z telefonem do Quinna jednak nie chciała zwlekać. W dalszej kolejności zamierzała zadzwonić do Renza. Sama się zdziwiła, że najpierw postanowiła porozmawiać z Quinnem. Pracowała przecież w nowojorskiej policji, a więc przede wszystkim dla Renza. Tylko czy na pewno? Ostatecznie uznała, że powinna najpierw skontaktować się z Renzem.

Rozdział 36

Siedzieli w salonie w budynku z brązowej cegły na West Side. Quinn właśnie skończył relacjonować Pearl rozmowę z Idą Tucker, gdy zadzwonił telefon. Wydobył aparat z kieszeni i zobaczył, że dzwoni Nancy Weaver. Przeszedł do jadalni, żeby ani Pearl, ani Jody – która znajdowała się w swojej sypialni bezpośrednio nad salonem – nie mogły usłyszeć treści jego rozmowy. Gdy wrócił, Pearl od razu dostrzegła zmartwienie na jego twarzy. Z jego miny wywnioskowała, że telefon dotyczył pracy i że rozmówca nie miał dla Quinna dobrych wieści.

– Ten drań próbował dopaść Weaver – powiedział.

Szczękę miał zaciśniętą, oczy zmrużone. Na skroniach pulsowały mu żyły. W tym konkretnym momencie wyglądał raczej na zacieklego bandziora niż na byłego kapitana nowojorskiej policji. Pearl siedziała bokiem na sofie, opierając nogi na poduszkach. Wysłuchiwała Quinna. Sprawiała wrażenie zaniepokojonej, choć niekoniecznie zaskoczonej.

– Mam nadzieję, że Nancy zostawiła mu po sobie pamiętkę – stwierdziła.

– Nie – odparł Quinn. – Chociaż niewiele brakowało.

Opowiedział jej to, co sam usłyszał od Weaver na temat ataku D.O.A. O tym, jak niewiele brakowało, by postrzeliła go z broni, którą nosiła w torebce, gdy akurat występowała w cywilu i nie miała przy sobie glocka.

– Możliwe, że go drasnęła – odparła Pearl.

– Weaver sama szukała śladów. Nie znalazła żadnej krwi. Renz tam teraz jest razem z ekipą techników i grupą mundurowych.

– I pewnie grupą dziennikarzy – dodała Pearl. – A jaksię trzyma sama Weaver?

– Jak ją znam – powiedział Quinn – będzie chciała dalej pracować nad tą sprawą. Pewnie uzna, że zabójca powinien spróbować z nią jeszcze raz.

– Widziała przecież, co robi ze swoimi ofiarami... – stwierdziła Pearl.

– Widywała gorsze rzeczy.

Quinn co prawda w to wątpił, ale dobrze to brzmiało. Poza tym nie miał wątpliwości, że Weaver nie zostawi tej sprawy. Jeśli przyjdzie jej zostać przyjętą, to na pewno nie bezbronną

i łagodną. Domyślał się jednak, że zabójca może też wziąć sobie na cel kogoś innego – że może wybrać kogoś, kto dla niego, dla Quinna, liczy się nawet bardziej niż Weaver.

– Lepiej zadzwoń do Renza – powiedziała Pearl. – Niech przydzieli ochronę Jody.

– I tobie też – dodał Quinn.

– Nie wygłupiaj się – rzuciła Pearl. – Przecież byłam policjantką. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że znowu zapoluje na ciebie, tak samo jak w Maine. Z tobą zaczął i nie skończył.

– Już ja wiem, kiedy on tego spróbuje – odparł Quinn. – Znam jego plan gry.

Gra! Takie rozmowy zawsze doprowadzały Pearl do pasji.

– W porządku. Nie zamierzam się wtrącać w te twoje męskie idiotyzmy. Zamiast o ciebie pomartwię się o Weaver, bo z nią też nie skończył. Jej życie może być w niebezpieczeństwie.

– Weaver to policjantka w służbie czynnej. Na pewno dostanie ochronę. Moim zdaniem specjalnej ochrony potrzebujecie ty i Jody.

– Jody ten pomysł się nie spodoba – orzekła Pearl.

Jody, córka Pearl, którą Quinn traktował jak własne dziecko, była prawnikiem w niewielkiej firmie specjalizującej się w sprawach z zakresu tak zwanej sprawiedliwości społecznej. Obecnie występowała jako obrońca dwóch mężczyzn i kobiety, których aresztowano za oddawanie moczu w miejscu publicznym w geście protestu przeciwko niedostępności miejskich szaletów w Nowym Jorku. Jody twierdziła, że miasto mogłoby sporo zarobić na uruchomieniu takich punktów między innymi dla turystów. Po rozmowie z Renzem Quinn poprosił Jody, by do nich zeszła i usiadła na kanapie obok Pearl. Pearl ułożyła nogi na kolanach Jody i skrzyżowała je w kostkach. Łączyła je bliska więź. Czasami występowały wspólnie przeciwko Quinnowi.

Quinn wyjaśnił Jody istotę sytuacji. Usłyszał dokładnie to, czego się spodziewał.

– Jak mogę pomóc?

– Już pomagasz tysiącom ludzi, którzy w pośpiechu biegają po Nowym Jorku za potrzebą.

– To nie jest temat do żartów.

– Nie musisz mi mówić – odparł Quinn.

– Mogłabyś na chwilę zostawić tę sprawę.

– Przecież twoi klienci siedzą w areszcie...

– Siedzą za opór przy aresztowaniu.

– To powinnaś teraz myśleć przede wszystkim o nich, wy dostać ich z aresztu przy najmniej do czasu rozprawy.

– Stawiali opór przy aresztowaniu. Jeden z mężczyzn nasikał na policjanta!

– Cholera jasna, Jody!

– Nie wiedział, że ma do czynienia z gliniarzem. Gość występował w cywilu. No więc jeden z moich klientów...

– Tak?

– Policjant stwierdził, że jest mokry, i się wściekł, a wtedy zmógł jeszcze bardziej.

Quinn czekał.

– Potem wywiązała się bójka. – Jody sprawiała wrażenie wścieklej. – Mam świadków, którzy twierdzą, że facet stracił panowanie nad sobą. Po prostu oszalał.

– Ten gliniarz?

– Mój klient. Zaczął wymachiwać pięściami, kopać... Za sprawą którejś ze sztuk walki przeistoczył się w atakującą maszynkę.

– Sikacz.

– Okazało się, że ten gliniarz prowadzi pod przykryciem dużą sprawę dla wydziału narkotyków, a tymczasem mój klient następnego dnia opublikował zdjęcie i nazwisko w „The New York Post”.

– Swoje?

– Nie, tego policjanta.

– Jody!

– Przecież mój klient tylko...

– Jody! – powiedziała Pearl. – Pogódź się z myślą, że będziesz miała ochronę. Jeśli tylko ktoś z nowojorskiej policji jeszcze zechce z tobą rozmawiać... Twój klient będzie cię jeszcze potrzebować.

– Klienci, w liczbie mnogiej. Reprezentuję PRR.

– Wydawało mi się, że ta organizacja szuka nowego lokum dla bezdomnych kotów.

– Nie, chodzi o Public Restroom Relief, akcję na rzecz dostępu do publicznych toalet.

Quinn podszedł do okna wychodzącego na Siedemdziesiątą Piątą Zachodnią. Policyjny radiowóz stał zaparkowany przy ulicy tuż przed budynkiem. Spojrzał teraz na dwie kobiety, które były dla niego w życiu najważniejsze... Tak samo ważne jak jego własna córka Lauri, która mieszkała w Kalifornii. Nagle przeszedł go dreszcz. Czy D.O.A. wie o Lauri?

Wyszedł z telefonem na zewnątrz, przywitał się skinieniem głowy z mundurowym siedzącym za kierownicą radiowozu, po czym przeszedł jeszcze pół przecznicy i wybrał kalifornijski numer Lauri. Rozmawiał najpierw z nią, a potem z jej matką, a swoją była żoną May. Obie potraktowały jego słowa bardzo poważnie i obiecały podjąć stosowne środki ostrożności. Quinn zadzwonił jeszcze do swojego starego przyjaciela, który pracował w policji w Los Angeles. Usłyszał od niego, że budżet mają niewielki i brakuje im funkcjonariuszy, ale robi, co tylko się da.

Quinn wrócił do domu. Niewiele więcej mógł zrobić.

Pearl domyśliła się, do kogo dzwonił, ale nie wypytywała o przebieg rozmowy. Siedziała z Jody na sofie dokładnie tak samo jak wcześniej, ale teraz obie miały w dłoniach puszki z colą light. Quinn wiedział, że są względnie bezpieczne i że nie zawsze da się zorganizować im policyjną ochronę. Przez większość czasu mieli ich pilnować Sal i Harold, to jednak oznaczało, że nie będą się mogli aktywnie zajmować sprawą.

Czy to był element strategii zabójcy? Czy nie po to tak naprawdę zaatakował Nancy Weaver? Czy nie chodziło o akt dywersji? Raczej nie, zważywszy na to, jak duże podejmował ryzyko i że o mało co nie został postrzelony. Zabójca miał zamiar torturować i zabić policjantkę. Musiał wiedzieć, co się z tym wiąże. Czy to kolejny wybieg? Czy Pearl mogła spać spokojnie, skoro Weaver nie? Czy on sam, Quinn, był bezpieczny?

– Pojadę zobaczyć się z Weaver, może też z Renzem – stwierdził Quinn.

– Ja zostanę z Jody – usłyszał.

Uznał, że to dobry pomysł.

Rozdział 37

Zabójca wyszedł z budynku Nancy Weaver szybkim krokiem, a potem ruszył biegiem. Nie marnował ani chwili, mięśnie pleców spięły mu się mocno w oczekiwaniu na kolejny strzał. Liczył się z tym, że ta pierwsza kula mogła go jednak trafić i tylko on jeszcze tego nie czuje. Wiedział, że tak to czasem bywa z ranami postrzałowymi. Uraz wywołuje odrętwienie, a skutki pojawiają się dopiero po pewnym czasie, gdy się samemu obejrzy ranę lub gdy zrobi to ktoś inny. Skoro jednak mógł biec, to prawdopodobnie nie oberwał.

Nie miał większych wątpliwości, że nikt go nie widział. Słyszał za to, jak drzwi się za nim otwierają i zamykają.

Na ulicy pośród mgły czuł się bezpiecznie. Niewiele brakowało! Weaver okazała się bardziej zaradna, niż się spodziewał. Uświadomił sobie swój błąd. Dosłownie założył, że pójdzie mu z nią gładko, ponieważ tak jak poprzednie była kobietą. Dopiero teraz dotarło do niego, że oprócz tego może przede wszystkim była dobrze przeszkoloną twardą policjantką.

Serce mu się uspokoiło, nie oddychał już tak ciężko. Idąc wzdłuż Eighth Avenue, dyskretnie macał się tu i ówdzie, szukając ewentualnej rany. Doskonale zdawał sobie sprawę, że cudem uniknął kuli. Bardzo cenił sobie swoje szczęście, ale wiedział też, że nie może na nim w stu procentach polegać. Szczęście to nie to samo co los. Szczęście bywa kapryśne. Los to przyjaciel na lata.

Próbował dostrzec w tym wszystkim coś pozytywnego. Co prawda nie udało mu się zrealizować założonego celu, ale sam atak musiał mocno wstrząsnąć nie tylko samą Weaver, ale również pozostałymi członkami ścigającego go zespołu. To mu dawało pewnego rodzaju satysfakcję. W zasadzie z każdym kolejnym krokiem odyskiwał poczucie pewności siebie i odpowiedni dystans do całej sprawy. Z każdym krokiem był coraz bardziej z siebie zadowolony. Media z pewnością podchwycają informację o jego ataku na Weaver. Wiadomość pojawi się w telewizji i następnego dnia na pierwszych stronach gazet. To robi na ludziach wrażenie.

Miał zamiar jeszcze zadać Weaver kilka pytań, zanim pozwoli jej umrzeć – bynajmniej nie dla przyjemności, tylko po to, żeby ustalić, ile policja i agencja Q&A wiedzą o tym, co

powiedziała mu Jeanine Carson. Nie przypuszczał, żeby Carson go okłamała. Był mistrzem w zadawaniu śmiertelnego bólu i potrafił tę umiejętność wykorzystać, żeby wydobyc z człowieka prawdę. Jeanine Carson była gotowa zapłacić każdą cenę za dodatkową sekundę życia i dlatego wyznała mu wszystko.

Mimo to zależało mu na potwierdzeniu jej słów. Cieszyły się, gdyby to samo udało mu się usłyszeć od Weaver, gdyby z jej zbolowanych ust padły te same słowa prawdy. Czystej prawdy.

Spojrzał na zegarek. Za chwilę na kanale New York One miał się zacząć program rozrywkowo-informacyjny *Minnie Miner ASAP*. Lubił go, zwłaszcza gdy Minnie zapraszała gości, z którymi rozmawiała o nim. Minnie miała różne kontakty w rządzie i wśród nowojorskich stróżów prawa, dlatego wiedziała o wielu zdarzeniach zaledwie kilka minut po fakcie, a jej krytycy twierdzili, że czasami nawet na kilka minut przed nim. Niewykluczone, że wspomni o jego śmiałym zamachu na życie Weaver. Że wspomni o nim.

Wrócił bezpiecznie do swojego mieszkania, oparł się plecami o zamknięte drzwi i wciągnął do płuc powietrze, w którym unosił się lekko wyczuwalny zapach pleśni. Od razu poczuł się lepiej, bezpieczniej, przytulniej, jak zwierzę w swojej kryjówce. Tyle że ta kryjówka miała kremowe ściany, które zdobiły starannie rozwieszzone dzieła sztuki, między innymi chromolitografie i szkice wykonane węglem, sceny Vermeera oświetlone blaskiem świec i obrazy Moneta rozbłyskujące słońcem, słoneczniki van Gogha i drzewa Klimta. Przy beżowej sofie ustawionej we wnęce stała na piedestale srebrna statuetka nagiej kobiety w stylu art déco. Jakby od niechcenia wyciągała w górę obie ręce, lekko złączając palce, zupełnie jakby miała za chwilę skoczyć do wody z wysokości. Podobny piedestał, tyle że pusty, stał po drugiej stronie sofy.

Wszystkie te dzieła miały jedną cechę wspólną: wszystkie wchodziły w skład kolekcji umiejętnie wykonanych kopii. To były dzieła wysokiej jakości, ale nie prawdziwe dzieła sztuki. Oryginały znajdowały się w większości w Meksyku, a częściowo również w Europie. Na wypadek gdyby ktoś je kiedyś przy padkimi odkrył, chroniły je zamki i zabezpieczenia.

Zabójca poczuł się wyraźnie lepiej. Zaczął zdejmować płaszcz, ale po chwili przestał. W wodoodpornym materiale dostrzegł dziurę – na tyle dużą, że mieścił mu się w niej mały palec. Wpatrywał się w nią z uwagą, wiedząc, że powstała od kuli. Znajdowała się na wysokości prawej bocznej kieszeni. Włożył rękę do środka i namacał półautomatyczny pistolet, który nosił przy sobie. Dotykał materiału pod bronią i wokół niej. Nie czuł żadnego bólu. Chyba nie doznał żadnych obrażeń. Palcami zbadał dno kieszeni i jej wewnętrzne szwy. Nie znalazł kuli.

Zastanów się. Pocisk musiał przejść przez drzwi mieszkania Weaver, więc pewnie zmienił trajektorię, zanim trafił w płaszcz i utknął gdzieś w materiale. Musi gdzieś tu być.

Tyle że go nie znalazł.

Wyjął pistolet, żeby ułatwić sobie poszukiwania, i wtedy go dostrzegł. Kula małego kalibru utkwiała w drewnianym uchwycie ozdobionym motywem kratki. Gdyby dalej poleciała tym samym torem, trafiłaby go w biodro i prawdopodobnie utkwiliby w kości.

Pocisk nie uległ zniszczeniu, więc testy balistyczne z pewnością potwierdziłyby, że został wystrzelony z broni Weaver. To byłby niepodważalny dowód, że to on złożył jej tego dnia wizytę. A taki dowód wystarczyłby, aby go zatrzymać do czasu znalezienia materiałów potwierdzających jego związek z pozostałymi zbrodniami. Zabójca wiedział, jak to działa. Jak domino. Właśnie dlatego poprzysiął sobie, że za nic nie pozwoli wziąć się żywcem. Umrze wierny sobie, w swoim czasie i w dogodny dla siebie sposób.

Stracił ochotę na oglądanie wiadomości. Poszedł do kuchni urządzonej w stylu europejskim i nalał sobie do kryształowego kieliszka whiskey na trzy palce. Dorzucił do tego kilka kostek lodu, które wydobyl z stalowej kostkarki pomrukującej w lodówce. Uniósł drinka, po czym udał się z nim do salonu i stanął pośród wielkich arcydzieł wielkich mistrzów. Nie bez cienia dumy pomyślał sobie, że to tylko nędzny cień, a zarazem subtelny symbol tego wszystkiego, co należy do niego i tylko do niego... Były trochę jak sztuczna biżuteria leżąca w szufladzie kobiety i przypominająca jej o prawdziwych klejnotach znajdujących się w jej posiadaniu.

Nie potrafił jednak zapomnieć o swojej nieudanej próbie. I o Quinnie. Te myśli trzymały się go kurczowo jak pies, który pochwylił kogoś za nogawkę. Wiedział, że tym swoim niepowodzeniem dostarczył Quinnowi powodów do radości.

Rozdział 38

Quinn siedział na pluszowym krześle przy biurku Renza. Renz – w pełnym galowym mundurze – rozłożył się w fotelu po drugiej stronie. Strój miał oficjalny, ponieważ wybierał się na pogrzeb policjanta zastrzelonego tydzień wcześniej w trakcie aresztowania w sprawie narkotykowej. Do wymiany ognia doszło na Broadwayu w pobliżu Times Square. W gabinecie panował zaduch. W powietrzu unosił się zapach, który mógł sugerować, że ktoś tu przed chwilą palił cygaro.

– Problem polega na tym – powiedział Renz – że nie mamy wpływu na to, jak media zinterpretują próbę ataku na Weaver.

– Nie będzie to miało żadnego znaczenia, jeśli się o niej w ogóle nie dowiedzą. Nikt nie widział D.O.A. w budynku, a dziurę po kuli można załatać, zanim ktokolwiek zdąży się jej przyjrzeć i domyśli się, co zaszło.

– Tym się już zajęliśmy – odparł Renz. – Mamy szczęście... – Uniósł obie dłonie wewnętrzną stroną w kierunku Quinna. – Nie, powiem inaczej... Mamy szczęście, ale przecież, na litość boską, media gadają teraz tylko o tej sprawie na Broadwayu.

– Wiem, o co ci chodzi, Harley.

– Zabójstwo Wallace’a to tragedia. Świetny policjant ginie, zostawia żonę i dwojkę dzieci.

– Wiem, o co ci chodzi – powtórzył Quinn, mając nadzieję, że Renz przestanie w końcu przemawiać tonem przejętego prezentera telewizyjnych wiadomości.

– Wiem, wiem – powiedział Renz i pokręcił głową. – Biedny chłopak Trzeba mu oddać, że to naprawdę był dobry gliniarz.

– Lepiej, że media skupiają się na wystawianiu laurki dla niego i roztrząsaniu zagrożeń na Times Square, niż gdyby miały się zajmować D.O.A.

– Co za paskudny świat! – odparł Renz.

– Jak się trzyma Weaver?

– Baba ma jaja. – Renz poklepał się po kieszeni na piersi, jak gdyby nieświadomie sięgał po papierosa. Albo po cygaro. – Staraliśmy się nie robić zamieszania wokół zamachu na jej życie.

Na miejsce pojechało tylko kilka radiowozów, no i furgonetka techników. Jeśli się nie mylę, media jeszcze nie wywahały tej sprawy.

– Dobrze by było, gdyby zabójca też odniósł takie wrażenie – stwierdził Quinn. – Że nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

– Strasznie się wkurzy. Tak w każdym razie wydaje się Helen. – Renz znowu sięgnął do kieszeni, ale tym razem tylko musnął ją opuszkami palców. – Czy naprawdę sądzisz, że D.O.A. traci grunt pod nogami?

– Tak można by wnioskować – odparł Quinn. – Niewykluczone, że tym razem oberwał.

– Jeśli tak, jeden ze szpitali da nam znać.

– Chyba że ma zaufanego lekarza albo rana nie jest poważna i opatrzy ją sobie sam. Kaliber .22 nie robi takich szkód jak siekiera. Skoro pocisk przeleciał przez drzwi, a my go nie znaleźliśmy, to niewykluczone, że napastnik oberwał.

Quinn wyprostował nogi i skrzyżował je w kostkach. Renz uniósł dwa skrzyżowane palce.

Rozległo się trzykrotne ciche pukanie do drzwi. Brzmiało to bardziej jak sygnał niż jak prośba o wpuszczenie do środka. Renz odparł:

– Czas na mnie.

Wstał i zapiął marynarkę. Wy równał materiał dłońmi.

– A te dwie siostry czy kuzynki? Czy coś je łączyło? Doszedłeś do jakichś wniosków?

– Jeszcze nie – odpowiedział Quinn.

– Może to w ogóle nie jest żadna rodzina. Może to jeden wielki kit. Jakaś sekta albo coś w tym stylu. Coś jak Rodzina Mansona...

– Momentami tak to wygląda.

Quinn wstał, żeby wyjść razem z Renzem.

– Helen twierdzi, że z powodu braku pokrewieństwa mogą być z sobą nawet bardziej związani i nawet bardziej się nawzajem potrzebują.

– Hm, Helen... A ty wierzysz w te psy chobzdury?

– Czasami – odparł Quinn. – Będę cię na bieżąco informować.

Renz otworzył mu drzwi.

– Dudy – stwierdził Renz. – Już tyle razy odzywały się na pogrzebach, że jak je słyszę, to nie potrafię nie myśleć o śmierci.

– Potrafią człowieka rozczulić.

– Jadę limuzyną. Podwieźć cię gdzieś?

– To by mogło zostać źle odebrane – odpowiedział Quinn.

– Pewnie tak – zgodził się Renz i jeszcze raz pokręcił głową. – Jezu Chryste, jak ja nienawidzę dud!

*

Larry Fedderman stał w tym samym miejscu, z którego zabójca obserwował Weaver, gdy

ta wychodziła ze swojego budynku. Fedderman był wysoki i raczej kościsty, ale miał brzuszek. Należał do mężczyźni, którym można by przypisać zupełnie niezłą kondycję fizyczną, gdyby... nie ta piłka do koszykówki, którą najwyraźniej połknęli. Jego żona Penny kupiła mu porządny granatowy garnitur od Armaniego, ale niewiele to dało. Jedno ramię wypadało wyżej niż drugie, a rozpięty prawy mankiet koszuli powiewał jak biała flaga na znak kapitulacji. Gdyby miał akurat w rękę kubek, mógłby występować w roli oryginalnego żebraka, który pomimo markowego stroju doprasza się o jałmużnę.

Przy krawężniku przed budynkiem zatrzymał się czarny samochód z drogówki. Kierowca nie użył klaksonu. W środku siedziało dwóch mężczyzn z ośmiokątnymi czapkami nowojorskiej policji na głowach. Najwyraźniej zadzwonili na górę z telefonu komórkowego, bo mniej więcej minutę później w drzwiach pojawiła się Weaver w pełnym mundurze. Rozejrzała się w prawo i w lewo, na chwilę zatrzymała wzrok na Feddermanie, ale zaraz go oderwała.

Fedderman doszedł do wniosku, że nawet w okularach – a może właśnie dzięki nim – prezentowała się w mundurze bardzo atrakcyjnie. Spędził w jej towarzystwie dość czasu, żeby z całą pewnością stwierdzić, że w policyjnym stroju z budynku naprzeciwko wyszedł nie ko inny, jak właśnie ona. Rozpoznawał tę charakterystyczną budowę ciała, jednocześnie krągłą i krępką, zwiastującą potencjalnym wrogom same kłopoty.

Prawe tylne drzwi samochodu się otworzyły, a ona sprawnie wsunęła się do środka. Cała operacja trwała niespełna pół minuty. Fedderman wiedział, dokąd Weaver się wybiera – na pogrzeb tego dzieciaka Wallace'a. Nie widział w tym żadnego problemu. Trudno było wyobrazić sobie bezpieczniejsze miejsce niż cmentarz pełen pograżonych w żałobie gliniarzy. Poza tym zyskał okazję, na którą czekał już od pewnego czasu. Postanowił zajrzeć do jej mieszkania. Miał przy sobie teczkę ze sprzętem, który dostał od Quinna.

Fedderman zupełnie dobrze radził sobie z zakładaniem podsłuchów, więc miał zamiar spędzić w środku mniej więcej dziesięć minut. Zresztą był przecież gliniarzem, co dawało mu pełne prawo do tego, żeby się tam znaleźć. Od biedy mógł tak przecież powiedzieć. Mniej więcej by się to zgadzało.

Weaver, jak można się było spodziewać, stanowczo odmówiła zmiany lokum. Zamierzała dalej żyć swoim życiem, a być może nawet podjąć działania jeszcze bardziej narażające jej reputację. Fedderman słyszał o niej już tyle historii, że coś musiało być na rzeczy. Nie miał wątpliwości, że przyjdzie mu wysłuchać wielu ciekawych rozmów – niezależnie od tego, czy zabójca podejmie kolejną próbę ataku, czy nie. Spodziewał się, że podobnie jak wielu innych tego typu psycholi również i ten morderca może się kontaktować z Weaver telefonicznie. Oni lubią dzwonić do swoich dawnych i przyszyłych ofiar, żeby dać im do zrozumienia, że ciągle je mają na oku. Spodziewał się też wysłuchać rozmowy z Minnie Miner, kiedy ta zadzwoni do Weaver. No i z przedstawicielami nowojorskiej policji, jeśli Weaver zdarzało się kontaktować z nimi przez telefon. Jeśli jego plan miał zadziałać, Weaver nie mogła się domyślić, że zarucono jej druty. Chociaż właściwie nie druty – Jerry Lido dostarczył Feddermanowi sprzęt bezprzewodowy.

Już po kilku sekundach pobytu w mieszkaniu Weaver Fedderman natrafił na pewien problem. Najlepsze miejsce na podsłuch to miejsce najbardziej nieprawdopodobne, w którym nawet ktoś

podejrzliwy by go nie szukał. Fedderman postawił na plastikowe podwójne gniazdko, do którego została wpięta lampa. Samo gniazdko dobrze przewodziło dźwięk, wolne miejsce dobrze rokowało. Znajdowało się w takim miejscu, że Weaver raczej nie miałyby tam czego podpiąć, no chyba że odkurzacz albo coś w tym stylu. W takim przypadku podsłuch na chwilę przestałby działać, ale wszystko wróciłoby do normy natychmiast po odłączeniu bądź wyłączeniu urządzenia. Fedderman miał tylko jeden problem – stwierdził mianowicie, że w gniazdku już tkwiło urządzenie nasłuchowe. Bardzo szybko się zorientował, że podobne pluskwy znajdują się w całym mieszkaniu. Sprzęt nie był aż tak zaawansowany jak ten, z którym przyszedł Fedderman, ale na pewno spełniał swoje zadanie.

Kto by chciał i kto miałby możliwość coś takiego zrobić? Od razu przyszło mu do głowy kilka nazwisk. Renz, Minnie Miner, może zabójca. Ale czy D.O.A. miał po temu czas i sposobność? Czy miał dość odwagi?

Fedderman uznał, że tę kwestię pozostawi do rozstrzygnięcia Quinnowi. Przed opuszczeniem mieszkania po prostu podłączył się pod już zainstalowane podsłuchy. Dość go to rozbawiło. Połączenie nowej technologii ze starą. Niezła historia!

Rozdział 39

Sarasota, 1993

Klimatyzatory zainstalowane w sali sądowej co prawda zostały włączone, ale nie radziły sobie najlepiej. Ktoś z wydziału zasilania i oświetlenia miał się tym zająć i jak najszybciej rozwiązać problem. Do tego czasu w sali sądowej w centrum Sarasoty miały panować temperatury niemal nie do wytrzymania.

W fotelu sędziowskim zasiadał łysiejący marudny mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce, z wyraźną nadwagą i z typowo pijackim nosem, na którym uwidoczniły się popękane jasnoróżowe naczyńka. Zależało mu na tym, aby sprawa toczyła się możliwie sprawnie. Członkowie ławy przysięgłych sprawiali wrażenie poirytowanych bądź znudzonych. Nienaturalnie czarne włosy kleiły się do mokrego czoła jej przewodniczącego, któremu krople potu spływały też na twarz i na białą koszulę. Sędzia występował w krótkim rękawie i oficjalnie udzielił wszystkim pozwolenia na wybór podobnego stroju. W marynarkach i w krawatach pojawiali się więc tylko oskarżyciel, obrońca oraz oskarżony, czyli Bill Phoenix.

Świadek w osobie Dwayne'a Aikina miał na sobie wyblakłe džinsy i zielony T-shirt, na którym z przodu i z tyłu widniały reklamy sklepu ze sprzętem dla surferów. Napisom towarzyszył wizerunek szczupłego, pełnego wdzięku mężczyzny, który ujarzmił falę. Oskarżyciel zasugerował Dwayne'owi, że występując przed ławą przysięgłych, powinien robić wrażenie człowieka młodego, stąd wybór koszulki. Surfer to niewinna postać – w przeciwieństwie do Billa Phoenixa, kochliwego czyściciela basenów. Sędzia doskonale wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Nie podobało mu się to, ale też nie był specjalnie zaskoczony. Prokurator Elliott Murray, niewiele starszy zresztą od oskarżonego, dobrze się znał na swojej robocie.

Poza tym jednakże Murray, wysoki blondyn o aparycji surfera, faktycznie wiedział, co robi, dźwierzł też w rękę zupełnie przyzwoite argumenty. Przysięgli mieli już okazję obejrzeć zdjęcia

martwych ciał ofiar i furgonetki zaparkowanej przed domem, przy którym znajdował się zupełnie czysty basen – na ten dzień nie przewidywano tam prac konserwatorskich. Pokazano im również zbliżenie noża leżącego pod przednim siedzeniem w samochodzie oskarżonego. Na nożu znaleziono krew ofiary. Murray wydawał się jedynym uczestnikiem procesu, któremu przynajmniej na pozór jakoś specjalnie nie zależało na tym, aby wyrok zapadł jak najszybciej i aby wszyscy mogli się udać gdzieś, gdzie panowały niższe temperatury i można się było uraczyć chłodnym napojem. On jeden na całej sali nie spływał potem, mimo że występował w marynarce i w krawacie.

– Czy oskarżony odwiedzał ofiarę, Maude Evans, tylko w te dni, na które przypadało czyszczenie basenu? – zapytał Murray spokojnym tonem.

Dwayne Aikin odparł:

– Nie.

Murray spojrzął znacząco na członków ławy przysięgłych, na których zresztą zrobił duże wrażenie już pierwszego dnia procesu.

– Czy te wizyty trwały dłużej niż standardowe czyszczenie i konserwacja basenu? – zwrócił się ponownie do świadka.

– Czasami. To znaczy tak

– Czy basen był regularnie konserwowany?

– Tak

– Czy oskarżony przyjeżdżał, żeby się tym zająć, **poniędzy** swoimi regularnymi wizytami?

– Tak, czasami.

– W pięćdziesięciu procentach przypadków?

– Nie.

– Częściej czy rzadziej?

– Częściej.

Przysięgli poruszyli się nerwowo, mimo że upał bardzo im dokuczał.

– Czy basen faktycznie wymagał konserwacji zawsze wtedy, gdy oskarżony przyjeżdżał się nim zająć?

– Nie bardzo rozumiem pytania.

– Czy konserwator pojawiał się dlatego, że coś się zepsuło?

– Nie.

– Albo dlatego że basen wymagał regularnej konserwacji?

– Nie.

Murray nadawał temu przesłuchaniu bardzo specyficzny rytm, wykonując za każdym razem po trzy kroki naprzód.

– Czy basen wymagał czyszczenia w te dni, kiedy konserwator przyjeżdżał i spędzał czas z Maude Evans?

– Nie.

– Czy oskarżony spędzał czas z ofiarą przy basenie?

– Tak

– Czy spędzał tam **większość** czasu?

– Tak

– Czy zdarzyło się panu słyszeć, jak rozmawiali o testamencie męża ofiary?

- Tak
- Czy rozmawiali o tym, jak można by zdobyć pieniądze z tego tytułu?
- Tak

Trzy kroki w jedną stronę, potem trzy kroki w drugą.

- Czy te plany zakładały przedwczesną śmierć męża ofiary?
- Sprzeciw! – zakrzyknął obrońca oskarżonego.

Podobnie jak Murray występował w zapiętej marynarce i w krawacie, ale w przeciwieństwie do niego spływał potem. Od początku go to nużyło, nagle jednak uświadomił sobie, że niniejszym dał się wciągnąć w słowny taniec, w którym wirowali Murray i jego świadek

- Chodzi mi o motyw.
- Oddalam sprzeciw – orzekł sędzia.
- Czy zdarzało im się odchodzić nad basenu i iść razem do domu? – zapytał Murray.

– Tak

- Czy powiedziałby pan, że oskarżony czuł się tam jak u siebie?

– Sprzeciw! Spekulacje...

– Podtrzymuję. – Sędzia, który również dał się porwać rytmowi przesłuchania, chciał jak najszybciej doprowadzić cały proces do końca.

Murray najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę i zamierzał to wykorzystać.

– Panie Aikin, a czy pan kiedykolwiek widział, jak oskarżony Bill Phoenix nawiązuje kontakt seksualny z...

– Sprzeciw! Sprzeciw! Sprzeciw!

– Oddalam – stwierdził sędzia. – Świadek może odpowie...

– Tak

– ...tylko że za chwileczkę. – Sędzia westchnął i uniósł dłoń, żeby zarządzić ciszę. Na czubku jego różowego nosa pojawiła się kropelka potu. Pozostała tam przez chwilę, po czym z lekkim, ale słyszalnym plaśnięciem spadła na jakieś papiery.

– Panie Murray, może pan dokończyć pytanie bez przeszkód.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. ...kontakt seksualny z ofiarą?

– Tak

– Czy kiedykolwiek przed, po lub w trakcie stosunku zdarzyło im się rozmawiać o tym, co by zrobili z pieniędzmi ze spadku, gdyby pański ojciec umarł?

– Sprze...

– Oddalam. – Sędzia uniósł wilgotną już chusteczkę do czoła, żeby otrzeć z niego pot. Przetarł też twarz, po czym cmoknął, zamruczał coś i powiedział: – Proszę kontynuować.

*

Lawa przysięgłych orzekła, że William Alan Phoenix ponosi winę za morderstwo pierwszego

stopnia. Jej członkowie zostali zwolnieni ze swojej funkcji i opuścili salę. Z ich twarzy dało się jasno wyczytać, że wszyscy się spodziewają skazania Phoenixa na śmierć.

Dwayne Aikin zajmował miejsce z tyłu sali posiedzeń. Z całkowicie obojętną miną przyglądał się, jak Bill wychodzi w kaidankach do celi przejściowej. Phoenix wbił w niego wzrok i wykręcał szyję, by wpatrywać się w niego tak długo, jak to tylko było możliwe. Dwayne miał nigdy nie zapomnieć tego strachu i zdumienia, które malowały się wtedy w jego oczach. Chętnie przywoływał to wspomnienie, gdy od czasu do czasu potrzebował czegoś, co pomogłoby mu zasnąć.

Rozdział 40

Nowy Jork, czasy obecne

Siedzieli w biurze Q&A przy Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej. Quinn odchyłał się na obrotowym krześle, które stało za jego biurkiem. Ręce miał splecione za głową i wyglądał trochę jak jeniec wojenny. Oparcie odginało się aż niebezpiecznie nisko, ale profilerka Helen jakoś się nie obawiała, że mógłby wylądować na podłodze. Quinn zwykle tak właśnie siedział i jakoś się nigdy nie przewrócił. W każdym razie ona nigdy niczego takiego nie widziała.

Quinn najwyraźniej się zastanawiał. Taksował wzrokiem całą postać mierzącej ponad metr osiemdziesiąt, szczupłej i wysportowanej kobiety. Jak u większości rudziwców grzbiet jej nosa i górną część klatki piersiowej pokrywały piegi. Plamki na dekolcie mógł podziwiać, ponieważ luźna koszulka odsłaniała większą jego część. Quinn nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyisał coś o czyjejś randce z jej udziałem, o jakimkolwiek związku z mężczyzną, z kobietą zresztą też nie. Chociaż to przecież nie jego...

– To może nie moja sprawa – odezwała się Helen – ale o czym myślisz?

Często jej się to zdarzało. Często udawało jej się czytać w jego myślach.

– O sprawie – skłamał.

– Której sprawie? O D.O.A. czy o rzeźbie Michała Anioła?

– To jedna i ta sama sprawa – odparł Quinn.

– Poważnie? Naprawdę sądzisz, że D.O.A. zabił Andrię Bell i Jeanine Carson z powodu

Bellezzy?

– Co do tego nie ma większych wątpliwości.

– Ale jakieś przecież są...

Quinn przeniósł ciężar ciała do przodu i nagle jakby urósł za tym swoim biurkiem. Należało do ludzi, którzy potrafią zdominować przestrzeń nawet w pozycji siedzącej.

– Zawsze są jakieś wątpliwości.

– A jak to się ma do próby zamachu na życie Nancy Weaver? – dociekała Helen. – To przecież nie ma nic wspólnego z rzeźbą.

– Tyle że skutecznie rozprasza i ogranicza nasze zasoby. Feds się tym teraz zajmuje, wciela się w rolę niewidocznego anioła stróża czuwającego nad Weaver. Potem zmieni go Sal, a później Harold.

– Oni niewątpliwie wszyscy trzej mają w sobie coś anielskiego.

– A na pewno mniej grzesznego... – powiedział Quinn z uśmiechem.

– To zdecydowanie.

– A o czym ty myślisz? – zapytał.

– Myślę, że D.O.A. zaatakował Weaver, żeby wyrzucić na ciebie presję – odpowiedziała Helen. – Wcale nie z powodu jakiegoś renesansowego popiersia. To po prostu element jego chorej gry. – Helen skrzyżowała ramiona umięśnione jak u mężczyzny. W rezultacie przycisnęła workowatą koszulkę do ciała w miejscu, w którym powinna mieć piersi. Tricepsy jej się napięły. – Chociaż – dodała – te dwie rzeczy nie muszą się przecież wzajemnie wykluczać.

Jak to często bywało w chwilach frustracji, Quinn żałował, że nie może teraz sięgnąć po cygaro. Przez chwilę się zastanawiał, czy mógłby liczyć na to, że Helen na niego nie doniesie, ostatecznie jednak postanowił nie zmuszać jej do trzymania w sekrecie przed Pearl czy Jody czegoś takiego jak jego nałóg tytoniowy. Postanowił wybrać bezpieczniejszą opcję i obejść się smakiem.

– A cóż takiego myślałeś o sprawie? – wróciła Helen do pierwotnego pytania.

– Zastanawiałem się nad tą dziwną rodziną – odparł Quinn.

– Dlaczego dziwną?

– Łączą ich więzi silniejsze niż większość rodzin, a do tego trudno się połapać, kto z kim jest tam naprawdę spokrewniony.

– Podaj przykład.

– Ida Tucker. Podaje się za matkę zabitych kobiet, ale jest na to stanowczo zbyt leciwa.

– Nie, jeśli obie zostały adoptowane – wytknęła mu Helen.

– No tak, może i racja. A co z tą skrzynią, w której w czasie drugiej wojny światowej przyślano z Anglii cegły i słomę?

– Można się poważnie zastanawiać, czy w trakcie transportu przypadkiem nie zabrano stamtąd czegoś, co by rozmiarami i wagą odpowiadało niewielkiemu marmurowemu popiersiu, i czy na miejsce tego czegoś nie włożono cegieł i słomy. Takie banalne występkę to pewnie codzienność w czasie wojny.

– Nie ma w tym nic banalnego, jeśli rzeźba faktycznie wyszła spod dłuta Michała Anioła.

– Tu dałabyś mi duży znak zapytania – podesunęła Helen.

– Poza tym paczka została nadana przez pielęgniarkę, która zginęła w nalocie.

– Wtedy też żyli ludzie z krwi i kości, którym zdarzało się popełniać błędy – stwierdziła Helen.

– Tylko że w większości byli z sobą faktycznie spokrewnieni, a nie jak ci tutaj. Brak wspólnego DNA zdaje się tylko dodawać im siły.

– Owszem – przyznała Helen. – Właśnie z tego powodu potrzebują siebie nawzajem bardziej niż członkowie typowej rodziny. Czują się odnogami rodzinnego drzewa, mimo że nie wykiełkowali z pierwotnego pędu.

Quinn ponownie założył splecione dłonie za głowę.

– Tak, chyba też to tak widzę.

Ale nie widział, przynajmniej nie do końca. Dobrze jednak rozumiał, co jego samego łączy z Jody.

– Więzy rodzinne to coś więcej niż tylko wspólna krew – stwierdziła Helen.

– Większość ludzi zdaje się zapatrywać na to inaczej, ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. To jak się do tego wszystkiego ma *Bellezza*? Może Michał Anioł był ich dalekim krewnym?

– W pewnym sensie można tak powiedzieć. *Bellezza* stała się ich *raison d'être*, racją istnienia.

– Twierdzisz, że sens ich życia nadaje zagubione marmurowe popiersie?

– Nie, raczej jego poszukiwanie. To dzięki niemu stali się prawdziwą rodziną, której przyświeca wspólny cel. Nawet jeśli nie łączą ich korzenie, to stanowią konary tego samego drzewa, mają wspólne marzenie. To ono jest spoiwem, które trzyma ich razem nawet w tym burzliwym świecie. To coś, czego nie powinno się lekceważyć.

– Słowem, nie ma większego znaczenia, kto tam jest z kim faktycznie spokrewniony, a kto tylko udaje. Nie ma znaczenia, kto ile razy zmieniał nazwisko. Nie ma znaczenia, że Robert Kingdom przeistoczył się w Winstona Castle'a, żeby otworzyć w Nowym Jorku restaurację dla anglofilów.

Helen skinęła głową i pukiel rudych włosów opadł na jedno z jej zielonych oczu.

– Nie ma, dopóki pozostali członkowie rodziny akceptują te zasady. Jeśli każdy kogoś udaje, to można powiedzieć, że nikt tego nie robi. To taka ich wspólna przygoda, którą wszyscy przeżywają razem.

– Życie jest snem – podsumował Quinn.

– Tak. To coś więcej niż banalne stwierdzenie, w każdym razie dla tych ludzi. Zresztą może dla nas wszystkich też, tylko nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę.

– Ech, Helen, Helen.

Uśmiechnęła się, usiadła prosto i się przeciągnęła. Quinn zastanawiał się, czy gdyby włożyła piętnastocentymetrowy obcas, sięgałaby głową do sufitu.

– To brzmi trochę jak sekta – stwierdził.

– Jak Rodzina Mansona.

– Albo jak Flintstonowie czy Simpsonowie.

– No właśnie – powiedziała Helen. – To też nie są prawdziwe rodziny, a zobacz, jak blisko z sobą żyją.

Quinn dobrze wiedział, o czym mówi pani psycholog. Znał ten mechanizm, który kazał przestępcom trzymać się razem nawet po zakończeniu długiej odsiadki. Wielu z nich ryzykowało własną przyszłość, ponieważ utrzymywanie takich kontaktów stanowiło naruszenie warunków przedterminowego zwolnienia. Nikomu innemu jednak nie ufali tak bardzo jak sobie nawzajem. Większość ludzi słyszała tylko o tych największych klanach przestępczych. Oprócz nich jednak funkcjonowało wiele znacznie mniejszych grup. Członkowie gangów spędzali czas w tych samych miejscach, postępowali podobnie, nawet jedli podobne potrawy. Czasami też nazywali siebie rodziną.

– Jedno mi nie daje spokoju – odezwał się Quinn.

Helen rozprostowała długie palce, jak gdyby za chwilę miała zasiąść do fortepianu.

– Co takiego?

– To wszystko nie miałooby większego znaczenia dla sądu, który rozstrzygałby w ewentualnej sprawie spadkowej. – Wzrok Quinna samoistnie powędrował w kierunku szuflady, w której znajdowały się cygara. – Albo gdyby trzeba było dokonać podziału fortuny, którą jakiś szalony kolekcjoner zapłaciłby im za skradzione popiersie Michała Anioła.

– Oni by nigdy nie sprzedali *Bellezzy* – odparła Helen. – Wtedy ich poszukiwanie dobiegłoby końca.

– Czy nie mogliby się zająć poszukiwaniem czegoś innego?

Helen się uśmiechnęła.

– Z marzeniami tak to nie działa.

– Ja widzę jeszcze jeden problem z tym marzeniem – stwierdził Quinn. – W tej rodzinie znalazł się ktoś, kogo ewidentnie należałoby nazwać czarną owcą. Zabija ich jedno po drugim, ponieważ chce doprowadzić te poszukiwania do końca.

Helen chwilę się nad tym zastanowiła, po czym powiedziała:

– Nie łudź się.

Rozdział 41

Już po wyjściu Helen Quinn zaczął się zastanawiać nad tym, co powiedziała. Rozmyślał o listach, o których wspomniała Ida Tucker. Wybrał numer do Ohio, który mu podała. Nie wiedział, czy zdążyła już wrócić do domu i czy ciała jej córektrafiły do lokalnej kostnicy.

Telefon w Ohio zadzwonił pięć razy, zanim Ida podniosła słuchawkę.

– Miło pana znowu słyszeć, detektywie Quinn. Mam nadzieję, że klimatyzacja w pańskim biurze lepiej się dzisiaj spisuje.

Quinn stwierdził, że przez telefon Ida sprawia wrażenie młodszej, tym bardziej że w jej wypowiedzi pobrzmiwała nutka bezczelności nieprzyzająca dojrzałej kobiecie.

– Identyfikacja numeru... – stwierdził.

– Technologia dociera nie tylko do Kansas City – powiedziała. – Ma pan jakieś nowe informacje na temat zabójstw?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Wspomniała pani o kopertach, które znajdowały się w skrzyni przysłanej z Anglii. Czy mogą to być te same listy, które mogły zniknąć z sejfu Jeanine?

– To możliwe. Nie wiem tylko, jak miałyby to panu pomóc. To mogły być też listy napisane przeze mnie.

– Przez panią?

– Tak Nie chodzi mi o listy z czasów wojny. Mówię o moich listach, w których relacjonowałam całą historię. Pisałam o tym, jak Henry Tucker i Betsy Douglass się poznali, jak w warunkach szpitalnych kwitło między nimi uczucie, jak biedny Henry umarł od odniesionych ran. Pisałam też, jak niemiecka bomba zabiła Betsy, ale dopiero po tym, jak wysłała skrzynię przez Atlantyk do Stanów Zjednoczonych, do swojej siostry Willi. – Ida Tucker przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. – To musiało być straszne, ta wojna.

– Straszne – zgodził się Quinn. *Listy opisujące zawartość listów. Jaką to by miało wartość dowodową w sądzie?*

Ale Quinn wiedział jaką. Informacje zawarte w listach Idy mogły stać się źródłem interesujących wskazówek. Jeśli w ogóle cała ta historia była prawdziwa. Równie dobrze jednak

mogły tylko relacjonować wypadki. Jakże by Quinn miał ustalić to wszystko, skoro prawda skrywała się pod tyłoma warstwami kłamstw? A może żadnej prawdy nie było? „Nie – powiedział sam do siebie. – Prawda zawsze istnieje. W to nie wolno wątpić”.

– Detektywie Quinn – usłyszał głos Idy. – Przykro mi, że tak pana zbywam, ale mam jeszcze sporo do zrobienia przed podwójnym pogrzebem – powiedziała poważnym tonem.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ma do czynienia ze świetną aktorką.

– Oczywiście – zapewnił. – Nie powinien w ogóle dzwonić tak szybko. – A po chwili dodał jeszcze: – Na jaki adres możemy przesłać kwiaty?

– Ależ nie trzeba. Dziewczęta zostaną pochowane na cmentarzu za kościołem, do którego chodziły. Ceremonia będzie krótka i skromna. Wszystko odbędzie się w gronie rodzinnym.

– Oczywiście, w gronie rodzinnym.

– Jeśli pan zatem pozwoli...

– Tak, oczywiście. Proszę raz jeszcze przyjąć moje kondolencje, droga pani.

Ida Tucker podziękowała i się rozłączyła.

Quinn zaczął rozmyślać o tym cmentarzu z kościółkiem i o rodzinie oplakującej swoją stratę nad dwoma świeżymi grobami. Na pewno ktoś będzie szlochać, ktoś w milczeniu uroni łzę. Widział ludzi stojących z opuszczonymi głowami, ubranych na czarno żałobników, podobnie jak ponury kapłan. Wokół rzędy wielowych nagrobków nadszarpiętych zębem czasu. Ot, taki posępny, choć niewątpliwie malowniczy obrazek jak spod pędzla Normana Rockwella. Oczywiście Quinn zdawał sobie sprawę, że to wszystko to tylko wytwór jego wyobraźni. Rzeczywistości mogła odbiegać od tej wizji. Bo rzeczywistość rzadko pokrywa się z wyobrażeniami czy nawet z naszymi oczekiwaniami.

Quinn napomniiał siebie, żeby zawsze o tym pamiętać. Ale te rzędy przekrzywionych nagrobków... te drżące usta i zaczerwienione oczy, smętny pastor z Biblią przycisniętą do piersi... Te dwa otwarte groby... Ta scena mocno zapisała się w jego pamięci, mimo że nigdy jej nie widział i nigdy nie miał jej zobaczyć.

Życie to tylko sen...

Rozdział 42

Sarasota, 1993

Zimujące ptaki – tak rodowici mieszkańcy Florydy nazywają rzesze ludzi szukających na półwyspie schronienia przed zimą panującą na północy. Napływają zewsząd: z Nowego Jorku, z Minnesoty, z Kanady... Z przeróżnych skłutych lodem regionów kontynentu... Nie brakuje wśród nich również Europejczyków. Z uwagi na ogólny urok i piękną białą plażę Sarasota przyciągała z roku na rok coraz większe tłumy. W przeciwieństwie do niektórych turyści Dwayne Aikin nie żywił do zimujących ptaków nienawiści, co jednak nie oznaczało, że je lubił.

Wyjątek stanowiły kobiety. Bardzo różne kobiety. Wylegiwały się na plaży i skubały sałatki w restauracjach, ich głos rozbrzmiewał w barach i różnych nocnych lokalach. Kobiety rozmawiały i robiły zakupy, i nie brakowało wśród nich naprawdę atrakcyjnych. U Pike'a, lokal położony przy plaży w pobliżu zjazdu z autostrady 41, znanej jako Tamiami Trail, przyciągał przedstawicielki klasy wyższej. Wystrój miał wywoływać skojarzenia z drewnem, które morze wyrzuca na brzeg, z budynkami smaganymi przez najsilniejsze huraganowe wiatry. Mieściła się w nim między innymi galeria sztuki, w której niekiedy prezentowali swoje prace lepiej znani lokalni artyści. Obrazy nie miały ustalonych cen, ale znajdowały nabywców – i to za wcale nie małe kwoty. W środku serwowano kanapki i wino, na zewnątrz znajdował się bar w wersji mini, a przed nim kilka stolików pod zadaszeniem na pozór krytym strzechą z palmowych liści. Gdy pogoda sprzyjała – a zwykle tak właśnie bywało – goście chętniej siadali na zewnątrz niż w środku, raczyli się winem i drinkami, dyskutowali o sztuce.

Dwayne przysłuchiwał się ich rozmowom. Fascynowały go zarówno sztuka, jak i powstały wokół niej światek. Dowiedział się o sztuce tyle, żeby uświadomić sobie, że sam nie ma wielkiego talentu, ale jednocześnie wykształcił w sobie wielkie pragnienie posiadania pięknych rzeczy. Z uwagi na młody wiek Dwayne nie mógł jeszcze pić legalnie alkoholu, ale Peter Pike, właściciel

i kurator galerii, potajemnie częstował go nim, wiedząc, że wychowuje sobie przyszłego mecenasa sztuki, który miał odziedziczyć spory majątek po ojcu. Tak przynajmniej głosiły plotki.

Dwayne już teraz nie narzekał na brak środków do życia, mógł więc przesiadywać samotnie, co lubił, przy małych stolikach na skraju zewnętrznego baru, tuż w pobliżu plaży. Wieczorami od zatoki wiał przyjemny wiatr. Jeśli temperatura spadała, rozpalano duże naftowe grzejniki, żeby grały goście. Opuszczano też plastikowe zasłony, które miały zatrzymać ciepło w środku. Ale grzejniki i zasłony przydawały się rzadko. Kobiety przychodziły do Pike'a, żeby podziwiać barwne zachody słońca. Dwayne to wykorzystywał. Przyglądał im się znad coli wzmocnionej burbonem Maker's Mark.

Były znacznie starsze od Dwayne'a i wiele z nich naprawdę znało się na sztuce. Żadne tam studentki na wakacjach, młode i trzpiotowate. Interesowały go wyłącznie starsze kobiety, między innymi wdowy szukające mężów. Wydawały mu się nie tylko mądrzejsze i bardziej rozsądne, ale też opanowane. Prowadziły rozmowy cichszym, bardziej poufny tonem, czasami przejętym. Ale i one potwierdzały wrażenie Dwayne'a, że kobiety zawsze mówią albo za dużo, albo za mało. Chociaż zdarzały się wyjątki.

Zaliczała się do nich spokojna blondynka o twarzy modelki. Siadywała sama gdzieś na obrzeżach baru, tak jak Dwayne, drinki też piła w samotności. Miała pewnie ze dwadzieścia kilka lat i szczupłe, jędrne, opalone ciało. Skąpa bluzka odsłaniała jaśniejsze ślady pozostawione przez ramiączka od kostiumu kąpielowego. Maude miała takie same na plecach i nad piersiami. Od czasu do czasu jakiś mężczyzna próbował zwrócić na siebie uwagę blondynki, ona jednak najwyraźniej potrafiła ich odprawić w taki sposób, aby ich nie rozzłościć ani nie zawstydić. Dwayne potrafił to docenić. Coś takiego niektórzy nazywają klasą.

Blondynce zdarzało się spojrzeć kątem oka na Dwayne'a po tym, jak odprawiła kolejnego adoratora. Czyżby się zastanawiała, dlaczego on nie próbuje jej zaczepić? Czy podobnie jak on uważała, że mogą się okazać braćmi i duszami?

Dwayne nie miał zbyt wielu przyjaciół, zwłaszcza od czasu procesu. Na początku rozprawy stał się dosyć znany, ale ta sława szybko przeminęła. Potem sobie uświadomił, że niektórzy z jego tak zwanych przyjaciół ciągle jeszcze się wokół niego kręcą tylko z powodu majątku, do którego miał wkrótce uzyskać dostęp. On sam zaś nikomu nie mówił, że do czasu osiągnięcia pełnoletności ma dyspozycji tylko określoną pensję, niewielką w porównaniu z tym, co na niego czekało. Jasno jednak dał wszystkim do zrozumienia, że nie zamierza szastać pieniędzmi, a wówczas oni przestali się nim interesować. Nie przeszkadzało mu to. Dwayne wręcz świadomie wykorzystywał swoją sytuację człowieka „jeszcze niezamożnego”, żeby pozbyć się co bardziej irytujących towarzyszy, w szczególności zaś towarzyszek. Dostawał od nich to, czego potrzebował, a potem dawał im do zrozumienia, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia – że się zużyli. Nie pozostawiał im co do tego żadnych złudzeń. Byli jak jego matka. Tylko że ona była mądra. No i zła. Korzystał z jej taktyk, żeby wykorzystywać innych.

Może miało to zapisane w genach, to wykorzystywanie ludzi. A może jego matka nauczyła się tego od innych, którzy ją wykorzystali. W końcu człowiek oswaja się z tym, od czego nie może uciec. Jaki zresztą ma wybór? Może jeszcze skończyć z niczym jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości. Dwayne wiedział, że on się do tej większości nie zalicza. Mógł to potwierdzić Bill Phoenix. Mogła to potwierdzić Maude. Nie, Maude niczego już nie mogła potwierdzić. Tak samo zresztą jak jego matka.

Siedział na patio U Pike'a, wsłuchiwał się w szum fal i przyglądał się, jak blondynka unosi do ust i opuszcza szklankę. Robiła to z wyjątkową starannością i wdziękiem, wyciągając przy okazji mały palec. Z wdziękiem tygrysy.

Czasami zdarzało jej się samotnie wejść do galerii i powoli przechodzić od obrazu do obrazu, zupełnie jak gdyby oceniała je na potrzeby jakiegoś konkursu. Dwayne coraz częściej dostrzegał w niej coś, co wcześniej zauważył u Maude, a także u swojej matki. Z wierzchu sprawiała wrażenie bardzo konkretnej, wręcz niebezpiecznej istoty, miała jednak jakąś słabość, której nie potrafiła do końca ukryć. Obie kobiety zaś, do których Dwayne ją porównywał, umiały ocenić swoje możliwości, znały swoje granice. *Zasługiwały na to, żeby ktoś je wykorzystał.*

Noc była ciepła, księżyc niemal osiągnął już pełnię. Wpatrując się w jego płamistą powierzchnię, można było snuć domysły. Na bezchmurnym niebie niczym cekiny lśniły gwiazdy. Dwayne zdążył się już dość mocno odurzyć alkoholem, który Pike wbrew prawu dolewał mu do drinków. Może to za jego sprawą, a może pod wpływem tego księżyca Dwayne postanowił, że to właśnie tego wieczoru spróbuje nawiązać kontakt z blondynką. Ona nadal zachowywała się tak samo. Co do tego Dwayne nie miał wątpliwości. To on się bardziej wkręcił, to on poczuł potrzebę bliższego poznania jej duszy.

Ujął więc szklankę w dłoń, nie bez pewnego wysiłku wstał i pokonał mniej więcej piętnaście metrów, które dzieliły go od jej stolika na obrzeżach baru. Kobieta siedziała sama ze wzrokiem utkwionym w morze. Zdawała się go nie zauważać. Stał przy niej przez chwilę, po czym powiedział:

- Obserwuję cię od jakiegoś czasu.
- Nie odwróciła głowy w jego stronę.
- Ja ciebie też.

Ruch skóry na policzku stanowił dla niego jasny sygnał, że kobieta lekko się uśmiechnęła. Dostarczał jej rozrywkę. Wydawał jej się zabawny. To się wkrótce zmieni!

– Masz ochotę porozmawiać? – zapytał, uświadamiając sobie, że niniejszym zdradził się jako niedoświadczony dzieciak, który oto stoi jak wryty przed postacią o wdzięcznych ramionach, mocno opalonym biuście i niesfornych blond włosach, lekko tylko zmierzwionych przez bryzę. Tę samą bryzę, która wraz z zapachem oceanu niosła z sobą subtelną woń jej mleczka do ciała.

- Przecież właśnie to robimy – odparła. – Ludzie to nazywają rozmową.

Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Kobieta spojrzała zielononiebieskimi oczami prosto na niego. Poczuł ścisw w gardle.

– Usiądź – odezwała się łagodnym tonem, który oznaczał nie tylko zaproszenie, ale również rozkaz.

Dwayne po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem się już wcześniej nie spotkali. Może ona przyjaźniła się z jego ojcem albo matką? Albo z Maude? *Nie, to niemożliwe.*

Zapamiętałbym ją.

– Bywasz tu... często – powiedział, żeby nie siedzieć bez słowa.

– Tak samo jak ty.

– Jestem Dwayne. – Wyciągnął do niej rękę na powitanie.

– Linda – odparła, nie odpowiadając na jego gest, w zamian uniosła lekko okulary. – Dlaczego mnie obserwowałeś, Dwayne?

Powoli odzykiwał równowagę.

– Z tego samego powodu, z jakiego obserwują cię wszyscy inni mężczyźni.

– Jacy niby mężczyźni?

– Ci wszyscy, którzy podchodzą do twojego stolika i których odsyłasz z kwitkiem.

– Ciebie nie odesłałam.

Poczuł, że się rumieni.

– Tak przy puszczałem, że tego nie zrobisz.

– Na jakiej podstawie?

– Będziesz się śmiać.

Wbiła w niego pytający wzrok

– Uznałem, że jesteśmy bratnimi duszami – powiedział.

Uśmiechnęła się, samymi tylko ustami, które po chwili szeroko rozsunęła, by móc się głośno roześmiać.

– Rany – odparła. – To dopiero oryginalny tekst!

Dwayne poczuł się taki malutki, że mógłby utonąć we własnych butach. Linda przestała się śmiać i spojrzała na niego jakby z pogardą. Zaczął nerwowo wiercić się na krześle i nic nie potrafił na to poradzić. W końcu ona powiedziała:

– Przejdźmy się.

Wstała, zanim jednak wyprostowała się, zaprezentowała mu swój dekolt w całej okazałości. Dwayne miał okazję zerknąć w to tajemnicze miejsce, w którym opalenizna ustępuje miejsca skórze o różowej barwie. Linda okazała się zaskakująco wysoka. Dwayne spojrzał na jej buty. Nie miała butów na obcasie, ale grube podeszwy gumowych sandałów dodawały jej kilka centymetrów. Uznał, że boso byliby tego samego wzrostu – co oznaczało, że jak na kobietę Linda była wysoka.

Opuścili wyspę światła, którą tworzyły pośród mroku lampy lokalu U Pike'a, i szli obok siebie wzdłuż brzegu. Żadne z nich się nie odzywało, wsłuchiwali się tylko w jednostajne okłaski fal. W pewnym miejscu plaża uległa zwężeniu. Dwayne nachylił się, żeby podwinąć nogawkę, Linda zaś zdjęła sandały i szła dalej w szortach na bosaka. Przemierzali połączenie mokrego piasku, wędrując pośród malutkich popękanych muszelek. Od czasu do czasu uderzała w nich fala i wtedy woda wirowała im wokół stóp.

– Powiedz, że nie jesteś artystą – odezwała się.

– To mogę powiedzieć zupełnie szczerze. A ty?

– Czasami coś tam namaluję.

– Pewnie świetnie ci to wychodzi.

– Miałam okazję napatrzeć się na obrazy przedstawiające zachody słońca, skaczące merliny i mrużących oczy starych mężczyzn o twarzach zniszczonych życiem na morzu.

– Ja też – skłamał.

– Tam – powiedziała nagle, wskazując palcem jakiś punkt.

Po prawej stronie za zakrętem i łachą suchego piachu pojawiły się światła rzędu mieszkań i nadmorskich chatek do wynajęcia. Linda wskazywała na prostokątne żółte światło bijące od dużego okna, być może balkonowego. Znajdowało się ono w hotelu, który z powodu miejscowych przepisów nie mógł liczyć więcej niż dwie kondygnacje. Po drugiej stronie ulicy stał drugi hotel, tylko nieznacznie wyższy.

– To hotel Tipton – powiedział Dwayne.

Zatrzymali się. On stał plecami do oceanu. W świetle księżyca podziwiał blask jej uśmiechniętej twarzy.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Mieszkam tu niedaleko. Często przejeżdżam drogą przy plaży w tę i z powrotem.

Otworzyła szeroko oczy, bez wątpienia z lekką przesadą.

– To masz już tyle lat, że wydali ci prawo jazdy?

– Dobrze wiesz, że tak – skłamał.

Żartowała sobie z niego, a on nie potrafił ukryć gniewu. Nie potrafił ukryć wściekłości, którą ona miała dopiero w pełni poznać. Niewykłuczone jednak, że już знаła – i to aż za dobrze.

Zaskoczyła go, chwytając go za rękę. Dłoń miała suchą, a chwyt zaskakująco mocny. Zrobiła kilka kroków naprzód, ciągnąc go za sobą, aż w końcu ruszył się z miejsca.

– Pokażę ci – powiedziała.

– Co? – Serce waliło mu jak młotem.

– Gdzie mieszkam – odparła. – Byłeś kiedyś w hotelu Tipton?

– Kilka razy – odparł. *Raz, i to tylko w holu.*

Znowu się uśmiechnęła, najwyraźniej znowu ją rozbawił. On jednak uświadomił sobie, że też się uśmiecha do siebie – w głębi duszy.

Rozdział 43

Na tyłach hotelu Tipton znajdował się drewniany taras z pustymi leżakami. Za nimi widać było światła przy hotelowym basenie. Linda i Dwayne usłyszeli kilka rozbawionych dziecięcych głosów. Leżaki były puste, wydawało się więc, że nikt tych dzieci nie pilnuje. Niewykłuczone jednak, że ktoś, na przykład ich rodzice, korzy stał też akurat z basenu.

Śmiechy i pluski. Życie rodzinne. Dwayne niespecjalnie zwracał na to uwagę.

Cały czas trzymając go za rękę, Linda wprowadziła go na górę po drewnianych schodach. Przeszli przez wąski taras w kierunku prostokąta światła, który pokazywała mu jeszcze z plaży. Było to coś znacznie większego niż okno, a mianowicie para przesuwanych szklanych paneli sięgających od sufitu do podłogi. Linda wyciągnęła wolną dłoń i odsunęła jeden z nich. Tafla przemieściła się po prowadnicy gładko i niemal bezgłośnie.

– Nie zamykasz, gdy wychodzisz? – Dwayne usłyszał własny głos.

– Któż ośmieliłby się mnie okraść? – odparła.

Znowu sobie z niego żartowała. Znowu bawiła się jego kosztem. Serwowała mu mniej lub bardziej banalne kłamstwka, ale przecież w końcu prawda musiała wyjść na jaw.

Pokój był niewielki, ale zadbane. Stały w nim nieliczne, ale bez wątpienia nietanie meble. Tipton należał bezwzględnie do lepszych ośrodków w tej okolicy. Łóżko było zasłane, leżała na nim równo naciągnięta szarozielona narzuta. W pobliżu drzwi, najpewniej prowadzących do łazienki, na rozkładanym stojaku znajdowała się jedna duża walizka, na pierwszy rzut oka z krokodylej skóry barwionej na czerwono. Dwayne jednak zdawał sobie sprawę, że to najpewniej imitacja. *Taka sama jak ta kobieta*. Przed drzwiami żaluzjowej szafy stały równo jeden przy drugim dwa czerwone buty na wysokim obcasie ze spiczastymi noskami. Na ścianie nad małym biurkiem wisiał telewizor, duży szary ekran. Jedyne źródło światła stanowiła mosiężna punktowa lampka.

W końcu Linda uwolniła spoconą dłoń Dwayne'a i ruszyła w kierunku przesuwanych szklanych drzwi. On nie mógł oderwać wzroku od jej lekko kołyszących się bioder, gdy chwyciła za sznur i zaciągnęła szarozielone zasłony, doskonale dobrane do narzuty. Za sprawą skrzypiącego

mechanizmu dwie kurtyny spotkały się pośrodku. Pokój, i tak już mały, pozbawiony tła w postaci ciemnego morza i plaży, nagle skurczył się o połowę. Zniknęło też światło księżyca. W intymnym mroku Linda rozpięła koszulę i zdjęła ją przez głowę, nie dbając o chaos, który powstał w ten sposób na jej głowie, a od którego Dwayne nie mógł oderwać wzroku... przynajmniej dopóki nie nachyliła się ku przodowi i w tym niesamowitym ptasim geście, tak typowym dla kobiet, nie wysunęła na boki łokci, żeby sprawnym ruchem rozpiąć stanik Bluzkę i stanik odłożyła na krzesło przy biurku. Stała i patrzyła na Dwayne'a. Skierowała wzrok w stronę jego rozporoka. Własny wzwód wydał mu się nagle dwukrotnie intensywniejszy.

– Lepiej zdejmij spodnie, póki jeszcze możesz – powiedziała.

Rozebrali się do naga w całkowitym milczeniu, po czym razem opadli na łóżko. Turlali się po nim w tę i z powrotem, wtulając się w siebie, całując i walcząc o dominującą pozycję. Ostatecznie to ona znalazła się na górze. Całowała go otwartymi ustami, śmiało używając języka. Gdy na moment odsunęli się od siebie, żeby zaczerpnąć tchu, powiedział:

– Poczekaj chwilę. Tylko chwilę. – Myśli szalały mu w głowie.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak

Ubranie, które praktycznie z siebie zdarł, leżało skotlowane na podłodze przy łóżku.

– Mam w portfelu gumkę.

Uśmiechnęła się szeroko, a potem znowu wybuchła śmiechem.

– Serio? Ciekawe, jak długo tam już leży?

– Włożyłem nową dziś rano – odparł.

Znowu się zaśmiała.

– To świetnie.

Obrócił się na bok tak, że połowa jego ciała spoczywała jeszcze ciągle na materacu. Wolną ręką namacał szorstki materiał spodni. Sięgnął do kieszeni. Znalazł nóż.

*

Było już po drugiej w nocy, gdy Linda w końcu umarła. Dwayne bardzo uważał, żeby nigdy nie zostawić odcisków palców.

Wziął prysznic i włożył koszulę, spodnie i sandały. Stał przed zaciągniętymi zasłonami i stwierdził, że nie ma ochoty wychodzić. Jeszcze nie.

Uważając, gdzie stawia kroki, podszedł do łóżka, na którym leżało to, co zostało z Lindy – spętane sznurem elektrycznym i zakneblowane majtkami od bikini. Zawiązał majtki dwukrotnie, jeden węzeł wepchnął jej do ust, drugi zaś zamocował z tyłu na karku. Linda miała szeroko otwarte oczy wpatrzone w obracający się powoli wiatrak na suficie. To spojrzenie wydało się Dwayne'owi równie puste, jak ona sama. Teraz już cała należała do niego.

Wiedział, że krew nie będzie już tryskać. Wyciągnął nóż i nachylił się nad łóżkiem, po czym sprawnie wyciął na jej gładkim, bladym czole swoje inicjały.

Została oznakowana. Opatrzona marką. Na zawsze.
Była jego.

Część czwarta

Optymizm z największym natężeniem występuje w domach wariatów

– Havelock Ellis, *The Task of Social Hygiene*

Rozdział 44

Nowy Jork, czasy obecne

Na biurku Quinna odezwał się telefon stacjonarny. Quinn lubił ten dźwięk. Komórki potrafiły go naśladować, ale do końca idealnie im nie wychodziło. Przysunął krzesło do biurka i podniósł słuchawkę przy czwartym dzwonku. Przedstawił się i poinformował rozmówcę, dokąd ten się dodzwonił.

– Detektywie Quinn, mówi Ida Tucker.

Quinn podjechał jeszcze bliżej, żeby zobaczyć numer na wyświetlaczu. Tak, zgadzało się. Numer z Ohio.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, wychwycił bowiem niepokój w głosie rozmówczyni. *Jak ma być w porządku, skoro wczoraj pochowała dwoje dzieci?* – Zważywszy na wszystkie okoliczności, oczywiście.

– Obawiam się, że nie – odparła z wyraźnie ściśniętym gardłem. – Mój były mąż, Edward, miał atak serca.

Jezu Chryste!

– Przykro mi, droga pani. Czy on...

– Nie żyje. Lekarz powiedział, że to mogło mieć związek z pogrzebami dziewczyny nek. Cały ten stres, wszystko się nagromadziło jednego dnia...

– Czy mogę pani w jakiś sposób pomóc? Czy pani czegoś potrzebuje?

– Nie, nie. Tak tylko pomyślałam, że powinien pan wiedzieć.

– Cieszę się, że pani zadzwoniła. Żałuję, że nie mogę w żaden sposób ukoić pani smutku.

– Cóż – odparła. – Nie tylko ja się smucę. Tamtego wieczoru, po tym, jak Edward... odszedł... odwiedził mnie jego stary przyjaciel i wieloletni prawnik Joel Price. Okazało się, że wiele lat temu Edward przekazał mu listy.

– Listy, które wyjaśniały, co napisał Henry Tucker przed śmiercią?

– Nie, właściwe listy Henry'ego. **Oryginalne** oryginały.

Quinn milczał przez kilka chwil, usiłując przetworzyć w głowie tę informację.

– Dlaczego Edward trzymał to w tajemnicy przed wszystkimi?

– Nie wiem. – W jej głosie znowu pobrzmiwała nutka chytryści.

– Czy pani już...

– Jeszcze nie byłam w banku i nie miałam okazji zajrzeć do skrytki, w której się znajdują. Joel Price zasugerował, że może powinien mi przy tym towarzyszyć na wypadek gdyby to zdarzenie miało rodzić jakieś konsekwencje prawne. Klucz nadal pozostaje u niego i on będzie w razie czego świadczyć o zawartości skrytki. Sugerował też, że skoro listy i śmierć dziewcząt stanowią przedmiot policyjnego śledztwa, to być może pan również powinien być obecny przy otwarciu skrynek.

– Joel Price to mądry prawnik – stwierdził Quinn. – Jak tylko skończymy rozmawiać, zarezerwuję lot do Columbus i do pani przyjadę. Jeśli oczywiście jest pani na to gotowa, Ido.

– Jestem nie tylko gotowa, detektywie Quinn, ale wręcz się już niecierpliwie.

*

Wylądowali na lotnisku w Columbus w stanie Ohio i wynajęli w Hertz u czarnego dżipa. Quinn usiadł za kierownicą, Pearl na siedzeniu pasażera. Gdy wjechali na autostradę i nabrali prędkości, kanciasty samochód niewielkich rozmiarów zaczął się kołysać na wietrze, mimo to dawał się w miarę bezproblemowo kontrolować. Do Green Forest dotarli przed zmierzchem, a dokładniej do hotelu Flower Bed, który poleciła im Ida Tucker. Hotel mieścił się w czterokondygnacyjnym budynku o szkieletowej konstrukcji. Jasnozieloną fasadę zdobiły brązowe okiennice. Wzdłuż ścieżki prowadzącej z parkingu do wejścia kwitły różowe i niebieskie kwiaty, gdzieś tam przetkane jasnoczerwonym geranium.

Quinn i Pearl zameldowali się w hotelu, a recepcjonistka, która wyglądała na nastolatkę, przekazała im wszystkie istotne informacje, jak ta, że kolację warto zjeść w pobliskiej restauracji Crazy Fish. Potem skorzystali z pomocy boja hotelowego, który zabrał ich bagaże, zanim oni sami wjechali windą na trzecie piętro. Boj, starszy szczupły pan o bujnej siwej czuprynie, który przedstawił się jako Leonard, rozstawił walizki tak, jak sobie tego życzyli. Nieco zbędnie wskazał im, gdzie się znajduje łazienka, a gdzie pilot do telewizora, po czym zapytał, czy będą czegoś jeszcze potrzebować. Quinn podziękował mu i wręczył napiwek w wysokości dwudziestu dolarów, czym od razu zdobył sobie w boju nowego przyjaciela. Leonard przez moment sprawiał wrażenie, jak gdyby miał za chwilę stuknąć obcasami i wykonać ukłon, ostatecznie jednak nic takiego nie zrobił, tylko wylewnie podziękował Quinnowi.

– Gdyby państwo czegoś potrzebowali – powiedział – proszę dać mi znać.

Quinn stwierdził, że w razie czego na pewno skorzysta.

Wychojąc, Leonard powiedział jeszcze:

– Jedna rada: na państwa miejscu nie jadłbym w Crazy Fish.

Gdy już zostali sami, na chwilę zapadła głucha cisza, którą przerwała Pearl:

– I co teraz?

Quinn odparł:

– Chyba musimy zasięgnąć opinii trzeciej osoby...

*

Po kolacji w Crazy Fish, zaskakująco zresztą udanej, Quinn zadzwonił do Idy Tucker, po czym razem z Pearl pojechali do niej do domu, który okazał się piętrowym budynkiem z cegły, z gankiem, który ciągnął się wzdłuż frontu i jednego boku. Na werandzie stały trzy drewniane fotele i huśtawka wyłożona grubą poduszką. W takim miejscu mógłby się wychowywać Harry Truman, gdyby pochodził z Ohio.

Ida już na nich czekała. Miała na sobie czarne ubranie i rozczuła wokół zapach lawendy. Na jej twarzy dało się dostrzec ślady płaczu, ale najwyraźniej panowała nad sytuacją. Quinn spojrzał jej głęboko w oczy, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby sugerować, że brała leki. Towarzyszył jej wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy, która wyglądała trochę tak jak gdyby nigdy nie gościł na niej żaden wyraz. Ida przedstawiła go jako Joela Price'a, wieloletniego przyjaciela i prawnika Edwarda. Miał na sobie czarny garnitur w prążki, białą koszulę i czarny krawat. Quinn zdawał sobie sprawę, że Ida musi być po osiemdziesiątce, a prawnik też miał już pewnie dziewięć krzyżyków na karku, mimo to oboje sprawiali wrażenie nawet nie tyle znacznie młodszych, ile dobrze zakonserwowanych.

Ida zaprosiła ich do zajęcia miejsc, więc Pearl i Quinn rozsiedli się w fotelach z brązowej skóry, a Ida i Price na sofie.

– Czy ktoś ma ochotę się czegoś napić? – zapytała Ida, jak gdyby nagle przypomniała sobie o dobrych manierach.

Nikt nie skorzystał z propozycji, nikt nie miał na nic ochoty.

– Zaskoczyło mnie, że pogrzeb odbędzie się tak szybko po śmierci Edwarda – wyznał Quinn.

Ida trzymała w dłoniach zgniecioną białą chusteczkę. Uniosła ją na chwilę, jak gdyby miała przetrzeć nią oczy, ale ostatecznie opuściła ją na kolano.

– Ciało Edwarda zostało spopielone – odparła. – Tego sobie życzył.

– Czy był schorowany? – zapytała Pearl.

– Był stary – padła odpowiedź z ust Idy.

Joel Price uśmiechnął się ponuro.

– Przy najmniej nie można się tym zarazić – stwierdził.

Idę najwyraźniej ta uwaga wytrąciła z równowagi.

– Ach, przepraszam cię, Joel. Zapomniałam, że ty i Edward byliście rówieśnikami.

– Gwoli ścisłości, jestem o cztery lata młodszy. – Znów uśmiechnął się ponuro. – Ale, ale... państwo nie przyjechali tu rozpamiętywać przeszłości.

– To chyba nie do końca prawda – zauważyła Ida. – Muszę powiedzieć, że pomimo naszych małżeńskich swarów i rozvodu Edward i ja nigdy tak naprawdę nie przestaliśmy się kochać.

– Pani następny mąż...

– Chociaż może faktycznie nie jesteśmy tu po to, aby rozpamiętywać przeszłość – ucięła Ida.

– Jeśli chodzi o listy, które napisał Henry Tucker... – zaczął Quinn. Cieszył się, że mają do czynienia z prawnikiem, który szybko przechodzi do konkretów. Nie miał ochoty marnować czasu na krążenie po labiryncie koligacji rodzinnych rodu Tuckerów, Douglassów i Kingdomów. – Widzieli je już państwo?

– Nie, nie – odparł Price. – Żadne z nas ich nie widziało. Edward stanowczo tego zabronił. Dobrze to sobie przypominam.

– Czyli listy znajdują się u pana w sejfie? – dociekała Pearl.

– Ależ nie. – Prawe ramię Price'a lekko drżało, poza tym zaawansowany wiek w żaden inny sposób nie dawał o sobie znać. – Znajdują się w skrytce w banku, która została wynajęta wspólnie przeze mnie i Edwarda. Klucz znajdował się w szafce w moim gabinecie. Mam go przy sobie, ale bank jest już oczywiście zamknięty. Prosiłem o to spotkanie, żebyśmy mogli ustalić pewne zasady co do postępowania przy otwarciu skrytki jutro rano.

– Trudno cokolwiek rozstrzygać, dopóki nie dowiemy się, co zawierają listy – stwierdził Quinn.

Price skinął głową, zupełnie jak gdyby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– O to chodzi. Nie mamy najmniejszego pojęcia, co się w tych listach znajduje. Uznałem, że może dobrze by było, żeby przedstawiciele policji uczestniczyli w otwarciu skrytki, głównie po to, żeby stwierdzić, że ich zawartość nie została w żaden sposób zmieniona. – Przeniósł ciężar ciała do przodu. Najwyraźniej nie ważył zbyt wiele, ponieważ poduszka nie nosiła śladów odgnieień po jego plecach. – Chciałbym podkreślić, że Edward Tucker był moim klientem, a w związku z tym jestem zobowiązany do lojalności wobec niego nawet po jego śmierci.

Quinn wątpił w zasadność tego stwierdzenia, ale nie miał ochoty zmagać się z dylematami prawnymi.

– Pójdziemy jutro razem do banku – wyjaśnił prawnik – Otworzę skrytkę na oczach nas wszystkich. Chciałbym zajrzeć do nich pierwszy, żeby się upewnić, że nie zawierają żadnych treści, które mogłyby zaszkodzić reputacji Edwarda bądź rodziny. Potem przełączę je państwu do przeczytania. Jeśli znajdują się w nich informacje istotne dla toczącego się śledztwa w sprawie zabójstwa, a państwo będą sobie tego życzyli, przełączę im te listy. – Jego kościste dłonie spoczęły na kolanach, a usta rozszerzone w uśmiechu odsłoniły równe, ale pożółkłe zęby. – Czy taki układ państwu odpowiada?

Quinn również się uśmiechnął.

– Na razie tak, ale zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie.

– W porządku – odparł Price.

– Edwardowi też by to odpowiadało – powiedziała Ida Tucker.

Quinn i Price wymienili spojrzenia. Obaj doskonale wiedzieli, że z prawnego punktu widzenia nieboszczyk Edward Tucker nie miał specjalnie wiele do powiedzenia. Nie mógł już wyrazić swojego zdania. Ale skoro już nie żył, również żadne prawne komplikacje nie mogły mu już zaszkodzić.

Rozdział 45

Prentis w stanie Floryda 1995

– Wypuść mnie z tego cholernego samochodu, Dwayne!

Honey Carter miała dwadzieścia lat i piękne jasne włosy. Dwayne doskonale zdawał sobie sprawę, że z wyglądu przypominała jego matkę i Maude, że podobałaby się jego ojcu. Honey miała z tymi dwiema kobietami jeszcze coś wspólnego. Otóż nie kochała Dwayne'a. Ani teraz, ani nigdy wcześniej. Umówiła się z nim, ale potem go odrzuciła. Nazwała go bogatym dziwakiem. W każdym razie na pewno tak sobie myślała. On się tak przy niej czuł.

Co jej właściwie nie pasowało? Był przecież młody i względnie przystojny. Owszem, miał pieniądze, ale czy można z tego uczynić wobec człowieka zarzut? Studiował na Uniwersytecie Południowej Florydy, który skończył ze średnią 3,9. Bez trudu zaliczał kolejne przedmioty. Ale college bezgranicznie go nudził. Ludzie tam dziwnie na niego patrzyli, jakby z lękiem. Wielu go unikało. Wokół jego osoby krążyły przeróżne plotki, niektóre zupełnie bezpodstawne. Studenci znali jego historię, wiedzieli o zabójstwie jego ojca i niedosłej macochy. To właśnie ta historia wzbudzała największe zainteresowanie u pewnego rodzaju kobiet – w każdym razie dopóki w pomieszczeniu znajdowały się również inne osoby. Tyle się o nim mówiło: w każdej plotce jest ziarno prawdy, skoro jest bogaty, to pewnie ma coś na sumieniu, przecież tak to właśnie w życiu jest...

Ostatnia próba uratowania relacji z Honey (tak bowiem Dwayne interpretował swoje wysiłki) nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Siedzieli w samochodzie zaparkowanym gdzieś na odludziu przy pogrążonej w mroku Lagoon Road. Dwayne uznał, że to będzie romantyczne, że w takich okolicznościach uda im się na nowo ożywić ewidentnie wymagający romans.

Tak było, dopóki nie zaszło słońce. Ale gdy wszystko pogrążyło się w ciemności, Dwayne z rozbawieniem obserwował Honey, która stanęła przed klasycznym dylematem: zostać i dać się

przelecieć czy wysiąść i narazić się na poważne niebezpieczeństwo. Był ciekaw, jak sobie dziewczyna z tą zagwozdką poradzi.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że się zgrywa. Chciała mu pokazać, że nie pozwoli się tak traktować nikomu – ani żadnemu mężczyźnie, ani też kobiecie. Korzystając z samochodowej zapalniczki, odpalił papierosa. Zaciągnął się i odchylił głowę do tyłu. Wpatrywał się teraz w podsufitkę i rozmyślał, co by tu można zrobić z rozjarzoną końcówką papierosa.

– Naprawdę chcesz wysiąść? Tutaj? – zapytała.

Honey nagle jakby przestała myśleć o nim i zwróciła uwagę na mrok za oknem.

– Tam są aligatory – dodał. – I pytony.

Okoliczni mieszkańcy hodowali pytony jako zwierzęta domowe, potem się ich jednak pozbywali, bo osiągały zbyt duże rozmiary i stawały się niebezpieczne. Często dorastały nawet do sześciu metrów. Żyły sobie gdzieś na wolności i raz po raz dostarczały dziennikarzom z Florydy materiału do artykułów. Takiego ze zdjęciami. Honey była studentką dziennikarstwa i czytywała gazety.

– Zawieź mnie, cholera, do domu – zażądała. W jej głosie pobrzmiwał strach.

Mówiąc o domu, miała na myśli kampus. Wynajmowała tam mieszkanie na spółkę z dwiema znajomymi. Dwayne wypatrył ją właśnie w kampusie, w pobliżu kawiarni. Była sama. Podjechał do krawężnika i otworzył drzwi po jej stronie, zapraszając ją do środka. Honey nie lubiła scen, więc żeby ułatwić jej decyzję, Dwayne dał jej jasno do zrozumienia, że jeśli nie wsiądzie do samochodu – gdzie mogliby spokojnie porozmawiać – urządzi jej scenę, jakich mało. Zależało mu na tym, żeby czym prędzej znalazła się w środku. Nie chciał, żeby ktoś ją widział, jak wsiada.

Zgodnie z jego życzeniem pospiesznie zajęła miejsce obok niego. Nie spodziewała się, co ją czeka.

*

Nikt zatem nie wiedział, że pojechała z Dwayne'em na odludną Lagoon Road prowadzącą gdzieś w głąb na bagna. Teraz nagle sama uświadomiła sobie skalę własnej samotności. Świadomość grożącego niebezpieczeństwa przeszła ją niczym prąd elektryczny.

Dwayne przysunął się do niej, żeby ją przytulić, jak gdyby chciał ją podnieść na duchu. Otworzyła szeroko oczy i wyzwoliła się z jego uścisku. Rozległ się szczeł klamki, po czym w środku zapaliło się światło.

– Klasyczny dylemat – stwierdził Dwayne.

– Naprawdę zamierzasz postawić mnie przed takim wyborem? – zapytała.

Drzwi otworzyła już na piętnaście centymetrów.

Dwayne dostrzegł w jej oczach strach. Aż go skręciło z radości! Jak ona się boi! Nie miał jednak najmniejszych wątpliwości co do tego, że blefuje. Postanowił więc zmusić ją do odkrycia kart. Uznał, że pora dać dziewczce nauczkę.

– Nie stawiam cię przed wyborem – stwierdził. – Uważam, że powinnaś wyjść.

Pchnęła mocno drzwi, jak gdyby faktycznie zamierzała spełnić jego żądanie. Doszła do wniosku, że przetrzyma go do końca – będzie musiał postawić sprawę jasno. Ale on patrzył prosto przed siebie z uśmiechem na ustach. Był pewien, że się w końcu złamie, że będzie go błagać, że strach weźmie górę.

Nic takiego się jednak nie stało. Drzwi otworzyły się jeszcze szerzej, a potem zamknęły. Honey zniknęła. Dwayne siedział w samochodzie, nie posiadając się ze zdumienia. *Nie pomyślałem jej o tyle odwagi.*

Domknął drzwi po stronie pasażera, po to żeby światło w środku zgasło. Samochód stał na poboczu i nikt by go nie zauważył, nawet jeśli mimo wszystko ktoś przejeżdżałby nocą tą mało uczęszczaną trasą.

Nie ma co, trzeba sukę gonić.

Spodziewał się znaleźć ją w stanie skrajnego roztrzęsienia. Zastanawiał się nawet, czyby nie schować się gdzieś i trochę jej nie poobserwować, zanim w końcu pospieszy jej na ratunek. Niech się boi i niech ten strach pozbawi ją resztek siły woli. Wtedy spadnie na nią los gorszy niż śmierć.

Wyjął ze schowka latarkę, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Ruszył w kierunku pograżonych w mroku cuchnących bagien.

*

Serce Honey biło bardzo nierówno, przy pomińało dzikie zwierzę szamoczące się w klatce. Nigdy w życiu tak się nie bała. Oddychała z trudem, cicho przy tym popłakując. Biegła, po prostu biegła przez noc, rozbry zgując wokół siebie płytką wodę i odpychając gałęzie, które drapały ją po twarzy. Zewsząd otaczały ją przeróżne okropne stwory. Wyczuwała ich obecność, czasem je słyszała. Wiedziała, że musi istnieć jakaś inna droga, równoległa do tej, ale jakoś nic konkretnego nie przychodziło jej do głowy. Nagle doznała olśnienia. Przypomniała sobie, jak poprzedniego lata pomagała Heldze Ditweiller w nauce jazdy samochodem. *Jak się ta droga nazywała? Cypress? South Road? A może miała tylko numer? Może...*

Brodząc w wodzie po kostki, uderzyła nagle głową prosto w drzewo. W tym momencie mrok bagna ją pochłonął.

*

Dwayne zdążył zrobić dwa kroki w stronę bagna, gdy padła mu latarka.

Baterie! Cholera jasna! Nie wymieniał ich już chyba kilka miesięcy.

Zatrzymał się i nasłuchiwał w bezruchu. Dobiegały go wyłącznie nocne dźwięki samego bagna: bzyczenie owadów, odgłosy większych stworzeń, być może dobiegające z oddali pomruki aligatorów.

– Honey!

Jego wezwanie pozostało bez odpowiedzi. Krzyknął raz jeszcze. Nie chcąc stracić orientacji w ciemności, ostrożnie cofnął się do drogi. Niedziałającą latarkę trzymał w dłoni niczym maczetę. Bardzo nie lubił, gdy sytuacja po prostu wymykała mu się spod kontroli bez żadnej jego winy.

Ten klimat nie służy bateriom. Rozładowują się praktycznie z dnia na dzień. Dlaczego ta głupia suka musiała pobiec na bagno?

Poczuł pod stopami twardą nawierzchnię drogi. *Cywilizacja!* Ucieszył się, zawrócił i pomaszzerował w stronę samochodu. Nagle się jednak zatrzymał. Nie miał co prawda działającej latarki, ale miał zapaliki i... papierosy! Nie miał też najmniejszych wątpliwości, że uda mu się odnaleźć Honey. Nie mogła przecież zbyt daleko uciec. Musiała się przedzierać przez gęste zarośla i błotnistą nawierzchnię. Nie słyszał też jej kroków, więc doszedł do wniosku, że się nie przemieszcza. Pewnie jej się wydaje, że się dobrze schowała.

Rozglądał się w ciemnościach w prawo i w lewo. Gdyby zaczęła krzyczeć, nikt by jej nie usłyszał – a gdyby nawet ktoś ją usłyszał, z pewnością wzięłby jej krzyk za odgłos jakiegoś zwierzęcia, najpewniej aligatora. Zresztą nawet jeśli uda jej się wrócić do cywilizowanego świata, i tak nie będzie mogła liczyć na współczucie. Jeśli będzie przykładać papierosa do zgięć na jej ciele, zar pozostawi lekko widoczne ślady i nikt się nie domysli, jak bardzo to musi boleć. Ona z kolei nie zdoła w żaden sposób udowodnić, że to on jej zrobił.

Powtarzał sobie, że Honey ostatecznie wyjdzie z tego cało, że dobrze sobie zapamięta tę noc, ale ostatecznie dotrze w jakieś bezpieczne miejsce, rozhisteryzowana i wściekła. Będzie snuć jakieś opowieści, w które nikt nie uwierzy. Bo nikt nie uwierzy takiej „impresowiczce”.

Ciężka noc na bagnie. Dwayne zastanawiał się, jakie to może być doświadczenie. Ostatecznie to przecież nie jest jego wina. To nie on uparł się i nie on pobiegł przed siebie w noc na oślep. Przecież jej szuka, prawda? To nie jego wina, że latarka mu zgasła. Czy naprawdę ktoś mógłby od niego oczekiwać, że włoży do niej świeże baterie tylko na wypadek, gdyby ta głupia krowa postanowiła rzucić się nocą w bagno? *Bagno nocą...*

Przeszedł go dreszcz. Postanowił zadbać o to, aby w samochodzie nie pozostały żadne ślady świadczące o tym, że Honey Carter jechała nim tego wieczoru. Gdyby głupia i spanikowana dziewczyna próbowała zrzucić na niego winę, zamierzał się po prostu wszystkiego wyprzeć. Zamierzał powiedzieć, że Honey kłamie – że zgubiła się na bagnach i że spotkała tam nieodpowiednich ludzi. Pewnie niepotrzebnie z nimi zadzierała, jak to ona. W ten sposób naraziła się na atak, a oni przypalali ją papierosami i kto wie co jeszcze jej zrobili. Teraz ona próbuje zrobić z niego kozła ofiarnego, bo tak jest jej wygodnie, bo dzięki temu zachowa twarz. Zresztą może nic jej się poważnego nie stanie. Wszyscy szybko o tym zapomną i wkrótce wśród ludzi zaczną krążyć inne plotki o puszczalskiej Honey.

Dwayne szukał jej niespełna pół godziny, a znalazł nieprzytomną pod drzewem. Związał jej ręce z tyłu szarfą sukienki, potem unieruchomił jeszcze kostki. Wtedy zaczął się bawić papierosem i Honey szybko odzyskała przytomność. Wiła się i krzyczała. Dwayne nie zadał sobie trudu, żeby ją zakneblować. Wystarczyło zafundować jej kilka odpowiednio mocnych uderzeń w twarz, żeby dalej cierpiała już w milczeniu, a przy najmniej ograniczyła się do kwilenia. W końcu zemdłała.

Przez chwilę bacznie jej się przyglądał, żeby stwierdzić, czy jeszcze żyje. Potem rozwiązał szarfę i zdjął z jej nóg własny pasek którym wcześniej je skrępował. Odchodząc, zastanawiał się, co będzie opowiadać ludziom o tej nocy... Jeśli w ogóle przeżyje.

Rozdział 46

Honey obudziła się z bólu – poparzenia na oczach, ustach i w różnych innych miejscach skóry jak tysiące małych igieł. Doskonale pamiętała, co się wydarzyło ubiegłej nocy, jak Dwayne się nad nią nachylał z rozżarzonym papierosem.

Oprócz bólu czuła również na sobie wielki ciężar. Usiłowała się od niego uwolnić, ale jej się nie udało. Spojrzała przez gałęzie cyprysów na jasne niebo poranka i od razu poczuła się lepiej, pewniej. Ubiegła noc była jak koszmar, ale ten koszmar się już skończył.

Usłyszała przenikliwy, ostrzegawczy krzyk jakiegoś ptaka, nie zwróciła jednak na to uwagi. W końcu udało jej się przeżyć tę noc.

Ponownie podjęła próbę uwolnienia się od ciężaru, który zalegał jej na klatce piersiowej. Zupełnie się przy tym obudziła. Z zaskoczeniem stwierdziła, że przygniata ją jakaś krągła masa, z której powodu ciężko jej się oddycha. To było coś suchego i gładkiego. *Co się porusza...*

Nagle uświadomiła sobie, co to takiego, nie do końca jeszcze zdając sobie sprawę, co się w związku z tym dzieje z nią. Krzyknęła z przerażeniem i ze strachu zapomniała nawet o boleśnie poparzonej twarzy. Nic się nie wydarzyło, jej przeraźliwe wezwanie rozeszło się po bagnie zupełnie bez echa.

Krzyczała, aż w końcu zabrakło jej tchu, a w tym czasie pyton powoli owijał się coraz mocniej wokół jej ciała. Przez chwilę pomyślała, że powinna wstać i uciekać, na myśleniu się jednak skończyło, ponieważ nogi miała ściśnięte tak bardzo, że kolana boleśnie ugniały jedno drugie. Potężny wąż ponownie zacieśnił mięśnie i wtedy Honey usłyszała dźwięk który wydaje powietrze przeciskające się pod dużym ciśnieniem przez zawór. Prawe ramię miała mocno przyciśnięte do klatki piersiowej, lewym zaś machała na oślep. Każdy jej ruch zdawał się tylko ułatwiać wężowi zadanie i zwiększać działanie siły, która gnioła ją jak imadło. Jeszcze raz krzyknęła. Potem próbowała jeszcze raz zaczerpnąć tchu, by ponownie wezwać pomoc, ale nie zdołała wciągnąć do płuc dostatecznej ilości powietrza. Wolne lewe ramię opuściła na wilgotne dno bagna. Mocno się na nim oparła, usiłując wstać, ale jej wysiłki spełzyły na niczym.

Jeszcze silniejszy ucisk Do tego stłumiony trzask i straszliwy ból w prawym boku. *Czyżby*

pękły mi żebra? Umrę tu! Umrę!

Teraz całą jej energię pochłaniała walka o kolejną cenną dawkę tlenu. Mogła jednak tylko lekko wydychać powietrze. O wdechu nie było mowy.

Udało jej się unieść głowę o kilka centymetrów, a potem jeszcze trochę. Otworzyła szeroko powieki i spojrzała w oczy stworzeniu, które nie miało ludzkich uczuć i nie czuło litości. Wąż też na nią patrzył. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że ma głowę większą od niej. Jęk skrajnego przerażenia, który wydobył się z jej ust wraz ze słabnącym oddechem, stanowił dla zwierzęcia tylko kolejny sygnał do wzmocnienia uścisku.

Rozdział 47

Bezrobotny pracownik platformy wiertniczej Bailey Connors jechał później tego samego dnia Lagoon Road, gdy dostrzegł pośród zarośli coś lśniącego i odruchowo nacisnął na hamulec. To coś, co przykuło jego uwagę, znajdowało się mniej więcej trzydzieści metrów od drogi, w pobliżu cyprysów. Bailey nie miał pojęcia, co to może być. Nie miał jednak nic lepszego do roboty, postanowił więc zaspokoić ciekawość.

Skreślił dodge'em na grząskie pobocze, zastanawiając się, czy duże, ale dobrze zjechane opony furgonetki poradzą sobie w tym błocie. Musiał zaryzykować. Teraz już musiał się przekonać, czy faktycznie zobaczył to, co zobaczył, co jednak było trudne do zaakceptowania.

Wysiadł z kabiny i podwinął rękawy niebieskiej roboczej koszuli. Doskonale zdawał sobie sprawę, że robi to tylko po to, żeby odwlec moment, w którym dotrze do tego, co wypatrzył w wysokiej trawie. Na razie nic nie widział, teraz miał bowiem gorszą widoczność niż z kabiny samochodu.

W palącym słońcu wychwytał zapach własnego potu, który ulatniał się spod koszuli noszonej o jeden dzień za długo. Pod obiema pachami pojawiły się księżycowate plamy. Bailey zaczął się obficie pocić.

Przez chwilę chciał już nawet wrócić do samochodu, ale wtedy coś się poruszyło w trawie. Serce zaczęło mu szybciej bić, a w ustach poczuł miedziany zapach strachu. *Miej jaja, Bailey!*

Rękawy podwinął już tak mocno, że bardziej się nie dało, zaczerpnął więc głęboko powietrza i ruszył przed siebie.

Z początku niczego nie zauważył, wszystko zdawało się mieć ten sam kolor bagna. Potem jednak dostrzegł wyraźnie zarysowany kształt. Gdy dotarło do niego, na co patrzy, zdołał go dokładnie wyodrębnić z tła. Jak mógł tego od razu nie zauważyć? Miał przed sobą potężne zwinięte cielsko węża, pokryte brązowo-zielonymi cętkami zapewniającymi niemal idealny kamuflaż. Władze stanowe ogłosiły niedawno sezon polowań na pytony. Chodziło o to, aby zapanować nad rozrostem populacji. Olbrzymie węże nie należały do rdzennych gatunków Florydy, ale stałe ich przybywało. Najwięcej pytonów występowało w południowych rejonach półwyspu, gady

jednak cały czas przemieszczały się na północ.

Z chwilą wejścia na bagno buty Bailey'a zaczęły wydawać chłupoczące odgłosy. Od węża dzieliło go sześć metrów, ale przez wysoką trawę widział tylko, że gad lekko się ruszał. *Czyli potwór żyje.*

Bailey nie spodziewał się, że będzie inaczej, chociaż po cichu na to liczył.

Zwolnił kroku i lekko zmienił kierunek, żeby zapewnić sobie możliwie stabilny grunt pod nogami. Potem przestał się bać, ponieważ zobaczył coś, co wzbudziło w nim czyste, żywe przerażenie. Spośród zwojów węża wyłoniły się fragmenty niebieskiego materiału, niewątpliwie stanowiącego element ubrania. Na jednym brzegu Bailey dostrzegł koronkę. *Sukienka.* Boże, patrzył na sukienkę!

Jakiś zupełnie niezrozumiały gniew pomógł mu przezwyciężyć strach i wykonać kilka kroków w stronę podwyższenia terenu. Po chwili zobaczył to, czego się najbardziej obawiał. Różowe ciało: kostkę i stopę. Zupełnie nieruchome. Podszedł nieco bliżej i wówczas straszliwy obraz ukazał się jego oczom w całej okazałości.

Pyton w ogóle nie zwracał na niego uwagi, zapewne dlatego że pochłaniała go konsumpcja. Jak to węże mają w zwyczaju, zjadanie dużej zdobyczy rozpoczął od głowy. Pokryta jasnymi włosami głowa dziewczyny zupełnie zniknęła już w jego paszczy. Rozdygotany Bailey zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna umarła, zanim wąż... Postanowił nie kończyć tej myśli.

Wąż przerwał na chwilę ucztę i zamarł w bezruchu. Wpatrywał się w Bailey'a jakby z wyrachowaniem. *Jezus Maria!* Bailey miał nogi jak z waty, ale zdołał wykonać trzy ostrożne kroki w tył. Potem się odwrócił i popędził do samochodu po strzelbę.

*

Śmierć Honey Carter wstrząsnęła wszystkimi, którzy ją znali. Dwayne również udawał niepokieszonego. Nie inaczej niż wszyscy, nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić, coż ona mogła robić nocą na bagnach. Według pani Collingsworth, która uczyła Honey biologii, dziewczyna wykazywała żywe i rosnące zainteresowanie przyrodą i jej stworzeniami. Fascynowały ją w szczególności te zamieszkujące bagna. Dwayne dobrze wiedział, że Honey próbowała się tylko przy podobać nauczycielce, licząc na lepszą średnią – ale nikomu tej informacji nie zdradził.

Cztery dni po tym, jak Bailey znalazł Honey w uścisku olbrzymiego pytona, jakiś facet wszedł ze strzelbą do baru dla motocyklistów w okolicach Plainville i zestrzelił z krzeseł trzech jego stałych bywalców. Gdy na miejsce dotarła policja, zabójca wypadł z lokalu na bosaka i postrzelił jednego ze stróżów prawa, po czym nachylił się nad lufą i palcem od nogi pociągnął za spust. Kula niemal rozerwała go na pół. W jego domu znaleziono zwłoki żony i dwójki jego dzieci, zabitych z tej samej broni. Media w krótkim czasie ustaliły, że jeden z motocyklistów

zastrzelonych w barze miał romans z żoną tego desperata. Od tego momentu media już nie zajmowały się sprawą Honey. Pojawiło się wprawdzie kilka podejrzeń i nieprzychylnych słów pod adresem Dwayne'a, ale on nic sobie z tego nie robił, tym bardziej że nie zostały potraktowane poważnie. W opinii miejscowego szeryfa Honey padła ofiarą strasznego wypadku – i na tym sprawa się zakończyła.

Rozdział 48

Green Forest w stanie Ohio, czasy obecne

Quinn zaparkował wypożyczony samochód przed domem Idy Tucker, w cieniu rozłożystej mimozy. Gdy otworzyli drzwi i wysiedli z auta, uderzyła ich słodka woń różowych kwiatów. Ogólnie poranek należał do przyjemnych. Letnie słońce jeszcze nie zdążyło nagrzać powietrza, więc Ida zaproponowała spacer.

Na podjeździe domu pojawił się czarny SUV marki Ford, z którego wysiadł Joel Price. W jego ruchach dało się zaobserwować sztywność spowodowaną podeszłym wiekiem. Zrezygnował z propozycji spaceru, wsiadł z powrotem do samochodu i to nim przemierzył kilka przecznic dzielących dom Tuckerów od Tradesman First National Bank.

Gdy pozostała trójka dotarła na miejsce, on już stał w cieniu dużego dębu, pośrodku okrągłego placiku przed wejściem do banku. Spacerowiczom dokuczalo gorąco i żalowali, że nie poszli śladem prawnika, który najwyraźniej nawet w ciemnym garniturze nie pocił się i nie odczuwał dyskomfortu z powodu temperatury. Tym razem dopełnienie garnituru stanowił krawat w drobną kratkę – już nie zupełnie czarny, ale też bynajmniej nie radosny. Price zdążył zgromadzić dość życiowych doświadczeń, by umieć się ubrać stosownie do okazji.

Uśmiechnął się na powitanie, po czym z poważną miną poprowadził ich do banku. Klimatyzatory dobrze sobie radziły z regulacją temperatury w pomieszczeniach, w których, jak to często bywa w bankach z drewnianą boazerią i dużą ilością dywanów, panowała głucha cisza. W dwóch czynnych okienkach siedziały kasjerki, poza tym w banku znajdowało się jeszcze kilku pracowników. Część z nich siedziała za biurkami, inni przynosili gdzieś jakieś dokumenty. Quinn doliczył się tylko trzech klientów: dwóch stało przy okienkach i jeden przy długim dębowym stole ustawionym pod oknem z szyldem banku. Za plecami kasjerów znajdował się duży sejf z polerowanej stali. Drzwi miał otwarte.

– Witaj, Maggie – powiedział Price do młodszej z dwóch kasjerek (z których żadna nie zasługiwała wszakże na miano młódky).

Maggie miała pewnie ze czterdzieści lat, druga kobieta – na oko pięćdziesiąt. Maggie miała niedbale przycięte ciemne włosy, druga kasjerka zaś mogła się pochwalić siwym warkoczem opadającym na plecy. Obsługiwała właśnie nieco przysadzistą Latynoskę, która podała jej pliczek druczków depozytowych.

Maggie wręczyła swojemu klientowi jakiś formularz hipoteczny do wypełnienia. Gdy ten uporał się z zadaniem, Maggie uśmiechnęła się do grupki stojącej przy jej okienku i odpowiedziała:

– Dzień dobry, panie Price.

Price wyjaśnił:

– Chcielibyśmy uzyskać dostęp do skrytki.

Maggie nachyliła się, żeby sięgnąć po klucze oraz książkę w czarnej oprawie ze skóry, prawdopodobnie jakiś rejestr. Wyszła zza marmurowej lady, żeby dołączyć do klientów. Razem dotarli do niewielkiego stolika ustawionego w pobliżu wejścia do skarbcza. Maggie położyła na nim książkę, którą następnie otworzyła.

– Tym razem nie chodzi o moją standardową skrytkę – powiedział prawnik – Numer sto pięćdziesiąt.

Maggie odwróciła kilka stron i przez chwilę zdawała się analizować wpisy.

– Dawno nikt tam nie zaglądał, panie Price.

– Między innymi i na tym polegało moje zadanie – odparł prawnik.

Wpisał do rejestru odpowiednią datę i opatrzył ją podpisem. Z pękiem kluczy w rękę Maggie poprowadził go do skarbcza. Wrócili po kilku minutach. Price miał w rękach długie szare pudełko z metalu. Maggie nieco go wyprzedziła, żeby otworzyć drzwi do kwadratowego pomieszczenia wyłożonego dywanem. W pokoju mierzącym trzy na trzy metry stały dębowy stół i dwa dębowe krzesła. Na stole stała lampka, obok której znajdował się bloczek kartek. Maggie wzięła od prawnika pudełko i położyła je na stole, po czym otworzyła jeden z zamków, który wymagał użycia klucza generalnego. Zaraz potem skinęła pozostałym głową i wyszła. Drugi klucz niezbędny do otwarcia skrzyneczki posiadał Joel Price.

Quinn podszedł do drzwi, którymi wyszła Maggie. Przekręcił zamek na klamce. Skinął głową na Price'a, który na ten sygnał wy dobył klucz ze zwykłej koperty, opatrzonej tylko numerem. Ida Tucker przysunęła się nieco bliżej, co z kolei skłoniło Pearl do wykonania kroku w jej stronę. Quinn podszedł do stołu i patrzył, jak Price wkłada klucz i unosi na zawiasach wieko zajmujące niemal połowę długości skrzyneczki. Wszyscy zgromadzeni nachylili się z ciekawością nad skrytką. Ta jednak okazała się pusta. Price nie posiadał się ze zdumienia:

– Zupełnie tego nie rozumiem.

– Poza panem i Edwardem Tuckerem nikt nie miał klucza do skrytki? – zapytał Quinn.

Price skinął głową.

– Zgadza się. A ja mój zawsze trzymałem w szufladzie biurka lub w kieszeni. Gdzie Edward Tucker trzymał klucz, tego nie wiem. Wiem natomiast, że otwarcie sejfu po godzinie dziewiątej rano wymaga udziału osoby dysponującej kluczem aktywowującym oraz drugiej, wyposażonej we właściwy klucz. Dopiero o dziewiątej bank rozpoczyna pracę, a sejf odliczanie czasu.

Price wyjaśnił, że dokładnie o godzinie dziewiątej można przesunąć rączkę sejfu o sto

osiemdziesiąt stopni w lewo, a dzięki temu ciężkie stalowe drzwi dają się łatwo otworzyć – i zwykle pozostają otwarte aż do momentu zamknięcia banku. Potem następuje automatyczna blokada czasowa zamka. W celu otwarcia go przed dziewiątą rano następnego dnia trzeba by zastosować materiały wybuchowe. Ale nawet gdyby ktoś chciał z tego skorzystać, po prostu nie dałby rady wejść do skarbcza.

Joel Price poprosił wszystkich o pozostanie w pomieszczeniu, po czym wyszedł na kilka minut. Wrócił w towarzystwie kasjerki Maggie oraz kierownika banku, pana Earla Tanengera. Tanenger, korpulentny, łysy sześćdziesięcioletek, zajął sporo miejsca w małym pokoju. Maggie trzymała w dłoniach skórzany rejestr. Przesadziła trochę z nowymi perfumami Heaven's Gate, przez co kilka osób, między innymi Pearl, zaczęło pociągać nosem i kichać. Na oczach wszystkich zgromadzonych Earl Tanenger otworzył skózaną księgę i zajrzał do środka. Oznajmił, że nikt nie zaglądał do skrytki numer sto pięćdziesiąt od 12 października 1998 roku, kiedy to została ona wynajęta i zarejestrowana pod nazwiskiem dwóch panów, Joela Price'a i Edwarda Tuckera. Pan Tanenger pracował na swoim stanowisku od blisko dwudziestu lat i dobrze pamiętał tamten dzień. Tak przy najmniej twierdził.

Quinn nie do końca w to wierzył.

– Chciałbym porozmawiać ze wszystkimi pracownikami – oznajmił.

Zdawał sobie sprawę, że znajduje się poza terenem swojej jurysdykcji, ale wiedział także, że Earl Tanenger nie będzie chciał angażować w sprawę lokalnego szeryfa. Na pewno wolał uniknąć rozgłosu.

– Oczywiście – odparł Tanenger.

Po wyjściu z pokoju wszyscy udali się w kierunku holu, skąd Tanenger zaprowadził ich do sali konferencyjnej. Jednocześnie zarządził tymczasowe zamknięcie banku i wezwał wszystkich pracowników do siebie. Nikt się nie odzywał, chociaż kilka osób pociągało nosem z powodu wątpliwego uroku Heaven's Gate.

Pearl powiedziała:

– Mam nadzieję, że uda nam się to szybko wyjaśnić.

Quinn stwierdził, że gdy mówi przez nos, brzmi zupełnie jak Prosiak Porły, postanowił jednak o tym nie wspominać.

Earl Tanenger pojawił się po kilku minutach. Towarzyszyła mu kasjerka, która wcześniej pracowała z Maggie za ladą. Chuderlawa siwowłosa pięćdziesięcioletka dobrze by pasowała do roli surowej bibliotekarki albo srogiej nauczycielki, która nie toleruje żadnych odstępstw od obowiązujących zasad.

– Przedstawiam państwu Luellę Morst – oznajmił Tanenger. – Ona może tę sprawę wyjaśnić.

Zrobił kilka kroków w bok, po czym wykonał gest ramieniem.

– Luella, proszę o zabranie głosu.

– Cztery dni temu, to znaczy w poniedziałek, Maggie nie przyszła do pracy z powodu świńskiej grypy.

„Boże!” – pomyślała Pearl. Luella tłumaczyła dalej:

– W banku pojawił się pan Edward Tucker z jeszcze jednym mężczyzną. Pan Tucker poprosił o dostęp do swojej skrytki. Udostępniłam mu skrytkę, a wtedy on wspólnie z tym mężczyzną udali się do jednego z prywatnych pokoi. Przebywali tam tylko kilka minut, po czym wyszli. Poszłam z panem Tuckerem z powrotem do skarbcza. Umieściliśmy skryteczkę na miejscu i zamknęliśmy

ją, po czym wyprowadziłam go do holu i obaj panowie opuścili bank. Obaj zachowywali się bardzo grzecznie, zdawali się załatwiać jakieś interesy. – Luella Morst się zrumieniła. Po raz pierwszy w jej zachowaniu uwidoczniła się jakby postawa obronna. – Zwykle się nie zajmuję obsługą skrytek. Wszystkie zrobiłam, jak należało, tyle że zapomniałam poprosić pana Tuckera o wpisanie daty i złożenie podpisu w rejestrze.

– Pomyłki się zdarzają – skomentowała to Earl Tanenger, kładąc lekko dłoń na ramieniu Luelli.

– Zna pani Edwarda Tuckera z widzenia? – zwrócił się do niej Quinn.

– Tak, widy wałam go w mieście przez wiele lat.

– A ten drugi człowiek?

– Jego nigdy nie widziałam.

– Przypomina sobie pani, jak wy glądał?

– Prawdę powiedziawszy, nie zwróciłam na to szczególnej uwagi. Raczej średnich rozmiarów, może jakby trochę przy kości.

– Włosy?

– Miał, chyba ciemne.

– Jakież blizny? Zarost? Tatuaze? Okulary?

– Okularów chyba nie miał. Poza tym nie wiem. Przypominam sobie, że miał plaster na twarzy, jak gdyby sam się zaciął albo jakby ktoś go skaleczył.

Quinn o mało co nie jęknął. Znał doskonale starą kanciarzką sztuczkę z plastrem na twarzy – zapadał mocno w pamięć świadkom, wy pierając właściwie wszystko inne.

– Czy pan Tucker sprawiał wrażenie odprężonego? – dociekał dalej. – Czy może odniosła pani wrażenie, że ten drugi mężczyzna wywiera na niego jakiegoś rodzaju presję?

– Nic z tych rzeczy. Obaj zachowywali się najzupełniej normalnie.

Quinn jej podziękował. Earl Tanenger polecił jej oraz wszystkim innym wracać do obowiązków, po czym spoj rzał na detektywa i wzruszył ramionami.

– Błąd ludzki – podsumował.

– Ten człowiek pewnie i tak nie podałby swojego nazwiska – stwierdził Quinn. – Niech się pan cieszy, że pracownica miała dość odwagi, żeby się przy znać.

– Powiniem ją nagrodzić za zapominalstwo? – zdziwił się Tanenger.

– Tak – padła odpowiedź z ust Pearl.

– Cóż Edward mógł robić? – rzuciła Ida Tucker niejako w przestrzeń.

– Cokolwiek to było, wbrew temu, co twierdzi Luella Morst, mógł tego nie robić do końca z własnej woli.

– Nie zrobiłby nic nielegalnego.

– Cokolwiek się znajdowało w tej skrytce, stanowiło jego własność.

– Stanowiło własność rodziny – powiedziała Ida Tucker z wyraźnie słyszalną nutką goryczy.

Wyszli z budynku i przeszli na drugą stronę brukowanego placu ku. Temperatura na dworze wyraźnie się podniosła i osiągnęła dość nieprzyjemny poziom. Do słów pożegnania Quinn i Pearl dodali jeszcze powtórne kondolencje. Joel Price zapewnił, że się z nimi skontaktuje, gdyby pojawiły się jakieś nowe informacje w tej sprawie.

Po chwili Quinn i Pearl zostali sami na gorącej, zapyłonej ulicy.

– To tak wy gląda ślepy zaułek... – stwierdziła Pearl.

– Być może – odparł Quinn.

- Co teraz? – zapytała Pearl.
- Cokolwiek to będzie, wydarzy się w Nowym Jorku.

*

Co do tego akurat nie miał racji. Nie minęła nawet chwila, gdy wróciła do nich zdyszana Ida Tucker. Z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Co ja w ogóle wyrabiam! – powiedziała. – Nie zaprosiłam nawet państwa do domu na lemoniadę.

– To naprawdę miłe z pani strony – odparła Pearl – ale nie trzeba.

Ida uśmiechnęła się szerzej. Quinn pomyślał, że trochę za mocno ich ciśnie jak na kobietę w tym wieku. Ida Tucker nie przestawała go zadziwiać. Czy rzeczywiście była tylko zapobiegliwą staruszką dbającą o swoje dzieci? A może jakoś się przyczyniła do zniknięcia listów Henry'ego Tuckera? Ludzie wprawieni w sztuce oszustwa często przypisywali sobie spryt, którego w rzeczywistości aż tyle nie mieli. Jeśli to Ida Tucker przyczyniła się do tego, że cała ich podróż z Nowego Jorku poszła na marne, to po prostu nie mogła pozwolić, by tak zwyczajnie dobiegła końca i by tak szybko zrezygnować z uzyskanej przewagi. Czy właśnie o to jej teraz chodziło? Czy – może podświadomie – nie próbowała jeszcze utrzyć im nosa?

– Ja bym się chętnie czegoś napił – powiedział Quinn i uśmiechnął się do Idy Tucker. – Lemoniada brzmi naprawdę świetnie, droga pani.

Rozdział 49

W domu Tuckerów wszystko wyglądało jak należy: kwiaty, kartki, kondolencje... Brakowało jeszcze tylko czarnego wieńca na frontowych drzwiach, ale może tam wisiał i tylko Quinn go nie zauważył? Najbardziej jednak interesowało go nie wszystko to, co łatwo da się usunąć po zakończeniu żałoby, ale stałe elementy wystroju domu. Na przykład książki ustawione na identycznych białych regałach. Wiele z nich dotyczyło podróży. Wypatrzył też powieści. Eric Ambler, John LeCarré, Ruth Rendell, Jonathan Kellerman, Len Deighton... Wszystko niezłe pisarze. Nie dostrzegł za to żadnych romansideł ani historii o zjawiskach nadprzyrodzonych czy banalnych historii policyjnych. Domownicy czytali kryminały psychologiczne. Takie z suspensem. Sam Kellerman był zresztą psychologiem. Quinn wychodził z założenia, że czytelnicy takich książek czerpią przyjemność z odgadywania intencji autora. Czyżby Ida i jej zmarły mąż zaliczali się do tych, co zamieszczają krytyczne recenzje na Amazonie lub wysyłają prześmiewcze e-maile do pisarzy? Jakoś Ida na taką nie wyglądała, ale może się po prostu dobrze maskowała?

Pearl najwyraźniej potrafiła odgadnąć jego myśli, ale zapatrywała się na całą sprawę zgoła inaczej. Spojrzała na niego i pokręciła głową, próbując w ten sposób powiedzieć: „Chodźmy stąd!”. Quinn tymczasem przestudiował zawartość regału, po czym przeniósł wzrok na rodzinne zdjęcia stojące na jego szczycie. Znajdowały się tam liczne fotografie szczęśliwych ludzi wykonane gdzieś na świeżym powietrzu. Dostrzegł wśród nich Andrię, która stała obok Jeanine. Obejmowały się. Żadna nie mogła zdawać sobie wtedy sprawy, co im przyniesie los. Na jednym ze zdjęć Quinn dostrzegł w tle interesującego mężczyznę w fartuchu i z dużą szpatułką w ręce.

– Tamten gość – powiedział do Idy Tucker, która właśnie wniosła do salonu tacę, a na niej szklanki z lemoniadą – wygląda jakoś znajomo.

– Ten przystojniak z tyłu obok jeziora? To syn mojej ciotki od strony matki, Rubin Hasabedo. Zdobył sławę jako toreador w Hiszpanii.

A syn mojej ciotki ze strony ojca wynalazł to coś, co jest nawet lepsze niż krojony chleb...

– Nie o niego mi chodzi – odparł Quinn. – O tego mężczyznę przy grillu, który wciela się w rolę szefa kuchni.

– A, on... – Szklanki brzęknęły na metalowej tacy, jak gdyby Ida na chwilę straciła równowagę. Trochę jak linoskoczek, który nieopatrznie przeniósł ciężar ciała na niewłaściwą stronę, ale potem natychmiast odzyskał rezon i znów wędrował po linie pozornie bez wysiłku, znów zaczęła krążyć z tacą, rozdając zmrózone szklanki. – To Robert Kingdom junior – odparła, doskonale zdając sobie sprawę, że Quinn już go rozpoznał.

– Czy li Winston Castle – stwierdził detektyw.

– Tak, on chyba teraz posługuje się takim nazwiskiem. Uwielbia średniowiecze, w szczególności brytyjskie. – Sama wzięła ostatnią szklankę i łyknęła lemoniady, po czym odstawiła tacę na złożone gazety leżące na stoliku do kawy. – Właściwie uwielbia wszystko, co brytyjskie. Bóg jeden wie dlaczego...

– Teraz ma wąsy. No i trochę przytył.

– Zawsze był krępką.

– Czy li mówi pani, że on należy do rodziny.

– Cóż, myślę, że obydwójce znamy odpowiedź na to pytanie. I tak, i nie. Winston trafił do nas z sierocińca, ale długo u nas nie zabawił. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, żył we własnym zmyślnym świecie. Kingdom to dla niego dobre nazwisko. Castle zresztą pewnie też. Wspominał pan, że prowadzi w Nowym Jorku restaurację, która przy pomina średniowieczny zamek?

– Do złudzenia...

– Jakież to brytyjskie...

– Dziwię się, że nie odwiedziła go pani podczas wizyty w naszym mieście.

– Cóż, jakoś nie miałam najlepszego humoru – odparła Ida. – Nie miałam też czasu na spotkania towarzyskie.

– Szkoła...

– Poza tym jakoś nigdy nie byliśmy sobie bardzo bliscy. Chociaż nie żywimy do siebie żadnej urazy. Po prostu dzieli nas dystans. Ludzie czasami oddalają się od siebie psychicznie z powodu większej odległości fizycznej.

– Czasami z powodu tej odległości tęsknią – stwierdził Quinn.

– Pewnie tak, chociaż ja do takich filozoficznych stwierdzeń odnoszę się z podejrzliwością.

Czy może komuś dolać lemoniady?

Quinn spojrzał na swoją szklankę i ze zdumieniem stwierdził, że połowa zawartości już zniknęła.

– Bardzo chętnie – odparł – ale musimy dotrzeć na samolot do Columbus.

– Gdyby wydarzyło się coś ciekawego, dam państwu znać – powiedział milczący do tej pory Joel Price, z trudem podnosząc się do pozycji pionowej. Nie ulegało wątpliwości, że boli go krzyż.

Quinn wierzył w te zapewnienia. Wierzył również, że Price dba o interes Edwarda Tuckera jako swojego klienta, nie bacząc na to, że nie ma go już wśród żywych. Ucisnęła mu dłoń, po czym wszyscy się pożegnali.

Większą część drogi do Columbus Quinn i Pearl pokonali w milczeniu, wsłuchując się w rytmiczne dudnienie opon na szwach nawierzchni. Oboje nie mieli wątpliwości, że to Winston Castle towarzyszył Edwardowi Tuckeroi w jego wyprawie do skrytki bankowej. Ogólnie przeciętny mężczyzna z plastrzem na twarzy... *Gdzie on się tego nauczył?*

Winston Castle i Ida Tucker najwyraźniej prowadzili grę rodem z krainy marzeń, z powodu której w pewnym momencie zaczęli ginąć ludzie. W pewnym momencie bowiem do rozgrywki dołączył seryjny zabójca, który mordował ludzi nie tylko dla zysku. Ten zabójca oczywiście nie zamierzał zrezygnować z korzyści, które mogłyby mu po drodze przypaść w udziale. Traktował je jednak bardziej jak bonus.

– Mam nadzieję, że twarz naszego Castle’a już się zagoiła – powiedziała Pearl, gdy zjeżdżali w stronę lotniska, potwierdzając tym samym domysły Quinna.

– Ja mam nadzieję, że jeszcze nie – odparł Quinn.

Jerry Lido miał dla nich nowe informacje. Wiadomość odebrali zaraz po lądowaniu. Otóż nigdy nie było w Hiszpanii toreadora nazwiskiem Rubin Hasabedo. Ani takiego, który by zasłynął, ani nawet nieznanego. Quinn uznał, że Ida Tucker mogła go wymyślić na poczekaniu. Podobnie jak wymyśliła wiele innych rzeczy. Przystojny Rubin Hasabedo pewnie nigdy nie widział nawet byka z bliska. Niewykluczone, że został przeniesiony z jakiegoś katalogu z odzieżą męską i za pomocą Photoshopa doklejony do całej reszty. Niezły pomysł. Dopóki się człowiek dobrze nie zastanowi, łatwo w to uwierzyć.

Ole! – pomyślał Quinn.

Rozdział 50

Prentis, 1995

Dwayne poczekał na odpowiedni moment, a potem wyjechał z miasta w okresie, gdy mało kto zwrócił na to uwagę. Wybrał czas wiosennej przerwy wakacyjnej. O Honey raczej się już w mediach nie mówiło, tym bardziej że całe rzesze dzieciaków przetaczały się przez Florydę w ramach niekończącej się imprezy. Jakis student drugiego roku z Illinois zdążył już wypaść po pijaku przez balkon z trzeciego piętra w Clearwater, bo wierzył, że uda mu się przeskoczyć na balkon obok Śmiało ogłosił, czego zamierza dokonać, więc zgromadził sobie sporą publiczność z aparatami i kamerami. Jakoś nikt nie zdołał – a może w ogóle nie próbował – odwieść go od tego zamiaru. Na zdjęciach widać, że do pomyślnego zakończenia próby brakowało kilkudziesięciu centymetrów, co tylko wzmogło zainteresowanie ze strony opinii publicznej, a tym samym mediów.

Jak na osobę tak majątną Dwayne nie posiadał zbyt wielu doczesnych dóbr (pomijając nieruchomości oraz fundusz powierniczy). Bez większego wysiłku spałował więc kilka dużych walizek i kartonowych pudeł. Pojechał z nimi najpierw w kierunku przeciwległego wybrzeża, a potem na północ.

Pewnego słonecznego poranka przyszło mu do głowy, że może powinien zapuścić się jeszcze dalej na północ, aż do Nowego Jorku. W mieście roilo się od przybyszów z ambicjami. Jednym się powodziło, innym nie. Niektórym życie potoczyło się w dziwnym kierunku, inni ledwo utrzymywali się na powierzchni. Tamtejsze media zapewne ani słowem nie wspomniały o śmierci Honey, a jeśli nawet, to najwyżej gdzieś na marginesie. Na pewno nie trafiła na jedynkę, jak się to mówi w dziennikarskim żargonie. Kobiety Dwayne'a mogły mu przysporzyć kłopotów, tylko gdyby któraś faktycznie znalazła się na czołówkach.

Zatrzymał się na obrzeżach Saint Augustine, w motelu krytym czerwoną dachówką. Budynek

został wystylizowany na stary, mimo że powstał dopiero kilka lat wcześniej. W pokoju stało niesamowicie wygodne duże łóżko, inspirujące piękne sny. Tamtej nocy Dwayne 'owi wydawało się, że morze coś do niego szepcze. Rano pojechał do miasta i odnalazł budynek miejscowej biblioteki. Bez trudu znalazł informacje na temat Nowego Jorku, szybko też zrozumiał, dlaczego w tym mieście łatwo się zgubić. I dlatego można tam odnaleźć siebie.

*

Droga zajęła mu kilka dni. Podróżował wzdłuż wybrzeża, wcale się nie spiesząc. Na terenie Karolin przez godzinę przyszło mu jechać w silnym deszczu, od czasu do czasu w szybę uderzyła też kulka gradu wielkości grochu. Gdy ulewa na chwilę ustała, zatrzymał się, żeby zatankować. Przy okazji dowiedział się, że za Cape Fear należy się spodziewać huraganu. Zignorował to ostrzeżenie. Pochodził z Florydy, huragany nie robiły na nim wrażenia.

Przez kolejne pół godziny patrzył, jak wiatr wygina drzewa i zrywa z nich liście, a nawet pomniejsze gałęzie. Ten wiatr jednak w żadnym razie nie zasługiwał na miano huraganu. Z głośników w samochodzie odezwał się mężczyzna, który w ramach prognozy pogody dla tej części wybrzeża informował, że wiatr został zdeklasowany do rangi burzy tropikalnej. W jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

Nowy Jork za to zrobił na zabójcy duże wrażenie. Z każdej strony atakował go ogrom bodźców. Gdzieś w pobliżu dostrzegł wśród przechodniów jakąś gwiazdę – chociaż w sumie to mógł też to być po prostu ktoś podobny do niej. Ludzie zdawali się wokół niego płynąć. Znane twarze patrzyły na niego z szyldów i billboardów. Wydało mu się dziwne, że w tym anonimowym mieście można było zyskać sławę niemal z dnia na dzień.

Na każdym kroku napotykało się media. Dwayne nagle stwierdził, że w tym miejscu panują idealne warunki do doskonalenia się w jego rzemiośle. Potencjalnych ofiar miał tu na pęczki.

Interesował go konkretny typ kobiet: blondynka, najlepiej z niebieskimi oczami, raczej nie za chuda. Takie kobiety były w największym niebezpieczeństwie. Poza tym dostrzegał wokół siebie również inne możliwości. Wiedział, że gdy przyjdzie pora, rozpozna je bez trudu. Miał na myśli urodzone ofiary, zawsze padające łupem drapieżnika. On już je dobrze znał, a one wietrzyły zagrożenie – to jednak silniej je przyciągało do niego, niż odstraszało.

Porządku w mieście strzegły dziesiątki tysięcy policjantów, ale Dwayne uważał, że liczni funkcjonariusze będą po prostu wchodzić sobie nawzajem w drogę. Nie dostrzegał wśród nich godnego przeciwnika. Od czasu do czasu zdarzało im się coś zrobić, jak należy, działało się to jednak na tyle sporadycznie, że głównie go to bawiło. Właśnie z tego powodu Dwayne tak bardzo się ucieszył, kiedy w swoich poszukiwaniach natrafił na porucznika policji Francisca Quinna, który zasłynął jako tropiciel (i pogromca) seryjnych morderców. Dwayne uważniej nachylał się nad każdą wzmianką o nim. Ten facet miał w sobie coś pierwotnego. Prowadził prostą grę, w której chodziło przede wszystkim o sprawiedliwość. Zawilości prawne miały dla niego drugorzędne znaczenie. Był twardy i mądry, bywał też niesamowicie wredny. Czasami posłusznie wypełniał

papierki, kiedy indziej darł je na strzępy. Ot, taki dziwny. Wyglądał raczej na zbira niż policjanta, co akurat w jego świecie zapewne stanowiło zaletę.

Jeśli ktoś marzy o wielkim zwycięstwie, powinien sobie wybrać godnego przeciwnika. Quinn, którego nowojorskie media, a także – przy najmniej na pozór – nowojorska policja darzyły niemal czcią, wydawał się idealnym materiałem na łowcę polującego na kogoś takiego jak Dwayne. Czy facet miał odpowiednie doświadczenie i cieszył się respektem na ulicy? Dwayne trzykrotnie przeczytał artykuł na temat Franka Quinna z „New York Post”. Dziennikarz, który przeprowadził z nim wywiad, wygrał redakcyjny los na loterii. To właśnie Quinn rozwiązał kilka spośród najmroczniejszych nowojorskich zabójstw. Dwayne dostawał wzrodu już na sam widok jego zdjęcia.

„Times” przedstawiał Quinna jako komputer w ciele człowieka. Autor artykułu twierdził, że detektyw zawsze jest co najmniej dwa kroki przed przeciwnikiem, że nic go nie jest w stanie złamać ani pozbawić woli walki. To właśnie ten człowiek miał się stać głównym rywalem Dwayne’a – przeciwnikiem siedzącym po drugiej stronie planszy. Bo Dwayne traktował Nowy Jork jako łowisko. Opracował również swój podpis, żeby policja nie miała problemu z przypisywaniem mu popełnionych przez niego zbrodni. Dwayne chciał, żeby oni wiedzieli, że to właśnie on odbiera tym kobietom życie, że to on sprowadza na nie piekło, że flirtuje – choć zawsze na flircie się kończy – z myślą o odejściu razem z nimi.

Od czasu do czasu przesyłał też pewne informacje do prasy. Czasami zdawały się pomagać policji, dopiero z perspektywy czasu okazywało się, że większość z nich, a być może nawet wszystkie, tylko komplikowały detektywom zadanie. Dwayne uśmiechnął się na myśl o swoim podpisie, o literach D.O.A. Ścigający go stróże prawa zapewne założą, że to skrót od określenia *death on arrival*, śmierć na miejscu. Nikt nie powiąże ich z inicjałami pasującymi do nazwiska Dwayne Oren Aikens. Pewnie nikt w ogóle nigdy nie stwierdzi, że jakiś Dwayne Oren Aikens w ogóle istnieje. A zabójca znany jako D.O.A. będzie mordować z coraz większą częstotliwością i coraz większym okrucieństwem. Quinn i jego sługusy nigdy go nie znajdą, nigdy nie powstrzymają. Stróże prawa, również Quinn, zaczną go darzyć respektem, a nawet mu zazdrościć. On już trochę znał policjantów. Wiedział, jak myśleli. Wiedział, że w końcu zalezie im za skórę.

Z początku nie będą potrafili się do tego przyznać nawet sami przed sobą, ale w pewnym momencie stanie się jasne, że mu zazdroszą. Że mu zazdroszą tego, co potrafi, tego, kim jest. Choć sami nie znaleźliby w sobie dość odwagi, aby się na coś takiego zdobyć, aby czegoś takiego doświadczyć. Nie zdołaliby przełożyć na rzeczy wistość tego, co się rozgrywało w teatrach ich umysłów. Mogli się tylko domyślać, jak to jest. Jak to mogłoby być. Co nigdy nie stanie się ich udziałem. Czego nigdy nie doświadczą.

Dwayne zatrzymał się na chwilę przy schodach do Metropolitan Museum. Usiadł i przyglądał się przechodzącym kobietom – w różnym typie, różnie ubranym. Mijały go w takich wyrafinowanych, ale swobodnych strojach, w dzinsie noszonym jakby z pogardą. Przechodziły też wyfiokowane eleganki w strojach biznesowych (tyle że na nogach zamiast szpilek miały wygodne buty). Zdarzały się studentki w okolicach dwudziestki, z nieuczesanymi włosami i prawie bez makijażu, ale też modelki przemierzające chodnik krokiem rodem z wybiegu. Widywał urzekające urokiem intelektualistki, które być może szukały właśnie potencjalnie zainteresowanego naukowca lub wydawcy. Spotykał płynące pod prąd nastolatki, które czyniły

dopiero pierwsze nieporadne kroki w świecie seksu i narkotyków. Te wszystkie kobiety miały się za piękności, chociaż do ideałów uwiecznionych na obrazach i posągach eksponowanych w muzeum było im bardzo daleko. Piękno tamtych zostało uwiecznione w ponadczasowej formie, którą teraz podziwiać mogli wszyscy zwiedzający.

Na schodach dostrzegł drobną blondynkę, która miała w sobie coś zadziornego. Ot, taka drobna przyjemność dla oka. Dwayne nagle sobie uświadomił, że się uśmiecha. Śmierć Honey Carter sprawiła mu bardzo dużo przyjemności. Zaintrygowała go. Honey umierała powoli, centymetr po centymetrze, oddech po oddechu. Żałował tylko, że jego tam nie było i nie miał okazji tego oglądać.

Rozdział 51

Nowy Jork, czasy obecne

– No to już wiemy, na czym stoimy – powiedziała Helen do Quinna.

Sal i Harold właśnie wyszli, mieli za chwilę przejąć wartę przy Weaver. Fedderman spędzał czas z Penny, usiłując ratować ich małżeństwo, a Pearl była z Jody, w związku z czym w biurze znajdowali się tylko oni. Quinn nalał sobie z bulgoczącego ekspresu kubek paskudnej, ale cieplej kawy. Podszedł z nim do Helen.

– A niby na czym? – zapytał. – Na czym stoimy?

– Mamy rodzinę lub coś, co w dzisiejszych czasach można nazwać rodziną, która widzi sens swojego istnienia w poszukiwaniu zagubionego dzieła sztuki.

– *Bellezza*... – wtrącił Quinn. – Może jest aż tyle warta, że warto jej szukać – wzruszył ramionami – ale to przecież żaden Święty Graal.

– Dla nich nie ma różnicy – odparła Helen. – Być może ten brak więzów krwi powoduje, że jeszcze bardziej potrzebują jakiegoś zewnętrznego sensu.

Quinn dostrzegł w tym jakąś pokręconą logikę. Cała ta gra była pokręcona.

– Jedno wiem na pewno – stwierdził. – Jak się z nimi rozmawia, to kłamią równie często, jak mówią prawdę. Nie można wierzyć w nic, co mówią, dopóki nie uda się tego potwierdzić w inny sposób.

– Oni po prostu mają inne spojrzenie na fakty – odparła Helen.

– W sali sądowej takie rozróżnienia przestają mieć znaczenie.

– Czy udało się ponad wszelką wątpliwość ustalić, że to Michał Anioł faktycznie jest autorem *Bellezzy*? – zapytała Helen.

– Kościół twierdzi, że *Bellezza* nigdy nie istniała, ani ta z krwi i kości, ani ta z marmuru. My jednak wiemy, że to nieprawda. Plotka głosi, że gdy Niemcy zajmowali Francję, znajdowała się

w posiadaniu kolekcjonera nazwiskiem Samuel Gundelheimer.

– To był jednocześnie znany paryski bankier.

– Skąd ty to wiesz?

– Przyjrzałam się rodzinie Gundelheimerów – wyjaśniła Helen.

– Wydawało mi się, że to nie wchodzi w zakres twoich kompetencji – powiedział Quinn.

Helen tylko wzruszyła ramionami.

– Jestem Żydówką.

Powiedziała to w taki sposób, że Quinn wiedział, iż to dopiero wprowadzenie do tematu, więc czekał. Helen skrzyżowała długie ramiona na piersi. Przez chwilę jakby toczyła walkę z sobą, w końcu jednak postanowiła podzielić się swoją wiedzą:

– Samuel Gundelheimer i jego żona Rebecca trafili do Bergen-Belsen w czterdziestym czwartym roku – powiedziała. – To ostatnia wzmianka o nich czy kimkolwiek z rodziny Gundelheimerów. Tyle że oni mieli jeszcze córkę Elnę, która miała wtedy trzynaście lat, i ośmioletnich bliźniaków, Jacoba i Isadora. Dziewczynka nie była nazistom do niczego potrzebna, chłopcy byli za mali, żeby pracować w obozie. Istnieją pewne wskazówki, choć nie do końca pewne, że Samuel i Rebecca Gundelheimerowie umarli na tyfus w czterdziestym piątym roku. Dzieci najprawdopodobniej trafiły do innych obozów i zasilily szeregi niezidentyfikowanych ciał. Być może zostały zagazowane albo wykorzystano je do eksperymentów medycznych, zwłaszcza bliźnięta. Potem ich ciała zapewne spalono. Mogły też spocząć w masowym grobie w pobliżu obozu wraz z tysiącami innych ciał.

– Boże!

– Bóg to chyba wtedy gdzieś zginął... – stwierdziła Helen, a Quinn ze zdumieniem skonstatował, że w jej oczach pojawiły się łzy. – Patrzy się na to w internecie i to się nagle staje takie rzeczy wiste... jeśli tylko człowiek na to pozwoli. Moja prababcia... Moja... – Więcej już nic nie była w stanie powiedzieć.

Quinn chwycił chusteczkę i wyszedł zza biurka, żeby podać ją Helen. Złożyła ją na cztery i przytknęła do oczu. Quinn poklepał ją po ramieniu.

– Wszystko w porządku, kochana.

Ona tylko pokręciła głową.

– Ludzie zmieniają się w potwory. Jak to w ogóle jest możliwe?

Teoretycznie powinniśmy to wiedzieć. Quinn podał jej jeszcze jedną chusteczkę, po czym usiadł na rogu biurka.

– Nie przypuszczasz chyba, że ta sprawa ma cokolwiek wspólnego z Holocaustem...

– Wszystko i nic zarazem – odparła Helen. Przyłożyła chusteczkę dwukrotnie do każdego oka, po czym wsunęła ją do kieszeni. – Samuel i Rebecca Gundelheimerowie nie zamierali oddawać wrogowi arcydzieł tego świata.

– Wróg i tak sporo ich zdobył – zauważył Quinn. – Chociaż dużą część z tego udało się odzyskać.

– Nasza piękność się w ich ręce nie dostała – stwierdziła Helen. – Dzięki Gundelheimerom i kilku innym osobom.

Quinn już miał się do niej uśmiechnąć, ale zaraz uznał, że mogłaby to źle zrozumieć.

– Pewnie myślimy teraz o tym samym.

Helen skinęła głową.

– Seryjny zabójca rozmawia z Grace Geyer, która za chwilę ma się stać jego ofiarą. On nagle mówi coś, co wzbudza jego zainteresowanie. On wydobywa od niej nieco więcej informacji i stwierdza, że być może trafił na coś naprawdę ciekawego. Postanawia dobrać się do czegoś, co może się okazać cennym zaginionym dziełem sztuki.

– Tyle że pewnie potrzebuje dodatkowych informacji.

– No właśnie. Idzie za Grace i innymi do hotelu Fairchild. Ma zamiar torturami wydobyć informacje z Andrii Bell. Zakłada, że będzie z nią sam, że nie będzie się musiał spieszyć. W końcu to ona tam jest ekspertem. Potem jednak stwierdza, że jej pokój sąsiaduje z drugim, w którym mieszka pięć uczennic, w tym Grace Geyer. Dochodzi do masowego morderstwa. Dopiero potem zabójca przystępuje do straszliwych, choć niezwykle wprawnie przeprowadzonych tortur i zdobywania informacji. W tym momencie ścieżki jego i naszej nadpobudliwej rodziny się krzyżują.

– Grace pewnie dużo nie wiedziała – stwierdził Quinn. – Andria za to mogła nie chcieć mówić.

– Są takie tortury, które każdego skłonią do mówienia – odparła Helen, a w jej głosie pobrzmiwał smutek – Każdego bez wyjątku.

Quinn napatrzył się już w życiu na ofiary tortur i zabójstw. Wiedział, że Helen ma rację. Ona przez chwilę jeszcze milczała, ale z jej oczu nie płynęły już łzy. Ciągle się tylko rumieniła, co uwydatniało jej piegi.

– Czy nadal myślimy o tym samym? – zapytała.

– O plecaku Henry'ego Tuckera... – odparł Quinn.

Helen zdobyła się na grymas podobny do uśmiechu.

– Znajdziesz to, co było w środku. Znajdziesz te listy.

– Skąd ta pewność? – zapytał.

– Już ja cię znam.

Rozdział 52

Honor Tripp spojrzała na mężczyznę, który siedział po drugiej stronie stolika. Uznała, że ma szczęście. Przynajmniej na razie... Umówili się dotychczas tylko trzykrotnie, zjedli wspólnie trzy kolacje i obejrzelili dwa przedstawienia teatralne. Żadne nie było specjalnie dobre, ale w sumie im to nie przeszkadzało. Dobrze się dogadywali. W przeciwieństwie do wielu innych ten mężczyzna wydawał się nią autentycznie zainteresowany. Interesowało go, czym się zajmuje i kim jest. Interesowało go, co myśli. Chyba ją lubił. Pewnie nawet więcej, niż tylko lubił. Jedyne, co odrobinę niezchęcało Honor do Jamesa Boltona, to jego jakaś taka tajemniczość. Wydawał się mistrzem uników, jeśli chodzi o odpowiadanie na pytania.

Widocznie jest po prostu nieufny, tak sobie powtarzała. Jak zresztą większość mężczyzn. Jak większość ludzi w społeczeństwie złożonym z singli. Jak się człowiek któryś raz sparzy, to potem buduje wokół siebie mury obronne. Honor potrafiła to zrozumieć, więc wykazywała się dużą cierpliwością. Cały czas jednak się zastanawiała. Podejmowała kolejne próby. Taka już była.

– Domyślam się, że nie urodziłeś się w Nowym Jorku? – zapytała, spoglądając na Boltona z drugiej strony stolika w Beaux Arts Espresso w Village.

Jego usta powoli rozchyliły się w uśmiechu. To właśnie ten uśmiech sprawił, że się nim zainteresowała. Gdy się tak uśmiechał, ledwo widoczna blizna na policzku lekko się marszczyła. Poza tym zainteresował ją jego strój, zupełnie zwyczajny: ciemne spodnie i szara koszula z długim rękawem podwinięty prawie do łokci. Dostrzegła też coś niezwykłego w jego dłoniach. Wydawały jej się jednocześnie silne i czułe. Przez cały czas czegoś dotykały, a to kubka z kawą, a to wazonika ze stroikiem, a to grzbietu jej ręki czy palców... Honor doszła do wniosku, że chyba to najbardziej ją w nim pociągało – to jego pragnienie dotykania.

Bolton nie odpowiedział. Honor przekrzywiła głowę, robiąc minę we własnym mniemaniu jednocześnie zdumioną i ży czliwą.

– No to skąd jesteś?

– Z okolicy. Teraz mieszkam na East Side, niedaleko First Avenue i Pięćdziesiątej Siódmej.

– Ładne miejsce, chociaż nie powiedziałabym, że to blisko. A co robisz tutaj, w Village?

Wziął łyk kawy i uśmiechnął się, spoglądając na nią przez parę unoszącą się nad kubkiem. Ta para jeszcze dodawała mu tajemniczości.

– Przeszedłem tu za tobą, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem – powiedział.

Honor trochę się zdziwiła, choć jednocześnie jej to schlebilo. Nie była brzydka, miała niezłą figurę, ale też w żadnym razie nie zasługiwała na miano *femme fatale*, która porywa za sobą mężczyzn i ciągnie ich jak na sznurku. *Chociaż kto wie?*

– Dlaczego za mną siedles? – zapytała, również popijając kawę. – Nie miałeś nic lepszego do roboty?

– Nie ma nic lepszego do roboty.

– Ale dlaczego akurat ja?

– Po pierwsze dlatego, że mi się podobałaś. Wyszłaś z Marlborough Book Shop i przy stanęłaś przy krawężniku, żeby przejść przez ulicę. Wyglądałaś, jakbyś pozowała. Wyszłoby z tego piękne zdjęcie. Ten obraz coś we mnie obudził. Musiałem przejść na drugą stronę i spróbować poznać cię lepiej. Dowiedzieć się, co myślisz...

– Co myśłę o czym?

– Oj, no wiesz... Czy Szekspir napisał wszystkie swoje sztuki...

– Chcesz wiedzieć, co myśłę na ten temat?

– Absolutnie!

– A co ty na ten temat myślisz?

– Nie mam pojęcia – odparł.

Udała kłaśnięcie w dłoń.

– No nareszcie! Czy ty sobie zdajesz sprawę, jaki z ciebie rzadki okaz?

– Nie do końca.

– Mężczyzna, który rozumie, że nie wie wszystkiego.

Uśmiechnął się.

– Coraz więcej mężczyzn się o tym przekonuje.

Znowu przekrzywiła głowę i spojrzała na niego dociekliwie. Czy mówił poważnie? Czy tylko się zgrywał, żeby jej się przy podobać? *Może powinnam zagrać w otwarte karty i po prostu go o to zapytać?*

– Czy żbyś niniejszym przytaczał feministyczne argumenty? – zapytała.

– Po co miałbym to robić?

– Żeby mnie do siebie przekonać.

– Szczercze powiedziawszy, użyłbym każdego argumentu, który mógłby mi pomóc lepiej cię poznać.

– Uciekłbyś się przy tym do kłamstwa?

– Nie wydaje mi się, żebym cię musiał okłamywać. Bratnie dusze nie mają tajemnic, w każdym razie nie przed sobą nawzajem. Po prostu nie potrafiłyby ich mieć.

Spojrzała na niego z jeszcze większą uwagą, jak gdyby próbowała dojrzeć gdzieś na jego ubraniu coś, co by go zdradziło. Jakiś sygnał ostrzegawczy.

– Dobrze – powiedziała. – To powiem ci prawdę.

– Niczego innego od ciebie nie oczekuję.

– Nie weszłam do tej księgarni, żeby kupić książki. Weszłam, żeby zobaczyć, czy mają w ofercie moją.

Z początku nie rozumiał, ale potem się rozpromienił.

– Jesteś pisarką?

– W rzeczy samej. – Od razu poczuła się głupio. – To znaczy: tak Tak, jestem pisarką.

– A ile...

– To moja pierwsza powieść.

– Skąd...

– Pomysły czerpię z życia. Z doświadczeń takich jak to.

– Jaki ma...

–...ty tu? – dokończyli pytanie jednocześnie.

– *Dziwy na pastwisku* – odparła. – To powieść kryminalna w stylu westernu z wątkami kulturowymi i kulinarnymi.

– Słyszałem właśnie, że coraz więcej kobiet pisze kryminały – powiedział.

– Miałaś okazję jakiś przeczytać?

– Teraz będę mieć.

– Zdecydowanie powinieneś. Dobrych pisarek nie brakuje. Sara Paretsky, Sue Grafton, Linda Barnes, Nancy Pickard...

– Znasz je osobiście?

– Spotykamy się na konwencjach.

Wyprostował się na krześle i uśmiechnął szeroko.

– Fajnie! Znam prawdziwą pisarkę.

Ona uśmiechnęła się jakby niepewnie.

– Wątpię, czy to aż tak odmieni twoje życie...

– Bzdura. Już je odmieniłaś.

Sięgnął przez stolik i lekko dotknął grzbietów obu jej dłoni. Z jego palców zdawał się płynąć delikatny prąd.

– Sam się często zastanawiam nad napisaniem książki.

Cofnęła ręce i ponownie przekrzywiła głowę w ten charakterystyczny dla siebie sposób.

– Coś mi powiedz. Czy ty przypadkiem nie zaplanowałeś tego spotkania po to, żeby nawiązać ze mną znajomość i żebyś mi pomógł znaleźć wydawcę?

Sprawił wrażenie szczerze zaskoczonego. Aż uniośł palce i położył rękę na sercu.

– Absolutnie nie. Ludzie naprawdę tak robią?

– Częściej, niżby ci się wydawało.

– Ja tylko myślałem o napisaniu książki. Jeszcze nawet nie próbowałem.

To stwierdzenie wzbudziło zainteresowanie Honor.

– Dlaczego nie?

– Pewnie dlatego że nie jestem pisarzem. A kiedy ty właściwie stwierdziłaś, że jesteś pisarką?

– Zawsze to wiedziałam.

– Ja jakoś nigdy nie wiedziałem i nadal nie wiem.

– Ale chciałbyś pisać.

– Chyba tak.

– To może nie będziesz wiedział na pewno, dopóki nie spróbujesz.

Roześmiał się.

– Nawet nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać.

– Mam w domu pełno książek o tym, jak nauczyć ludzi pisać.

Słowa same płynęły jej z ust. Nagle zrobiło jej się głupio. Żałowała, że nie może cofnąć tego, co właśnie powiedziała. On znowu dotknął jej dłoni.

– Na pewno mogę do nich zajrzeć. – Wzruszył ramionami. – Kto wie, może zostaną kolejną Nancy Paretsky.

– Wszystko jest możliwe – odparła Honor. – Może nawet rozwiążesz tę tajemnicę, o którą pytałeś.

– Jaką tajemnicę?

– Tajemnicę Szekspira.

– Ty pewnie mogłabyś mi o tym wszystkim powiedzieć więcej niż te wszystkie książki.

– Pewnie tak, gdybyś zadawał odpowiednie pytania.

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Miała nadzieję, że tego nie zauważył. Aby odwrócić jego uwagę, sięgnęła po kawę.

– Mogłabyś mi podpowiedzieć, jakie pytania należy stawiać – powiedział.

– Na poezji się nie znam – padła odpowiedź.

– Mnie by to nie robiło różnicy.

Honor wykonała w głowie rzut monetą, mimo że dobrze wiedziała, iż rewers niczym się od awersu nie różni.

– Mieszkałam tylko kilka przecznic stąd – powiedziała.

Zabójca wiedział, gdzie dokładnie, ale postanowił się z tym nie zdradzać. Nie widział powodu, żeby jej mówić, że poprzedniego wieczora poszedł za nią do domu. W tamtym momencie przyszło mu nawet do głowy, by od razu złożyć jej wizytę. Wiedział jednak, że powinien poczekać na lepszy moment. Teraz zostawił napiwek i wyszli z kawiarni. Jej uwagę zwróciło czarne skórzane etui nieco przypominające torebkę, które nosił przewieszzone przez ramię. Najwyraźniej wcześniej go nie zauważyła, bo znajdowało się pod stolikiem.

– Co to takiego? – zapytała.

– Czasem się o tym mówi europejski portfel. – Prawdę powiedziawszy, taką nazwę widywał tylko w reklamach. – Inni nazywają to męską torebką. – Uśmiechnął się szeroko. – Ja wolę nazwę europejski portfel.

– Mnie się całkiem podoba ta męska torebka – oceniła, zresztą zupełnie szczerze. Lubiała mężczyzn, którzy mieli odwagę się wyróżnić. – Co tam nosisz?

– Różne rzeczy, których potrzebuję.

– Do czego? – zapytała nieśmiało.

– Do różnych celów.

– Do tego, żeby zostać u kogoś na noc, a mimo to rano występować w czystej koszuli ze świeżo ogoloną twarzą?

– Tak, do tego też – odparł, upewniając się jednocześnie, że skórzana torebka jest zamknięta.

Część piąta

Gotowanie stało się sztuką

– Robert Burton, *Anatomy of Melancholy*

Rozdział 53

– Napisała kryminał kulinarny – stwierdził Fedderman.

Znajdowali się w mieszkaniu Honor Tripp. Ona sama leżała martwa na łóżku, na plecach. Nadgarstki i kostki miała związane. Już nigdy nie będzie jej dane rozprostować nóg, niczego już bowiem nie będzie miała okazji zrobić. Z wyrazu jej twarzy można było wyczytać, że umierała w bólu. Widoczne na jej nagim ciele ślady po nożu i przypalaniu papierosem tylko potwierdzały, że ból musiał być bardzo dotkliwy.

W mieszkaniu oprócz Feddermana znajdowali się również Quinn i Pearl, a także kapitan Harley Renz. Ten ostatni przyjechał prosto ze swojego gabinetu, gdy tylko dowiedział się o zabójstwie i literach D.O.A. wyciętych na czole ofiary. Na miejscu pracował już paskudny drobny patolog. Stał z rękami na biodrach i spoglądał z góry na to, co zostało z Honor Tripp.

– Gdyby ją wyprostować – stwierdził Nift – to prezentowałyby się zupełnie nieźle.

Nikt nie zwrócił uwagi na ten komentarz. Detektywi nie przywiązywali też większej wagi do techników kryminalistycznych, którzy krzątali się po mieszkaniu. Patolog działał na nerwy tylko Pearl. Quinn usłyszał, że Pearl bierze nieco głębszy wdech. Poczł, jak jej ciało się napina. Nift potrafił zaleźć jej za skórę, o czym zresztą doskonale wiedział niemal od samego początku ich znajomości. Ona zaś nie miała innego wyjścia, jak tylko cierpliwie znosić jego zachowanie.

– Kryminał kulinarny... – powtórzył Renz. – Pewnie zdradziła zabójcy kilka swoich sekretnych przepisów.

– On na pewno ją o nie zapytał – stwierdził Quinn.

– Zwłaszcza o te na kruche mięsa – dorzucił Nift.

– Zajmij się swoją robotą – polecił mu Quinn, wyczuwając, że Pearl zaraz wybuchnie.

– Ależ oczywiście – odparł Nift na pozór zupełnie bez troski. Jako wskaźnik wykorzystywał bagnet z nierdzewnej stali. – Litery na czole zostały wycięte po śmierci, z czego jednak absolutnie nie należy wnioskować, żeby zabójca okazał swojej ofierze jakąkolwiek litość. Po prostu zależało mu na tym, żeby to nie krwawiło tak bardzo jak wtedy, gdy jeszcze bije serce. Dzięki temu czyściej je wychodzi, a napis jest bardziej czytelny.

– D.O.A. To chyba oczywisty przekaz – stwierdziła Pearl. – Śmierć na miejscu.
– Kto wezwał policję? – Quinn zwrócił się z tym pytaniem do Feddermana.
– Sąsiad z mieszkania obok. Powiedział, że około północy dobiegły go jęki i szlochy. Trwało to ponad godzinę. Wkrótce potem usłyszał, jak ktoś wychodzi.

– Słyszał i nic nie zrobił?

– Podobno się nad tym zastanowił i postanowił nic nie robić. Przypuszczał, że sąsiedzi mogą po prostu uprawiać seks.

– Tak, że przy tym płaczą? – zdziwiła się Pearl.

Nift się uśmiechnął i powiedział ty lko:

– Dziwy na pastwisku.

– Ten sąsiad dalej jest u siebie? – zagadnął Quinn Feddermana, zanim Pearl zdążyła zafundować Niftowi jakiś przytyk.

Odpowiedział mu Renz:

– Tak, rozmawiałem z nim już po Feddermanie.

Renz nie miał na sobie munduru. Sąsiad prawdopodobnie założył, że ma do czynienia ze zwykłym detektywem, tyle że w eleganckim garniturze.

– Nazywa się Justin Beck. Kiedyś pracował jako inżynier.

– Północ by się zgadzała jako przybliżony czas zgonu – powiedział Nift. – Precyzyjniej będę mógł ustalić go później. – Oparł się pokusie zajrzenia Pearl w dekolt, zrezygnował też ze złośliwości, ale się uśmiechnął. – Honor Tripp i ja odbędziemy jeszcze randkę w prosektorium. Ona mi wtedy zdradzi swoje najgłębiej skrywane tajemnice.

– To jest nienormalne... – wymamrotała Pearl pod nosem.

– Ty i Quinn się tym zajmiecie – powiedział Renz.

– Tak! mieliśmy plan – odparł Quinn. Pamiętała, że Jeanine Carson również zginęła około północy. To popularna pora na morderstwa. Łatwo o alibi.

Renz westchnął nieco przesadnie, po czym rozejrzał się po zakrwawionej sypialni, trochę jak zwierzę poszukujące drogi ucieczki.

– Będę w swoim gabinecie na posterunku – oznajmił, gdy w końcu ją dostrzegł.

Quinn spojrzał na Pearl.

– Chodź, porozmawiamy z panem Beckiem.

– Mną się, kochani, nie przejmujcie. – Nift zrećźnie operował swoim narzędziem. – Jeszcze tu trochę zabawię.

– Niech ci się nie wydaje – odparła Pearl – że będziemy o tobie myśleć. Ludzie twierdzą, że jesteś porąbany, i mają rację. Całe szczęście, że nie masz żadnej realnej władzy.

Nift pozostał niewzruszony, za co tym razem Quinn go podziwiał. Z Pearl czasem ciężko się pracowało.

– Zostanę tu i dotrzymam Niftowi towarzystwa – stwierdził Fedderman, żeby uspokoić Pearl.

– Tylko trzymaj się z dala od ciała – nakazał Nift. – Jeszcze coś by ci spadło z garnituru i zniekształciło pierwotny obraz miejsca zbrodni.

Nie zwracając uwagi na patologa, Quinn zwrócił się do Feddermana:

- Jeśli powie coś, co ci się nie spodoba, to go zastrzel.
- Najpierw zawołaj mnie – powiedziała Pearl – żeby ci mogła pomóc.
- Tylko się upewnijcie, że on się znajdzie w waszym polu ostrzału – dodał Quinn.
- Może i jestem tylko pionkiem w tych dramatycznych scenach, ale to mnie się zawsze dostaje dziewczyna.

Rozdział 54

Manhattan, wcześniej tego samego ranka

Zabójca siedział w ogródku restauracyjnym prawie całą przecnicę od budynku, w którym mieszkała i umarła Honor Tripp. Na działanie promieni słonecznych wystawiał tylko gołe przedramiona, oparte o ciepły blat metalowego stolika. Poza tym krył się głęboko w cieniu dużego zielonego parasola, który wyrastał ze stolika.

Wydarzenia rozgrywane się nieco dalej zapewniały mu dobrą rozrywkę, tym bardziej że kelner właśnie postawił przed nim zimne piwo i że sam był sprawcą całego tego zamieszania. Scenariusz został napisany i zrealizowany. Jego scenariusz.

Zabójca powoli sączył piwo i patrzył, jak funkcjonariusze realizują dobrze przećwiczone procedury i próbują dopasować do siebie niezbyt obszerny i momentami mylący materiał dowodowy, który posiadali – a w każdym razie myśleli, że posiadają. Przed budynkiem stały karetki i radiowozy z kilku posterunków, a wokół nich krążyli detektywi w cywilnych ubraniach, do których wszyscy pozostali odnosili się jak do możnowładców. Pośród jasnych świateł poranka rozbłyskały koguty w różnych kolorach, nadając okolicy nieco niestandardowych barw. Na miejsce przyjechał też wóz transmisyjny z dobrze widoczną nazwą lokalnej stacji telewizyjnej i anteną satelitarną. Wysiadła z niego cała ekipa, która czym prędzej przystąpiła do pracy. Wszystko zdawało się kręcić wokół prezenterki w obcisłej spódnicy i wyciętej bluzce. Wiatr rozwiewał jej włosy, więc asystentka co chwilę podbiegała, żeby je poprawić i utrwalić lakierem w aerozolu.

Scena po morderstwie. Jakież inny widok mógłby się z nią równać...

Zobaczył ciało, jeszcze wczoraj należące do pięknej dziewczyny, która wpadła w jego ręce. Teraz wieziono je na noszach do karetki czekającej w pobliżu z otwartymi drzwiami. Ratownicy medyczni pracowali bardzo sprawnie, ale raczej bez pośpiechu. „Tempo! Tempo!” – miał ochotę

do nich zakrzyknąć niczym reżyser niemego filmu poganiający swoich aktorów. Trudno wyobrazić sobie bardziej pokrępiącą opowieść. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej poruszającego. Zabójca domyślał się, jak się musi czuć podpalacz, gdy podziwiał wzniesiony przez siebie pożar. Jak się musi czuć Bóg. „Tempo! Zostawcie ją. Niech spróbuje się wygramolić z tej karetki! Niech wyda z siebie ostatnie tchnienie!” Ale oczywiście wiedział, że nic takiego nie może się wydarzyć. Nie mogło od wielu godzin. Już on o to zadbał.

Jego uwagę zwrócił pulchny policjant w dobrze skrojonym granatowym garniturze. Wyszedł z budynku i odjechał nieoznakowanym czarnym fordem prowadzonym przez funkcjonariusza w mundurze. Czyli na miejsce zbrodni przybyła nawet wierzchuszka nowojorskiej policji. To tylko potwierdzało, że te morderstwa mocno wstrząsają miastem. Zabójca po cichu dziękował za to mediom. Naprawdę powinien zadzwonić do twórców *Minnie Miner ASAP* i wyrazić swoje uznanie dla kobiety, która nakręcała cały ten cyrk.

W pobliżu stał inny nieoznakowany samochód, który niewątpliwie również należał do policji. Świadczyła o tym choćby przysadzista antena zamontowana na bagażniku. Wóz był ustawiony krzywo na chodniku, tak jak go zaparkowali Quinn i towarzysząca mu policjantka w cywilu, Pearl Kasner. Obok zatrzymał się inny ford, mocno wgnieciony. Przy wejściu do mieszkania ustawiono się dwóch policjantów w mundurach. Przybyli zapewne radiowozem stojącym kawałek dalej. Wgniecionym fordem przyjechał drobny facet o beczkowatej klatce piersiowej, który niósł dużą czarną torbę. Najpewniej patolog. Zabójca pomyślał, że lekarz chyba się trochę spóźnił. *Może przed następnym morderstwem powinien dostać pisemną reprimendę.*

Grupa brzęczących jak pszczoły techników kryminalistycznych zaparkowała swoją furgonetkę niemal dokładnie przed szklanymi drzwiami do budynku. Kobieta ubrana cała na biało, z rękawiczkami włącznie, wyjęła coś z samochodu i czym prędzej udała się do środka. Przed furgonetką zatrzymała się jeszcze druga karetka, ale najwyraźniej nie spieszyło jej się do odjazdu. Jeśli w środku znajdowała się jeszcze jakaś ofiara, to prawdopodobnie z tych, z którymi nie ma pośpiechu.

W spokojnej okolicy East Village zapanowało nagle niezwykle poruszenie. Z chodnika naprzeciwko budynku całej scenie przyglądały się grupki ludzi. Kilku klientów siedzących przy metalowych stolikach przed restauracją też zwróciło uwagę na to, co się dzieje kawałek dalej, nikt jednak nie zdecydował się z tego powodu przerwać posiłku i podejść bliżej. Nowy Jork, ot co. To jego mieszkańcy musieli wymyślić naklejkę na zderzak z napisem: „Wypadki chodzą po ludziach!”.

Zabójca siedział i obserwował rozwój sytuacji – rozwój nakreślonego przez siebie scenariusza. Honor Tripp opuściła budynek raczej bezceremonialnie, w czarnym worku. Nie było widać jej twarzy i to go trochę rozczarowało. Gdy gwiazda spektaklu zesza ze sceny, przedstawienie powoli zaczęło zmierzać ku końcowi. Tłum gapiów jakby stracił zainteresowanie i zaczął się przeredzać. Odjeżdżały też jeden po drugim samochody policyjne i karetki. Wkrótce na miejscu pozostał już tylko samochód Quinna i Pearl.

Teraz wewnątrz mieszkania nie działo się już nic nadzwyczajnego. Należało przesłuchać policjantów, zebrać oświadczenia. Niewykłuczone, że ktoś jeszcze raz rzuci okiem na mieszkanie Honor Tripp, mimo że zostało ono już dokładnie przebadane przez techników. Nudna i żmudna analiza miejsca zbrodni to ważny element pracy policji. Robi się to dopóty, dopóki nie uda się znaleźć czegoś interesującego... Co wszakże nie zawsze okazuje się przydatne.

Zabójca zwracał uwagę na to, czego dotyka przed włożeniem lateksowych rękawiczek. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie zostawił na miejscu zbrodni ani odcisków palców, ani żadnych płynów ustrojowych. Założył nawet prezerwatywę, tak na wszelki wypadek. *Przykro mi, drodzy panowie policjanci. Nie znajdziecie DNA.*

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno. Tak jak zaplanował to zabójca. Tak że nie po raz pierwszy w jego głowie pojawiła się myśl, że to wszystko ma taki trochę biblijny charakter. „Zabawa w Boga”, tak to scharakteryzowała Minnie Miner w swoim wieczornym programie informacyjnym. Zabójca odchylił głowę do tyłu i dopił piwo. Bóg pozwolił, żeby mu się odbiło. Wyszedł z lokalu usaty sfakcjonowany.

Rozdział 55

Nowy Jork, trzy lata wcześniej

Quinn jadł właśnie śniadanie, kiedy odezwał się jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz i stwierdził, że dzwoni Renz. Nie miał ochoty z nim teraz rozmawiać – Renz posiadał niezwykły talent do psucia pierwszego posiłku dnia, nawet przez telefon – ale wiedział, że powinien odebrać, bo z wiecznie zajęтым i ambitnym komisarzem trudno się było zwykle skontaktować. Wcisnął więc odpowiedni guzik i powitał rozmówcę słowami „dzień dobry”.

– Obawiam się, że za chwilę zmienisz zdanie w tej kwestii – odpowiedział mu Renz.

– Też mi niespodzianka...

– Co to ma znaczyć?

– Jak ty razem popsujesz mi apetyt, Harley?

– Nie wiedziałem, że jesz śniadanie. Gdybym wiedział, tobym nie dzwonił.

– Ależ nie krępuj się, Harley, śmiało.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku w hotelu w Sarasocie na Florydzie znaleziono ciało torturowanej i zamordowanej kobiety. Nazywała się Linda Bracken. Na czole miała wyryte litery D oraz O, a do tego coś nieczytelnego. Sprawca torturował ją nożem oraz rozżarzonym papierosem. W grudniu dwa lata później na obrzeżach jakiejś dziury o nazwie Prentis, również na Florydzie, ale na północ od Sarasoty, znaleziono niejaką Honey Carter. Zabił ją potężny pyton...

Quinn odjął od ust widelec, na który zdążył już nadziać jajka.

– Co takiego?

– Pyton, taki wąż. Te potwory dorastają do siedmiu i pół metra. Potrafią zabić nawet dwupółmetrowego aligatora. Słowem, dobrze sobie żyją na tych bagnach. Jeden taki zawinął się wokół Honey Carter i zadusił ją na śmierć. Potem zaczął ją zjadać. Te stwory otwierają szeroko

paszcze i poszerzają je, żeby ofiara zmieściła się w środku w całości.

Quinn odłożył widelec na talerzyk

– Jezu Chryste! Czy li mówisz, że to wąż ją zabił?

– Na to wygląda. Tyle że ktoś w tym uczestniczył, bo pyton raczej nie palił papierosów, a tymczasem na jej ciele znaleziono oparzenia wykonane w dobrze nam znany, przemyślany sposób. Ktoś jej przykładał papierosa do powiek, do kącików ust, za uszami.

– Czyli to pewnie ten sam zabójca co w przypadku Lindy Bracken – stwierdził Quinn – tyle że wtedy obyło się bez węża.

– Linda Bracken, Honey Carter... – podsumowywał Renz. – To wszystko pasuje do D.O.A. Chyba trafił nam się wędrowny morderca.

– Który zawitał do nas – stwierdził Quinn. – Niewykluczone, że ma na swoim koncie więcej niż tylko te cztery ofiary, o których wiemy. Przebywa tu już od jakiegoś czasu i mógł ukryć przed nami kilka ciał.

– To ci się wydaje prawdopodobne?

– Helen twierdzi, że to mało prawdopodobne, ale możliwe. Że on jest jak artysta, który nie chce wyjść z wprawy. Niewykluczone, że powinniśmy przyjrzeć się listom zaginionych.

– Może wyjedzie dalej na północ, w kierunku Toronto. Przeniósłby się do innego kraju i nie musielibyśmy się już nim przejmować.

– Drapieżniki zawsze krążą tam, gdzie występuje największe zagęszczenie potencjalnych ofiar – odparł Quinn. – Nie porzuci nas.

Łyknął kawę, ta jednak za bardzo mu nie smakowała.

– Czy dziennikarskie hieny wiedzą już o przypalaniu papierosem?

– Minnie Miner pewnie wie. Ona się dowiaduje o różnych rzeczach, jeszcze zanim one się wydarzą. Pewnie będzie się z tobą kontaktować w sprawie wywiadu.

– Skieruję ją do ciebie.

– Chyba ktoś już ją wysłał do ciebie.

– Ciekawe kto...

– Smacznego śniadania!

Quinn się rozłączył i odsunął talerz. *Udużona przez węża. Boże Wszchemogący!*

Rozdział 56

Nowy Jork, czasy obecne

Poprzedniej nocy Fedderman prawie nie zmrzążył oka, ale rano, przy śniadaniu, w końcu mogli porozmawiać z Penny jak dorośli. W każdym razie ona to tak opisała. Udało im się odzyskać tę chwiejną równowagę, którą jakimś cudem osiągnęli w trwałym małżeństwie. W każdym razie Fedderman miał powody do zadowolenia.

Poranna rozmowa skłoniła go do starannego doboru ubrania przed wyjściem z domu. Wiedział, że Penny na pewno zwróci na to uwagę. Włożył więc te same workowate ciemne spodnie co poprzedniego dnia, ale także czystą białą koszulę i marynarkę od garnituru Armaniego, który poleciła mu kupić. Nie do końca wszystko do siebie pasowało, ale przecież nikt nie miał prawa narzekać. Taki już jego styl...

Gdy wszedł do budynku, w którym mieszkała Honor Tripp, stwierdził, że trudno się było zorientować, że doszło tu do zbrodni. Taśma rozpięta do niedawna na dole zniknęła, podobnie jak policjant pełniący wartę. Drzwi do mieszkania Honor Tripp nadal pozostawały zabezpieczone, ale poza tym korytarze wyglądały zupełnie normalnie.

Fedderman zapukał do drzwi sąsiada ofiary. Czekał, aż Justin Beck mu otworzy.

Facet zareagował niemal natychmiast, jakby czekał przy oknie i widział Feddermana wchodzącego do budynku.

Beck był przeciętnego wzrostu i wagi, mniej więcej około czterdziestki. Miłośniczka kanciastej postury i wojskowego języka mogłaby go nawet nazwać przystojnym mężczyzną. Ubrał się elegancko w szary biznesowy garnitur i sprawiał wrażenie gotowego do załatwiania jakichś szmeranych interesów. Prezentował się wyraźnie lepiej niż Fedderman, mimo to, robiąc krok w tył, żeby wpuścić policjanta do środka, spojrzął na jego markową marynarkę niejako z zazdrością. Fedderman uśmiechnął się w duszy.

Beck zajmował dokładnie takie samo mieszkanie jak Tripp. Z małego korytarza wchodziło się do salonu, a krótki korytarz prowadził do łazienki i sypialni. Po przeciwnej stronie niż łazienka znajdowała się kuchnia, z obu stron zastawiona meblami. Jak szybko zauważyłby ktoś, kto się specjalizował w obrocie nowojorskim nieruchomościami, budynek powstał jeszcze przed wojną, co oznaczało, że ściany dobrze tłumily dźwięki. To kazało Feddermanowi powątpiewać nieco w relację Becka, który właśnie odgłosami zza ściany wyjaśniał wezwanie policji.

Beck wyglądał co prawda jak plastikowy żołnierz, ale sprawiał wrażenie spokojnego i raczej życzliwego człowieka. Fedderman nie skusił się na kawę, bo to byłaby już jego czwarta tego ranka. Usiadł za to na sofie, która wydała mu się zimna, mimo że miał na sobie zupełnie nieadekwatne do pogody wełniane spodnie. Charakterystyczne skrzywienie materiału zdradziło mu, że mebel został obity winylem, a nie skórą.

Beck poszedł do kuchni zrobić sobie kawę, a Fedderman w tym czasie rozglądał się wokół siebie. Podłoga została starannie wypolerowana, a na środku pokoju leżał kwadratowy dywan. Meble, które można by zakwalifikować na wyższą półkę sklepu IKEA, sprawiały wrażenie ustawionych przez dekoratora wnętrz.

Beck wrócił z kuchni z kawą w prostym białym kubku. Usiadł naprzeciwko Feddermana w kanciastym fotelu z drewnianymi podłokietnikami.

– Na pewno się pan nie napije? – zapytał z uśmiechem, prezentując garnitur białych zębów. – Naprawdę pyszna. Pochodzi z południowoamerykańskiego kraju, o którym nikt nie słyszał.

– Dla mnie kawa właściwie zawsze smakuje tak samo – odparł Fedderman.

Beck skinął głową.

– Coś w tym jest.

– Nie pracuje pan dzisiaj?

– Postanowiłem zrobić sobie wolne – powiedział Beck – Chyba ciągle jestem jeszcze w szoku po tym morderstwie. Zaraz obok.. Trochę to mną wstrząsnęło.

– Powiedział pan funkcjonariuszom, którzy z panem rozmawiali, że pracuje jako inżynier.

– Tak, inżynier budowlany. Pracuję dla różnych wykonawców.

Fedderman nie do końca zrozumiał istotę tej odpowiedzi, ale postanowił nie zgłębiać sprawy. Zapach kawy stopniowo wypełniał pomieszczenie i budził w nim poczucie głodu.

– Pewnie już ma pan dość opowiadania w kółko o tym morderstwie – powiedział – ale...

– Nie ma problemu – wszedł mu w słowo Beck – Opowiadanie o tym pomaga mi się uspokoić.

Fedderman niezbyt się ucieszył z tej odpowiedzi. Trzymał w ręku kopię oświadczenia Becka. Nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać jego treści.

– Proszę to przeczytać – powiedział, wyjmując z kieszeni marynarki trzy złożone kartki papieru. – Niech pan sprawdzi, czy wszystko się zgadza, a potem porozmawiamy.

Beck założył na nos okulary do czytania i z uwagą zagłębił się w lekturę, zupełnie jak gdyby widział te zdania po raz pierwszy. Fedderman obserwował jego skupienie, wpatrywał się w źrenice wodzące po kolejnych wierszach pokrywających trzy arkusze papieru. W końcu inżynier odstawił kubek na podłogę, na magazyn „Home Progress”, żeby nie zrobić śladu, wstał z fotela, zrobił dwa kroki i nachylił się ku Feddermanowi, podając zwinięte kartki zupełnie tak, jakby przekazywał mu pałeczkę sztafetową. Fedderman podniósł się nieco, by je odebrać, po czym spoczął ponownie na sofie.

– Proszę mi to wszystko podsumować – powiedział.

– Zasnąłem około dziesiątej – zaczął Beck – podczas lektury książki o budowie Kanału Panamskiego.

On sobie chyba żartuje?

– To chyba gdzieś w pobliżu tego miejsca, z którego pochodzi pańska kawa? – zapytał Fedderman.

– Pewnie tak – odparł Beck zupełnie poważnie.

W tym momencie policjant zorientował się, że inżynier robi sobie z niego jaja. Że sobie z nim pogrywa. Trochę go to zdenerwowało, nie zamierzał jednak dać tego po sobie poznać. Postanowił podjąć wyzwanie. Dziwiło go, że Beck z takim spokojem do tego wszystkiego podchodzi – do morderstwa za ścianą, do rozmów z policją czy do przesłuchania. Można było odnieść wrażenie, że chętnie korzysta z okazji, żeby wciągnąć kogoś w swoją grę. Tak myślą zabójcy, którzy są zbyt pewni siebie (a tacy stanowią większość). Zawsze im się wydaje, że zdołają przechytrzyć przeciwnika – nawet gdyby stanęli oko w oko z armią noblistów.

Fedderman wyjął z kieszeni czarny notes, a po chwili sięgnął jeszcze głębiej i odnalazł pogryziony ołówek. Oparł się ponownie i udawał, że coś notuje.

– Zasnął pan około dziesiątej... – powtarzał.

– Tak. Około północy obudziło mnie coś, co brzmiało jak krzyk, tylko taki... jakby stłumiony. Potem pomiędzy tymi krzykami rozlegało się jakby kwilenie.

– Nikt inny żadnych krzyków nie słyszał – stwierdził Fedderman.

– Specjalnie mnie to nie dziwi. Te krzyki nie nosiłyby się daleko. Jak już mówiłem, coś je tłumilo, a ja przecież jestem, a właściwie byłem jej najbliższym sąsiadem.

– Zdaje się, że wasze dwie sypialnie oddziela tylko jedna ściana... – komentował Fedderman.

– Chyba tak.

– Skoro macie wspólną ścianę, to pewnie także instalację grzewczą i klimatyzacyjną.

– Pewnie tak. Co pan chce przez to powiedzieć?

Beck nie sprawiał wrażenia przestraszonego. Raczej się zdenerwował, że Fedderman może przejąć kontrolę nad przebiegiem rozmowy. Poza tym chyba się lekko zawstydził. Na buńczucznej twarzy wojownika pojawił się wyraźny rumieniec. Fedderman już się domyślał, że Justin Beck przeżywał rozkosze seksualne po części razem z Honor Tripp. *Teraz to sobie możesz pogrywać, ty podglądaczu i żołnierzyku z bożej łaski...* Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Chcę przez to powiedzieć, że robi pan dokładnie to samo, co robią tysiące innych nowojorczyków, jeśli od atrakcyjnego sąsiada dzieli ich tylko szyb wentylacyjny. Jeśli ten sąsiad prowadzi jakiegokolwiek życie seksualne, to... nic się nie da na to poradzić, człowiek zawsze coś usłyszy. Czasami można odnieść wrażenie, że się w tym niejako uczestniczy.

Beck zaczerpnął głęboko powietrza, jakby się nad tym wszystkim zastanawiając.

– W porządku – powiedział w końcu. – W noc morderstwa Honor poszła z kimś do łóżka. Uznałem, że słyszę po prostu odgłosy miłosnego baraszkowania. Tymczasem... – Przełknął głośno ślinę.

–...słyszał pan odgłosy morderstwa – dokończył Fedderman.

Beck skinął głową.

– Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, a przynajmniej nie od razu.

– Oczywiście. – Fedderman absolutnie nie chciał zniechęcać świadka do dalszych zwierzeń. –

Proszę posłuchać, mógłby nam pan pomóc. Na pewno słyszał pan przez tę wentylację prawie wszystko, co się tam działo. Czy którekolwiek z nich coś mówiło?

– Nie. Ona była chyba zakneblowana.

– Nie przyszło panu do głowy, że może tam chodzić o coś innego niż seks?

– Ludzie angażują się w różne praktyki seksualne.

„To prawda”, pomyślał Fedderman.

– A on? Czy słyszał pan jego głos?

– Od czasu do czasu. Mówił do niej...

– Co takiego?

– Że robi jej to czy tamto. Nożem i papierosem. Tyle że nie słyszałem przez ścianę konkretnych słów. Potem zaczęły się te stłumione krzyki.

– Czy on ją przesłuchiwał?

– Nie wydaje mi się, ale pewny być nie mogę. To raczej brzmiało tak, jak gdyby wydawał jej polecenia. Od czasu do czasu śmiał się jakoś tak nieczule. Ten drań dobrze się przy tym bawił. Chociaż mnie się wydawało, że oni oboje dobrze się bawią. Nie pomyślałbym, że tam się może dziać coś takiego, że on się może posunąć tak daleko...

– Dlaczego nie zadzwonił pan na policję? Dlaczego nie spróbował go pan powstrzymać?

– Właśnie. Doszedłem do wniosku, że być może oni robią coś, co im się wydaje zupełnie normalne. Takie zwyczajne sado-maso. Zabawy w łóżku. Nie mogłem stwierdzić, że Honor się nie podoba to, co on jej robi.

– A te krzyki?

– Tak jak mówiłem, były stłumione. Uznałem, że to po prostu taki dziwny seks.

– W końcu jednak pan zadzwonił...

– Zacząłem się nad tym zastanawiać. Nad tym, jak to brzmiało. Wtedy uznałem...

– Co pan uznał?

– Że to jednak nie brzmiało jak seks. To bardziej brzmiało tak, jak gdyby ktoś faktycznie robił jej krzywdę. Tak czy owak, zabrakło mi pewności, żeby zapukać do drzwi albo wtargnąć tam i ją uratować. Zresztą wiedziałem, że jak już zadzwonię, to policja szybko dotrze na miejsce. – Z głębokim wydechem opadł na oparcie. – Dokładnie tak było. – Pochylił głowę. – Tylko że i tak przyjechali za późno.

– Nie mógł się pan przecież włamać i jej uratować – powiedział Fedderman, starając się usprawiedliwić Becka. – Pewnie tylko przyspieszyły pan jej śmierć, być może przy tym narażając również siebie. Ten facet nie żartuje, a pan mógłby stać się zagrożeniem dla jego wolności.

– Czy li to ten cały D.O.A.? Wrócił do nas?

– Co do tego nie ma wątpliwości. – Fedderman zamknął swój notes w skórzanej oprawie. – Chcielibyśmy, żeby pan przyjechał na posterunek i podpisał zeznanie.

– Atak czasem brzmi zupełnie jak seks – powiedział Beck. Wyraźnie czuł się winny i liczył na to, że Fedderman go pocieszy. Szukał rozgrzeszenia.

– Czasami rzeczywiście specjalnie się od siebie nie różnią – stwierdził Fedderman. – Oczywiście potem się okazuje, że czasami jedno z partnerów źle kończy.

– W takim razie powinienem spełnić swój obywatelski obowiązek.. – Beck przygryzł dolną wargę. – Niech mi pan powie. Jeśli moje zeznanie znajdzie się w gazetach i w telewizji, to czy

należy się spodziewać, że zabójca postanowi się zająć mną?

– On gra w inną grę – powiedział Fedderman. – Pewnie już ma na oku kolejną kobietę. Jeśli jednak tak bardzo się pan martwi, to im szybciej pan podpisze zeznanie, tym szybciej będzie pan bezpieczny. Nikt nie zdoła pana powstrzymać przed zrobieniem czegoś, co już zostało zrobione.

Twarz Becka wyraźnie pojaśniała.

– To ma sens.

Fedderman też tak uważał. Czy jednak sadystryczny morderca podzielał jego zdanie? Tego już nie był taki pewien.

Rozdział 57

Upał nie ustępował, a dodatkowo dołączył do niego deszcz, który padał wielkimi kroplami, odbijając się z odgłosem, jakby spadały kamyczki, od parapetów, pokryw klimatyzatorów, metalowych kubłów na śmieci i samochodów wolno płynących ulicami. Kto miał to szczęście, że mógł siedzieć w domu, absolutnie nie powinien wychodzić.

W biurze Q&A krzątało się kilku detektywów. Mimo że klimatyzator wibrował i mruczał, w pomieszczeniu panowały warunki jak w saunie. Quinn i Pearl słuchali Feddermana, który relacjonował przebieg rozmowy z Justinem Beckiem. Patykowate ciało Helen niesymetrycznie przewieszało się przez krzesło, które stało teoretycznie między biurkami, ale jakby już w przestrzeni Quinna. Fedderman zajmował jedno z krzeseł dla klientów, ustawione przodem do pozostałych.

– Niespecjalnie nam pomógł – stwierdziła Pearl, gdy Fedderman zakończył relację.

Quinn się z nią zgodził.

– Nie usłyszałem właściwie nic nowego.

– To w pewnym sensie cenna wskazówka – wtrąciła Helen.

– Zabójca nie wspomniał o poprzednich zbrodniach – podsumował Quinn – ani też nie snuł planów kolejnych morderstw.

Fedderman wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w nieistniejące zagniecenia na swoich spodniach.

– Odniosłem wrażenie, że Beck nie podsłuchiwał Honor Tripp tylko w noc jej morderstwa.

Poza tym zabójca musiał zwrócić uwagę na wentylację w ścianie. Znajdowała się tuż obok łóżka.

– Wiedział, że ktoś go słucha – stwierdziła Helen.

Fedderman odparł:

– Moim zdaniem zabawiał się w pobliżu dużego otworu wentylacyjnego ze świadomością, że ktoś prawie na pewno to usłyszy.

– Tylko dlaczego mordercy miałyby na tym zależeć? – zastanawiała się Pearl.

– Może to go dodatkowo nakręca – odparł Fedderman. – Że ktoś go obserwuje, a w każdym

razie słyszy.

– W tym zeznaniu nie pojawiło się moim zdaniem nic istotnego – stwierdziła Pearl. – Zapewne zatem świadek nie usłyszał nic ważnego.

– Warto zwrócić uwagę na to, co Beck faktycznie usłyszał – powiedziała Helen. – Ani słowa o sztuce. Honor Tripp była pisarką, autorką kryminału, a niektórzy uważają, że kryminały stanowią przeciwieństwo sztuki.

– Jak z tego wniosek? – zastanawiał się Quinn. – Zabójca obnosi się z faktem, że ta śmierć nie ma nic wspólnego ze sztuką w ogóle, a z *Bellezzą* w szczególności?

– Może tak być – odparła Helen.

Fedderman przeniósł na nią wzrok.

– Czy nie prościej byłoby założyć, że próbuje nas po prostu zbić z tropu?

– Przecież wiesz, że to nie ten typ, Feds.

– On niniejszym podnosi stawkę – stwierdziła Pearl. – To nam próbuje powiedzieć.

– Dokładnie – odparła Helen. – Zbiór potencjalnych ofiar został poszerzony. Odtąd nie będzie już wybierać kobiet, które znajdują się na sztuce lub mają jakieś informacje na temat zagubionych dzieł Michała Anioła. Gra się skończyła. Zabójca już nie szuka skarbu.

– To nam utrudnia zadanie – oznajmił Quinn.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu. Próbowali wyobrazić sobie, co może myśleć morderca – choć doskonale wiedzieli, że na pewno nic przyjemnego.

– On szykuje jakiś wielki finał – wywnioskował Quinn.

– Pewnie tak – zgodziła się Helen. – To balansowanie na główce od szpilki mu się nie podoba.

– Oni wszyscy ostatecznie dochodzą do tego punktu – stwierdził Fedderman. – Wszyscy chcą, żeby to się rozwinęło w jedną albo w drugą stronę. Żeby się skończyło.

– To bez wątplenia – przyznała mu rację Helen. – Zabójca chce wykorzystać swoją domniemaną przewagę. Czuje się teraz zupełnie bezkarny. Czuje się Bogiem. I chce dać nam to odczuć.

– Jest jakaś wersja alternatywna? – zapytała Pearl.

– Może po prostu chce nam dać znać, że sztuka przestała go interesować – powiedział Quinn.

– Taka możliwość też istnieje – powiedziała Helen. Uśmiechnęła się.

Quinn znał ten jej uśmiech i wiedział, że nie ma się z czego cieszyć.

*

Zabójca śledził ich, gdy wracali do domu z porannego joggingu. Obserwował, jak zwalniali kroku – co wymagało niekiedy uniku z jego strony – i jak wchodzi do budynku przy Central Park West, wzniesionego z cegły i marmuru. Bardzo szybko się zorientował, że zajmują jedno z mieszkań na trzecim piętrze. Zgromadził też na ich temat sporo innych informacji. Szczegóły mają naprawdę duże znaczenie.

Mniej go interesował mężczyzna: po trzydziestce, w zupełnie niezłej kondycji, gdyby nie

liczyć waleczka tłuszczu na wysokości pasa. Na jogging wybierał się zawsze w spodenkach khaki i białym bezrękałniku oraz w białych butach do biegania. Nazywał się Ben Swift², ale pod względem szybkości zdecydowanie ustępował swojej żonie Beth. Stanowczo zbyt wiele energii marnował na kołysanie się na boki, co go spowalniało. Beth zaś miała sylwetkę idealną do szybkiego biegu: szczupłe ciało i umięśnione nogi, które wykonywały ergonomiczne kroki. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że Ben ma kłopot, żeby za nią nadążyć. Zawsze pozostawał o metr czy dwa z tyłu, zadowolając się widokiem jasnego kucyka żony huśtającego się rytmicznie niczym metronom. Ona biegała w czerwonych butach i niebieskich szortach, koszulkę zaś miała białą jak jej mąż. Zabójcę, który miał się w sumie za patriotę, ten widok dość bawił.

Rozpędził się trochę i ich wyprzedził, a potem rozłożył się na ławce z głową odchyloną do tyłu, co miało sugerować, że próbuje złapać oddech i odpocząć. Minęli go, dysząc równomiernie, po czym pobiegli dalej odchodzącą na bok ścieżką. Ze skąpanej w słońcu ławki zabójca mógł obserwować ich przez lornetkę. Zwykle skupiał się na szczupłych biodrach Beth i jej rytmicznych ruchach. „Biegaczka idealna”, myślał. Zastanawiał się, czy wystartuje w nowojorskim maratonie. Ona i Ben stanowili parę aktywnych i zdrowych ludzi. Najwyraźniej mieli sporo wolnego czasu, na który niespecjalnie mieli pomysł. Więc może dla niej to były treningi. Zamierzał ją o to zapytać. Choć właściwie po co miałyby to robić?

Obserwował ich budynek przez kilka dni. Zorientował się w zabezpieczeniach i wiedział, w jakich godzinach pracuje portier Carl. Carl pojawiał się na krótko w godzinach porannych, po czym zastępował go Arthur. Jego zmiana trwała aż do późnego popołudnia, gdy znowu pojawiał się Carl, który pozostawał w stróżówce do północy. Obaj portierzy byli po czterdziestce i sprawiali wrażenie dość wysportowanych, tyle że Carl miał niewielki brzuszek. Strasznie żałował ich, że musieli pracować w tych pasywnych brązowych uniformach i spodniach z lampasami, ale uznał, że niezależnie od stroju powinien sobie łatwo poradzić z tym, który akurat będzie pełnić służbę. W budynku zainstalowano zupełnie przyzwoite zabezpieczenia, które stanowiły sporą przeszkodę zwłaszcza po północy. Wtedy bowiem portier kończył zmianę i zamykał frontowe drzwi. Dało się je otworzyć tylko za pomocą specjalnej karty i pięciocyfrowego kodu. Zabójca wiedział, że komuś takiemu jak on łatwiej będzie niepostrzeżenie wejść do budynku, gdy drzwi będą otwarte, a portier będzie siedział w służbowce.

Żaden problem, jeśli ktoś jest gotów na odważny krok. Trzeba mieć dość sprytu, aby zadziałać szybko i śmiało, dopóki przeciwnik nie zwraca uwagi i nie trzyma uniesionej gardy. Ale zabójca wiedział, że nadmierna pewność siebie może go zgubić. Wiedział, że Quinn i jego detektywi tak naprawdę są cały czas zwarci i gotowi. Uśmiechnął się. *To się jeszcze zmieni.*

Spojrzał na zegarek, po czym wyszedł z parku i udał się na kolację na Amsterdam Avenue, do lokalu, w którym mógł obejrzeć w telewizji program *Minnie Miner ASAP*. Nadeszła pora na burgera, kubek kawy i chwilę cichej refleksji. Może się czegoś przy okazji dowie. Minnie należała do jego ulubionych dziennikarzy.

Bywała przydatna.

² Swift po angielsku oznacza „prędko”, „szybko”.

Rozdział 58

– Jakis odrażający typ nas obserwuje, kiedy biegamy. Ciągłe go widuję – powiedziała Beth Swift do swojego męża Bena.

Rozmawiali w kuchni w swoim mieszkaniu. Miała ściany w jasnożółtym kolorze i jedno okno wychodzące na szyb wentylacyjny. Poza kuchnią wszystkie inne pomieszczenia w domu należałoby określić jako ultranowoczesne i kosztownie urządzone. Beth i Ben mieli już w planach remont, który zakładał między innymi założenie granitowych blatów. Na razie jednak Ben opierał się o laminowany blat obok lodówki. Pochłaniała go konstrukcja kanapki, do której napakował wędlin i warzyw. Nie spieszył się, najwyraźniej czerpiąc przyjemność z wykonywanej czynności.

– Zapewne obserwuje ciebie – powiedział, dokładając kawałek kaszanki, wędliny faszerowanej piklami i sałaty. Nie musiał się przejmować tym, co wchodzi w skład ich posiłków. Beth lubiła te niesamowite kanapki zdrowotno-energetyczne dokładnie tak samo jak i on.

– To ma być komplement?

– Tak może trochę niesmaczny, ale tak.

– Tak czy owak, nie podoba mi się to. Mam ochotę do niego podbiec i zapytać, czy się znamy. Ciekawe, co by powiedział.

– Pewnie by się spieszył i zniechęcił.

Ben dołożył do zestawu kilka plasterków sera, po czym na górę położył najważniejszy składnik kanapki, a mianowicie drugi kawałek chleba asiago, pieczywa o chrupiącej serowej skórce.

– Ty tak czasem działasz na ludzi.

– Tylko na tych, których trzeba odstraszyć – powiedziała.

Ben dołożył jeszcze kilka plasterków sera i trochę majonezu. Przyrządzenie takiej kanapki wymagało pewnego kunsztu, wyczcucia harmonii smaków i faktur. To miała być ich kolacja. Mieli ją popić dobrym białym winem. Wśród ich przyjaciół nie brakowało takich, którzy dopatrywali się w tym przejawu szaleństwa – tyle ćwiczyć, żeby potem wprowadzić do organizmu bombę kaloryczną. Ale Beth i Ben, którzy prowadzili drobiazgowo statystyki poboru i wydatkowania

kalorii, uważali, że panują nad sytuacją. Podobnie jak w przypadku wielu innych spraw uprawiali w tym względzie swego rodzaju taniec na linie. Rozwiązanie to miało również walor ekonomiczny, ponieważ te specjalne kanapki Bena stanowiły równowartość co najmniej dwóch posiłków.

Zarówno Ben, jak i Beth wykonywali pracę w mniemaniu wielu osób nudną. Ona była redaktorem w firmie reklamowej, on zaś księgowym w wypożyczalni samochodów. Oboje uważali, że odrobina ekscentryzmu na pewno im w życiu nie zaszkodzi.

Na tym skończyła się ich rozmowa o mężczyźnie, który mógł obserwować jedno albo drugie z nich, a może nawet ich oboje. Ben uznał, że Beth zapomniała już o pomysłe przeprowadzenia konfrontacji. Wychodził jednak z założenia, że nawet jeśli nie, to trudno. To może być nawet ciekawe zobaczyć reakcję tego człowieka. Ben cenił w Beth tę jej nieposkromioną bezpośredniość. Wręcz ją za to uwielbiał.

Po jedzeniu schowali resztki kanapek i wina (pół butelki) do poźółkiej lodówki, którą Beth bardzo już chciała wymienić na nową. Wiedziała, że jeśli odstawi się wino na górną półkę, trunk osiągnie temperaturę idealną do spożycia po kwadransie. Ben usiadł w swoim fotelu, żeby obejrzeć wiadomości. Znowu mówili o tym świrze, który torturuje i morduje kobiety. Przecież po Nowym Jorku zawsze grasuje jakiś psychol. Czy naprawdę nie dałoby się tych ludzi namierzać zawczasu i czegoś z nimi zrobić, zanim zaczną zabijać innych? Po wiadomościach Beth i Ben udali się do pobliskiego kameralnego kina, w którym wyświetlano niezależne produkcje. Tym razem grali akurat film Woody'ego Allena o trzech pięknych kobietach w Hiszpanii. Po powrocie zamierzali dopić wino, a potem iść do łóżka i się kochać. Beth zdarzało się czasem pomyśleć, że Woody Allen powinien nakręcić film o ich życiu. Podzieliła się tą refleksją z Benem. On stawiałby raczej na Quentinie Tarantino.

*

W innej części miasta Far Castle witał kolejnych gości. Winston Castle, sam ubrany jak szef kuchni z programu telewizji PBS, albo kręcił się pośród garnków i palników, zagrzewając kucharzy do pracy, albo biegał od stolika do stolika z szerokim uśmiechem na twarzy. Jednych zapewniał, że wkrótce mogą się spodziewać zamówionego dania, innych zaś dopytywał, czy wszystko im smakuje. Od czasu do czasu wychodził w związku z tym na zewnątrz, tam bowiem wszystkie stoliki były zajęte. Goście chętnie korzystali z uroków chłodnego wieczoru. Sam Winston jednak pocił się z wysiłku. Właśnie zapewnił eleganckiego dżentelmena, który czekał na kolację w towarzystwie wręcz niechlujnej kobiety, że ich jagnięcina wkrótce trafi na stolik. Po tych słowach spojrział ukradkiem na ulicę. Mężczyzna w szarym samochodzie ciągle stał przy ulicy naprzeciwko restauracji. Obserwował sytuację w lokalu, ale głównie spoglądał na Winstona, bowiem właściciel zdawał się go interesować przede wszystkim.

Castle wykonał unik i schował się pod altanką porośniętą winem, gdzie goście go nie widzieli. Wyjął telefon, wszedł w listę kontaktów i wybrał numer opisany jako Quinn. Detektyw odebrał

niemal od razu.

– Słucham, panie Winstonie.

– Miałem zadzwonić, gdybym zaobserwował coś nadzwyczajnego – stwierdził Castle.

– Cóż się takiego nadzwyczajnego wydarzyło?

– Może nic, ale w szarym samochodzie po drugiej stronie ulicy siedzi jakiś mężczyzna i się na mnie gapi.

– Od dawna tam jest?

– I tak i nie. Przyjeżdża i odjeżdża.

– A jest pan pewien, że to właśnie pana obserwuje?

– Właściwie tak. Nie widzę jego twarzy, ale czuję na sobie jego spojrzenie.

Quinn jakoś nie potrafił sobie tego wyobrazić, ale postanowił zatrzymać to dla siebie.

– Czy taka sytuacja się powtarza?

– Tak, i to zbyt często, żebym mógł ją rzucić na karb mojej wrodzonej paranoi. Nie mam pojęcia, ile razy on tu był, zanim go zauważyłem.

– A Maria? Może on obserwuje Marię?

– Maria jest w biurze, nie widać jej.

– Jaki to samochód?

– Nie umiem dokładnie powiedzieć. Szary. To może być... właściwie cokolwiek. Nie jest ani nowy, ani stary. Taki średniej wielkości, czterodrzwiowy, sedan.

Wszystko przeciętne...

– Może to nieoznakowany samochód policyjny?

– Nie mogę tego wykluczyć, ale nie wydaje mi się.

Quinn postanowił nie dowiekiwać, skąd Winston bierze swoje przypuszczenia.

– Czy ten mężczyzna siedzi tam sam?

– Dobre pytanie.

Castle przemieścił się nieco, by wyjrzieć zza winorośli. Rzucił okiem na ulicę, na której panował akurat bardzo duży ruch. Samochodu nie było.

– Odjechał.

– Nie brzmi pan, jakby panu ulżyło.

– Jak się prowadzi takie życie jak ja, człowiek uczy się wy czuwać niebezpieczeństwo. To było właśnie niebezpieczeństwo.

– To czasem nie jest cytat z jakiegoś filmu z Humphreym Bogartem? – *Czy w ogóle cała ta pańska rodzinka nie została wzięta żywcem z takiego filmu?*

– To pan powiedział, że mam dzwonić, gdybym zauważył coś nadzwyczajnego – powiedział Castle. – Zresztą zatrudniłem pana, żeby mnie pan chronił.

– Zatrudnił mnie pan, żebym pomógł panu znaleźć marmurowe popiersie. Człowiek, który przez jakiś czas obserwuje pańską restaurację, a potem odjeżdża, raczej nie ma związku ze sprawą.

– Chodzi o to, jak on na mnie patrzył.

– Widział to pan, chociaż nie widział rysów jego twarzy?

Castle westchnął.

– Musiałby pan tu być.

– Jeśli wróci, proszę do mnie zadzwonić.

- I co wtedy?
- Wtedy przyjadę.

Castle westchnął jakoś bez przekonania, po czym schował telefon z powrotem do kieszeni i ponownie spojrzął na drugą stronę ulicy. Szarego samochodu nie było, ale niebezpieczeństwo nadal nad nim wisiało. Wiedział, że Quinn ma jego samego i całą jego rodzinę za bandę pozerów. Ale nawet jeśli byli pozerami, to co z tego? Mnóstwo ludzi się zgrywa. Winston Castle uważał wręcz, że to pewnego rodzaju sztuka. Że na tym właśnie polega życie! *Humphrey Bogart!* Poprawił wysołą czapkę szefa kuchni. *W filmach z Bogartem prawie zawsze ktoś umiera.*

*

Po zakończeniu rozmowy z Winstonem Castle'em Quinn zadzwonił z komórki do Sala Vitalego. Ten siedział przy jednym ze stolików przed restauracją Far Castle. Odebrał szybko, żeby nie przeszkadzać innym gościom.

Quinn odezwał się pierwszy:

– Widzisz tam gdzieś po drugiej stronie ulicy jakiegoś gościa w szarym samochodzie, który by obserwował kogoś w restauracji?

– Siedzę przy zewnętrznym stoliku. Widziałem samochód, który przez chwilę stał przy ulicy. Kierowca nie wysiadł. Spojrzałem chwilę później i już go nie było. Pojawiła się też jakaś trzyosobowa grupa. Rozglądali się chwilę, jakby kogoś szukali, a potem poszli dalej.

– Mieli w sobie coś szczególnego? – zapytał Quinn.

– Nie, właśnie to chcę powiedzieć. Ludzie co chwila przyglądają się tej restauracji z drugiej strony ulicy: może kogoś szukają, a może usiłują odczytać napisy na tablicy informującej o daniach dnia.

– Czyli ten facet w szarym samochodzie nie wydał ci się podejrzany?

– Nieszczególnie. Ale może powinienś porozmawiać z Haroldem... Jeśli on też widział ten samochód, kiedy się tu kręcił, to może coś jest na rzeczy.

– Winston Castle twierdzi, że wietrzy niebezpieczeństwo.

Sal się roześmiał.

– On tu może wietrzyć najwyżej niebezpieczeństwo ze strony kalorii.

Po rozmowie z Salem Quinn zadzwonił do Harolda Mishkina. Obudził go.

– Przepraszam, że wrywam cię ze snu – powiedział – ale dzwonił do mnie Winston Castle. Twierdził, że martwi go jakiś dziwny facet, który obserwuje restaurację z szarego samochodu. Zastanawiałem się, czy tobie też się rzucił w oczy.

– Widziałem go – odparł Harold. – Zwróciłem na niego uwagę, bo kierowca nie wysiadł ani na chwilę. Nie rozpoznałem marki, nie widziałem też tablic. Wiem natomiast, że to nie był nowy samochód. Miał pewnie z pięć albo sześć lat.

– Wydał ci się jakiś niety powy?

– Może – odpowiedział Harold. – Jakoś tak wietrzyłem od niego niebezpieczeństwo.

Quinn zakończył rozmowę z Haroldem, po czym wybrał na komórce numer do Nancy Weaver.

– Znasz się trochę na serwowaniu jedzenia? – zapytał.

– Chodzi ci o kelnerowanie?

– Jeśli tak wolisz to nazwać.

– Pracowałam jako kelnerka w Smokey Torrito. Dawno, dawno temu... Zarabiałam na studia.

– Cóż to, u licha, jest Smokey Torrito?

– Już dawno zbankrutowali – odparła Weaver. – Ale nie przeze mnie.

– To może pora odgrzać dawne umiejętności.

Rozdział 59

Beth Swift zaciągnęła dokładnie zasłony, żeby całkowicie uchronić sypialnię przed światłem z ulicy. Kotary mieli ciężkie. Zarówno ona, jak i Ben lubili spać w całkowitej ciemności. Lubili też absolutną ciszę. Z ulicy do ich sypialni docierały tylko pojedyncze stłumione dźwięki.

Północ już dawno minęła. O tej porze Beth niemal zawsze znajdowała się już w tej fazie snu, którą sama określiłaby jako REM. Najcenniejszy sen. Ale tej nocy coś jej nie dawało spać. Nie wiedziała tylko co.

Ben oddychał tak głęboko i regularnie, że Beth obawiała się, że zaraz może zacząć chrapać. Postanowiła więc podjąć jeszcze ostatnie działanie, które miało jej pomóc zasnąć: poprawiła ciężkie zasłony, a następnie w całkowitej ciemności wróciła dobrze znaną drogą do łóżka.

Kładła się ostrożnie, żeby nie zbudzić męża. Jakaś sprężyna co prawda przy tym zaskrzyiała, ale cicho. Spali na materacu typu *king size*, więc mogła się spokojnie położyć na tyle daleko, aby Ben w ogóle tego nie odczuł. Wprawdzie zaczął oddychać jakby mniej regularnie, ale po kilku sekundach odzyskał wcześniejszy rytm.

Beth położyła się na plecach i wbiła oczy w sufit, którego i tak nie widziała. W pokoju panowały egipskie ciemności. Obok czuła ciepłe ciało męża. Raj, wszystko na swoim miejscu. Ciało i umysł wreszcie odnajdywały spokój i chyba zaczynała zasypiać. Sen podchodził do niej niczym nieśmiały adorator, bez pośpiechu. Nie przeszkadzało jej to. Odprężyła się i leżała wygodnie, nigdzie jej się nie spieszyło.

Myśl o tym, że oto leży w nieprzeniknionej ciemności, wsłuchując się w odgłosy oddechów własnego i męża, napawała ją swego rodzaju zachwytem, podnosiła na duchu. Zupełnie jak gdyby byli jedną istotą, która uruchamia dwa elementy swojego jestestwa.

Na w pół już śpiąc, bez żadnej przyczyny Beth postanowiła nagle dopasować rytm swojego oddechu do oddechu męża. Za nic jednak jej się to nie udawało. Jego wdechy i wydechy były

głębsze i dłuższe. Odgłosy powietrza wydostającego się z jej płuc zupełnie nie pasowały do jego oddechu, a więc...

Coś było nie tak. Nie miała co do tego wątpliwości.

Nagle jej serce przeszył skurcz. Poczła przerażenie, jeszcze zanim uświadomiła sobie jego przyczynę. Leżała teraz w pełni obudzona, w pełni czujna. Nasłuchiwała ze strachem. Wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w całkowitą ciemność i dobrze wiedziała, co słyszy.

Z mroku dobiegał do niej odgłos oddechów trzeciej osoby.

Rozdział 60

– Nie pojawili się w parku na zajęciach tai-chi – poinformował Renz. – Potem się okazało, że nie odbierają telefonów.

– To już wystarczyło, żeby się zająć sprawą? – zdziwił się Quinn.

Renz skinął głową i zanurzył podbródek w miękkiej różowej szyi.

– W przypadku tej dwójki owszem. Bardzo poważnie traktowali tai-chi. Ogólnie bardzo poważnie podchodzili do wszystkiego, co yuppie i co się wiąże ze zdrowiem. Niewykuczone, że mieli szansę nawet przekroczyć setkę.

Technicy już jechali na miejsce, podobnie jak patolog i zespół odpowiedzialny za transport ciała. Mundurowy, który odebrał zgłoszenie, stał na korytarzu. Powitał i poprowadził grupę specjalistów na miejsce zbrodni. Technicy często wyprzedzali w tym względzie muchy. Quinn jednak stwierdził, że tym razem im się nie udało. Nachylił się i odpędził ręką muchę, która usiadła na otwartym oku kobiety. Owad podjął próbę usadownienia się na czole i wtedy Quinn dał sobie spokój.

– Zaglądałem do portfeli. Jego leżał na komodzie, jej był w torebce – powiedział Renz. – To Ben Swift, a to jego żona Beth.

Quinn podszedł bliżej do dwóch martwych ciał leżących na łóżku. Mężczyzna miał sprawnie poderżnięte gardło, ostrze naruszyło obie tętnice szyjne. Wokół znajdowało się sporo krwi, ale szyja mężczyzny została przysłonięta ręcznikiem, co miało powstrzymać jej rozpryskiwanie się na boki. Na jego twarzy malował się jakby wyraz zaskoczenia, ale oprócz tego spokój. Leżąca obok pani Swift wyglądała natomiast na przerażoną. Na całym ciele miała drobne nacięcia i oparzenia po papierosie. Nadgarstki zostały zamocowane grubą srebrną taśmą do nagich ud. Quinn dostrzegł też ślady po taśmie w okolicach jej ust. Pewnie krzyczała w tę taśmę, ale usłyszeć ją mógł najwyżej zabójca. Obie ofiary miały na czole wyryte litery D.O.A. – po śmierci, żeby lepiej to wyszło.

Renz wskazał na ranę głowy w okolicy skroni Bena Swifta.

– Wygląda, że zabójca wziął ich oboje z zaskoczenia, w czasie snu. Pozbawił męża

przytomności tępy m, ciężkim narzędziem, a potem zakneblował i związał żonę.

– I poderżnął mężowi gardło, żeby mieć go z głowy, a następnie całą uwagę poświęcił jej – stwierdził Quinn.

– Pewnie to na niej mu zależało – odparł Renz.

– Prawdopodobnie – zgodził się Quinn, ale jakiś nie chciał na tym etapie śledztwa formułować zbyt pochopnych wniosków.

Poszedł do łazienki. Znalazł tam krew na plastikowej zasłonie prysznicza i dwóch białych ręcznikach.

– To będzie jego krew – stwierdził Renz.

Quinn podzielał jego zdanie.

– Zabijał nago, a potem tutaj się oporządził. Znajdziemy tylko rozsmazane odciski gumowych rękawiczek. Zawsze zmywa z nich większość krwi, a potem zdejmuje je, wywraca na lewą stronę i chowa do kieszeni.

– To by się mogło zgadzać – odparł Renz. – W każdym razie to by pasowało do schematu. Ciekawe, pewnie się naoglądał za dużo telewizji i myśli, że potrafimy zdjąć odciski palców z wnętrza rękawiczek

– Z tymi specami z laboratorium nigdy nic nie wiadomo – odparł Quinn, przypominając sobie zabójcę sprzed lat, który wydlubował swoim ofiarom oczy, ponieważ się obawiał, że jego wizerunek mógł im się utrwalić na soczewkach. – Kto wie, co chodzi po głowie człowiekowi zdolnemu do takich rzeczy.

Z korytarza dobiegły ich kroki i głosy. Quinn i Renz wrócili do salonu. Pierwszy na miejscu zjawił się patolog. Zaraz za nim przybyli technicy w rękawiczkach oraz jeden detektyw, którego Quinn znał z czasów, kiedy pracował w obyczajówce. Powitali się skínieniem głowy.

– Gdzie Pearl? – zapytał Nift, rozglądając się dookoła.

– Nie ma jej – odparł Quinn. – Wiedziała, że ty się zjawisz.

– Powiedz jej, że żałuję, że nie przyjechała.

– Że nie możesz sobie po niej pojeździć...

– Pearl i ja tylko sobie żartujemy – odparł Nift, jak gdyby nagle sobie uświadomił, że nie powinien denerwować Quinna. Wskazał głową w kierunku korytarza. – W sypialni?

– W sypialni – odparł Renz. – Uważaj tylko, żeby poza ciałami niczego nie dotykać.

– Nigdy niczego więcej nie ruszam – stwierdził Nift.

Zrobił zamyśloną minę, jak gdyby poczuł się urażony. Quinn jednak nie dał się nabrać. Wiedział, że jeśli chodzi o emocje, Nift się zawsze zgrywa.

Patolog chwycił swoją ciężką czarną skórzaną torbę i ruszył drobnym, pospieszonym krokiem w kierunku sypialni. Gdy już zniknął im z oczu, Renz powiedział:

– Pieprzony nekrofil.

– Pewnie prawda – potwierdził Quinn.

Rozdział 61

Minnie Miner od czasu do czasu próbowała nakłonić tego paskudnego małego patologa Nifta, żeby zechciał się pojawić u niej w programie. Ten facet miał w sobie coś takiego, że ludziom przechodziły ciarki po plecach. Przy ciągał wzrok tak samo skutecznie jak wrak rozbitego pociągu. Nift jednak zawsze odrzucał jej zaproszenia, zasłaniając się etyką zawodową. Minnie spekulowała, że może gdzieś jest poszukiwany i nie chce się pokazywać publicznie. Zapomniała więc o nim i bez większego zainteresowania oglądała zawartość płyty z materiałami pomocniczymi do jutrzejszego programu o zabójstwach D.O.A. Siedziała na rozkładanej sofie w swoim mieszkaniu, w pobliżu studia telewizyjnego, i popijała wódkę z martini. Przez okno znajdujące się w pobliżu dużego telewizora wpadały do środka promienie słońca, przez co od czasu do czasu – w zależności od układu płynących po niebie puchatych cumulusów – musiała mrużyć oczy, żeby zobaczyć dokładnie, co się pojawia na ekranie.

Nagranie przedstawiało restaurację Far Castle. Zostało nakręcone z drugiej strony ulicy. Kolorowe parasole, a pod nimi okrągłe białe metalowe stoliki na tle krytego dachówką budynku z kamienia, który przywodził na myśl zamek Dalej niski płot, a za nim ogród kryjący starannie wypielęgnowany labirynt z żywopłotu. Wszystko rozświetlone promieniami słońca. Całość prezentowała się kolorowo i malowniczo, jak na diabelnie starożytnej pocztówce. W każdej chwili w kadrze mogli pojawić się myśliwi uganiający się za lisem w eleganckich czerwonych strojach w towarzystwie rozbrykanych hałaśliwych psów. Gdzieś w pobliżu zamiast oddziału Bank of America mógłby stać Stonehenge.

Zamiast psów jednak obrazu dopełniał ruch uliczny Manhattanu oraz klienci, którzy postanowili spożyć lunch przy stolikach na chodniku. Nastąpiło zbliżenie, które miało wywołać u widzów wrażenie przechodzenia przez ulicę. Potem kamera przeniosła się do wnętrza restauracji. Minnie właśnie zaczęła się zastanawiać, czy lokal serwuje swoim gościom miód pitny, gdy na ekranie pojawiło się coś, co przykuło jej uwagę i skłoniło do nachylenia się w stronę telewizora. Kelnerzy krążyli między stolikami, podając gościom posiłki i usuwając brudne naczynia. W tej roli pracowali zarówno mężczyźni, występujący w koszulach stylizowanych na

średniowieczne, z przesadnie szerokimi rękawami, jak i białogłowy na wydaniu, czyli młode dziewczęta w wąskich spódniczkach i bluzkach o podobnym kroju, tyle że bardziej wyciętych w okolicach dekoltu. Dziennikarka w pierwszej chwili nie zorientowała się, co konkretnie kazało jej zwrócić uwagę na tę scenę. Musiała się jej przyjrzeć nieco dłużej. Dwukrotnie cofnęła nagranie, zanim rozwikłała zagadkę.

Otóż jedna z niewiast wydała się jej znajoma. Minnie nie zapomniała twarzy, biusty też zapadały jej w pamięć. Ta konkretna białogłowa sprawiała wrażenie jakby szczególnie chętnej na drobne tarzanie się w sianie. Minnie uśmiechnęła się do własnych myśli. W pierwszej chwili zmyliły ją włosy przebarbowane na blond i... ta starannie ułożona średniowieczna fryzura. Obejrzała tę scenę jeszcze kilka razy, żeby nabrać pewności. Zatrzymała nawet ujęcie w momencie, gdy białogłowa nachyla się, by podać dwóm biznesmenom zmrożone szklanki z jakimś zimnym napojem. Zdawała się czerpać ze swojej pracy większą satysfakcję niż inni kelnerzy.

Minnie nie miała już wątpliwości. Uśmiechnęła się do siebie. Jakis czas temu gościła u siebie tę kobietę, teraz blondynkę, w programie ASAP, w bloku poświęconym chorobom przenoszonym drogą społeczną. Z identyfikatora wyczytała co prawda, że kobieta ma na imię Eileen, ale nie miała wątpliwości, że patrzy na policjantkę Nancy Weaver.

Oparła się o kanapę i zaczęła się nad tym zastanawiać. Weaver musiała tam pracować pod przykrywką, więc zapewne nie zechce o tym oficjalnie rozmawiać. Ale po głowie chodziło jej jeszcze jedno określenie, które nie odnosiło się wyłącznie do wieków średnich. *Przynęta*... Weaver też musiała o tym myśleć. Z włosami przebarbowanymi na blond i w tym seksownym kelnerskim stroju zdawała się wręcz jawnie kusić D.O.A.

Policjantka traktowała swoją pracę poważnie, więc zapewne nie zechce ujawnić Minnie zbyt wiele, przynajmniej nie od razu. Zresztą może lepiej byłoby zwrócić się z tym do jej szefa, człowieka z ambicjami politycznymi i podatnego na perswazję.

Minnie wiedziała, że zdradzenie prawdziwej tożsamości Weaver mogłoby ją narazić na niebezpieczeństwo. Ale równie dobrze mogło uratować jej życie. Oczywiście o tym powinna zdecydować sama Weaver, przynajmniej w pewnym zakresie. Tak naprawdę jednak wszystko zależało od Minnie i od tej taśmy, która mogła stać się wisienką na dziennikarskim torcie.

*

– Tak się przedstawia sytuacja – powiedział Renz.

Znajdowali się w jego gabinecie na posterunku. Drzwi były zamknięte, ale z zewnątrz i tak dobiegały ich odgłosy pracy innych policjantów. Ktoś w pośpiechu wyjaśniał, jak znalazł się w nieodpowiednim miejscu w niewłaściwym czasie. Jakaś kobieta przez kilka minut zawodziła, jak gdyby miała za chwilę umrzeć. Detektywi odbierali telefony spokojnym głosem. Od czasu do czasu rozlegał się śmiech, czasem dość okrutny.

– Przydałyby się tu grubsze ściany.

Quinn usiadł twarzą do Renza po drugiej stronie jego biurka. Na blacie nie tyle nawet panował bałagan, ile raczej specyficzny układ wszystkiego, który miał ten bałagan symulować.

– Wróćmy do tego, co mówiłeś...

– O tym, jak się przedstawia sytuacja – kontynuował Renz. – Niestety Beth i Ben Swiftowie zapadają w sen po seksie...

– Skąd wiesz, że uprawiali seks?

– Ludzie z laboratorium wiedzą takie rzeczy. Poddali Beth Swift badaniu pod kątem gwałtu, ale nie znaleźli nasienia. Nie stwierdzili też śladów użycia kondomu, chociaż co do tego mają wątpliwości. Nie wszystko jest takie oczywiste jak w telewizji.

– Czasem się nad tym zastanawiam... Brała tabletki antykoncepcyjne?

– Tego się dopiero dowiemy – odparł Renz. – Na razie nie wydaje się, żeby zabójca ją zgwałcił. No chyba żeby liczył tę jego specyficzną metodę z nożem i papierosem. – Renz oparł się łokciami o biurko i złożył palce. Dłonie miał różowe i jakoś tak nadzwyczajnie czyste. Całości dopełniał staranny manikur. – Przyjęto hipotezę, że oboje spali. Zabójca dostał się do środka za pomocą wytrychu albo klucza. Wszedł do sypialni długo po tym, jak zasnęli.

– Po seksie – dodał Quinn.

– Po seksie. Zabójca poderżnął gardło Benowi. Biedak nie zdążył się nawet obudzić. Zabójca, który w tym momencie nie miał już na sobie ubrania, nie dał mu nawet zareagować. Rozebrał się pewnie już w sypialni, patrząc na swoje przyszłe ofiary i wsłuchując się w ich oddechy. W ten sposób zyskał pewność, że oboje śpią już głęboko. Po śmierci Bena D.O.A. nadal zachowywał się cicho, teraz jednak pracował już w tempie. Wyciągnął taśmę, którą związał i zakneblował Beth. Ona pewnie zamarła z przerażenia, gdy spojrzała na drugą stronę łóżka.

– Biedna Beth – skomentował Quinn, zupełnie zresztą szczerze. Stopniowo wzbierała w nim złość. Zresztą kto wie, może kotłowała się w nim już od dłuższego czasu?

– Dla niego to był dopiero początek. Zabójca najpewniej usiadł na niej okrakiem, a wtedy zaczął swoją zabawę z nożem i papierosem. Teraz się nie spieszył.

– Znalazły się jakieś niedopałki?

– Nie, zabiera je z sobą – odparł Renz. – Filtry też, jeśli ich używa. Ten dupek jest naprawdę drobiazgowy.

– Jak sobie poradził z zabezpieczeniami w budynku?

– Dwóch portierów pracuje na zmianę do północy. Potem, żeby wejść do holu, trzeba podać pięciocyfrowy kod. Nie ma windy, a na schodach leży dywan, więc wchodzi się zupełnie po cichu. Dywany leżą też na korytarzach. To właśnie pod dywanem przy drzwiach Beth i Ben trzymali swój zapasowy klucz. To drugie miejsce, w którym by go szukał włamywacz, gdyby nie znalazł nic pod wycieraczką. Zabójca musiał tylko ustalić, gdzie mieszkają. Potem wystarczyło ich chwilę poobserwować i już dokładnie wiedział, jak ich dopaść. Ten psychol zna się na rzeczy.

– Co jeszcze mówią technicy?

– Niewiele, ale jeszcze nie skończyli. Nift twierdzi, że kobieta umierała ponad godzinę.

Quinn nic nie powiedział. Czuł, jak narasta w nim gniew. *Jaki musiał być rozczarowany, gdy mu uciekła w objęcia śmierci.*

– Wszystko wskazuje na to, że to D.O.A., a nie żaden jego naśladowca. Chociaż technicy ciągle jeszcze analizują materiał. Może znajdą coś nowego.

– Dwie ofiary – stwierdził Quinn. – Rodzina. Helen mówiła, że psychol będzie podbijać

stawkę.

– Naciska na ciebie – podsumował Renz.

Nie „na nas”, tylko „na ciebie”. Renz chroni swój tyłek.

– Sam pewnie też odczuwa presję – odparł Quinn.

Na biurku Renza zadzwonił telefon. Renz odebrał.

– Mówiłem, żeby nie łączyć rozmów. – Przez chwilę siedział ze słuchawką przy uchu, potem powiedział: – Dobrze, połącz. – Zasłonił dłonią słuchawkę i powiedział niemal bezgłośnie: – Minnie Miner. Chodzi o Weaver.

Skinął głową w kierunku drzwi, sugerując, że chciałby przeprowadzić tę rozmowę na osobności. Quinn miał sobie iść. Nie poszedł.

Część szósta

Tam piękna nie ubywa, zniszczenie nie napływa

– William Butler Yeats, *The Land of Heart's Desire*

Rozdział 62

Zdaniem Jerry'ego Lido i Pearl zbyt wiele osób wiedziało już o poszukiwaniach *Bellezzy*. W końcu ta wiedza, a wraz z nią plotki i różne nieracjonalne zachowania musiały zacząć rozprzestrzeniać się w tempie wykładniczym. Spodziewali się jednak, że stanie się to dopiero za jakiś czas. Jeśli ktoś faktycznie coś wiedział na temat *Bellezzy*, to prawdopodobnie orientował się również we wszystkim innym, co się z nią wiązało. Warto by więc dotrzeć do tego człowieka, zanim temat zainteresuje całą bandę maniaków.

Lido wiedział, że ma do wykonania ważne zadanie: przeszukiwał internet pod kątem informacji dotyczących zaginionego popiersia. Aby zaoszczędzić trochę czasu, zdecydował na Pearl sprawdzanie obiecujących, ale drugorzędnych tropów. Sam skupił się na tych, które rokowały najlepiej. Nikt w Q&A nie ośmieliłby się kwestionować jego pozycji jako geniusza technicznego, ale Pearl też nieźle sobie radziła i cały czas zdobywała nowe umiejętności. Ostatecznie to ona trafiła na coś interesującego w ogłoszeniu drobnym, opublikowanym w lokalnym tygodniku „Teaneck Tattler”, ukazującym się w New Jersey. Jakaś kobieta wystawiała na sprzedaż marmurowe popiersie, rzekomo wykonane przez Michała Anioła. Z ogłoszenia wynikało, że rzeźba znajdowała się w jej rodzinie od lat, a ona teraz postanowiła ją sprzedać, ponieważ potrzebowała pieniędzy. Pod ogłoszeniem widniał numer. Pearl pod niego zadzwoniła. Telefon odebrała kobieta, która przedstawiła się jako Jesse. Pearl poinformowała ją, że chciałaby rozmawiać z autorem ogłoszenia.

– Chodzi o moją ciotkę – usłyszała w odpowiedzi – Lucille Denner. Sama od wczoraj usiłuję się z nią skontaktować.

– Czy ten numer w ogłoszeniu to pani numer? – zapytała Pearl.

– Tak Tak miało być prościej. Ale ciotka nie odbiera swojego. Zostawiłam jej wiadomość, ale nie oddzwoniła. Stoję teraz przed jej domem, ale wszystko jest pozamykane na cztery spusty.

– Proszę nie wchodzić do środka – ostrzegła ją Pearl, wiedzona nieprzyjemnym przeczcuciem.

– Chybaby mi nie złała w ten sposób prawa... Chodzi mi o to, że przecież jej się mogło coś

stać. Stoję przed jej drzwiami i zastanawiam się, czy nie należałoby zadzwonić na policję. – Zaśmiała się nerwowo, trochę jak ćwierkający ptaszek Pearl nie bardzo się to spodobało. – A tu nagle pani do mnie dzwoni.

– Rozglądała się pani po okolicy?

– Nie, ale wołałam Lucille i nikt mi nie odpowiada. Jestem pewna, że jej tu nie ma.

– Proszę mi podać adres.

Jesse spełniła prośbę. Podała adres domu przy alei Garritson w Teaneck

– Proszę niczego nie dotykać i odejść nieco od domu – poinstruowała ją Pearl.

– Co takiego? Dlaczego?

– Nie ma teraz czasu na dyskusje – powiedziała Pearl. – Proszę to po prostu zrobić. Proszę nie wchodzić do środka i zacząć. Zjawimy się dosłownie za chwilę.

Jesse zamilkła, najwyraźniej zastanawiając się nad sensem polecenia, które wydała jej zupełnie nieznaną kobietą.

– Proszę pamiętać, żeby niczego nie dotykać – powtórzyła Pearl. – Gdzie pani teraz jest? Tak dokładnie.

– Na ganku.

– To proszę z niego zejść i stanąć przed domem na chodniku. Tam proszę czekać. Muszę kończyć, żeby gdzieś jeszcze zatelefonować.

– Czy ciotka Lucille ma jakieś kłopoty? – Głos jej drżał.

– Tak przypuszczam – odparła Pearl. – Proszę zrobić to, co pani powiedziałam.

Jesse obiecała zastosować się do jej poleceń. Chyba się cieszyła, że na miejsce przyjedzie jakiś stróż prawa.

Po zakończeniu połączenia Pearl powiedziała Lido o Lucille Denner i jej ogłoszeniu.

– To chyba nic takiego – odparł.

– Zawsze to lepiej niż już dobrze wiesz co.

Pearl zadzwoniła do Quinna na komórkę.

*

Quinn przeszedł w róg gabinetu Renza. Sam ledwo, ledwo słyszał treść rozmowy, którą komisarz odbywał z Minnie Miner, z czego wnioskował, że Renz z pewnością nie usłyszy, o czym on rozmawia przez komórkę z Pearl. Pearl przedstawiła mu najświeższe ustalenia krótko i zwięźle. Quinn powiedział:

– Zatrzymam się po ciebie po drodze.

Renz odłożył słuchawkę na widełki niemal w tym samym momencie, gdy Quinn skończył rozmawiać z Pearl.

– Minnie Miner – powiedział Renz, mimo że wcześniej już wspomniał Quinnowi imię dziennikarki. Liczył na to, że Quinn zdradzi mu tożsamość swojego rozmówcy.

– Pearl – Quinn faktycznie zaspokoił jego ciekawość. – Pewnie nic takiego.

Renz skrzyżował ramiona w geście oczekiwania, więc Quinn streścił mu swoją rozmowę z Pearl.

– Masz rację – powiedział. – Pewnie to jakaś wariatka, która próbuje sprzedać bezwartościowy grat odziedziczony w spadku. Może popiersie Carrie Nation.

– Mógłbym jej nawet nie rozpoznać – stwierdził Quinn. – A twój telefon?

– Weaver.

– A mówileś, że Minnie.

Renz zrobił minę niewiniątka.

– Nie, tylko wspomniałem o Minnie.

Quinn doskonale wiedział, że Renz kłamie. Wiedział też jednak, że nie ma sensu się kłócić. Tego drania trzeba było na każdym kroku pilnować!

– Czego chciała Weaver? – zapytał Quinn.

– Podobno Minnie Miner wspomniała o niej, chociaż nie z nazwiska, w swoim programie. „Nowa kelnerka w nowej świetnej restauracji kryje w swojej ładnej główce mały sekret”. Chyba dokładnie tak powiedziała.

– Zamierzasz wycofać Weaver? – zapytał Quinn.

– Niewykluczone, że jej nowa rola właśnie zyskała na wartości – stwierdził Renz z pełną świadomością, że Quinn zrozumie istotę sprawy.

Ogólnie Weaver można by uznać za zbędny element gry, ale może Quinn nie zaprotestuje?

– Zadbaj o to, żeby ktoś jej cały czas pilnował – zaznaczył Quinn.

Renz spojrział na niego znacząco. Było dla niego oczywiste, jak duże niebezpieczeństwo na siebie ściągała, pracując jako kelnerka – zwłaszcza teraz, gdy Minnie Miner zidentyfikowała ją w telewizji.

– Porozmawiam z Weaver – powiedział Renz. – Ty też się upewnij, że ona wie, co robi. – *I zapewnij ją, że nic jej nie grozi, żeby się przypadkiem nie wycofała.*

Quinn opuścił posterunek i wszedł do lincolna. Po drodze do New Jersey musiał się jeszcze zatrzymać po Pearl. Jadąc FDR Drive, zapalił cygareto i z komórki zadzwonił do Weaver. Odebrała po trzecim dzwonku. Potwierdziła, że rozmawiała już z Renzem o Minnie Miner.

– Nie masz z tym problemu, Nancy? – zapytał Quinn, wyprzedzając ciężarówkę przewożącą ogromne rury z PCV. Zapach spalin na chwilę zdominował woń cygara.

– Nie pierwszy raz robię za przynętę – odparła Weaver. – Pracowałam też przez jakiś czas dla obyczajówki. Poza tym przecież ten zabójca już ma mnie na celowniku. Chętnie skorzystam z okazji, żeby mu odpłacić pięknym za nadobne. To mogłoby być zabawne.

Quinn raczej w to wątpił. Przypuszczał, że Weaver też nie mówi do końca poważnie. Powiedział jej o ogłoszeniu, które ukazało się w „Teaneck Tattler” w New Jersey, a także o tym, że właśnie jadą tam razem z Pearl, żeby zbadać sprawę. Uznał, że od tej pory pewnie warto by Weaver na bieżąco o wszystkim informować. Brała na siebie tak duże ryzyko, że chyba jej się to należało.

– Niewykluczone, że nic z tego nie będzie.

– Niektóre tropy są dobre, inne nie, ale wszystkie nas czegoś uczą, nawet jeśli nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę – stwierdziła Weaver.

Pewnie się boi, skoro zebrało jej się na filozofowanie.

– Dam ci znać, jeśli tu, na zamku, wydarzy się coś nadzwyczajnego – powiedziała Weaver. –

Albo coś, co się nie da zakwalifikować jako zwykła nadzwyczajność.

– Uważaj na siebie, Nancy. Ta maskarada może się przeistoczyć w coś poważnego.

– Na poważnie to się kruszy łopie – padła odpowiedź. – Poza tym pamiętaj, że ja mam tu moich rycerzy na białych koniach.

Quinn zaciągnął się cygarem i nacisnął pedał gazu. Przekraczając dozwoloną prędkość, wyprzedził ciężarówkę. Rozmawiał co prawda przez telefon, ale jego wzrok przez cały czas mniej więcej skupiał na drodze. Podczas jazdy zwykle rozmyślał o dziesiątkach rzeczy.

– Nie ryzykuj niepotrzebnie – przy pomniał Weaver.

W przyciśniętym do ucha aparacie nic już nie usłyszał. Połączenie zostało przerwane.

Rozdział 63

Quinn jechał szybko, więc trasę z Manhattanu do New Jersey pokonali w zupełnie przyzwoitym czasie. Wkrótce znaleźli się w Teaneck. Korzystali z nawigacji zasilanej z gniazdka od zapalniczki, więc bez trudu odnaleźli dom Lucille Denner przy Garritson Avenue.

Przy ulicy stały w większości niewielkie domy, wzniesione w okresie budowlanego szaleńczego po drugiej wojnie światowej. Niektóre z nich potem rozbudowywano, w miarę jak zamieszkujące je rodziny się powiększały. Dom pani Denner należał do tych mniejszych, dobrze utrzymanych. Został pomalowany na jasny beż wpadający w kolor kremowy, a całości dopełniały ciemnobrązowe okiennice i drzwi. Wzdłuż jednego z boków zainstalowano pergole, co miało chyba optycznie powiększać konstrukcję. Na pnączach sięgających połowy ich wysokości kwitły szkarłatne róże. Z drugiej strony budynku znajdował się zintegrowany z częścią główną garaż na jeden samochód. Trawnik porastała bujna trawa, właściwie powoli domagająca się strzyżenia.

Quinn na wszelki wypadek zaparkował lincolna w taki sposób, że zablokował wąski betonowy podjazd prowadzący do garażu. Brama otwierała się do góry, ale w tej chwili pozostawała zamknięta.

Wysiedli z samochodu i skierowali się w stronę niskiego drewnianego ganku, który został pomalowany na ten sam kolor co okiennice. Quinn czuł zapach rosnących w pobliżu róż, chociaż może tylko mu się wydawało. Kilkakrotnie zapukał do drzwi, ale nie był zaskoczony brakiem odpowiedzi. Pearl przeszła kilka kroków i spróbowała zajrzeć przez okno, ale w środku panowały zupełne ciemności z powodu niemal całkowicie zaciągniętych zasłon. Została na ganku, podczas gdy Quinn obszedł dom, żeby zapukać do tylnych drzwi. Tych również nikt nie otworzył.

Detektyw wrócił przez wysoką trawę.

– Tu jestem – usłyszeli kobiecy głos.

Odwrócili się i zobaczyli kobietę w średnim wieku, która kiedyś prawdopodobnie miała zupełnie niezłą figurę, teraz jednak nieco za bardzo przytyła w okolicach pasa i szyi. Długie, swięjące włosy opadały jej prosto na twarz i wyglądała zza nich trochę jak zza zasłonek Quinn

pomyślał, że taką fryzurę w tym wieku powinny nosić tylko kobiety naprawdę piękne. Ta zaś wyglądała trochę tak, jakby grawitacja uwzięła się na jej twarz. Do tego miała wystający podbródek, a szare oczy patrzyły na świat jakby z troską.

– Jesse? – zapytała Pearl.

– Tak Postanowiłam stanąć kawałek dalej przy ulicy, za drzewem, i stamtąd obserwować, kto podjeżdża pod dom ciotki. – Uśmiechnęła się z zażenowaniem, prezentując garnitur krzywych zębów. – Państwo zdali egzamin.

– Czy oddaliła się pani od domu zaraz po naszej rozmowie? – zapytała Pearl.

– Tak, jak tylko się rozłączyliśmy.

– To świetnie – stwierdził Quinn.

Podjął próbę otwarcia frontowych drzwi, ale te okazały się zamknięte. Jesse powiedziała, że ma klucz. Zamek wydał niski brzęk niepewności, zupełnie jakby tkwił w drzwiach od początków istnienia domu i rzadko bywał używany. Jeśli oprócz niego drzwi miały inne zabezpieczenie, to nie zostało ono zamknięte.

Quinn zasłonił wejście własnym ciałem, żeby Jesse nie wkroczyła do środka pierwsza. Szybko znalazł się w niewielkim, ale elegancko umeblowanym salonie. Pearl spojrzała na Jesse z uspokajającym uśmiechem, po czym powiedziała:

– Niech pani tu lepiej poczeka. Zawołamy panią.

Jesse nie była z pewnością do końca przekonana do tego pomysłu, ale ostatecznie skinęła głową. Odkąd towarzyszyło jej tych dwoje, którzy na pewno wiedzieli, jak postępować w takich sytuacjach, bała się już zdecydowanie mniej.

Pearl wyczuwała w powietrzu coś, co znała aż nazbyt dobrze. Zapach był lekki, ale wyraźny.

– Patrz pod nogi i uważaj, czego dotykasz – powiedział Quinn.

Zza jego pleców dojrzała skulony kształt na podłodze w jadalni.

– Lucille Denner – wyszeptał Quinn.

– Bez wątplenia – odparła Pearl.

– Ktoś pewnie odpowiedział na jej ogłoszenie.

– Jakis niezadowolony klient.

Quinn wszedł do jadalni pierwszy. Panował tu mrok, ale żadne z nich nie chciało ruszać zasłon ani włączać światła, żeby miejsce zbrodni pozostało w niezmiennym stanie. Ale nawet pomimo słabego oświetlenia doskonale wiedzieli martwe ciało kobiety leżące na drewnianej podłodze.

– Uważaj, żeby nie wejść w jakąś krew – przestrzegł ją Quinn.

Pearl przysunęła się bliżej do ciała, żeby zerknąć na czoło kobiety. Dostrzegła na nim litery D.O.A. Wyglądały dokładnie tak samo jakte wycięte na skórze innych ofiar.

Quinn wskazał głową drugą stronę jadalni. Skierował wzrok na drewniany stolik i krzesła, które zostały ustawione pod kątem świecznikiem. Pearl ostrożnie przeszła przez pokój, mijając mahoniowy kredens. Na podłodze dostrzegła kilka potłuczonych fragmentów wyglądających na ceramikę. Po złożeniu ich w myślach uzszyła kształt głowy i tułowia nagiej kobiety, która mogła być Bellezzą. *Pod warunkiem że to jest marmur, a nie ceramika. I że rzeczywiście wyszedł spod dłuta Michała Anioła.*

Ogłoszenie w lokalnej gazecie najwyraźniej skłoniło kogoś do odbycia podróży na próżno. Quinn widział oczyma wyobraźni, jak zabójca spogląda na żałośnie oczywistą imitację dzieła i ciska nią o podłogę, po czym wyładowuje swój gniew na nieszczęsnej Lucille Denner. W tym

przy padku używał noża i papierosa ze szczególnym okrucieństwem.

– Czy ona naprawdę sądziła, że uda jej się to opchnąć jakiemuś naiwniakowi? – zastanawiała się Pearl.

– Naiwnych nie brakuje – odparł Quinn. – Liczyła, że trafi jej się ktoś, komu się będzie wydawało, że zdoła ją oszukać i kupić tanio arcydzieło.

Pearl tylko pokręciła głową.

– Mało to narkomanów choruje albo umiera, bo zamiast koki czy heroiny nacpa się jakiegoś trującego świństwa... – Quinn pozwolił sobie na refleksję.

– Naiwnych nie brakuje – powtórzyła po nim Pearl i rozejrzała się wokół siebie z dziwnym niepokojem, trochę jak gdyby gdzieś za framugą miał czyhać na nią jej los.

– Sprawdzalem – zaczął Quinn. – Ma co prawda telefon stacjonarny, ale i tak powinniśmy dostać wykaz połączeń przychodzących.

Nie spodziewał się jednak po tym zbyt wiele. Wiedział, że zabójca na pewno zadbał o to, aby po jego telefonie w sprawie ogłoszenia nie pozostał nawet ślad.

– Dziwi mnie to tylko o tyle – powiedziała Pearl – że przecież musiał wiedzieć, że zostanie tu nędną imitacją.

– Odpowiadało mu to – stwierdził Quinn.

– Niby dlaczego?

– Bo my teraz marnujemy czas, rozmawiając i rozmyślając o morderstwie Lucille Denner, zamiast skupiać się na prowadzeniu pościgu.

– Kiepski motyw.

– Chce nas też skłonić do przyjęcia hipotezy, że znowu będzie przekraczać granice stanów.

– Nadal kiepski motyw.

– Poza tym chce nam pokazać, na co go stać.

– Ten jest już lepszy – oceniła Pearl.

Quinn wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do znajomego sierżanta z wydziału policji w Teaneck. Potem skontaktował się z Minnie Miner. Uznał, że skoro oni marnowali czas, to ona też może. Zauważył, że na dźwięk jej nazwiska Pearl uniosła nieco brwi.

– Może ją to trochę spowolni – stwierdził Quinn. – Będzie się też mogła zająć tymi wszystkimi ogłoszeniami w sprawie *Bellezy*, które nagle zaczynają znikać z e-Baya.

– Pearl? Detektywie Quinn? Są tam państwo? – usłyszeli głos Jesse, który brzmiał trochę tak, jak gdyby jego właścicielka zaklinowała się w otwartych drzwiach.

– Droga pani, niech pani się lepiej nie rusza z miejsca – odezwał się Quinn.

Ona jednak nie posłuchała. Ciekawość i troska o ciotkę Lucille skłoniły ją do przekroczenia progu. Pearl usłyszała, że Jesse wchodzi do środka, i próbowała ją zawrócić, ale kobieta już spojrziała na podłogę w salonie.

Rozdział 64

Zabójca zaparkował skośnie za czarnym SUV-em przy ulicy naprzeciwko Far Castle. Jeździł starym szarym bmw, zwykłym modelem czterodrzwiowym. Samochód kiedyś zaliczał się do luksusowych, a w związku z tym tak wielu innych producentów próbowało naśladować jego wygląd, że z czasem zupełnie przestał zwracać na siebie uwagę. Na pierwszy rzut oka był dokładnie taki sam jak miliony innych samochodów na Manhattanie. Rozwijał natomiast bardzo duże prędkości. A zabójca cenił sobie zarówno szybkość, jak i anonimowość. Trudno powiedzieć, kiedy jedno albo drugie może się przydać.

Opuścił szybę, wyłączył silnik i klimatyzację. Z radia płynęły ciche dźwięki muzyki klasycznej, a konkretnie *Jupitera* Holsta, jednej z ulubionych kompozycji zabójcy. To konkretne miejsce parkingowe stanowiło idealny punkt do obserwacji gości spożywających posiłki przy stolikach rozstawionych przed restauracją. Zabójca przyglądał się ludziom, którzy przychodzą i opuszczają lokal. Już wcześniej zdarzało mu się prowadzić takie obserwacje, teraz jednak wiedział konkretnie, czego szuka. Wypytywał tej kelnerki, o której wspomniała – choć nie z nazwiska – Minnie Miner w swoim wieczornym programie informacyjnym.

Zdążył już poznać z widzenia wszystkich kelnerów, a ta blondynka po czterdziestce wydawała mu się dość atrakcyjna, choć jego wprawne oko od razu dostrzegło w niej coś podejrzanego. Dobrze pasowała do roli średniowiecznej białogłowy obsługującej klientów wyszynku i wykonywała swoją pracę z niewątpliwą pasją. Ale tej pasji miała tak naprawdę więcej niż umiejętności. Początkowo zdawała się nie najlepiej radzić sobie z serwowaniem posiłków. Potem nabrała wprawy i rzadziej zdarzało jej się przypadkiem przewrócić kieliszek z wodą czy nadepnąć kóremuś z gości na nogę. *Niewiasta, która umie się odnaleźć!* Zabójca uśmiechnął się do siebie. Może w stosownym czasie opowie ten dowcip swojej ofierze.

Potem jednego wieczoru zobaczył, jak jasnawłosa kelnerka rozmawia przez chwilę z Quinnem. Detektyw przechodził akurat obok niej w drodze do restauracji. Niby nie zagadali się długo, ale nie sprowadzało się to tylko i wyłącznie do zdawkowego powitania. Szybko się od siebie oddalili, jak magnesy o tych samych biegunach. Ale z jednej strony za szybko, a z drugiej – za

późno. Tych dwoje na pewno się znało, choć starali się kontrolować mowę ciała, żeby się z tym nie zdradzić.

Zabójca doszedł do wniosku, że kelnerka musiała być podstawiona, a resztki wątpliwości udało mu się rozwiązać w ciągu zaledwie kilku dni. Właściciel restauracji, aspirujący do miana wybitnego szefa kuchni, obłudny Winston Castle, traktował tę dziewczynę inaczej niż pozostałych kelnerów. Podczas rozmów okazywał jej niemal jawny szacunek. Sugestia Minnie Miner, jakoby wśród kelnerów restauracji pracował szpieg, tylko utwierdziła go w przekonaniu, że blondynka była policjantką pod przykrywką. Wystarczyło zerknąć na nią przez lornetkę, żeby ją rozpoznać. Nancy Weaver. Ta, która o mały włos go nie dopadła.

Ale cóż ona robiła w tej restauracji? Czyżby udało jej się powiązać Castle'a z pokręconą rodziną poszukującą Świętego Graala? Najpewniej próbowała rozwiązać zagadkę jego zabójstw idealnych. Czy coś udało jej się ustalić? A jeśli tak? Czy Quinn, Pearl i cała reszta też już odkryli związek między jego ofiarami a *Bellezzą*? Tak jak zabójca to sobie zaplanował. W końcu wybrał Quinna na przeciwnika właśnie dlatego, że facet był nie w ciemię bity.

Z początku chodziło mu tylko o to, by wciągnąć Quinna w swoją morderczą grę. Potem natknął się na tę historię zaginionego (a być może w ogóle nieistniejącego) skarbu i gra nagle nabrała rumieńców, tym bardziej że umierające ofiary wyznawały mu zawsze najszczęśliwszą prawdę. Rozmowna Grace Geyer, którą poznał w muzeum, rozbudziła jego ciekawość. Skłoniła go do przesłuchania Andrii Bell, a ta po prostu nie mogła go okłamać, a na pewno nie celowo. Ile jednak z tego, co mu powiedziała, faktycznie było prawdą, tego nie mógł być pewien. Mógł być tylko pewien, że ona wierzy w to, co mu powiedziała. Nie miał też wątpliwości, że również Weaver wyznałaby mu prawdę. Powiedziałyby mu, co wie, co wie nowojorska policja i co wie Quinn. O zabójcy znanym jako D.O.A. i o *Bellezzie*.

Myśl o Weaver poruszała w jego wnętrzu tę dobrze mu znaną strunę. Z wielką przyjemnością by ją przesłuchał, zajął się tym, co mu wychodziło najlepiej. Ona zaś zachowywałaby się dokładnie tak samo jak inne kobiety. Wiedziała, kim jest, czym jest, zabrakłoby jej woli oporu. One wszystkie w pewnym momencie – zresztą na stosunkowo wczesnym etapie – uświadamiały sobie, że właściwie to już nie żyją. I tym razem mu się uda. To przeznaczenie, przed którym nie da się uciec. Po co więc w ogóle próbować? Przeznaczenie to wielki oszust, a przy tym przebiegły sojusznik tego, kto występuje w jego imieniu.

Tego zresztą nie rozumiał Quinn – że przeznaczenie jest współnikiem zabójcy. To za jego sprawą doszło do przecięcia jego ścieżki ze ścieżkami Quinna i rodziny pochłoniętej iluzorycznymi i poszukiwaniami *Bellezzy*. Przeznaczenie i zabójca stanowili nierozzerwalną całość.

Od czasu śmierci Grace Geyer zabójca nieraz dawał Quinnowi do zrozumienia, że zagubione dzieło sztuki i jego zbrodnie mają z sobą jakiś związek. Zadał o to, aby był to przekaz czytelny. Aby rozwiązać wszelkie wątpliwości, zabił nawet małżonków. Chciał w ten sposób wyrzucić na Quinnie jeszcze większą presję. I detektyw w musiał czuć, że ścigany przez niego zabójca ma coraz większe potrzeby.

Nie miał wątpliwości co do tego, że od profilerki Helen Iman Quinn usłyszy, że to on – Quinn – zdaje się chwilowo wygrywać, że zabójca sprawia wrażenie, iż popada w coraz większą desperację, że traci zdolność racjonalnego myślenia. Cóż jednak ta duża i niezdarzna pani psycholog wie o racjonalności? Cóż ona wie o przeznaczeniu?

Zabójca wracał myślami do wszystkich tych wydarzeń, za których sprawą siedział teraz

w zaparkowanym samochodzie i obserwował swoją kolejną ofiarę. Przeznaczenie stało za wszystkim, co się dokonało od czasu jego powrotu do Nowego Jorku. To ono zasługuje na miano architekta wszystkich tych zdarzeń. Być może profilerka też w końcu dojdzie do tego wniosku drogą eliminacji. A jeśli to nie przeznaczenie, to w takim razie Michał Anioł. *Tak, Michał Anioł! Policja koniecznie powinna go umieścić na liście podejrzanych!*

Zabójca zaśmiał się tak głośno, że aż uderzył dłonią w kierownicę. Nagle jednak zamarł. Rozejrzał się wokół siebie. Nie chciał, żeby ktoś zwrócił na niego uwagę. Chociaż ludzie nie uwierzyliby przecież w prawdę, która została mu objawiona.

Rozdział 65

Jeśli chodził po tej planecie ktoś, do kogo Helen czuła pogardę, to była to właśnie cielawską, egoistyczna i nieszczerą, a przy tym bezkresnie ambitną i agresywnie urokliwą Minnie Miner. Dlatego Helen niezbyt pozytywnie odniosła się do pomysłu Quinna i Renza, by wystąpiła w programie *Minnie Miner ASAP* i porozmawiała o zabójstwach D.O.A. Mimo to się zgodziła. Quinn i Renz rozmawiali z Helen o tym, co powinna powiedzieć, żeby wywrzeć dodatkową presję na zabójcę. Oba panom musiała oddać, że uznawali jej autorytet.

Helen nie miała wątpliwości, że zabójca czuje, iż zbliża się do przepaści. Jeśli mogła się jakoś przyczynić do zepchnięcia go w jej pustkę, to jak najbardziej chciała skorzystać z okazji, nawet jeżeli musiałaby w tym celu ponownie stanąć oko w oko z Minnie Miner.

Siedziała więc teraz w jednym z dwóch wygodnych foteli ustawionych pod kątem do małego stolika i mikrofonu, które na żywo okazały się mocno sfatygowane. Częściowo odpowiedzialna była za to spora liczba gości, którzy je po prostu wysiedzieli, a częściowo obfite poty, jakimi zlewali się rozmówcy Minnie w świetle kamer. Bo Minnie Miner była niezwykle drapieżną i sprytną dziennikarką.

Kamera płynnie zbliżała się do Helen, aż w końcu jej wielkie oko znalazło się niemal przy twarzy psycholog. Drugą kamerę ustawiono w taki sposób, by prezentować sylwetkę Minnie Miner w trzech czwartych jej okazałości. W tle ktoś się poruszał. Gdy przedstawiano Minnie, światło rozbliżyło i stało się cieplejsze. O ogłuszających brawach raczej nie było mowy, publiczność powitała ją z umiarkowanym entuzjazmem. Na sali siedzieli przypadkowi ludzie, których ekipa Minnie ściągnęła z ulicy. Okłaski ustały, jeszcze zanim nastolatka w dżinsach Levi'sa opuściła stosowny transparent.

Minnie uśmiechnęła się szeroko i na chwilę uniosła dłonie, jak gdyby prosząc o ciszę. Gdy ta zapadła, prezenterka powiedziała:

– Moim dzisiejszym gościem jest słynna profilerka, i bynajmniej nie chodzi tu o kogoś, kto projektuje stalowe profile. Tym, którzy jeszcze nie wiedzą, czym się zajmuje policyjny profiler, spieszę wyjaśnić, że to bardzo interesująca i ważna praca. Moja dzisiejsza rozmówczyni

interesuje się oczywiście również wyglądem przestępcy, ale bardziej tym, co się dzieje w jego głowie. Pracuje jako psycholog i profiler dla różnych organów ścigania. Zupełnie niewykłuczone, że poza może matką zabójcy – jeśli ta jeszcze żyje – najlepiej z nas wszystkich wie, jak myśli D.O.A. Dookonał swój warsztat, żeby coraz lepiej poznawać tajemnice chorego umysłu i przemierzać wraz z nim korytarze szaleństwa. Żeby wiedzieć, co czuje zabójca. Dlaczego robi to, co robi. I co może zrobić w przyszłości. – Minnie uśmiechnęła się szeroko i nachyliła w stronę swojego gościa. – Przedstawiam państwu Helen Iman, która przyszła nam opowiedzieć o zabójcy znanym jako D.O.A.

Tym razem rozległy się autentycznie entuzjastyczne, niewymuszone okłaski. Helen musiała przyznać sama przed sobą, że zrobiło jej się miło. Zupełnie nie zależało jej na sławie celebryty, ale aplauz wywołał uśmiech na jej twarzy. Zastanawiała się, czy zamiast niebieskich sportowych spodni i adidasów nie powinna jednak włożyć czegoś bardziej oficjalnego.

Czekała, aż Minnie rozpocznie rozmowę. Wiedziała, że prowadząca program słynie z upodobania do zaskakiwania gości, potrafiła również budować suspens, ale Helen to nie przeszkadzało. Potrafiła czekać.

– Skoro Quinn za pierwszym razem nie zdołał ująć tego mordercy – zaczęła w końcu Minnie – to dlaczego komisarz ponownie powierzył mu śledztwo w sprawie tych ostatnich zabójstw? – *To pytanie powinno wytrącić profilerkę z równowagi.*

– To nie komisarz dokonał wyboru, tylko zabójca.

Auć! Trzeba na nią uważać. Zamiast się zachwiać, przeprowadziła kontratak Minnie postawiła więc tym razem na bezpieczne pytanie:

– Powiedz mi, Helen, dlaczego pracujesz jako policyjny profiler.

– Jakkolwiek banalnie by to brzmiało – odparła Helen – chcę walczyć z przestępczością. Najlepiej mogę to robić, odwołując się do mojej znajomości psychologii i zachowań niepoprawnych przestępców.

Minnie uśmiechnęła się szeroko.

– Czy li łapiesz zabójców.

– Tak, a także innych przestępców.

Minnie uniosła brwi i zrobiła zdumioną minę.

– Powiedziałaś „niepoprawnych”. Czyli uważasz, że zabójca taki jak D.O.A. nie mógłby odnaleźć Boga i dać się zesocjalizować?

Helen o mało się nie zakrzuszyła.

– Moim zdaniem taki zabójca jest zły i nie da się go wydobyc z piekła, do którego zesłał siebie i swoje ofiary.

– Takie jednak stwierdzenie z pewnością nie dotyczy każdego zabójcy – zagadnęła Minnie.

– Mało które stwierdzenie można odnieść do każdej sytuacji.

Minnie chwilę się nad tym zastanowiła, po czym przywołała na usta swój uniwersalny buńczuczny uśmiech.

– Ty w każdym razie uważasz, że D.O.A. jest zły.

– Oczywiście. Niewykłuczone, że ma również inną naturę, którą na co dzień prezentuje ludziom. Ale zabójca zawsze czai się gdzieś pod tą powierzchwnością.

– Szatan? – W kąciku ust Minnie pojawił się uśmiech.

– Jeśli tak chcesz to nazywać – odparła Helen. *Niech sobie psychol myśli, że mógłby być*

Belzebubem. Nachyliła się do mikrofonu, ale nie próbowała przejąć kontroli nad rozmową. Po prostu ustawiła go tylko pod lepszym kątem. – Poza tym moim zdaniem, jeśli chodzi o zabójców, którzy są naprawdę źli, warto zwrócić uwagę na pewną szczególną rzecz. Otóż z czasem odczuwają oni coraz większą presję z powodu swoich czynów. W końcu wszyscy się pod nią załamują.

– Czyli twoim zdaniem D.O.A. odczuwa presję?

– Tak, a poza tym jest bliski załamania.

– Załamania...

– Powiedzmy: dezintegracji.

– Mówisz to z dużym przekonaniem.

– Bo jestem o tym przekonana. Miałam już wcześniej do czynienia z takimi mordercami.

Znajduje się w potężnym uścisku choroby umysłowej, zmaga się sam z sobą.

– Od początku tak to chyba nie wyglądało? Dlaczego twoim zdaniem teraz zabójca znajduje się na skraju załamania? – zapytała Minnie.

– Ponieważ **chce** się załamać – odparła Helen. – On potrzebuje, żeby go ktoś zatrzymał.

Zdaje sobie sprawę, że na swój dziwny sposób przyczyni się do własnego upadku.

– Dlaczego niby miałby to zrobić?

– Wie, że jest zły. Jeśli nasze przypuszczenia dotyczące D.O.A. są słuszne, to mamy do czynienia z trzydziestopięcioletnim mężczyzną, którego rodzice zostali zamordowani, gdy miał czternaście lat. Każdy kolejny rok stanowi dla niego coraz większe obciążenie. Już dłużej nie może się sam siebie wypierać.

Minnie klasnęła w dłonie, jak gdyby ją to zafascynowało. To zresztą mógł być zupełnie autentyczny gest.

– Jakie sygnały wskazują na coś takiego?

– Zanim odpowiem na to pytanie, pozwolę sobie wyjaśnić kilka kwestii na temat D.O.A. Chodzi o pewne sprawy ogólne, które niekoniecznie odnoszą się konkretnie do tego przypadku, ale składają się na standardowy profil takiego zabójcy. Otóż mamy tu do czynienia z mężczyzną w wieku od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat... – Helen przedstawiła pokrótce Minnie i jej widzom typowy profil serialowego zabójcy, ale na twarzy Minnie pojawił się zimny uśmiech, z którego Helen mogła wyraźnie wyczytać, że prowadząca wolałaby dowiedzieć się czegoś, czego odbiorcy nie słyszeli już dziesiątki razy. Helen jednak się tym nie przejmowała, kierowała bowiem swój przekaz nie do publiczności, ale konkretnie do zabójcy.

W końcu Minnie jej przerwała, aby ponownie przywrócić programowi właściwą dynamikę:

– A co cię skłania do stwierdzenia, że ten konkretny zabójca załamał się w tym konkretnym momencie? Co na to wskazuje?

– Zachowuje się nieostrożnie. Zabija też coraz częściej, w coraz bardziej okrutny sposób. Tak to bywa w przypadku seryjnych morderców w końcowym okresie ich aktywności. Popadają w desperację. Zaczynają popełniać drobne błędy. Podświadomie zbliżają się do tego rodzaju śmierci, który niechybnie ich czeka.

– Może pani zdradzić naszej publiczności, jakiego rodzaju błędy zdarzają się D.O.A.?

– Nie mogę omawiać materiału dowodowego. To poufne informacje policyjne.

– A coś poza tym może pani powiedzieć?

– Oczywiście – odparła Helen. – Nasz zabójca D.O.A. bez wątplenia zachowuje się coraz

bardziej rozpaczliwie. Podniósł stawkę, torturując i mordując parę małżeńską. Podświadomie sygnalizuje nam w ten sposób, że jest gotów poddać się swojemu losowi. W jego głowie rozpętała się burza konfliktów.

– Przedstawiasz go jako jakiegoś beznadziejnego wariata.

– On właśnie kimś takim jest, tyle że rozumie swoją słabość i zdaje sobie sprawę, że zbliża się jego koniec.

– A na czym ta jego słabość polega?

– Chodzi oczywiście o słabość jego charakteru.

Wypowiadając te słowa, Helen nagle poczuła dziwny chłód. W trudny do określenia sposób stało się dla niej jasne, że zabójca na nią patrzy: na własnym telewizorze albo w barze czy restauracji, ale na pewno ją ogląda.

*

Wariat? Bliski końca? O słabym charakterze? D.O.A. miał ochotę cisnąć szklanką w telewizor. Odstawił ją jednak i opadł na oparcie sofy. Nerwowo napinał dłonie, na co zwrócił uwagę dopiero, gdy spuścił na chwilę wzrok. Dobrze wiedział, co ma ochotę zrobić.

Wariat!

Zwrócił wzrok w kierunku dzieł sztuki, które wisiały na ścianach. Wpatrywał się w obrazy swoich ulubionych malarzy: Boscha, twórcy straszliwych wizji, van Gogha, który pędzlem rozsiewał szaleństwo, i Maneta, maniaka seksualnego, który zmarł na syfilis. Jak gdyby w charakterze dopełnienia dla tych straszliwych obrazów obok wisiało kilka dużych płócien Picassa, przedstawiających nagie kobiety obserwowane jednocześnie z kilku perspektyw. Modelki wyglądały tak, jak gdyby jakiś szaleniec poćwiartował je z chirurgiczną precyzją, a potem złożył byle jaki wystawiał na pokaz. Obrazy szaleństwa. *Przedmioty fascynacji upragnione przez wariata? Wariata o słabym charakterze?*

Potem nagle zabójca uświadomił sobie, że dokładnie o to im chodzi. Do tego dokładnie chcą go skłonić. Chcą rozbudzić w nim słabość. Chcą, by się naraził. Poznaliby wtedy jego słabsze strony.

Zabójca dobrze rozumiał swojego głównego przeciwnika. Doskonale znał jego strategię. Ta strategia zakładała, że on podbije stawkę i przypuści atak na kogoś, kto jest Quinnowi bliski. Na przykład na Pearl czy Jody. Mógłby też zaatakować profilerkę Helen, żeby się na niej zemścić za to, co powiedziała. Nie przeczyl, kusiła go ta wizja. Tyle że takiej zemsty nie planował. Helen nie była w jego typie. Jeszcze przypadkiem doszłoby do konfrontacji i sytuacja mogłaby się wymknąć spod kontroli.

Nie, on miał lepszy pomysł. Ten sam, co wcześniej.

Weaver. Następna miała być Weaver. Weaver, która występowała pod przykrywką jako kelnerka Eileen w Far Castle. Weaver, która znała obie wersje całej historii. Weaver, która już raz mu się wymknęła...

Weaver orientowała się, co wiedzą Quinn i policja. Znajdowała się na zbiegu wątków poszukiwania zabójcy D.O.A. oraz Bellezzy.

Zabójca wziął łyk zimnego piwa i zlizął piankę z ust.

Weaver. Ona mu powie wszystko.

Rozdział 66

Gorąca pora kolacyjna minęła. Nieliczni goście zajmowali już tylko połowę stolików w Far Castle, część z nich raczyła się właśnie deserem. Nancy Weaver, znana tu jako Eileen, miała za chwilę skończyć pracę. Pożegnała się z drugą kelnerką i kasjerką, po czym opuściła restaurację i ruszyła w stronę stacji metra. Fedderman szedł zaraz za nią, utrzymując odległość równą połowie przecznicy. Od momentu jak Nancy docierała do domu i znajdowała schronienie w swoim mieszkaniu, dozór nad nią przejmowały dyżurne patrole policyjne i para nowojorskich funkcjonariuszy w cywilu.

Fedderman odprowadził już Nancy do domu, mógł więc spokojnie zakończyć pracę ze świadomością, że nic jej nie grozi. Ona też mogła czuć się bezpiecznie.

W drodze do domu Weaver jakoś szczególnie się nie obawiała. Nie odwracała się, ale wiedziała, że Fedderman za nią podążał. Zresztą nawet gdyby go zabrakło, sama potrafiła przecież ustrzec się przed napastnikiem albo wręcz go schwytać. Jeśli przyszło jej przemierzać ciemną uliczkę, wkładała rękę do torebki i trzymała ją na dziewięćciomilimetrowym Glocku. Sama zachowywała czujność, a do tego miała aniołów stróżów. Niewykłuczone, że to ją czyniło najbezpieczniejszą kobietą w całym Nowym Jorku.

Chociaż nie do końca...

*

Pokonując gorzej oświetlony odcinek drogi, taki jak choćby ten, który teraz miał przed sobą, Fedderman również kładł dłoń na broni. Zachowywał czujność, ale się nie martwił. Dla D.O.A. duże znaczenie miały tortury, te zaś wymagały czasu i samotności. Zabójca torturował i pozbawiał swoje ofiary życia w ich własnych mieszkaniach, zwykle w łóżkach. Czyż można

sobie wyobrazić lepsze miejsce do przeżywania misterium agonii i morderstwa? Największe niebezpieczeństwo groziło więc Weaver w jej własnym mieszkaniu. Jeśli w ogóle cokolwiek jej groziło.

Fedderman zwolnił kroku. Rozpoznawał przed sobą ciemny zarys sylwetki Weaver, słyszał stukot jej obcasów na chodniku. Przywiązywał do tego rytmu dużą wagę. Dopóki tempo i siła uderzeń pozostawały bez zmian, wszystko tam z przodu toczyło się tak, jak powinno. Zaczął rozmyślać o Penny. Spotkali się podczas lunchu i po raz kolejny zadeklarowali wolę pracy nad małżeństwem. Fedderman doszedł do wniosku, że musi w tym celu wykazać się zrozumieniem i troską. Musiał przekonać Penny, że dobrze rozumie, co ona czuje w związku z ciągłą niepewnością, będącą konsekwencją jego niebezpiecznego zawodu. Musieli razem stawiać czoło różnym mrocznym scenariuszom. Wszelkie plany wiecznie stały pod znakiem zapytania. To wszakże nie oznaczało, że nie mogą cieszyć się chwilą obecną. Ani też, że nie powinni niczego planować.

Schodząc na ulicę, Fedderman zaczął obcasem o krawężnik. Potknął się i o mało nie przewrócił. Niewiele brakowało, a skrzyłby kostkę. Nie mógł sobie na to pozwolić. *Skup się na tym, co robisz.*

Spojrzał przed siebie. Pół przecznicy z przodu dostrzegł Weaver. Dzielił go od niej nieco większy dystans, niżby sobie życzył. Kroczyła przed siebie na wysokich obcasach z wprawą typową dla kobiet, które często noszą takie obuwie. Fedderman nagle doszedł do wniosku, że być może kobiety czasami śledzi się trudniej niż mężczyźni właśnie dlatego, że obcasy wydłużają im krok. Poza tym kobiety na obcasach zawsze się dokądś spieszą...

Nagle poczuł ból za prawym uchem. Padł na ziemię. Prawa dłoń, którą próbował amortyzować upadek, mocno go piekła. Ciągłe próbował ustalić, co się właściwie stało, gdy coś boleśnie odbiło się od prawego ucha i spadło mu na barki. Postanowił się nie ruszać i pomyśleć... *Pomyśleć...*

Kiedyś, dawno temu dostał już w głowę. Przypadkiem, od brata. Popłynęli wtedy na ryby i złapał ich zmierzch, próbowali dobić do brzegu. Jego brat jeszcze wtedy żył i był w pełni sił. To było, zanim zachorował na raka. Cienie drzew rosnących na brzegu wydłużały się na tafli jeziora. Nad ich głowami pojawiły się gwiazdy. Brat siedział w łódce z przodu. Napinał mięśnie i głęboko zanurzał wiosło. Fedderman właśnie nachylał się nad swoim, gdy wiosło brata wyłoniło się z wody. Jezioro zniknęło w mroku.

Rozdział 67

Weaver obudziła się w całkowitej ciemności. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że została ciasno związana. Bolały ją plecy – a to dlatego, że leżała na czymś twardym, w dodatku na kolanach, piersiach i brzuchu, z twarzą odwróconą bokiem. Łokcie miała odciągnięte do tyłu i boleśnie związane razem albo przywiązane do czegoś nieruchomego. Nogi miała rozłożone i zgięte w kolanach. Kostki zostały zamocowane do czegoś, co zdawało się mieć kilkadziesiąt centymetrów szerokości. Wokół szyi miała linę albo obrozę przytwierdzoną do powierzchni, na której leżała. Ledwo mogła unieść głowę.

Próbowała wydać z siebie jęk, ale coś jej przeszkadzało – może zwinięta szmata. Czowała silny zapach benzyny i czegoś jeszcze...

Świadomość uderzyła ją jak grom z jasnego nieba. Zrozumiała, jak się tu znalazła. Wiedziała, kto ją dopadł i dlaczego. *Tylko gdzie, u licha, są moi stróże? Fedderman miał przecież iść za mną przez całą drogę z Far Castle. Gdzie on jest?*

W sumie może wcale nie chciała tego wiedzieć?

Jasne fluorescencyjne światło najpierw zamrugało, potem zamruczało, aż w końcu rozpało się na dobre. Stanął tak, żeby mogła go widzieć. Miała przed sobą mężczyznę średniego wzrostu, po trzydzieście, umięśnionego i bardzo porządnie uczesanego. Jej uwagę zwróciły zaskakująco życzliwe, niemal pełne litości oczy. Naprawdę sprawiał wrażenie, jakby jej żałował. Zupełnie jakby już nie miał na nic wpływu, a ją, biedactwo, czekał nieciekawý los.

Stwierdziła, że wcale jej to specjalnie nie zaskakuje i nie przeraża, że ani ona, ani D.O.A. nie mają na sobie ubrań. Jedyne elementy skrywające jego ciało stanowiły ściśle przylegające, białe gumowe rękawiczki. Takie chirurgiczne.

Uśmiechnął się i ostrożnie wyjął jej knebel z ust. – Witaj, Eileen – powiedział. – A może mam do ciebie mówić Nancy?

Postanowiła się nie odzywać, za to rozejrzała się, na ile mogła, wokół siebie. Znajdowali się chyba w jakimś dość przestronnym garażu. Może w piwnicy. Dostrzegła niewykończony sufit, pod którym biegła płatanina rur i przewodów, i auto, które musiało należeć do mordercy. Był to

szary sedan marki BMW. Stał w odległości kilku metrów pod mało starannie wykończoną ceglana ścianą w pobliżu zamkniętej bramy garażowej.

Uśmiechnął się szerzej, tym razem już nieprzyjemnie.

– Funkcjonariusz Weaver się obudził? – mówił spokojnie, jak gdyby chciał ją jakoś niezbyt gwałtownie wyrwać z przyjemnego snu.

Milczała.

– Jesteśmy sami. Możesz krzyknąć, ale nikt cię nie usłyszy. Możesz krzyknąć głośniej, ale to i tak nie będzie zbyt głośno. To w ogóle nie będzie dla nikogo poza nami dwojgiem. Jeśli jednak to zrobisz, będę zmuszony zacisnąć ci obrozę.

Podszedł bliżej i wtedy załała ją zimna fala strachu. Przerazenie pozbawiło ją zdolności wydawania z siebie jakichkolwiek dźwięków. Uniosła głowę, wyginając szyję. Stwierdziła, że znajduje się na surowej ławeczce do ćwiczeń, a nadgarstki i kostki ma przywiązane do czegoś, co zostało zamocowane do drewnianej listwy pełnej drzazg.

– Pewnie się zastanawiasz, co się stało z twoim przyjacielem Feddermanem – stwierdził zabójca.

Owszem, zastanawiała się. Nie mogła oprzeć się pokusie, zapytała więc:

– Gdzie on jest?

– Wszystko z nim w porządku. Może raczej powinienem powiedzieć, że będzie w porządku, jeśli się obudzi. Feds ma szanse pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

– Nie znasz go. I nie mów o nim Feds. Dla ciebie to detektyw Fedderman.

Nic jej nie odpowiedział, podszedł tylko bliżej i tak mocno szarpnął za obrozę, że ta wbiła jej się w gardło. Weaver poczuła i usłyszała chrupot jakiejś chrząstki, sama zaś wydała tylko ledwo słyszalny pisk.

Zabójca zaczął się przesuwając wzdłuż ławki. Weaver z przerażeniem dostrzegła u niego wzwód. Bliznowidnie na ławce między jej rozłożonymi udami coś leżało. Podnosił jeden przedmiot po drugim, żeby je mogła zobaczyć. Rolka taśmy, duży nóż z bardzo ostrą końcówką, paczka papierosów i pudełko zapalek, a poza tym coś, co przypominało szpikulec do lodu z drewnianą rękojęścią, i ciemna butelka z zakrętką, w której znajdował się ledwo widoczny płyn.

– Chloroform – wyjaśnił, wskazując na butelkę. – To on mi pomógł doprowadzić cię do samochodu i zapakować do bagażnika. Ledwo się trzymałaś na nogach, więc jeśli ktoś zwrócił na ciebie uwagę, na pewno pomyślał, że jesteś pijana. Ja też się zachowywałem tak, jak gdybym trochę wypił. Tylko że nikt nas nie widział. Potrafię wyczuć, kiedy gram przed publicznością, nawet niewielką. Nie było żadnego świadka, który mógłby cię znaleźć i ci pomóc.

Nachylił się. Poczuła na skórze jego dotyk. Drgnęła mimo woli. Zacisnęła ręce na jej nagich udach, które natychmiast zaczęły się napinać, dociskając jej ciało do twardej ławki. W końcu przestała drżeć i odtąd leżała już nieruchomo. Bała się poruszyć jakąkolwiek częścią, żeby drgawki przy padkim nie wróciły.

Ze spokojem spoglądał na przedmioty zgromadzone na ławeczce, jak gdyby prowadził wewnętrzną dyskusję, z którego skorzysta najpierw. Sięgnął po nóż i trzymał go tak, żeby musiała na niego patrzeć. Światło fluorescencyjnej lampy zawieszanej nad ławką odbijało się od jasnej stali.

– Oboje wiemy, że jestem w tym dobry – stwierdził. – A jeśli ktoś jest w tym dobry, to ktoś inny na pewno będzie w końcu mówić. Powiesz mi wszystko, niczego nie pomijając. – Znowu się

uśmiechnął. – Mam rację?

Wiedziała, że ma, spróbowała więc skinać głowę. Wiedziała, że to nie książka i nie film. Biegły oprawca zdoła wydobyc tajemnice nawet od kamienia.

– Przepraszam – odezwał się. – Nie zdawałem sobie sprawy, że obrożę zapięłam tak mocno, że nie możesz nawet skinać głowę.

Dotknął jej ciała czubkiem noża, ponownie wprawiając je w drżenie. Nagie uda mógł lada moment ponownie dopaść silny skurcz.

– Zabawimy się – powiedział. – W każdym razie jedno z nas się zabawi.

Cofnął nóż i podszedł do niej bliżej.

– Chcesz mi powiedzieć to, co chcę wiedzieć, czy może od razu przejdziemy do zabawy?

Rozluźnił nieco obrożę.

– Pani funkcjonariusz Weaver?

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała chropowatym szeptem.

– Interesuje mnie oczywiście ta druga kobieta.

– Eileen?

Mocno uderzył ją w tył głowy, aż zakwiliła. Poczula złość. Wściekłość. I strach. A poza tym bezradność.

Powoli odpalił zapalną i przez chwilę wpatrywał się w jej płomień, po czym przyłożył ją do papierosa, którego wsunął sobie w kącik ust.

– *Bellezza*.

Zamknęła mocno oczy. Poczula wprawny dotyk na tylnej części uda. Mięśnie znów zaczęły jej się kurczyć.

*

Wytrzymała dotyknoza i trzy oparzenia papierosem, zanim powiedziała:

– Stoi w ogrodzie Far Castle. Stanowi element zdobionej betonowej fontanny dla ptaków.

– Element?

– Jest w środku.

Odsunął się, jak gdyby zastanawiając się nad jej słowami.

– Ma ją ten gruby klaun, który prowadzi restaurację? – Chyba nie do końca jej wierzył.

– Jego rodzina – odparła Weaver. – Wydaje im się, że rzeźba należy do nich.

– Co chcą z nią zrobić? Ofiarować ją muzeum?

– Chcą ją sprzedać – powiedziała Weaver. – Inaczej chyba nie chowałiby jej przed ludźmi takimi jak ty.

– Wiem, o jaką fontannę chodzi – stwierdził. – Mnie ona wygląda na zwykłą rzeźbę ogrodową. Nie powiedzialbym, że może kryć w sobie naszą zagadkę.

– Czy nie o to by chodziło? – zaskrzeczała Weaver.

Trochę się od niej odsunął. Nóż trzymał nisko w prawej dłoni, raz po raz lekko go

podrzucając. Zapalony papieros zwiślał mu z kącika ust. Połączenie zapachu tłącego się tytoniu i dokuczliwego bólu przyprawiało Weaver o mdłości. Zabójca nagle się do niej zbliżył, jak gdyby podjął jakąś decyzję.

– Dam ci coś, czego żadna inna przed tobą nie dostała – oznajmił. – Szansę.

Nic nie powiedziała, usiłując powstrzymać odruch wymiotny.

– W zamian za to oczekuję gwarancji.

– Jak mogę ci cokolwiek zagwarantować? – zapytała, przełykając gorzki smak, który pojawił się w gardle.

– Zabawimy się – powiedział. – Zwiążę cię mocno i zaknebluję, a potem wsadzę do bagażnika. Pojedziemy gdzieś, gdzie samochód może stać przez wiele dni, nie zwracając niczyjej uwagi. Jeśli powiedziałaś prawdę i po rozłupaniu betonu znajdę w środku *Bellezzę*, to wygrałaś. Zdradzę policji, gdzie cię można znaleźć. Jeśli natomiast stwierdzę, że mnie okłamałaś, zostaniesz w bagażniku i umrzesz powolną, bolesną śmiercią. – Przyłożył zakrwawioną końcówkę noża do jej nosa. – Umowa stoi?

Coś jest zawsze lepsze niż nic.

– Tak

*

Położył Weaver na boku w bagażniku. Nadgarstki miała związane z tyłu, kostki złączone. Na twarz przykleił jej prostokątny kawałek taśmy, upewniając się, że będzie się mocno trzymać. Weaver oddychała przez nos. Zabójca zrobił drobne nacięcia w taśmie, żeby w razie potrzeby mogła też oddychać przez usta, przynajmniej przez jakiś czas. Absolutnie nie mogła natomiast wydobyć z siebie dźwięku głośniejszego niż jęk. Z porządnie zamkniętego bagażnika nikt by jej nie usłyszał.

Zanim zamknął kłapę, spojrzął na nią znacząco. Sprawiał wrażenie spokojnego, nawet jakby rozbawionego, zupełnie jak gdyby przed chwilą rozmawiali o czymś jeszcze, nie tylko o jej śmierci w męczarniach.

– Jeśli powiedziałaś prawdę – stwierdził, spoglądając jej w oczy – to jeszcze zobaczysz światło. Jeśli nie, czeka cię już tylko ciemność. Jasne?

Zdołała skinąć głową.

– Ciesz się, że lubię gry – dodał, po czym opuścił wieko bagażnika, pograżając Weaver w ciemności.

*

Uwielbiał takie gry. Zarówno on, jaki Nancy doskonale wiedzieli, że nie dotrzyma słowa i nie wróci po zdobyciu *Bellezzy*, ale ona musiała na to liczyć. *Musiła*. Wraz z każdą kolejną minutą przybliżającą ją do końca musiała jeszcze bardziej kurczowo trzymać się jego obietnicy. Powiedział przecież, że wróci i ją oswobodzi. Przecież powiedział... A skoro powiedział, to być może wróci... Przecież na pewno wróci...

Do wnętrza pogrążonego w mroku zamkniętego bagażnika nie przedostawał się z zewnątrz żaden dźwięk, ani jeden promyczek światła. Każda kolejna sekunda musiała jej upływać w coraz większym strachu i przy coraz większej nadziei, aż w końcu te dwa uczucia nie mogły już dłużej współistnieć.

Przecież obiecał... Była pewna, że słyszała słowa obietnicy.

Rozdział 68

Po odstawieniu Weaver w bezpieczne miejsce zabójca upewnił się, że ma wszystko, czego mógłby potrzebować. Chciał wrócić po to na chwilę jeszcze tego samego wieczoru. Przygotował sobie stary szpadel i zardzewiały kłof, który co prawda miał rękojeść złamaną w połowie, ale mimo to ciągle się doskonale nadawał. Poza tym czekał na niego kawałek złożonego prezentu i jeszcze więcej taśmy, tak na wszelki wypadek. Poza tym zabójca przygotował też cięższy sprzęt: kompresor z tłumikiem, mały młot pneumatyczny oraz zestaw stalowych klinów. Do tego ubranie, a właściwie przebranie.

Doszedł do wniosku, że taśmę mógłby reklamować w telewizji – dostrzeżał dla niej szerokie zastosowania. Czy wcześniej zdarzyło się, żeby znany seryjny morderca został telewizyjną sławą? „Witam, nazywam się Charles Manson, Zodiak albo Syn Sama. Nie jestem może przykładowym obywatelem, ale się na takiego zgrywałem. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby iść kogoś zabić i nie wziąć z sobą taśmy”. Co by w tym było złego? To i tak wszystko bujda. Bujda i zabawa.

Zaczął sprzątać, specjalnie się przy tym nie spiesząc. Nie ograniczał się wyłącznie do wytarcia odcisków palców – ścierał je starannie, niekiedy używając do tego całej masy swojego ciała. Musiał rozprawić się ze wszystkimi śladami za pierwszym razem. Potem może już nie mieć okazji do szybkiego sprzątnięcia.

Zanim opuścił budynek, zrobił jeszcze jedną rzecz, a mianowicie dokładnie posprzątał samochód. Wyczyścił go od zewnątrz i od środka, żeby na pewno nigdzie nie zostawić odcisków palców. O wnętrzu bagażnika zadbał już wcześniej, wiedział bowiem, że Weaver tam za chwilę trafi.

Ktoś mniej ostrożny mógłby wyjść z założenia, że nie ma sensu aż tak się starać. Tyle że jakiś przypadkowo przegapiony odcisk palca mógł się pewnego dnia okazać bardzo istotny. Mógł zostać dopasowany do jego dłoni.

Zamierzał zrobić dokładnie tak, jak zapowiedział Weaver: zaparkować samochód z nią w środku w jakimś opuszczonym miejscu w pobliżu East River. Bmw mogłoby tam stać przez

dłuższy czas, zanim ktoś by zawiadomił policję, a ta wysłałaby na miejsce lawetę. Policja zajęłaby się przede wszystkim tym, że oto trafił im się wóz pochodzący z dziupli, dodatkowo na kradzionych tablicach z New Jersey. Potem odkryliby drugą niespodziankę, a mianowicie ciało funkcjonariusz Weaver.

Jakkolwiek na to spojrzeć, ona z góry znajdowała się na straconej pozycji. Załóżmy nawet, że zabójca rozebrałby fontannę i znalazł w środku Bellezzę. Dlaczego miałyby komplikować sobie życie, informując kogokolwiek o zagadkowym samochodzie, w którym znajduje się ciało? Liczył na to, że Weaver powiedziała mu prawdę. Ale tak czy owak czekała ją śmierć w wyniku odwodnienia bądź uduszenia. Żałował, że nie będzie mógł na to patrzeć. Zastanawiał się, co jej się wcześniej skończy: powietrze czy nadzieja? A może będzie remis?

W swojej głowie już zdążył usunąć ją z planszy.

*

Żadnych dźwięków. Całkowita ciemność. Weaver nie miała złudzeń. Bagażniki w samochodach BMW, nawet w starszych modelach takich jak ten, są bardzo szczelne. Wiedziała już, że zabójca ją okłamał. To było oczywiste, choć przerażające. Uświadomiła sobie, że wkrótce umrze, a D.O.A. wróci, żeby pozbyć się jej ciała albo żeby wyrzucić ją na czołe swoje inicjały i zrobić z niej widowisko.

Zdobędzie punkt przewagi nad Quinnem. Nad nami. Mężczyźni! Niech ich szlag. Mężczyźni i ich idiotyczne gry! To mężczyźni zabijają.

Próbowała poruszyć ramionami i nogami, ale zostały ściśle związane przemyśłą taśmą. Mogła co najwyżej lekko przesunąć głowę albo nogi, gdyby zdołała przemieścić łydki przyklejone jedna do drugiej na całej długości. Taśma pozostawiała jej bardzo niewielką swobodę ruchów. Być może trochę dałoby się ją poluzować, ale na pewno nie na tyle, żeby się uwolniła. Chociaż nawet jeśliby się jakoś wyzwoliła z tych więzów, to czy miała jakiegokolwiek szanse na otwarcie bagażnika?

Leżała w pozycji płodowej, zupełnie nago, mimo to się pocila. Frustrowała się. Wściekała. Denerwowała.

Nic więcej, dalej się tej taśmy nie da rozluźnić. Muszę więc to zaakceptować, inaczej na pewno się stąd nie wydostanę.

Rozdział 69

– Cholerne wiosło! – stwierdził Fedderman.

Jakoś tak się stało, że został wypchnięty z łodzi i wylądował na błotnistym brzegu jeziora. Brat, to musiała być sprawka jego brata!

Zobaczył błyskające światła, czerwone, niebieskie i białe. Ubranie się do niego kleiło, było zupełnie mokre. Poza tym czuł coś, co płynęło mu po gołych kostkach, jakby krople deszczu... Najwyraźniej spodnie mu się podwinęły, kiedy... Co właściwie się stało? Przewrócił się?

Zaczął mrugać, usiłując sobie coś przypomnieć. Nad jego głową na tle rozbłyskających w ciemności światła krążył w milczeniu Batman w czarnym płaszczu, który ledwo się poruszał, trochę jak latawiec niesiony bryzą raz w tę, raz w tamtą stronę. To nie Batman, przecież pada. To czarny parasol, który zasłania mu twarz przed zimnymi kroplami. Poruszył się lekko i wtedy poczuł kłujący ból z boku głowy. Przy pomniało mu się. Coś mu się przypomniało.

– Feds?

Głos Quinna. A w tym głosie... głęboki niepokój. Co za mięczak!

– Feds, słyszysz mnie?

– Dostałem w łeb. – Fedderman usłyszał teraz własny głos. – Buch i bam!

– Od kogo?

– Od mojego brata.

– Co takiego?

– W łodzi.

– Zaczynamsz mnie przerażać, Feds.

– A ty myślisz, że jak ja się czuję?

Pojawił się inny głos, który autorytatywnie stwierdził:

– Proszę przesunąć samochód, żeby karetka mogła podjechać.

Karetka? Komuś najwyraźniej coś się stało. Fedderman podniósł głowę, żeby się zorientować w sytuacji. *Buch!* Ból głowy. Do tego się ta sytuacja sprowadzała. Ale ten przesywający ból przy niósł mu również jasność umysłu.

– Weaver – powiedział.

– Szukamy jej – odparł Quinn.

– Szukacie? Jezu Chryste! Nie wiem, co się stało, Quinn. Szedłem za nią i zderzyłem się z chodnikiem. Musicie ją znaleźć.

– Znajdziemy Weaver. Ty się na razie martw o siebie.

Poczuł pod sobą dotyk silnych, ale łagodnych dłoni. Odwrócił wzrok i zauważył rozkładane nosze na kółkach. Nagle wrócił przeszywający ból, tym razem jakby słabszy. Pojawił się w głowie i szyi. Unosił się, jakby lewitował. Przed oczami krążyły mu kształty wysokich budynków na tle nocnego nieba. *Unoszą mnie. Niosą...*

Wiedział, że zaraz znajdzie się na noszach i zostanie gdzieś przewieziony. Zobaczył nad sobą twarz Quinna, która kręciła się wraz z resztą nocnego krajobrazu. *Dobry człowiek z tego Quinna.*

– Szedłem za nią i dostałem...

– Wiem – powiedział Quinn. – Możemy porozmawiać później, Feds.

Fedderman poczuł, że nosze lekko się poruszają. Czy to cholerstwo faktycznie miało kółka, czy może sanitariusze go nieśli?

– Wszystkim się zajmiemy – zapewnił go Quinn, gdy Fedderman dostrzegł przed sobą rozświetlone i zagracone wnętrza karetki.

– Tylko nie strasz Penny. Daj jej znać, ale jej nie strasz.

– Nic się nie martw, Feds.

Fedderman znalazł się w karetce.

– Powiesz mi, co z Weaver? To wszystko moja wina. Nikomu na tym świecie nie można ufać.

– Nic tu nie jest twoją winą. Zupełnie nic.

Drzwi karetki się zamknęły i wewnątrz stało się nagle strasznie ciasne. Zapanował w nim tłok. Fedderman słyszał głosy, które mówiły coś niezrozumiałego. Krążyły też wokół niego białe postacie. Syrena warknęła, po czym zaczęła wyć.

– Z tym draniem nie ma co wypływać na jezioro – zdążył jeszcze powiedzieć Fedderman, zanim założono mu maskę tlenową.

*

Zabójca pokonał pieszo pięć przecznic od miejsca, w którym pozostawił zaparkowane bmw ze związaną Weaver w zamkniętym bagażniku. Tam wezwał taksówkę, której kazał się zawieźć na skrzyżowanie oddalone o kilka przecznic od swojego mieszkania. Stamtąd jednak nie poszedł do domu, lecz ruszył na wschód, w kierunku rzeki. Znajdowały się tam zabudowania przemysłowe, a także niewielka szara furgonetka z wypożyczalni. Posłużył się przy wynajęciu fałszywym dowodem tożsamości i zmyśloną historią o tym, jak to chce wywieźć z domu swoje rzeczy, zanim była żona odbierze mu wszystko w wyniku rozprawy rozwodowej. W pierwszej chwili miał ochotę zaszaleć i ukraść samochód. Potrafiłby to zrobić. Wiedział jednak, że ktoś mógłby taką kradzież zgłosić i wtedy informacja już następnego dnia rano znalazłaby się na policyjnej

tapecie. To by mu mogło tylko zaszkodzić. Poza tym na wół legalnie wypożyczona furgonetka z przyciemnianymi szybami idealnie się nadawała do wykonania zadania, które miał przed sobą.

Zajeżdżał na miejsce, w którym wcześniej trzymał Weaver – niczym legendarny przestępca, który wraca na miejsce zbrodni – i wrzucił na tył samochodu dwudziestolitrowy kanister z benzyną, napełniony dwa dni temu na stacji BP w New Jersey. Obok znalazło się miejsce na narzędzia: kłof i szpadel oraz złożony brezent.

Wszystko zgodnie z planem. Realizacja jego planów zawsze przebiegała sprawnie, gdy już się raz zabrał do pracy.

*

W połowie drogi do restauracji Far Castle, która już wiele godzin wcześniej zakończyła działalność i pogrzyła się w mroku, wziął zakręt i zatrzymał się przy chodniku w jakiejś zanurzonej w mroku uliczce, przy której za dnia funkcjonowały sklepy. Po kilku minutach stania na luzie ruszył powoli do przodu, aż w końcu udało mu się znaleźć prześwit między budynkami. Zaparkował i przekręcił kluczyk. Zdając sobie sprawę, że może zostać nagrany przez jakąś niewidoczną kamerę monitoringu – tych bowiem należało się spodziewać wszędzie – włożył czapkę z daszkiem, który opuścił mocno na twarz. Dodatkowo podniósł też kołnier.

Wysiadł z auta, robiąc przy tym jak najmniej hałasu, i wydobył z furgonetki kanister z benzyną. Nie unosząc głowy, zaniósł go w głąb ciemnej uliczki i odkręcił korek. Na chwilę zanurzył się głębiej w mrok, po czym cofnął się po swoich śladach do miejsca, z którego przyszedł. Nachyliwszy się, rozlewał benzynę po całej szerokości uliczki, zostawiając za sobą długi ślad, który po podłożeniu ognia miał zadziałać jak pochodnia. Nagle usłyszał głos:

– Co, do ku...

Zabójca zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał jakieś szuranie. Spojrzał w kierunku, z którego dobiegł go głos, i zobaczył postać usiłującą podnieść się z mroku. Zobaczył człowieka, który wcześniej leżał właściwie zupełnie niepostrzeżenie skulony pod ścianą z cegieł. Jakis pijak. Albo narkoman. Zabójca nie potrafił tego rozstrzygnąć, ale też specjalnie go to nie obchodziło. Cieszył się tylko, że ten człowiek nie wie, co się dzieje, i ciągle jeszcze szura podszwami, usiłując podeprzeć się o ścianę i podnieść do pozycji pionowej.

W porządku. Tego się co prawda nie spodziewał, ale sobie poradzi. W swoich planach uwzględniał różne nieprzewidziane okoliczności. Zakręcił kanister i zaniósł go dokładnie w to miejsce, w którym znajdował się nieporadny mężczyzna. Mieszkał na ulicy, więc nie wyglądał za dobrze. Miał na sobie znoszone i podarte dresowe spodnie i czarną koszulkę z obciętymi rękawami, spod których wyłaniały się skomplikowane tatuaże przedstawiające między innymi węże i nagie kobiety. Smród starych wymiocin przebiegał się nawet przez zapach benzyny.

– Pomogę ci – powiedział zabójca, po czym uniósł wysoko kanister.

– Co to za zapach? – zapytał wytatuowany mężczyzna na chwilę przed tym, jak krawędź metalowego zbiornika wylądowała z impetem na jego głowie.

Wyciągnął drżącą dłoń, żeby podeprzeć się o coś, co w ogóle nie istniało, po czym upadł na chodnik.

Pracował teraz szybciej, cały czas dbając o oszczędność ruchów. Dokładnie polał benzyną nieprzytomnego człowieka, po czym szybko opuścił uliczkę. Cały czas się nachylając, wylewał po drodze resztę benzyny z kanistra. Pusty pojemnik wstawił z powrotem do furgonetki, po czym wrócił do wejścia do uliczki, gdzie rozpoczął się ślad rozlanej benzyny. Odpalił zapalniczkę i rzucił ją na połyskującą ciecz.

Nieco zaskoczony intensywnością nagle rozpalonego ognia pospiesznie wdrapał się za kierownicę swojego samochodu i odjechał. Zbliżając się do skrzyżowania, obserwował pożar w tylnym lusterku. Z uliczki wyciewała pomarańczowa łuna.

Ledwo skręcił, gdy nagle za nim rozbłysło silne światło. Rozpalająca się benzyna cicho huknęła, co jednak prawdopodobnie ani nikogo nie zaniepokoiło, ani nie obudziło. Pięć przecznic dalej zabójca zatrzymał samochód i sięgnął po telefon komórkowy, który kupił w drogerii na przedmieściach. Wybrał numer alarmowy i podekscytowanym głosem przekazał dyspozytorowi adres pożaru.

– Widziałem policjanta, który biegał między budynkami – dodał. – Nie wydaje mi się, żeby się stamtąd wy dostał. Nie wiem też, czy nie padły strzały. O Boże! Nie wiem. Te płomienie tak bardzo wystrzeliły w górę.

– Proszę zachować spokój, proszę pana. Zaraz...

Rozłączył się, opuścił okno po stronie kierowcy i wyrzucił telefon. Aparat najpierw uderzył o beton, a potem zniknął w studzience kanalizacyjnej. Zabójca cały czas miał na sobie gumowe rękawiczki.

Minęło chyba całkiem sporo czasu, zanim ktoś zareagował na jego zgłoszenie. W końcu w oddali rozległ się skowyt syren, do których wkrótce zaczęły dołączać kolejne. Kogutom policyjnym towarzyszyły te należące do straży pożarnej, a hałas upodobił się do wycia wilków nawołujących innych członków swojej watahy.

Zadowolony z faktu stworzenia efektywnej dywersji, zabójca zaczął się powoli oddalać od całego tego zamieszania. Kierował się do Far Castle.

Rozdział 70

Penny Fedderman leżała samotnie w dużym łóżku i przyglądała się musze wędrującej po suficie. Musiała widzieć świat do góry nogami, chyba że te jej oczy automatycznie odwracały obraz na takiej samej zasadzie, jak robią to telefony komórkowe i tablety. Czy w przypadku much w ogóle można mówić o jakimkolwiek „do góry nogami”?

W jej odczuciu to pytanie ogólnie odnosiło się do życia. Z pozoru wydawało się proste, ale po głębszym zastanowieniu okazało się nadzwyczajnie skomplikowane.

Odwrociła wzrok od apatycznej muchy i przeniosła go na ciemne okno. Przez zamkniętą od deszczu szybę dostrzegała światła w wyższych budynkach przy ulicy obok. Od czasu do czasu dobiegał ją chlupot opon samochodów przejeżdżających obok po mokrej nawierzchni. Penny leżała w łóżku i wściekała się na męża za to, że koniecznie musiał wykonywać pracę potencjalnie grożącą przedwczesnym zakończeniem jego życia... a zarazem ich wspólnego pożycia. Czy to jednak rozsądne w ten sposób na to patrzeć? Wiedziała przecież, że wychodzi za policjanta, choć nie zdawała sobie wtedy tak do końca sprawy, co się z tym wiąże.

Leżała zatem teraz samotnie w ciepłym łóżku, podczas gdy on krążył gdzieś po niebezpiecznym mieście, mokry i zmarznięty. Jak należało oceniać szanse, że szczęśliwie zakończy zmianę i wróci do domu? Kiedyś to sprawdzała, ale zdążyła już zapomnieć. Zapamiętała jedynie, że tylko niewielki odsetek policjantów faktycznie odnosi rany lub ginie podczas pełnienia służby. Ale ten odsetek wydaje się mały, dopóki nie jest się policjantem. Albo żoną policjanta.

Penny włączyła lampkę nocną. Zamierzała trochę poczytać, oczywiście kryminał. To miało jej pomóc zasnąć, bo przecież w powieści detektyw – w tym przypadku kobieta – zawsze ma większe szanse niż w rzeczywistości. Bohaterowi nie tylko udaje się wyjść z najgorszej opresji, ale jeszcze do tego pomyślnie rozwiązuje zagadkę kryminalną.

Penny czytała powieści detektywistyczne, ponieważ przenosiły ją do innego, bezpieczniejszego świata. W każdym razie bezpieczniejszego dla fikcyjnego detektywa. Ale zdawała sobie sprawę, że życie czasem naśladuje sztukę, i czerpała z tego faktu pociechę.

Feds, gdzie ty jesteś? Czy aby nie przemokłeś? Czy nic ci się nie stało?

*

Weaver zdołała przewrócić się na bok, dzięki czemu mogła próbować kopać w oparcia siedzeń bmw. Nie uderzała jednak w nie ze specjalnie dużą siłą, a model z 1995 roku charakteryzował się solidnością cholernej ceglanej konstrukcji. *Pieprzona niemiecka myśl inżynierska!*

Znała kiedyś kogoś, kto miał taki samochód, wiedziała więc, że w tych modelach akumulator nie znajduje się pod maską, lecz pod tylnym siedzeniem, i wchodzi trochę do bagażnika. Zrezygnowała więc z kopania w kanapę na rzecz uderzeń w wyłożoną dywanikiem podłogę na środku bagażnika. Celowała konsekwentnie raz za razem w to samo miejsce.

Tasma na jej ustach nie chciała się odkleić, a pozostałe więzy uniemożliwiały skuteczne kopanie – takie, które wywołałyby hałas słyszalny na zewnątrz. Weaver modliła się, żeby udało jej się przemieścić oparcie na tyle, żeby poruszyć jeden z kabli akumulatora. Może udałoby się go obluźnić i w rezultacie stałoby się coś, co by spowodowało, że samochód zacznie wydawać dźwięki. Może udałoby się uruchomić alarm przeciwwłamaniowy... Coś jej jednak podpowiadało, że to wszystko złudne nadzieje. Od stóp do głów oplatała ją przemysłowa tasma. Miała bardzo ograniczoną swobodę ruchów, jeśli w ogóle można było mówić o jakimkolwiek ruchu. Gołymi piętami niewiele była w stanie zdziałać.

Udało jej się obrócić nagie ciało na tyle, że już nie kopała oparcia. Nagie stopy lądowały na pokrytej tapicerką podłodze bagażnika, pod którą kryło się źródło zasilania wewnętrznych świateł. Problem polegał na tym, że prąd do lamp doprowadzały zapewne obwody zbudowane z solidnych przewodów. *Gdyby udało mi się poluzować chociaż jeden z tych cholernych kabli podłączonych do akumulatora!*

Pięty ją bolały. Kopała teraz mniej intensywnie, właściwie słabo. Zdawała sobie sprawę, że szybko opada z sił. Nie wiedziała natomiast, że te jej kopytka ostatecznie wygięty wykładzinę i lekko uszkodziły okablowanie. Doszło do jakiegoś zwarcia, bo Weaver poczuła gryzący zapach. Nic więcej jednak się nie stało. Klakson nie rozwył się wniebogłose, nie odezwał się żaden alarm ostrzegający przed próbą kradzieży czy zniszczenia pojazdu.

Tylko tylna lampa i jedno ze świateł cofania – o czym Weaver nie mogła wiedzieć – zaczęły mrugać w przypadkowy sposób. Czy to jednak coś da? Samochód stał przecież na odludziu, może nawet w jakimś budynku czy podziemnym garażu. Nikt nie mógł zobaczyć migających świateł, nikt też nie mógł poczuć zapachu. Tymczasem iskra mogła doprowadzić do wybuchu oparów benzyny ...

Rozdział 71

Zabójca wynajął małe biuro w budynku stojącym po drugiej stronie Far Castle. Powiedział właścicielowi, że zamierza zająć się dostarczaniem przesyłek. Właściciela niespecjalnie to obchodziło, bo zainkasował półroczny czynsz i sporą kaucję.

Z jedyne go okna w tym biurze zabójca mógł obserwować nie tylko tę część restauracji, w której obsługiwano gości, ale również labirynt z żywopłotu znajdujący się w ogrodzie oraz stojącą obok fontannę dla ptaków. Betonowa konstrukcja ozdobiona motywem kwiatowym z powodzeniem mogła zawierać w sobie mniejszą rzeźbę. Zabójca siedział i się jej przyglądał. Wyobrażał sobie, co się kryje w środku. Fontanna sama w sobie nie miała wdzięku ani magii prawdziwego dzieła sztuki. Wprost przeciwnie, sprawiała wrażenie przedobrzanej, wręcz dziwacznej. Brakowało jej harmonii właściwej dla prawdziwej sztuki. Zabójca domyślał się, że nikt nie stworzyłby czegoś tak potwornego tylko po to, żeby to istniało. Musiało to służyć jakiemuś celowi.

D.O.A. godzinami wpatrywał się też w labirynt, utrwalając w pamięci poszczególne kąty i zakręty. W ten sposób w jego głowie powstało coś na kształt mapy. Teraz nadszedł czas, by w końcu obrąć tę cebulę z łupiny i dostać się do skrywającego się w środku piękna. O Nancy Weaver w ogóle już nie myślał.

*

Wiedział, że najlepiej będzie pracować najzupełniej otwarcie, w ogóle się nie kryjąc. Wtedy nikt nie zwróci na niego uwagi. Postanowił więc wtopić się w nowojorski krajobraz, żeby nie wyróżniać się nawet w nocy.

Jeździł szarą furgonetką, na której bokach nakleił logo firmy energetycznej Consolidated

Edison. Włożył ubranie robocze, w tym również ciężkie buty i brudny, wgnieciony żółty kask. Starał się nie robić hałasu, bo wtedy mógłby nie usłyszeć, jak ktoś się do niego zbliża. Jak najrzadziej korzystał z młota pneumatycznego i większość pracy wykonał zardzewiałym kilofem i szpadlem. Zapewnił sobie odpowiednie oświetlenie, ciągnąc przewody z niewielkiego generatora zainstalowanego przy tylnym zderzaku furgonetki. Światło padało punktowo, oświetlało wyłącznie betonową fontannę. Nie oślepiłoby nikogo, kto by się do niego zbliżył. Kompresor cichutko mruczał. Zabójca słyszał odgłos jego pracy i wyczuwał zapach spalin.

Skupił całą uwagę na fontannie, zmysły zaś dostroił do otoczenia. Odrywał kolejne kawałki betonu, odsłaniając kryjący się pod spodem twardszy marmur. Im więcej betonu uda mu się usunąć, zanim spróbuje przenieść gdzieś fontannę, tym mniej będzie się musiał natrudzić i tym bardziej ograniczy ryzyko, że uszkodzi zawartość. Ani beton, ani marmur nie należały do najlżejszych materiałów.

Wycie syren w oddali przebijają się nawet przez pomruki generatora i kompresora. Policja i straż pożarna miały zajęcie. Opinia publiczna i wszystkie hieny dziennikarskie, w tym Minnie Miner, przez jakiś czas będą się zajmować dużym pożarem i możliwą śmiercią policjanta. Kobieta, która wiedziała zbyt wiele, by żyć, pewnie już rozstała się z tym światem i leży teraz bez ducha w bagażniku bmw. Silniki, syreny, śmierć i płomienie – to wszystko działo się gdzie indziej, dzięki czemu on mógł tutaj skupić się na swoim zadaniu.

Jego poszukiwania miały dobiec końca. Nie potrafił oprzeć się pokusie, by od czasu do czasu nie przerwać pracy i nie przyjrzeć się efektom konsekwentnych uderzeń kilofa. Rozpierała go dzika radość. Przejmował podziw. Niczym drugie wcielenie Michała Anioła wydobywał z marmuru coś rzadkiego i pięknego. Szedł w ślady wszystkich innych rzeźbiarzy, którzy odrywali z kamienia to, co nie stanowiło elementu ich zamierzonego dzieła. Strudzone dłonie powoli odkrywały niesamowite piękno, które wkrótce miało stać się jego własnością.

Oczywiście zamierzał dalek zabijać. Zamierzał wygrać tę wojnę z Quinnem.

*

Nancy Weaver leżała w niemal całkowitej ciszy i mroku w bagażniku samochodu. Pot spływał jej po twarzy, dostawał się do oczu. Łzy paliły jak kwas, wżerając się w każdy odcinek skóry, po którym spływały.

Nie przestawała walczyć. Zdołała nieznacznie rozluźnić więzy, poskręcać taśmę, nadal jednak nie miała najmniejszych szans, żeby się oswobodzić – mimo że ciało miała mokre od potu. Bezowocne kopnięcia z czasem straciły na sile. Gołe stopy miała całe okrwawione i posiniaczone. Próbowwała walić piętami mocniej, za każdym razem powtarzając sobie w głowie ten sam, rozpaczliwy rozkaz: „Kop! Kop! Kop!”.

Wydawało się, że nic to nie daje, ale nic więcej nie mogła zrobić.

Światło cofania i jeden ze stopów cały czas konsekwentnie mrugały, chociaż stopniowo przygaszały. Akumulator się wyczerpywał.

Rozdział 72

W ogrodzie restauracji Far Castle zabójca nadal dzielnie pracował kilofem i szpadlem, wspomagając się sprzętem z logo Consolidated Edison. Zdołał już odkłuwać dostatecznie dużo betonowej skorupy fontanny, aby dojrzeć w środku *Bellezzę*. To na pewno była ona! Ale resztki betonu uparcie trzymały się marmuru, a rzeźbę w znacznym stopniu pokrywało błoto. Zabójca odłożył kilof, zrobił krok do tyłu i przetarł czoło nadgarstkami. Zmęczył się tak bardzo, że przez moment nawet się zastanawiał, czyby sobie przez chwilę nie posiedzieć na trawie. Szybko jednak rozprawił się z tą myślą. Jego plan nie przewidywał pozostawiania w jednym miejscu dłużej, niż wymagały tego okoliczności.

Pomyślał, że powinien chyba położyć większy nacisk na dietę i ćwiczenia, zaraz potem jednak zaczął oskubywać rzeźbę z błota dłońmi w grubych roboczych rękawicach. W końcu uznał, że pora to zakończyć. Spróbował podnieść posąg. Nie spodziewał się, że zdoła go wynieść w rękach, ale chciał się mniej więcej zorientować co do jego wagi.

Nie dał rady dźwignąć go z ziemi. Oparł się o niego całym ciężarem ciała i zaczął huścić w tył i w przód, aż rzeźba wydobyla się z zagłębienia, w którym spoczywała od dłuższego czasu. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch na ulicy. Zamarł i obserwował, jak chodnikami przechodzą mężczyzna i kobieta. Trzymali się za ręce. Kobieta radośnie przeskoczyła przez kabel podłączony do furgonetki. Oboje zapewne uznali, że natknęli się na jedną z nocnych napraw wykonywanych przez Con Ed, że firma energetyczna po prostu dba, aby rano nikomu nie zabrakło prądu. Poszli dalej.

Zabójca odzyskał rezon. Odliczył powoli do dwudziestu, po czym ruszył przez ogród w kierunku furgonetki, by przyprowadzić z niej dwukołowy wózek. Powinien dać radę przetransportować rzeźbę na wózek, nie uszkadzając jej. Ładowanie fontanny, generatora i kabli z powrotem do furgonetki nie powinno zająć więcej niż dziesięć czy piętnaście minut. Pozostałe narzędzia mógł zostawić tym ofermom na pamiętkę.

Lucky Amber i jego kumpel Bill Jefferson, często przedstawiający się jako Jamal, wędrowali pośród gorącej i wilgotnej nocy w stronę jakiejś bardziej ruchliwej ulicy, przy której mogliby złapać taksówkę. Obaj mieli po szesnaście lat, ale Jamal wyglądał raczej na dwadzieścia jeden, przez co chłopcy często ściągali na siebie kłopoty. Wcześniej grali w karty i pili piwo, ale obaj byli trzeźwi.

– Po drugiej stronie miasta dzieje się chyba coś poważnego – stwierdził Lucky. – Syreny i cała reszta...

– Może ktoś miał większego pecha niż ja – odparł Jamal, wysoki Murzyn, który często pozwalał sobie podczas rozmowy na różnego rodzaju skrót myślowy, zupełnie jak gdyby uważał, że nie warto się męczyć, żeby wyrazić to, co ma do powiedzenia.

Wracali właśnie do domu z rozgrywki pokłowej, w której Jamal przegrał ponad dwadzieścia dwa dolary. W tej okolicy to niebagatelna suma.

– Słychać też syreny straży pożarnej – zauważył Lucky. Był od Jamala niższy, ale też szerszy w ramionach. – Pewnie jakiś duży pożar.

– Nie będę stawiać kasy na to, że nie masz racji. Nie dzisiaj.

– Nie powinieś stawiać żadnej kasy żadnego dnia – odparł Lucky.

Jamal przeskoczył lekko z nogi na nogę, nie odrywając się ani słowem. Co racja, to racja.

– To jakaś karetka albo coś? – zapytał Lucky, wskazując na coś palcem.

– Może taksówka – odpowiedział Jamal.

– Szara taksówka?

– Pewnie nie. Zresztą ma nie takie światła. Mruga czerwone. Dziwny samochód jak na takie miejsce. Wygląda na beemę.

– Może warto zerknąć.

– Zerknijmy – zgodził się Jamal, jak zwykle podskakując.

Może ktoś ten samochód tymczasowo porzucił, a w środku znajdzie się coś wartościowego, choćby narkotyki, pieniądze albo jakiś iPhone? Przecież szczęście może się czasem odmienić, nie?

– Może ktoś nas próbuje skusić, żebyśmy tam podeszli, bo chce nam rozwalić łby i ukraść zegarki i portfele... – zastanawiał się Lucky.

Nie bez powodu mówili o nim Lucky, czyli Szczęściarz. Zawsze brał pod uwagę czarne scenariusze, rzadko ryzykował.

– A może siedzi tam jakaś gorąca mamuśka, która czeka na okazję? Hop, hop.

Spośród dwóch tak skrajnych wizji ostatecznie wybrali tę, którą wymyślił Jamal. Przeszli przez ulicę i podeszli do samochodu, który mrugał światłem cofania i chyba jednym z czerwonych migaczy. Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej, okazało się, że to nie migacz – gdyby chodziło o migacz, odpowiednie przednie światło rozbłyskałoby na biało lub żółto. Poza tym gdyby auto miało wrzucony wsteczny bieg, lampa cofania nie powinna mrugać, tylko świecić się na stałe.

– Jakaż zwara – powiedział Lucky, gdy zbliżyli się do samochodu na sześć metrów.

Jamal słusznie odgadł, że mieli przed sobą bmw, tyle że stary model. Wystarczyło przyjrzeć

się bliżej, żeby zauważyć, że auto jest mocno poobijane i że zżera je rdza. Jamal zajrzał do środka. Nikogo nie było. Samochód tak sobie po prostu stał i mrugał.

– Auto widmo – stwierdził.

Lucky zaczął się niepokoić.

– Zabierajmy się stąd.

– Bracie, przecież to bmw. One się nie psują.

– Ten samochód ma ze dwadzieścia lat – odparł Lucky.

Jamal wzruszył ramionami i znowu przeskoczył z nogi na nogę.

– Czyli to klasyk. Należy do jakiegoś bogatego gościa, który wypłaci nam nagrodę za cynk o uszkodzonym aucie.

– Jeśli zdołamy go namierzyć – stwierdził Lucky.

– Albo ją.

Lucky się uśmiechnął.

– To też możliwe...

Młodzi mężczyźni znajdowali się już prawie przy samochodzie, gdy na skrzyżowaniu pojawiła się taksówka. Kierowca podjechał do nich bliżej, licząc, że złapie kurs.

– Zobacz, na co zaraz wydamy nagrodę – powiedział Jamal.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku tuż przed nimi. Lucky ruszył w jej stronę. Po chwili jednak przy stanął. Wpatrywał się w stare szare bmw.

– O co chodzi? – zapytał Jamal.

– Słyszałem pukanie.

– To był głos, który ci podpowiadał: „Wsiadaj do taksówki”. – Jamal skoczył w jej kierunku.

– Dobiega z tamtego samochodu.

Lucky wskazał na bmw. Rozejrzał się wokół siebie.

– Kto by parkował w takim miejscu? Na piechotę wszędzie stąd daleko.

Uniósł rękę i przez chwilę stał w bezruchu.

– Znowu! Zresztą patrz na ten samochód. Jakby się trochę kołysze.

– Może jakaś parka coś w środku kombinuje.

– Nie, w środku nikogo nie ma.

Lucky ruszył z powrotem w kierunku auta. Jamal zawrócił w pół drogi i gestem dał taksówkarzowi znać, że owszem, są zainteresowani kursem. Zasugerował kierowcy, żeby włączył silnik. Lucky stał już przy samochodzie w czerwonym świetle mrugających stopów, gdy Jamal do niego dołączył. Teraz i on usłyszał pukanie.

– Tam w środku coś jest – powiedział Lucky. – Albo ktoś.

Zrobił kilka kroków, żeby zajrzeć do wnętrza samochodu. Próbował otworzyć drzwi, ale te okazały się zamknięte.

– Nikogo tam nie ma.

– Przecież ci mówiłem, stary.

– W takim razie odgłosy muszą dochodzić z bagażnika.

Jamal słyszał je teraz bardzo wyraźnie. Ktoś lub coś uwięzione w środku musiało ich usłyszeć.

– Coś tam żyje, bracie.

– Otwórzmy bagażnik – zarządził Lucky.

– Nie da rady. Nie ma rączki, a my nie mamy klucza.

Taksówkarz zorientował się, co się dzieje: przypadkowo mrugający światłami samochód zaparkowany na pełnym odludziu i dwóch ciekawskich chłopaków, którzy usiłują otworzyć bagażnik. Wydobyl ze skryzki z narzędziami łom i ruszył w ich stronę. W razie potrzeby mógł użyć też łomu przeciwko nim, ale nie wyglądali groźnie. Zwykle dzieciaki.

– Tam w środku jest coś albo ktoś – powiedział Lucky, wskazując na bagażnik.

– Stawiałbym, że ktoś – stwierdził taksówkarz, przykładając ucho do pokrywy. – Chyba że coś nauczyło się wzywać pomocy.

Wetknął łom w szczelinę pod klapą bagażnika. Rozległo się skrzywienie metalu.

– To bmw – zauważył Lucky.

– Ale to też stary wrak – odpowiedział taksówkarz – a w środku siedzi jakiś biedak, który próbuje się wydostać.

– To może być klasyk – stwierdził Jamal.

– Odsuńcie się – zarządził mężczyzna, napierając ciężarem ciała na łom. – W środku może siedzieć facet z bronią.

Zamek puścił i klapa bagażnika podskoczyła. W środku zamiast faceta z bronią leżała kobieta, naga i związana taśmą. Taśmę miała też na ustach, ale już w połowie zdołała ją zdjąć. Mokre od potu włosy kleiły jej się do twarzy. W ogóle wyglądała tak, jak gdyby ktoś zafundował jej porządny wycisk. Na nagim ciele taksówkarz dostrzegł coś, co wyglądało na nacięcia i oparzenia od papierosa. Zaczął rozcinać taśmę kieszonkowym nożem.

Kobieta leżała spokojnie i tylko mocno wciągała do płuc nocne powietrze.

– Musiało tu być pani cholernie ciasno – stwierdził Jamal, który nijak nie potrafił oderwać wzroku od zmaltretowanej nagiej kobiety. Nawet w oplakany m stanie prezentowała się zupełnie...

Weaver spojrzała na niego i powiedziała:

– Zamiast się gapić na mnie, zajrzyj do kieszeni i zobacz, czy nie znajdziesz tam telefonu.

Wygramoliła się z bagażnika. Z początku nie mogła złapać równowagi i opierała się o samochód, ale potem odzyskała władzę w nogach.

– Pani to raczej nie ma telefonu w kieszeni – stwierdził Lucky.

– Zgłoszę sprawę i policja zaraz tu będzie – odezwał się taksówkarz.

– Ja jestem z policji – powiedziała.

Jamal i Lucky zaczęli się wycofywać.

– Stójcie, gdzie stoicie – powiedziała Weaver. – Proszę.

Oni nadal się wycofywali.

– Jakoś raczej nie pokaże nam pani żadnej odznaki ani broni, żeby to udowodnić – odezwał się Jamal.

– Coś w tym jest – powiedział taksówkarz, ruszając w stronę samochodu, w którym miał zainstalowane radio.

– Dlaczego, u licha, tak podskakujesz? – zwróciła się Weaver do Jamala.

– On już tak ma – wyjaśnił Lucky. – Ślaczę. Ale tylko czasem.

– Nie ma na to jakiegos lekarstwa?

– Coś ciężkiego w kieszeniach.

Weaver zwilżyła śliną opuszki palców i zaczęła dotykać oparzeń na piersiach. Chłopcy stali nieruchomo i wpatrywali się w nią jak urzeczzeni. Jamalowi opadła nawet szczęka.

– Nie uciekajcie, ale też się na mnie nie gapcie.

Zaczęli nerwowo przenosić ciężar ciała z nogi na nogę. Przygotowywali się do odwrotu. Weaver oparła dłonie na biodrach.

– Słuchajcie, uciekajcie sobie, ja i tak zapamiętam wasze twarze.

– No a my to na pewno zapamiętamy panią – odparł Lucky i obaj wybuchnęli śmiechem.

Jamal podskoczył, po czym rzucili się pędem do ucieczki.

– Małe gnojki – padło z ust Weaver.

Kierowca wrócił z lekkim kocem, na którym od razu rzucały się w oczy plamy od oleju.

– Pomoc jest już w drodze – powiedział. – Pomyślałem, że się pani przyda.

– Dziękuję, przyda się, chociaż będzie bolało.

Wręczył jej koc i skierował wzrok w stronę, w którą uciekło dwóch nastolatków.

– Uratowali pani życie.

– Chciałam im podziękować.

– Zauważyła pani, że ten wyższy ciągle tak dziwnie podskakiwał?

– Tak. Powinien nosić w kieszeniach coś ciężkiego.

W pobliżu pojawiła się zgarbiona kobieta, która pchała druciany wózek na zakupy. Zauważyła, że Weaver ma chyba jakieś kłopoty, więc ruszyła w ich kierunku powolnym, ale konsekwentnym krokiem.

– Dobra samarytanka – stwierdził taksówkarz.

– Następna – powiedziała Weaver. – Ciekawe, czy ma telefon komórkowy.

Rozdział 73

Quinn zatrzymał lincolna przy chodniku i odebrał telefon. Pearl dziwnie na niego spojrzała.

– To Weaver – usłyszała.

– Właśnie tak – odezwał się głos w telefonie.

– Informowałem Pearl. – Quinn włączył głośnik, żeby Pearl też mogła usłyszeć treść rozmowy. – Wszystko w porządku, Nancy?

W odpowiedzi usłyszał ciężkie westchnienie. Zaczął się niepokoić. Weaver wyraźnie zbierała się na odwagę.

– Nancy?

– Quinn, drań mnie dopadł i się nade mną znęcał, a potem zostawił mnie w zamkniętym bagażniku, żeby tam umarła.

– Co zrobił...?

– Nieważne, przeżyłam. W każdym razie wy dobył ode mnie informacje. Nic nie mogłam na to poradzić.

Każdy w pewnym momencie puszcza farbę.

– Uwierzył w to, co mu powiedziałaś? – zapytał Quinn.

– Sądzę, że tak. Zresztą to może się okazać prawdą. Nie wiem, czy zdołałabym go przekonać, gdybym sama choć odrobinę nie wierzyła w to, co mówię.

– A jaka to informacja?

– Podśledzałam w restauracji rozmowę telefoniczną. Winston Castle mówił, gdzie jest ukryta *Bellezza*. – Weaver na chwilę przerwała.

Quinn zaczął się zastanawiać, czy na pewno właściwie oceniła swój stan. Czy na pewno wie, co mówi?

– Nancy...

– Zamknij się i słuchaj, Quinn. Informacje płyną w obie strony. Winston Castle powiedział, że *Bellezza* została ukryta w restauracji w fontannie dla ptaków ustawionej w pobliżu ogrodowego labiryntu.

– W środku?

– Została wykorzystana jako noga i zasadnicza część tego betonowego paskudztwa, które nawet ptakom się za bardzo nie podoba. Widziałeś kiedyś, żeby jakiś ptak się w tym kąpał?

Quinn nie widział. Zastanowił się przez chwilę nad sensem ukrywania rzeźby pod warstwą betonu, niejako w kapsule czasu.

– Sądzisz, że popiersie może tam faktycznie być?

– Pytanie brzmi, co na ten temat sądzi zabójca. Nie mogę tego wiedzieć na pewno, ale odniosłam wrażenie, że mi uwierzył. Zważywszy na to, co mi robił tym rozżarzonym papierosem.

– Jak myślisz, z kim Winston rozmawiał?

– Tego nie udało mi się ustalić.

– Słuchaj, Nancy, to może głupio zabrzmieć, ale...

– Sprawiało mu to przyjemność, Quinn. Ten drań uwielbia zadawać ból. – Zamilkła na chwilę. – To chciałeś usłyszeć?

– Boże, nie, Nancy. Chociaż tego się właśnie spodziewałem. Musiałem się upewnić.

Kątem oka dostrzegł, jak Pearl zaciska szczękę. Podczas gdy on rozmawiał przez telefon, ona wpatrywała się prosto przed siebie.

– Nancy, obiecuję ci, że go dopadniemy...

– Tak tak Muszę kończyć, Quinn. Karetka do mnie jedzie. I radiowóz.

W telefonie rozległa się cała gama dźwięków, z których nie wszystkie dały się łatwo rozpoznać.

– Strasznie lubię robić takie zamieszanie.

– Nancy...

– Bądź ostrożny, Quinn. Poważnie mówię.

– Powiedz jej, żeby się położyła – odezwał się w tle jakiś męski głos, pewnie należący do ratownika medycznego. – Proszę pani, proszę...

– Bądź ostrożny – powtórzyła.

W tym momencie połączenie zostało przerwane.

*

Lincoln nie miał syreny, ale Quinn korzystał ze starego wiśniowego koguta, który kupił kiedyś na policyjnej wyprzedaży w New Jersey – takiego z dużą magnetyczną bazą. Okrągłą wtyczkę od kabla, który trzymał w dłoni, wepchnął w miejsce przewidziane na zapalniczkę. Zaraz potem wyprostował się za kierownicą i otworzył okno, wpuszczając do środka wilgotny wiatr i kilka kropelek deszczu. Wyciągnął ramię, żeby umieścić błyszczące czerwone światło na dachu dokładnie nad swoją głową, potem podniósł szybę na tyle, na ile się dało bez uszkodzenia kabla.

– Jedziemy do Far Castle – oznajmił, odpowiadając na pytające spojrzenie Pearl.

W tym momencie poczuł się trochę jak jeden z bohaterów legendy o królu Arturze.

Brakowało mu tylko lancy.

– Jedź tak, jakbyśmy faktycznie mieli syrenę na dachu – poradziła Pearl.

Rozdział 74

Zabójca wsunął stalową platformę wózka pod potężną fontannę dla ptaków. Musiał użyć całego ciężaru swojego ciała, aby odchylić potężny fragment betonu – a być może i marmuru – i oderwać *Bellezzę* od ziemi.

Całość pozostawała oblepiona resztkami betonu i grudkami ziemi, toteż nie wyglądała szczególnie pięknie. Przypominała raczej jakiś wielki, bliżej nieokreślony grat, czyli coś takiego, co pracownicy firmy Con Edison zwykle wykopywali z ziemi w trakcie wykonywanych przez siebie zadań.

Gumowe kółka wózka zostawiły bruzdy w błocie i odcisk w mokrej trawie. Zabójca musiał zapierać się obiema nogami, żeby pchnąć wózek do przodu. Szło mu powoli. Gdy w końcu ruszył z miejsca, musiał koniecznie utrzymać wózek w ruchu i choćby powoli przesuwając go wraz z ładunkiem w stronę furgonetki.

Teraz zobaczył, jak z najbliższego skrzyżowania skręca w jego stronę duży czarny samochód. Lincoln. *Skąd wiedzieli, że tu jestem?*

Naprawdę jednak znał odpowiedź na to pytanie. Ta dziwka musiała się jakoś wydostać z bagażnika. *Powinnaś nie żyć.* Oczywiście duszy widział ją już martwą, tyle że ona nie umarła. Skontaktowała się z Quinnem i opowiedziała mu tę samą historię, którą zaraz potem zrelacjonowała pewnie policji.

Z czarnego lincolna wyłoniły się dwie postacie, które z tamtego punktu ciągle miały jeszcze półprzecznicy do pokonania. Obie chyba nosiły przy sobie broń.

Zabójca bardzo się tym nie przejmował. Miał własną, nawet dwie sztuki: przyciętego kałasznikowa i mały pistolet zamocowany do kostki. Jeśli się wie, kogo pytać i gdzie szukać, broń można kupić w Nowym Jorku właściwie na każdym kroku.

Zabójca wykonał półobrót i zawrócił z wózkiem. Zepchnął go z twardego i gładkiego chodnika na wilgotną trawę. Nie zdradził się żadnym ruchem, żadnym nietypowym zachowaniem. Wyglądał dokładnie tak, jak wygląda robotnik wykonujący swoje zadanie.

– Ani kroku! – krzyknął Quinn.

Zabójca wyciągnął spod koszuli automatyczną broń i wypełnił przestrzeń dzielącą go od detektywów gradem kul. Po wystrzeleniu ostatniego pocisku wykorzystał moment dezorientacji Quinna i Pearl (ta kobieta to musiała być właśnie Pearl), oparł się ciężarem ciała o wózek i zmienił kierunek. Kilka strzałów oddanych w jego stronę chybiło celu. Detektywi na chwilę opuścili gardę, a on potrafił to wykorzystać.

Kolejne wystrzały. Zabójca usłyszał, jak kule uderzają w liście wokół niego i łamią kilka małych gałęzi. *Zdecydowanie pudło*. Ich broń przedstawiała się w porównaniu z kałasznikowem równie skutecznie, jak rurka do strzelania grochem.

– Gdzie on się podział, do cholery? – usłyszał pytanie z ust kobiety.

– W jedynym sensownym miejscu – odparł Quinn. – W labiryncie...

*

Zabójca porzucił ciężkie marmurowe popiersie i ruszył przez gęsty labirynt. Teraz miała mu się przydać znajomość jego układu. Sprawnie poruszał się pośród zakrętów żywoplotu, poza tym potrafił stwierdzić, gdzie znajdują się ścigający go Quinn i Pearl. W pewnym momencie stanęli dokładnie po drugiej stronie żywoplotu. Zamarł wtedy w bezruchu, gdyż wiedział, że wkrótce dojdą do ściany i będą się musieli cofnąć. Wiedział również, że znajduje się w pobliżu miejsca, z którego mógł się przedrzeć przez krzaki i wydostać na ulicę o jedną przecnicę dalej. Stamtąd miał już niedaleko do zaniedbanego budynku, w którym wynajmował gabinet. Gdy już tam dotrze, będzie się mógł spokojnie przyglądać, jak detektywi rezygnują z dalszego pościgu. Niech sobie wezmą tę furgonetkę i cały sprzęt. Bardzo się cieszył na myśl, że będzie mógł obserwować z góry, jak całe tłumy techników przelewają się przez opuszczony samochód w poszukiwaniu materiału dowodowego.

Gdyby Quinn przyjechał o kilka minut później, pewnie zdążyłby załadować popiersie do furgonetki. Jego plan musiał zawieść dlatego, że Nancy Weaver wy dostała się z bagażnika, zanim wykończył ją upał bądź obłęd. Najwidoczniej jakoś jej się to udało. Żyła i przekazywała kolegom ważne informacje.

Rozdział 75

Zabójca nawet się nie spodziewał, że wydostanie się z labiryntu i pokona trasę dzielącą go od budynku po przeciwległej stronie ulicy z taką łatwością. Drzwi, które sam naoliwił, bezgłośnie wpuściły go do środka. Szybko wspiął się po rozklekotanych schodach, nasłuchując przy tym uważnie, czy przypadkiem nikt za nim nie idzie. Nikt go jednak nie ścigał.

Gdy zajął już miejsce przed oknem, nagle zaczął drżeć. Niewiele brakowało. Po raz kolejny uratował się z opresji dzięki planowaniu, przewidywaniu i wybitnym instynktom strategicznym. Szczęście też pewnie miał po swojej stronie. Nie, nie szczęście – przeznaczenie. Jego pakt z przeznaczeniem pozostawał w mocy.

Zapanował nad oddechem, dzięki czemu zdołał się uspokoić. *O włos...*

Nancy Weaver nieźle się spisała, mimo to on nadal dobrze sobie radził, nadal prowadził w tej grze.

Wkrótce należało się spodziewać policyjnych posiłków. Na pewno będą go szukać, gdzie tylko się da. Będą też szukać *Bellezzy*. Na pewno będą błądzić po labiryncie i znajdą tam popiersie – ale może nie zauważą, że trudno je już nazwać fontanną dla ptaków. Uśmiechnął się na tę myśl. Policję darzył naprawdę minimalnym poważaniem. Gdyby nie Quinn, cała ta gra nie byłaby nawet w połowie tak zabawna.

*

Quinn w ogóle nie kładł się tej nocy. Wiedział, że i tak nie zaśnie – przynajmniej dopóki nie

dostanie wyników badań, które w trybie pilnym zlecił do wykonania w laboratorium. Mikroskopijne formy życia odnalezione w drobnych pęknięciach marmurowego posągu porzuconego w labiryncie w pobliżu Far Castle miały dostarczyć mu informacji, których teraz potrzebował. O wpół do czwartej nad ranem na jego biurku w gabinecie zadzwonił telefon. Z wyświetlacza odczytał, że to Renz. Podniósł słuchawkę.

– Co wiesz, Harley?

– Miałeś rację, Quinn. W laboratorium twierdzą, że popiersie ukryte w fontannie dla ptaków ma nie więcej niż dziesięć lat, a pewnie jest nawet młodsze.

– Na ile to precyzyjne szacunki?

– Podobno tu nie ma mowy o szacunkach, nie ma wątpliwości. Czysta nauka, Quinn. Wyjaśniłbym ci istotę badań, które przeprowadzili, ale sam ich nie rozumiem. To popiersie z ogrodu przy Far Castle to nieźle rękodzieło, ale Michał Anioł w żaden sposób nie przyczynił się do jego powstania... Chyba że restauracja zatrudnia kogoś, kto się tak nazywa.

– Jeśli tak – odparł Quinn – to ten ktoś na pewno należy do rodziny.

– Chodzi mi po głowie pewna myśl – stwierdził Renz. – Wedle wszelkich relacji to popiersie ukryte w fontannie dla ptaków pod powłoką z betonu to cholernie dobra imitacja. Może więc...

Quinn wiedział, co Renz chce powiedzieć. Uprzedził go:

– Może więc to, za czym się wszyscy tak uganiają, to też tylko imitacja?

– Można odnieść wrażenie, że ktoś już doszedł do sedna tej sprawy.

– Mówi się, że w muzeach stoi cała masa świetnych imitacji – odparł Quinn. – Popiersie z fontanny jest zbyt nowe, żeby mogło przyjechać z Europy w okresie drugiej wojny światowej.

– To pocieszająca myśl – stwierdził Renz.

– Tak samo jak DNA jest pocieszające – stwierdził Quinn – mimo że skazuje nas na słuchanie ekspertów.

– Na jakiś czas mogę zachować te wyniki badań dla siebie, Quinn, ale jutro będę musiał powiedzieć o tym Minnie Miner, bo inaczej zje mnie żywcem i zrujnuje mi karierę.

– To chyba byłby mało korzystny scenariusz.

– No to już wszystko wiesz – uznał Renz. – Udało nam się potwierdzić przynajmniej tyle, że Michał Anioł lubował się w popiersiach. Teraz możemy iść spać.

– Ja raczej nie zasnę.

Renz dobrze rozumiał kolegę. Potrafił właściwie odczytywać sygnały. W śledztwie nastąpiła co prawda subtelna, ale bardzo istotna zmiana – nagłe przyspieszenie.

– Jesteśmy blisko rozwiązania, co?

– Na pewno bliżej – odparł Quinn.

*

Quinn odłożył słuchawkę i poszedł do łazienki opłukać twarz zimną wodą. Wylał ją do sucha, po czym spojrzął na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad umywalką. Zaskoczyło go to, co

zobaczył. Z lustra spoglądał na niego dobrze mu znany poczciwy bandzior, do którego zdążył się już przyzwyczać. Tego wieczoru jednak dostrzegł w jego kościstej twarzy coś intrygująco wilczego. Jakąś dziwną intensywność.

Znał to spojrzenie. Niektórych ludzi przepęniało ono przerażeniem. To było spojrzenie drapieżnika, który za chwilę dopadnie swoją ofiarę. Nie dało się w nim dostrzec choćby cienia rozsądku czy litości. Czas na rozmyślne planowanie już minął. Teraz kły liczyły się bardziej niż myśl.

Rozdział 76

Renz nie marnował czasu i czym prędzej poinformował Minnie Miner o tym, że w Far Castle znaleziono jedynie imitację popiersia. Ona też bynajmniej nie zasypiała gruszek w popiele i czym prędzej puściła tę wiadomość w obieg. Do porannego programu zaprosiła Winstona Castle'a. Quinn wpatrywał się w ekran zupełnie jak jeden z jej zagorzałych fanów.

Castle miał na sobie zgrabnie skrojony garnitur oraz czerwono-niebieską apaszkę we wzory. Całości dopełniała pasująca chusteczka w kieszeni marynarki. Siedział spokojnie w fotelu naprzeciwko Minnie, tyle że nieco niżej niż ona. Pomiędzy fotelami znajdował się mały stolik, na którym stały szklanki, zapewne z wodą. Minnie nie dopuszczała do tego, by jej gościom zaschło w gardle.

– Czyli nie miał pan **zielonego** pojęcia o tym, że w fontannie dla ptaków kryje się *Bellezza*? – zapytała Winstona lekko, jakby z niedowierzaniem.

– Tak samo jak nie zdawałem sobie sprawy, że to tylko imitacja – odparł Castle.

W telewizji brzmiał jak rasowy Brytyjczyk. Quinn był pod wrażeniem. Siedzieli razem z Pearl przy kuchennym stole w mieszkaniu, które wspólnie wynajmowali. Patrzyli w mały płaski ekran ustawiony na blacie.

– Cieszę się, że postanowiliśmy to obejrzeć – stwierdziła Pearl. – Winston potrafi wciskać kit jak mało kto.

– Jest w tym mistrzem świata – zgodził się Quinn.

– Jak myślisz? Tak akurat wyszło, że właśnie wkładał strój na czas po polowaniu, bo gościł w jakimś letnim domku? Czy w jego żyłach aby na pewno nie płynie krew angielskiej arystokracji?

Podczas gdy Pearl wypowiadała te słowa, Winston nonszalancko skrzyżował nogi i założył ramię za oparcie fotela.

– Zastanawiam się, czy on w ogóle wie, co to takiego angielska arystokracja – odparł Quinn.

– Czy pan i pańska żywo zainteresowana tematem rodzina zamierzacie kontynuować poszukiwania prawdziwej *Bellezzy*? – zwróciła się Minnie do Winstona.

– Oczywiście. Na razie jednak chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tej imitacji, która znajdowała się w fontannie. Nie chcemy przecież niczego robić na pół gwizdka, bo jeszcze czasem wszystko mogłoby się obrócić wniwecz.

Wniwecz? Kto tak mówi?

– No tak – odparła Minnie po namyśle. – To oczywiście zrozumiałe.

– Nawet w trakcie szlachetnej misji takiej jak nasza czasami najlepsze, co można zrobić, to po prostu spokojnie poczekać. Umysł ma wtedy szansę nadrobić zaległości i odnaleźć się we wszystkim tym, co się ostatnio wydarzyło. – Uśmiechnął się szeroko. – Powiedziałbym wręcz, że poszukiwania niniejszym nabrały rumieńców.

Minnie również uśmiechnęła się szeroko, nadszedł bowiem czas na reklamy.

– Dziękuję bardzo, że zechciał pan u nas gościć, sir Castle. A może powinnam użyć tytułu „diuk” tudzież „lord”?

Castle uśmiechnął się skromnie.

– „Sir” w zupełności wystarczy, Minnie.

Minnie wyglądała tak, jak gdyby zbierało jej się na wymioty, ale uśmiech miała jak przykejony.

– Życzę powodzenia panu i pańskiej niezwykle interesującej rodzinie. Udanego polowania!

Castle uśmiechnął się powściągliwie, tak po brytyjsku, nie pokazując zębów.

Quinn sięgnął po pilota i wyłączył telewizję, gdy tylko na ekranie pojawiła się reklama jakiegoś produktu, dzięki któremu komputery szybciej pracują. Dostrzegli jeszcze za wielkim biurkiem dziecko w garniturze w prążki i krawacie o intensywnym odcieniu.

– Widziałeś to samo co ja? – zapytała Pearl.

– Chodzi ci o dziecko w roli spec'a od IT?

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi – odpowiedziała Pearl. – O **sir** Winstona Castle'a.

Quinn wzruszył ramionami i wstał, żeby iść do biura.

– W drogę, już czas!

Pearl spojrzała na niego wymownie.

Rozdział 77

Quinn doszedł do wniosku, że talent aktorski Winstona Castle'a zasługuje na podziw. Grał tak przekonująco, że zdołał nieraz wytrącić z równowagi zaprawioną w bojach zakłamaną Minnie Miner. Ten korpulentny, elegancko ubrany mistrz uroku po części zachowywał się zupełnie szczerze. Zresztą każda bujda nosi w sobie przynajmniej ziarnko prawdy. Samą formułę programu stworzyła co prawda Minnie Miner, ale to Winston Castle został jego głównym bohaterem.

Minnie też zresztą potrafiła niemal dowolnie zmieniać charakter. Ta kobieta dysponowała szerokim wachlarzem osobowości. Niejako wbrew swej agresywnej i ekstrawertycznej naturze potrafiła z powodzeniem udawać naiwną idiotkę. Tak to czasem w przyrodzie bywa, że najbardziej śmiercionośne kwiaty wydają się na pierwszy rzut oka najpiękniejsze i zupełnie nieszkodliwe... Nie sposób stwierdzić, że mają trujące kolce.

Quinn usiadł za biurkiem i rozmyślał o ogrodzie przy restauracji Far Castle, o stojącej na oczach wszystkich fontannie dla ptaków. Nawet jeśli ktoś zwrócił na nią uwagę i uważniej jej się przyjrzał, zapewne nawet nie przyszło mu do głowy, że w środku mogłoby się kryć coś tak niezwykłego. Nawet w najśmielszych domysłach nikt nie wpadłby na to, że dzieło Michała Anioła może zostać ukryte pod warstwą ostentacyjnego betonu ani też że tak przez wszystkich poszukiwany i dobrze schowany przedmiot może okazać się nieautentyczny. Całe to śledztwo kojarzyło się Quinnowi z rosyjską matryoską, gdy po dotarciu do kolejnej warstwy dostrzeżę się pod nią następną. Ten proces wystawiał na próbę cierpliwość każdego poszukiwacza, który stale podejmował ten sam wysiłek i znajdował ciągle to samo, aż jego zainteresowanie, a wraz z nim nadzieja w końcu miały osłabnąć.

Quinn zaczął myśleć o rodzinie – czy sekcje, jak ich tam należałoby nazwać – Tuckerów-Castle'ów. Zastanawiał się nad ich dążeniem do odnalezienia pięknego, cennego przedmiotu. Nie byli aż tak śmiertelnie niebezpieczni jak D.O.A., ale zwodzili go równie skutecznie. Podejrzał, że nie tylko zabójca celowo próbuje działać mu na nerwy. Przyciągnął do siebie telefon stacjonarny i zadzwonił do Pearl.

Zastał ją jeszcze w domu. Odebrała telefon spokojnym głosem, co oznaczało, że Jody prawdopodobnie już wyszła. Obie panie bowiem rozpoczęły ten dzień od gorącej dyskusji o tym, czyje rozmowy telefoniczne rząd może zgodnie z literą prawa i duchem moralności podsłuchiwać, a czyje nie. Pearl potrafiła debatować z córką na takie tematy do upadłego jeszcze długo po tym, jak Quinn zniknął im z oczu i udał się w miejsce, gdzie mógł zgodnie z prawem i własny mi nakazami moralnymi spokojnie wypalić cygaro.

– Nadal rozrząszasz program Minnie Miner? – zapytała.

– Nie do końca – odparł.

– Odpowiedź godna Winstona Castle’a. Najwyraźniej przekonał cię do siebie tą swoją parlamentarną postawą.

– Chyba właśnie z tym do ciebie dzwonię – powiedział Quinn. – W tym jego zachowaniu dostrzegam coś znajomego. Jakoś mi się to kojarzy z gadaniną magika, który skłania publiczność do uważnego obserwowania jednej jego ręki, podczas gdy drugą robi coś, co mu pozwoli wykonać sztukę. Odwraca uwagę widzów, dzięki czemu po chwili może wyciągnąć królika z kapelusza.

– Albo właściwą kartę.

– Absolutnie nie należy z nimi grać w pokera – stwierdził Quinn.

– Z królikami?

– Z takimi ludźmi jak ci z tej zwariowanej rodziny. Oni też serwują nam taką sztukę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że być może ktoś z nich trzyma prawdziwego Michała Anioła w rękawie.

– Magicy... – odparła Pearl, chyba nie do końca rozumiejąc Quinna. – Zawsze lubiłam ich pokazy.

– Z takiego pokazu nic nie wyjdzie, jeśli publiczność nie będzie współpracować.

– I tak je lubię.

– Wiesz o tym, że oni przecinają ludzi na pół?

– Tylko piękne kobiety, których zresztą to chyba nie boli.

– Obyś się nie musiała przekonać na własnej skórze, że to nieprawda.

– Do czego ty właściwie zmierzasz? – zapytała Pearl z westchnieniem. Najwyraźniej rozmowa z Jody zdążyła ją już zmęczyć.

– Będziemy obserwować ogród za Far Castle.

– Wydawało mi się, że mieliśmy się skupić na D.O.A.

– Być może na to samo wyjdzie – odparł Quinn. – Idę o zakład, że on się nie zalicza do ludzi przekonanych, że nie ma już sensu szukać *Bellezzy* w tym ogrodzie, skoro znaleziono tam już jej imitację.

– Czyżbyśmy my się też do nich nie zaliczali, Quinn?

– W pewnym sensie nie.

– A w innym sensie?

– Patrz, królik!

Rozdział 78

Zgodnie z przewidywaniami Quinna poszukiwacz pojawił się nocą wiele godzin po zamknięciu restauracji. Quinn siedział nisko w fotelu, schowany za kierownicą czarnego lincolna. Zaparkował po przeciwległej stronie skrzyżowania, z widokiem na zewnętrzny taras przed Far Castle. Na tle stolików, na których stały spięte kłódkami krzesła, przystryżone kształty krzewów wyraźnie się rysowały. Kilka metrów za rabatkami zaczynał się ogród, zdecydowanie mniej uporządkowany i bardziej dziki. Porastały go przeróżne krzewy i miniaturowe drzewa. W ich pobliżu znajdowało się również wejście do labiryntu z żywopłotu. Ścieżka prowadziła coraz głębiej w mrok.

Mięśnie w ciele Quinna się napięły. Czyżby przez opuszczoną szybę samochodu dobiegł go jakiś cichy odgłos? Dziwny odgłos. Jakby stłumiony huk, po którym nastąpiło miękkie drapanie.

Quinn zdawał sobie sprawę, że to mógł być wytwór jego wyobraźni, siedział więc w bezruchu, wpatrując się w ogród.

Minęła cała minuta. Nic więcej nie usłyszał, dojrzał natomiast jakiś ruch gdzieś w cieniu.

– Coś mamy – wyszeptał Quinn do Pearl. – Coś słyszałem, a teraz widzę ruch w ogrodzie. Jakiś taki powtarzalny. Może kopanie.

– A może para namiętnych kochanków... – stwierdziła Pearl.

– Brytyjczycy nie robią takich rzeczy!

– Ależ! Czyż nie po to właśnie powstały angielskie ogrody?

– Powinniśmy to sprawdzić – powiedział Quinn. – Wezwij wsparcie, tylko łaż im się zachowywać cicho i nie podjeżdżać na razie zbyt blisko.

– Chodzi ci o wsparcie dla namiętnych kochanków?

– Pearl, do cholery!

– Co zamierzasz zrobić?

– Na razie siedzieć i czekać. Może pojawi się lokaj.

*

Quinn odczekał dokładnie trzy minuty. Wiedział, że zanim na miejsce dotrze wsparcie, może być już za późno. Poza tym nawet pomimo zachowania nadzwyczajnej ostrożności posiłki i tak mogą wystraszyć tego, kto właśnie próbuje wykopać coś w ogrodzie. Taka wizja nie bardzo się Quinnowi podobała. *Za dużo niepewności...*

Zmienił pozycję przełącznika, żeby po otwarciu drzwi w samochodzie nie zaświeciło się światło. Wysunął się ze środka i wszedł w mrok nocy. Wokół panowała taka cisza, że słyszał chłodzący się silnik. Uznał jednak, że to nie ten dźwięk wcześniej odnotował. Noc i tak była ciepła, a spod samochodu razem z zapachem wysokooktanowego paliwa i spalonego oleju wydostawały się jeszcze podmuchy gorąca.

Trzymając się blisko ziemi, Quinn ostrożnie przesunął się w stronę Far Castle. Z bliska ponownie dostrzegł ruch w ogrodzie, po części za sprawą słabo świecącego księżycyca. Wszedł do środka, ale szybko stracił z oczu to, co wydawało się źródłem dźwięku. Przykucnął i w bezruchu wpatrywał się w mrok

Znowu ten dźwięk!

Niczego nie widział, ale zaczął się przemieszczać w kierunku jego źródła. Wybrał niewłaściwy korytarz labiryntu, więc w milczeniu cofnął się po własnych śladach.

Znowu to usłyszał. Tym razem wyraźniej, z mniejszej odległości. Teraz już nie miał wątpliwości. Dobrze się domyślił, że ktoś rozkopywał łopatą ziemię. Już wiedział, na czym stoi.

Wyciągnął z kabury stary policyjny rewolwer. Broń nie miała bezpiecznika, więc odciągnął kurek. Odgłos kopania – teraz już nie do pomylenia z czymkolwiek innym – cały czas się nasilał, naprowadzając Quinna na właściwe miejsce. Każdemu kolejnemu uderzeniu szpadla w ziemię towarzyszył wydech i wraz z każdym krokiem obraz malujący się przed oczami Quinna nabierał bardziej konkretnych kształtów.

Detektyw zobaczył maszyną postaci mężczyzny z łopatą, ustawioną do niego ukośnie. Stał jak gdyby wewnątrz krzewu i wymachiwał szpadlem. Miał na sobie sięgające do łokci brązowe skórzane rękawiczki rozszerzane u góry dla pełniejszej ochrony przedramienia. Kopiący w tym momencie przerwał pracę i powiedział:

– Auć, niech to szlag!

Winston Castle. Tyle że w ogóle nie brzmiał po brytyjsku.

Quinn zrobił krok do przodu z rewolwerem przy ciśniętym do uda.

– Zrobił sobie pan krzywdę?

Z ust Castle'a wydobył się dźwięk, który przypominał rozdzierający krzyk. Spojrzała na Quinna, rzucił szpadel i złapał się za serce.

– Ach, to pan, Quinn! Cieszę się, że pana widzę, ale przeraził mnie pan do żywego.

Najwyraźniej Castle szybko odzyskał rezon. Uśmiechnął się, prezentując rząd białych zębów.

– Ten krzew to *Pyracantha*, ognik szkarłatny, znany z ostrych kolców.

Nachylił się, z niewątpliwym wdziękiem, zwłaszcza jak na tę tuszę, podniósł szpadel i wbił go w ziemię, po czym oparł się na rękojęści.

– Nie jest to najlepsze miejsce, żeby cokolwiek zakopywać – stwierdził.

– Czyżby próbował pan kogoś tu pogrzebać?

– Raczej coś, drogi panie. Cenne dokumenty w hermetycznym opakowaniu. – Castle pokręcił głową i zrobił taką minę, jak gdyby właśnie posmakował czegoś niedobrego. – W dzisiejszych czasach bankom nie można ufać. Już nie. – Spojrzał na Quinna. – Niech mi pan powie, drogi panie, czy panu mogę ufać.

– Bardzo umiarkowanie.

Quinn schował rewolwer. Wskazał na coś głową.

– Widzę, że ma pan też motykę. Pomogę panu kopać. Razem jakoś zdołamy zapanować nad tymi kolcami.

– Jakie to miłe z pana strony...

– Tyle że chyba niczego nie zakopujemy – stwierdził Quinn. – Raczej coś wykopujemy.

– Przyłapał mnie pan.

– Właśnie.

Znowu ten sam szeroki uśmiech, jak dla BBC.

– Jest pan pewien, stary druhu?

– Jestem.

– Ma pan rację. Założyłem, że nikomu nie przyszłoby do głowy szukać czegoś w takim miejscu, pośród tych paskudnych kolców. Tym bardziej teraz, skoro to drugie popiersie zostało już odnalezione i zdemaskowane jako bezwartościowa imitacja.

– To w takim razie co stąd wykopujemy?

Obaj doskonale wiedzieli, że Quinn chciał to usłyszeć od Castle'a.

– Hm. Przedmiot moich pragnień, który dostatecznie długo leżał już w ziemi.

Quinn czekał.

– No dobrze – powiedział Castle. – To *Bellezza*. Ta prawdziwa. Skoro teraz obaj już to wiemy, to możemy się w końcu pochylić nad samym zadaniem.

– Pan mnie nie docenił – uznał Quinn, odsuwając motyką grube gałęzie krzewu. – Zatrudnił mnie pan między innymi po to, żeby Q&A oraz nowojorska policja skreśliły pana z listy podejrzanych. Tyle że na mojej liście ciągle się pan znajduje.

– Na liście podejrzanych? Rany boskie, przecież pan nie może mówić poważnie. Ja nigdy nikogo nie zabiłem. Nie byłbym do czegoś takiego zdolny.

– Pan sam siebie też nie docenia.

Quinn jednak doskonale wiedział, że bynajmniej nie stoi przed nim zabójca owładnięty manią seksualną. Winston Castle nie był D.O.A. Sam sobie jednocześnie przypomniał, żeby w żadnej kwestii nie ulegać nadmiernie własnym przekonaniom. Nie sposób przecież do końca zrozumieć kogoś tak oderwanego od rzeczywistości. Trudno uwierzyć, że za sprawą Michała Anioła Winston Castle odkrył u siebie sumienie.

– Mnie interesuje tylko to, żeby odzyskać dla rodziny *Bellezzę* – oświadczył Castle. – Żeby wróciła do prawowitych właścicieli.

– Niech pan kopie – odparł Quinn. – Kwestią własności będziemy się zajmować później. Jeśli

oczywiście faktycznie znajdziemy ją tu, gdzie pan twierdzi, że jest.

Winston Castle spojrział mu prosto w oczy.

– W takiej sprawie bym nie kłamał.

„Bo w innej bym mógł” – dodał w myślach Quinn.

Rozdział 79

Kopali jeszcze przez dwadzieścia minut, zanim motyka Quinna uderzyła o coś twardego. Castle, który pracował tuż obok, nachylił się gorliwie i stuknął w odkryty przedmiot końcówką szpadła. Odpowiedział mu głuchy odgłos. W dziurze Quinn dostrzegł coś ciemnoszarego. Tkaninę. Nachylił się i lekko dotknął jej opuszkami palców. Coś zostało owinięte tłustą szmatą i zakopane pod krzewem ognika. Quinn skrobał ten przedmiot motyką, podczas gdy Castle energicznie okopywał go szpadłem. Detektyw żałował, że nie ma takich samych długich skórzanych rękawic. Igiełki krzewu raz po raz drapały mu skórę na przedramionach, która pieką go teraz jak ogień.

– Pudło! – oznajmił oniemiały Castle. – Drewniana skrzynia owinięta szmatą.

Przykucnął i sięgnął ręką w kierunku przestrzeni, która powstała między ziemią a przedmiotem. Quinn przykłęknął po drugiej stronie dziury. Sięgnął do środka, z przyjemnością zanurzając nagie dłonie głęboko w błocie. Dotknął czubkami palców tłustej tkaniny i... drewna.

– Wsunąłem palce pod spód! – wykrzyknął Castle z szerokim uśmiechem. – Mam cię, piękna. Mam cię, piękna... – wymamrotał.

Quinn uznał, że jeśli odkopują właśnie kolejną imitację albo puste pudło, a Castle o tym wie, to przynajmniej dokłada wszelkich starań, żeby wypaść autentycznie. I całkiem nieźle mu to aktorzenie szło. Sam wsunął palce pod dolną krawędź skrzyni. Spojrzeli na siebie i razem wyjęli przedmiot z dziury w ziemi.

Castle zdarł tłustą szmatę i odrzucił ją na bok. Spod spodu wyłoniła się solidna drewniana skrzynka. Kiedyś chyba ktoś umieścił na niej jakąś etykietę, ale zdążyła wyblaknąć i się zaplamzić, w związku z tym nie dało się jej odczytać. Od pudła i z dziury w jego powierzchni bił cierpki zapach starego drewna cedrowego. Quinnowi skojarzyły się z grobami otwieranymi podczas ekshumacji.

Castle zrzucił rękawice i z zapalem przystąpił do odrywania wieka palcami. To jednak nie chciało ustąpić. Pewnie lepiej by zrobił, gdyby najpierw dobrze obejrzał tę skrzynię. W słabym świetle księżyca Quinn dostrzegł połyskujące plamy jego krwi.

– Mocno przybite – powiedział. – Trzeba spróbować innej metody.

Castle z trudem wstał, przecierając nadgarstkami spocone czoło. Oczy lśniły mu tak samo jak krew sącząca się spod paznokci. Quinn stwierdził, że mężczyzna chyba faktycznie przeżywa ten moment jak odnalezienie Świętego Graala.

Castle potrzebował zaledwie kilkadziesiąt sekund, żeby podważyć wieko skrzyni motyką w takim stopniu, aby dało się pod nie włożyć szpadeł. Potem wystarczyło przyłożyć do niego ciężar własnego ciała i wieko ustąpiło. Ekscytacja Castle'a okazała się na tyle zaraźliwa, że Quinn postanowił pomóc mu motyką. Mocno white stare gwoździe wychodziły ze starego drewna z charakterystycznym piskiem. Nic sobie nie robiąc z zardzewiałych kawałków metalu, Castle odrzucił na bok drewnianą pokrywę i opadł na kolana, jakby o coś błagał. Quinn kłęknął obok, żeby mogli razem obejrzeć zawartość skrzyni.

W środku znajdowało się coś owinięte miękką zieloną tkaniną. Castle odsunął materiał drżącymi dłońmi, po czym lekko go uniośł. Tkanina skrywała popiersie pięknej kobiety. Choć w pierwszej chwili trudno to było do końca pojąć, żadna z wcześniej przez Quinna oglądanych kopii *Bellezzy* nie mogła się z nią równać. Wszystkie od razu wydawały się sztuczne i pozbawione życia.

– Niech pan patrzy – powiedział Castle głosem pełnym podziwu. – Nie pan na to patrzy!

– Patrzę – zapewnił go Quinn. Uderzyło go, że sama *Bellezza* również zdawała się patrzeć na nich.

– I na to – rzucił Castle. – Na to też.

Wskazywał na plik listów związanych wstążką. Rozwiązał ją i zaczął przeglądać koperty. Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że pochodzą od bojowników francuskiego ruchu oporu – zapewne od tych, którzy uratowali *Bellezzę* przed Niemcami. Poza tym znajdowały się tam również listy autorstwa pielęgniarki Betsy Douglass, adresowane do jej siostry Willi Kingdom. Te listy potwierdzały pochodzenie rzeźby.

Kątem oka Quinn dostrzegł jakąś postać, która weszła do ogrodu. W pierwszej chwili założył, że to Pearl, że znudziło jej się czekanie. Pewnie wskazywała drogę posiłkom, które właśnie przybyły na miejsce.

Tyle że to nie była Pearl.

*

Owładnięta strachem Pearl za wszelką cenę usiłowała odzyskać przytomność. Potrzebowała kilku minut, żeby się zorientować, co się stało – żeby sobie przypomnieć postać, która nagle wyłoniła się z cienia i stanęła po drugiej stronie uchylonego okna lincolna.

Połyскиwe ostrze noża pojawiło się zupełnie znikąd i Pearl nie zdążyła nawet krzyknąć. A teraz?

Opuściła dłoń na kolano, po czym ją podniosła. Ze zdumieniem wpatrywała się w czerwoną rękę. Gdy spojrzała w dół, ogarnęło ją przerażenie. Delikatnie dotykała się opuszkami palców, aby znaleźć miejsce krwawienia. W końcu je odkryła i przestraszyła się jeszcze bardziej. Krew

tryskała z lewej strony nad obojczykiem – z tętnicy szyjnej. Zabójca sięgnął przez okno i przeciągnął jej nożem po gardle. Zakładał, że szybko się wykrwawi i w ten sposób zostanie wyeliminowana z gry. Pearl jednak nabierała pewności, że napastnik tylko lekko naruszył tętnicę. Widywała już wcześniej takie rany i doskonale wiedziała, że mogło to wyglądać znacznie gorzej.

Przypomniła sobie, że Quinn trzymał pudełko chusteczek w schowku przed przednim siedzeniem. Cały czas przyciskając lewą dłońią nacięcie, z którego powoli tryskała krew, prawą ręką sięgnęła do środka. *Cholera!* Znalazła tylko chusteczki w celofanowej zamkniętej paczce. Zdarła celofan i rzuciła go na siedzenie. Przycisnęła do szyi całą paczkę chusteczek niczym tampon. Udało jej się zatamować wypływ krwi, zdawała sobie jednak sprawę, że chusteczki szybko przesiąkną i krwawienie znowu się nasili. Aby je ograniczyć, wyciągnęła ze spodni materiałowy pasek i owinęła go sobie wokół szyi. Zaciągnęła na tyle mocno, aby chusteczki się nie przesunęły i nadal uciskały ranę. Mimo wszystko stale traciła krew i słabła. Świat przed jej oczami zaczął blednąć.

Już znikął...

Rozdział 80

– Widzę, że przyszedłem w samą porę – powiedział D.O.A.

W obu dłoniach trzymał broń: w jednej karabin, w którym Quinn rozpoznał kałasznikowa, ty le że nieco przyciętego, w drugiej zaś mały półautomatyczny pistolet. Detektyw zwrócił też uwagę na jego nieco nienaturalną tuszę. Szybko wywnioskował, że zabójca musi mieć na sobie kamizelkę kuloodporną. To jednak nie zbiło go z tropu. Kamizelki nie nosi się po to, aby ratować życie, lecz raczej po to, aby odwlec w czasie śmierci. Dzisiejszej nocy miał wreszcie nastąpić jego wielki i spektakularny koniec. A koniec jego straszliwym rządcom miał położyć jeden haniebnym wystrzał. Zabójca pragnął zwieńczyć swoje dzieło ostatnim wybitnym osiągnięciem – zanim w błyskawicznym tempie pogrzeży się w wiecznej niesławie. Ta niesława była jego ostateczną, najcenniejszą zdobyczą. To ona stanowiła jego cel. Chwała trwa zwykle krótko, niesława ma znacznie dłuższy żywot.

Tym razem obiektem jego zainteresowania nie była żywa kobieta, lecz licząca sobie kilka wieków piękność.

– Dobrze wiesz, czego chcę – powiedział do Quinna. – My ślimy tak samo.

Castle spojrział na Quinna z przerażeniem w oczach.

– Długo się nią nie nacieszysz – odparł detektyw. – On pragnie sławy. Zupełnie niewykuczone, że niniejszym znalazł sposób na to, aby zostać najsłynniejszym psychopatycznym mordercą. Pragnie osiąść *Bellezję*.

Castle przesunął się nieco, by chronić marmurowe popiersie. D.O.A. tylko się rozeźmiał i uniół karabin.

– Policjanci usłyszą wystrzały – stwierdził Quinn.

D.O.A. spojrział na niego z uśmiechem.

– Masz na myśli tę martwą kobietę w twoim samochodzie? Dobrze kojarzę, że ma na imię Pearl? Szkoda, że nie mogłem się trochę dłużej pobawić jej kosztem. Pewnie ci ulży na wieść, że śmierć przyszła do niej względnie szybko. Chociaż ona sama pewnie tak tego nie doświadczyła.

Castle nie wierzył własnym uszom. Nie chciał wierzyć. Jęknął przeraźliwie i nachylił się do

przodu. Zaczął drzeć, niemal się trząść. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa, w związku z czym opadł na nie i przybrał dziwaczną, na wpół zgiętą pozycję. Wyglądał trochę jak pokutnik zdjęty panicznym strachem.

– Twój przyjaciel zdaje się dobrze orientować, co się za chwilę wydarzy – powiedział zabójca, wpatrując się w twarz Quinna, jak gdyby chciał dostrzec w jego oczach strach. Niczego takiego nie zauważył, co wyraźnie go poirytowało.

Oprócz gniewu Quinn zobaczył w oczach zabójcy desperację i coś jeszcze, czego nie dało się z niczym pomylić i co bardzo go niepokoiło. Potrzebował kilku sekund, żeby sobie uzmysłowić, że na fali tego strachu widocznego w oczach zabójcy płynie jeszcze coś, coś zupełnie oczywistego, a jednocześnie nieadekwatnego do sytuacji – rozbawienie. Ten drań naprawdę czerpał radość z tego wszystkiego, co się właśnie wokół niego działo. Za chwilę miało się rozpętać piekło, a on rozkoszował się wizją nadchodzącej rzezi.

– Myślę, że tłuszciocha zostawię sobie na koniec, żeby sobie przetestować kilka nowych metod i podnieć. – Zabójca spojrział na Castle'a, aby zobaczyć jego reakcję, i... się zdziwił.

Przerażony brzuchacz najwyraźniej wcale nie doznał paraliżu ze strachu, bo zdołał bezgłośnie uciec i skryć się gdzieś pośród krzewów labiryntu. Quinn zaś wykorzystał okazję, aby odpiąć kaburę. Niestety udało mu się zaledwie musnąć ją palcami. Zabójca szybko wy celował obie lufy w stronę realnego i bezpośredniego zagrożenia. Puchaty pajac, który uciekł gdzieś w krzaki, specjalnie mu nie zagrażał.

*

Zabójca poświęcił wiele godzin na zapamiętanie układu labiryntu, mimo to wątpił, czy zna jego tajemnice równie dobrze, jak człowiek, który go być może zaprojektował. Liczył się też z możliwością, że Quinn odwrócił jego uwagę i przerażony grubas wcale nie czmychnął między krzaki. Tak czy owak nie ulegało dla niego wątpliwości, że Castle już dawno wy dostał się z labiryntu. W tym przekonaniu utwierdziły go odgłosy dochodzące z ulicy, spoza ogrodu i labiryntu. Chwilę później usłyszał – tak, zgadza się – głos grubego mężczyzny. Prawie na pewno jego.

Zabójca uważnie nasłuchiwał, ani na chwilę nie odrywając wzroku i nie spuszczać luf z Quinna. Coś jednak było nie tak.

Quinn po raz pierwszy dostrzegł u D.O.A. jakieś oznaki słabości. Myśliwy nagle znalazł się w roli ofiary, jego zmysły się wyostrzyły. *Ruch uliczny na ulicy w pobliżu ogrodu... Mało intensywny... Jakiś taki cichy...*

Zabójca zdawał sobie sprawę, co ta cisza oznacza. Na miejsce przybywały kolejne ekipy pościgowe, stopniowo zajmując strategiczne pozycje. Rozstawiały się i przygotowywały. Ale ciągle jeszcze nie były gotowe.

Okazja. Może i marna, ale dokładnie tego zabójca się spodziewał. Bez żadnego uprzedzenia ruszył w kierunku wyjścia z labiryntu.

Quinn nie miał czasu, żeby choćby tylko pomyśleć o oddaniu strzału, więc ruszył w mrok za nim.

Biegł niemal w całkowitej ciemności. Był zupełnie sam. Ciszę przerywały jedynie ciche odgłosy nóg i rąk trącających krzewy labiryntu. Obaj mężczyźni poruszali się szybko, świetnie odgadując zamiary przeciwnika. Przypominało to taniec, w którym partnerzy nie widzą siebie nawzajem.

Obaj jednak wiedzieli, dokąd ich ten labirynt doprowadzi.

Rozdział 81

Quinn brnął przez labirynt co sił w nogach, choć nie miał okazji specjalnie się rozpędzić, gdyż żywoplot wymuszał częste zakręty pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, co wymagało praktycznie całkowitego zatrzymania. Jeśli miał dopaść mordercę, musiał wbijać stopy mocno w ziemię i brać wszystkie zakręty ostro.

Słyszał, jak D.O.A. przedziera się przez korytarz po jego prawej stronie. Brzmiało to trochę tak, jak gdyby zabójca znajdował się dokładnie naprzeciwko, w odległości zaledwie półtora czy dwóch metrów. Quinn nie miał jednak co do tego dostatecznej pewności, a nie chciał strzelać przez grube krzewy na oslep. Nawet gdyby uznał, że słuch ma na tyle dobry, by się nim kierować podczas celowania, kula mogłaby zablądzić pośród grubych gałęzi i gęstego listowia, a wtedy kto wie gdzie by trafiła. Biegł więc szybko przed siebie, odczuwając dolegliwy ból w udach i klatce piersiowej. Nogi niosły go tam, dokąd kierował go słuch. Starał się stwierdzić, czy skraca dystans. Od czasu do czasu zdarzało mu się skręcić nie w tę stronę co trzeba. Wtedy próbował przedzierać się przez krzaki do alejki obok, ale te wysiłki nieodmiennie spełzały na niczym. Quinn jednak miał na tyle dużo szczęścia, że stopniowo doganiał mordercę, a przynajmniej utrzymywał do tego stopnia nieduży dystans, że mógł w miarę precyzyjnie ocenić ich wzajemną pozycję. Ciągłe jednak dzieliła ich zbyt duża odległość, żeby oddać strzał.

Szczęście. Mnie sprzyja, zabójcy nie. Labirynt gdzieś się przecież skończy.

W tym momencie jednak Quinn zaczął się zastanawiać, czy tu aby na pewno chodzi o szczęście. Zabójca był od niego młodszy, więc powinien być w stanie mu uciec. Tymczasem wcale nie odnosił wrażenia, aby D.O.A. powiększał nad nim przewagę. Coś tu było nie tak.

Dał się wpędzić w pułapkę.

Zasapał się. Bolały go nogi i płuca. Nagle dotarło do niego, że zabójca celowo przegonił go po labiryncie okrężną drogą i doprowadził z powrotem w miejsce, w którym pościg się rozpoczął. Najwyraźniej zależało mu też na tym, żeby Quinn zdał sobie sprawę, że dał się wodzić za nos. Zabójca miał kontrolę nad sytuacją. To on wybrał czas i miejsce. Pragnął śmierci i wiedział, że umrze. Chciał też, żeby Quinn umarł razem z nim, a dodatkowo jeszcze ze świadomością

przebranej.

Dla niego liczyła się przede wszystkim gra. Quinn rozumiał już teraz, z czego wynikało to rozbawienie, które dostrzegł w oczach D.O.A. Wyczuł czas miał tu kluczowe znaczenie.

Obaj mężczyźni wyłonili się z krzaków niemal w tym samym momencie. Równocześnie na miejscu pojawiła się także cała armada radiowozów. Nie brakowało również mediów. Furgonetki z antenami na dachach, dziennikarskie hieny gotowe do akcji, całe zespoły kamerzystów i oświetleniowców, a do tego starannie uczesani prezenterzy – cała zgraja pędząca w stronę policyjnych barykad. Niezapomniana scena. Elektryzująca noc.

*

Serce zabójcy przepełniała duma. Aż takiej akcji się nie spodziewał, to przekraczało jego najśmielsze oczekiwania. Tak dramatyczna scena musiała stać się głównym tematem wszystkich programów informacyjnych, zdominować internet i wzbudzić powszechne zainteresowanie: finał polowania, podczas którego ścigający i ścigany stają oko w oko do śmiertelnej walki. Quinn, nawet żegnając się z życiem, będzie musiał zdać sobie sprawę, jak do tego wszystkiego doszło. Uświadomi sobie, że padł ofiarą manipulacji. Niech sobie ci głupcy myślą, co chcą. Quinn wyzienie ducha w przeświadczeniu, że przegrał. *Na oczach całego świata.*

*

Quinn i zabójca wyszli z labiryntu. Znaleźli się w ogrodzie. Z drugiej strony ulicy ruszyli w ich stronę policjanci w cywilnych ubraniach, a także mroczne postacie z jednostki specjalnej. Zbliżali się pod pewnym kątem, co rodziło ryzyko, że ktoś kogoś przy padkiem postrzeli.

Zabójca zakładał, że kamizelka kuloodporna uchroni go przed śmiercią przynajmniej dopóty, dopóki nie uda mu się zabić Quinna. Quinn nie podzielał jego przekonania. Uniósł policyjny rewolwer, opadł na kolano, aby w ten sposób zmniejszyć powierzchnię swojego ciała – i otworzył ogień do D.O.A.

Zabójca zdawał sobie nic z tego nie robić. Z uśmiechem na twarzy wycelował w Quinna kałasznikowa. W tym momencie jedna z kul Quinna przedostała się pod bokiem pod kamizelkę i utkwiała w jego piersi. Zabójca padł na ziemię. Leżał nieruchomo, opierając się na łokciu.

Policjanci z jednostki specjalnej nie mieli czystej pozycji do strzału, więc na razie nie otwierali ognia.

Kula trafiła Quinna w tę samą nogę, w którą już kiedyś został postrzelony. Kulejąc, poszedł jednak do zabójcy, który zdołał się podnieść i teraz siedział po turecku na chodniku. Ramiona

zwisały mu bezładnie wzdłuż boków.

Z bliska Quinn po raz kolejny dostrzegł szaleństwo i rozbawienie w oczach zabójcy. Miały w sobie coś hipnotyzującego, co w takim stopniu przykuło uwagę detektywa, że dopiero poniewczasie dostrzegł broń unoszącą się spod prawego uda zabójcy. Natychmiast zrozumiał, że przy tej odległości nie ma żadnych szans.

Zabójca na chwilę się zawahał, jak gdyby napawając się chwilą. Wycelował.

Zastrzeliła go Pearl. Potężna kula z glocka trafiła go w głowę tuż za prawym uchem.

Umierając, zabójca wpatrywał się w nocne niebo z pełną świadomością, że jutro stanie się głównym tematem gazet.

Quinn miał jeszcze jeden nabój w swoim rewolwerze. Wstał i podszedł do zabójcy, żeby jeszcze raz strzelić mu w głowę. Musiał mieć pewność, że D.O.A. na pewno i ostatecznie nie żyje. Nie czuł bólu, ale prawa noga odmówiła mu posłuszeństwa i ponownie znalazł się na kłęczkach. Spojrzał w dół i zobaczył, że udo mu krwawi. Uniósł wzrok na Pearl. Stała spokojnie z bronią w ręku, zupełnie nieruchomo, jak gdyby była kamienną rzeźbą.

– Nigdy nie potrafiłaś czekać w samochodzie – stwierdził Quinn.

Spojrzała na niego z góry.

– I twoje szczęście.

Jeden z policjantów w cywilu podszedł do zabójcy i się nad nim nachylił, żeby wydobyc spod niego broń. Odepchnął ją na trzy metry. Zamiast się wyprostować, przez chwilę trwał nieruchomo w tej samej pozycji, nasłuchując, co ma do powiedzenia umierająca. Potem D.O.A. odwrócił głowę w stronę Quinna. Nie zdołał jednak otworzyć oczu, a usta pozostały na w pół otwarte, jak gdyby ktoś przerwał mu w pół słowa, i w końcu stała się rzecz niewiarygodna – na ustach mordercy pojawił się uśmiech.

Policjant przyskoczył do Quinna i kucnęła obok niego. Wskazał głową w kierunku D.O.A.

– Już nie ma co zbierać. Nie da się go uratować, nawet gdyby medycy wpompowali w niego litry krwi.

– To dobrze – stwierdził Quinn.

– Nie zaprzeczę. – Policjant lekko się uśmiechnął.

Pearl położyła rękę na czole Quinna.

– Czy karetka są w drodze?

– Tak – zapewnił ją policjant.

– Coś do ciebie wyszeptał – zagadnął go Quinn, chwytając go za rękaw, zanim ten zdążył się wyprostować.

Policjant skinął głową.

– Powiedział, żeby ci coś przekazać. Miałem ci powiedzieć: szach-mat. Ty lko tyle.

Quinn spojrzał na D.O.A., ciągle jeszcze nie dowierzając, że ten nie żyje.

– Myślę, że już po nim – stwierdził policjant. – Szach-mat – powtórzył.

Quinn zacisnął zęby z bólu i z trudem stanął na zdrowej nodze, ale nie miał już siły iść, więc ponownie ciężko opadł na chodnik.

– Idź mu powiedz: poker królewski – polecił.

D.O.A. jednak już nie żył. Leżał w kałuży własnej krwi, uwiedziony przez kobietę.

Rozdział 82

Dwa dni po strzelaninie w Far Castle Renz pojawił się w biurze Q&A, by poinformować Quinna, że popiersie *Bellezzy* odnalezione pod ciernistym krzewem liczyło sobie mniej niż dziesięć lat. Również listy nie były autentyczne, tylko sztucznie postarzone. Kolejna imitacja. Quinn to specjalnie nie zdziwiło.

– Wiadomo już coś na temat miejsca pobytu Winstona Castle’a i Marii? – zapytał.

– Śladu już po nich nie ma – odparł Renz. – Zniknęły też odpowiedzi na wiele pytań. Członkowie rodziny z Ohio zdają się nic nie wiedzieć.

– Coś mi mówi, że Castle i jego żona, jeśli oczywiście Maria jest jego żoną, jeszcze się pojawiają. Nie wydano na nich żadnego nakazu aresztowania?

– Gdybym tylko potrafił wymyślić jakiś zarzut, toby wydano – odparł Renz, nie do końca na serio. Po co robić niepotrzebne zamieszanie i niepotrzebnie upolityczniać sprawę?

– A co z restauracją? – dociekał Quinn.

– Poprawił ułożenie opatrzonej nogi na niskim podnóżku.

– Far Castle została zamknięta. Z informacji wywieszonych w oknie wynika, że tymczasowo, z powodu remontu. Termin ponownego otwarcia nie podano. – Renz rozejrzał się po biurze. Stwierdził, że poza Quinnem nikogo tu nie ma. – Z Pearl wszystko w porządku?

– Fizycznie tak, ale musi sobie poradzić ze sporym bagażem emocjonalnym.

– A Feds?

– Wywinął się – odparł Quinn, uśmiechając się lekko. – Chyba udało mu się też ocalić małżeństwo.

– Weaver niedługo zostanie wypisana ze szpitala – powiedział Renz. – Twarda sztuka.

– Pearl u niej była – stwierdził Quinn. – Chyba trudno sobie wyobrazić, żeby one dwie mogły się lepiej dogadywać. Ale to i tak nie potrwa długo. Obie są twarde – dodał. – To one przyczyniły się do upadku D.O.A.

– Jest w tym coś poetyckiego – uznał Renz. – O prawdziwej sprawiedliwości można by mówić, gdyby Pearl, Weaver, żona Fedsa Penny i wszystkie jego ofiary mogły drania zatłuc na

śmieć. – Uniósł obie ręce w poddańczym geście. – Tak, wiem, wiem. Wtedy wszyscy bylibyśmy tacy sami jak on.

– Wcale nie to chciałem powiedzieć – odparł Quinn.

*

Pearl zajrzała do Nancy Weaver już drugi raz. Znajdowały się same w pokoju na piątym piętrze. Odgłosy ruchu ulicznego docierały tu tylko w nieznacznym stopniu.

– Miło, że przyszedł – powiedziała Weaver.

Leżała na plecach w łóżku, a do prawej dłoni miała podłączoną kroplówkę. Na jej ciele dało się zauważyć siniaki we wszystkich kolorach tęczy.

– Leżymy na tym samym piętrze – odparła Pearl. – To nic wielkiego.

Weaver nie skinęła głową, w ogóle się nie poruszyła.

– To do nas niepodobne tak się dobrze dogadywać – powiedziała Pearl. Przez moment sama się zastanawiała, po co tu właściwie przyszła.

– Nie boli aż tak bardzo, jak mogłoby się wydawać – stwierdziła Weaver. – Niedługo wychodzę.

– Ja też – odparła Pearl.

Weaver pokręciła głową.

– Boże, mało brakowało, a rozstałabys się z życiem. Nie możesz tak po prostu wyjść ze szpitala po kilku dniach.

– Obie o mały włos nie umarłyśmy – powiedziała Pearl.

– Ryzyko zawodowe.

Pearl zastanawiała się, czy Weaver faktycznie wraca do siebie w takim tempie, jak jej się wydaje. Czy w ogóle byłaby w stanie wypłatać się z tych rurek, wygrzebać z łóżka i stąd wyjść...

– A panie tu spiskują? – zapytał kobięcy głos.

Obie pacjentki spostrzegły masywną pielęgniarkę w niebieskim kitlu. Z kartą w dłoni przyglądała się Pearl i Weaver. Na plastikowym identyfikatorze, przypiętym do stroju, znajdowało się imię „Florence”.

– Czy pani aby powinna opuszczać swój pokój? – zwróciła się do Pearl, rzucając jej spojrzeń w stylu Quinna.

– Lekarz mi pozwolił – skłamała Pearl, ale skinęła głową i podeszła do łóżka Weaver. Ścisnęła jej dłoń. – Dobry z ciebie gliniarz – powiedziała.

Weaver się do niej uśmiechnęła.

– Z ciebie też.

Pearl siedziała w swoim pokoju w pełnym stroju, gdy Florence zapukała do drzwi i weszła. Na widok ubranej pacjentki pielęgniarka szeroko otworzyła oczy i spojrzała surowo.

– A pani co sobie myśli, że zdjęła pani koszulę?

– Wypisuję się – powiedziała Pearl. – Jadę do domu.

– Nie może pani tego zrobić.

– Mogę – odparła Pearl. – Jestem gliną. Mogę robić, co tylko zechcę, pod warunkiem że to będzie zgodne z prawem.

Gdy przechodziła obok Florence, poczuła na ramieniu ciężki dotyk jej dłoni.

– Jeśli spróbuje mnie pani powstrzymać – ostrzegła Pearl – przykuję panią do łóżka i tak panią zostawię.

Ciężar na ramieniu jakby zelżał. Usunęła się spod pielęgniarskiej ręki i przekroczyła próg. Florence wyszła za nią na korytarz.

– Zdaję sobie sprawę, że jest coś dziwnego między panią a Nancy Weaver, jakaś rywalizacja. Widać to po was. Tyle że to nie czas i nie miejsce na takie nonsensy.

– O jakim nonsensie pani mówi?

– O każdym, z powodu którego względnie niegroźne obrażenia mogą się przerodzić w coś poważnego.

Pearl się zatrzymała i odwróciła do pielęgniarki, pragnąc jak gdyby zabezpieczyć własną pozycję.

– Naprawdę nie zdoła mnie pani powstrzymać.

– Wiem, ale taka potrzeba w ogóle nie powinna zaistnieć. Tu chodzi o pani dobro. Może przecież dojść do zakażenia rany.

– Wątpię – odparła Pearl – ale gdyby doszło, to na pewno tu wrócę. Obiecuję.

Florence odprowadziła ją wzrokiem przez cały korytarz aż do windy. Potem ze zmartwioną miną udała się do pokoju Weaver, modląc się w duchu, aby i jej nie zastała w prywatnym ubraniu.

– Panie Boże, chroń je przed nimi samymi – wymamrotała pod nosem.

Rozdział 83

Tydzień po śmierci D.O.A. Quinn siedział przy swoim biurku w Q&A. Odchyłał się na krześle, z powodu nowej laski ledwo zachowując równowagę. Gdy opierał laskę o ziemię, miał mniej więcej centymetrowy margines błędu przy wychyleniu oparcia. Eksperymenty jednak powoli zaczynały mu się nudzić. Zastanawiał się, kiedy w końcu będzie mógł zrezygnować z podparcia i chodzić normalnie. Nagle na jego biurku zadzwonił telefon. Dzwonek zaskoczył go na tyle, że o mały włos nie wylądował razem z krzesłem na ziemi. Zdołał się jednak wyratować, wbił laskę mocno w podłogę i odwrócił krzesło, żeby sięgnąć po słuchawkę.

– Dobrze słyszeć pański głos – powiedział Winston Castle.

Quinn siedział już teraz zupełnie prosto.

– Co u pana sły chać, panie Castle?

– Ależ wszystko w porządku.

– A co u Marii?

– Też w porządku.

– Skoro zatem u wszystkich wszystko w porządku – odezwał się Quinn – to może zdradzi mi pan, po co pan dzwoni.

– Pan jest chyba na mnie zły, detekty wie Quinn.

– Nie jestem – odparł Quinn, z zaskoczeniem stwierdzając, że mówi zupełnie szczerze. – Po prostu nie do końca to rozumiem.

– Dzwonię z Meksyku – poinformował Castle.

Quinn spojrział na wyświetlacz telefonu i zobaczył na nim numer z miejscowości High Winds w stanie Teksas. Postanowił jednak nie poruszać tego tematu. Winston Castle nigdy nie miał w sobie za grosz autentyczności, więc czemu akurat w tej kwestii miałby mówić prawdę.

– Słyszałem, że restauracja została zamknięta – powiedział Quinn.

– Tymczasowo – odparł Castle. – Samą firmę sprzedałem, chociaż budynek ciągle należy do mnie. Będę wynajmować przestrzeń restauracyjną.

– A co na to Maria?

– To właśnie przez wzgląd na nią się na to zdecydowałem. Dla jej dobra.

– Przynajmniej częściowo – odezwała się Maria, która najwyraźniej przysłuchiwała się rozmowie przy drugim aparacie w High Wind. – Winston i ja stworzyliśmy określoną wizję życia i w tej chwili restauracja do niej nie pasuje.

– Najwyraźniej nie – odparł Quinn. – Podobnie jak angielski akcent.

– Zauważył pan, stary druhu? – odezwał się znowu Castle.

– Trudno to zauważyć.

– Mnie się wydaje – powiedział Castle – że musiał istnieć jakiś powód, dla którego podmieniono popiersia *Bellezzy* w ogrodzie przy restauracji. To wszystko zostało drobiazgowo zaplanowane.

– Wszystko?

– Począwszy od kopii *Bellezzy*, a na ucieczce D.O.A. skończywszy.

Quinn się w pierwszej chwili zdziwił, nie bardzo jednak rozumiał własną reakcję.

– D.O.A. nie żyje – powiedział. – Umierał na moich oczach.

– Ktoś w kamizelce kuloodpornej został zastrzelony i zginął.

– Tak, ten ktoś nazywał się Dwayne Oren Aiken. Ściągałem go przez wiele lat.

– Przecież na pewno pan przyzna, detektywie, że istnieje jakieś minimalne prawdopodobieństwo, że Dwayne Oren Aiken przeżył. Przecież na pewno zależało mu na tym, żeby oficjalnie ogłoszono jego śmierć...

– Niby dlaczego?

– Żeby przestał pan go ścigać. Żeby mógł sprzedać *Bellezzę* jakiemuś gorliwemu, acz nieuczciwemu kolekcjonerowi.

– Naprawdę pan w to wierzy?

– Myślę, że to możliwe. Dlatego jestem w Meksyku.

– Jest pan w Teksasie.

– Jestem bardzo blisko granicy.

Quinn musiał się zgodzić z Castle'em, że na pewno znaleźliby się kolekcjonerzy, których zadowoliliby sama tylko możliwość posiadania takiego dzieła sztuki – nawet gdyby nie mogli go nikomu pokazać. Wiedział jednak również, że tacy ludzie największą radość czerpią z poszukiwania rzeczy nieosiągalnych. To im poświęcono wiele klasycznych powieści, to o nich kręcono filmy. Ten Castle zaliczał się właśnie do poszukiwaczy, wcale nie do niewolników posiadania. Najwyraźniej Maria podzielała jego pasję. Quinn uważał, że większość ludzi może im tylko zazdrościć nieuleczalnego optymizmu i wytrwałości w dążeniu do celu. Niech sobie więc Castle i cała ta szalona rodzinka prawdziwych i nieprawdziwych potomków rodu Kingdomów, Douglassów i Tuckerów biega po świecie i szuka swojego skarbu. Nie ma nic złego w tym, że człowiek podsyca swoje marzenia i stara się je realizować. Niektórzy nie mają w życiu nic innego.

– Teraz już rozumiem, dlaczego ta sprawa tak bardzo się skomplikowała – powiedział Quinn. – Cenny przedmiot, wokół którego wszystko tu się kręciło, po prostu nigdy nie istniał.

– Takiej możliwości nie można wykluczyć – odparł Castle – ale musi pan zrozumieć, że poszukiwanie tego arcydzieła to *raison d'être* naszej rodziny. Ja zaś muszę zadbać, żeby rodzina nie sprowadziła na siebie kłopotów. Innej rodziny nie mam, panie Quinn.

– Rozumiem – odparł detektyw i jednocześnie pomyślał, że takie konstruktywne marzenie

stanowiło wielki komplement dla Michała Anioła.

– Nie wątpię, że pan to rozumie.

– Życzę powodzenia panu i pańskiej rodzinie – powiedział Quinn.

Nie otrzymał już żadnej odpowiedzi. Winston i Maria się rozłączyli. Znowu zniknęli bez śladu.

Quinn wspominał o tej rozmowie tylko Pearl. Oboje zgodzili się, że nigdy nie sprzedadzą Q&A.

*

Nowy właściciel Far Castle postanowił nadal prowadzić w wynajmowanym lokalu restaurację. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. W burzowe dni jednak można było stwierdzić, że jeden z maszkaronów zdobiących betonowy gzyms budynku – zastąpiony normalnie przez markizę – nie odprowadza wody, tylko z przyjemnością zażywa kąpieli w deszczu. Element miał kształt popiersia kobiety, która z zamkniętymi oczami i lekkim uśmiechem na twarzy czeka na powrót słonecznej pogody. To była naprawdę piękna dekoracja.

Specjalne wyrazy podziękowania dla Marilyn Davis

Spis treści

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Część druga

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Część trzecia

Rozdział 29

[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Rozdział 38](#)
[Rozdział 39](#)
[Rozdział 40](#)
[Rozdział 41](#)
[Rozdział 42](#)
[Rozdział 43](#)

[Część czwarta](#)

[Rozdział 44](#)
[Rozdział 45](#)
[Rozdział 46](#)
[Rozdział 47](#)
[Rozdział 48](#)
[Rozdział 49](#)
[Rozdział 50](#)
[Rozdział 51](#)
[Rozdział 52](#)

[Część piąta](#)

[Rozdział 53](#)
[Rozdział 54](#)
[Rozdział 55](#)
[Rozdział 56](#)
[Rozdział 57](#)
[Rozdział 58](#)
[Rozdział 59](#)
[Rozdział 60](#)
[Rozdział 61](#)

[Część szósta](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)